

AGNIESZKA  
JEŹ



TOM 2

SAGA RODZINY

POŁAKOWSKICH

DŁUGIE  
POŁUDNIE



AGNIESZKA  
JEŻ

TOM 2

SAGA RODZINY

**P**OLAKOWSKICH

DŁUGIE  
POŁUDNIE



Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki: Urszula Gireń

Zdjęcia na okładce: © Kemal, © BrAt82, © ana / Stock.Adobe.com

DTP: [pagegraph.pl](http://pagegraph.pl)

Copyright © 2023 by Agnieszka Jeż

Copyright © 2023, Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.

Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-744-4

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | [www.WydawnictwoKobiectwo.pl](http://www.WydawnictwoKobiectwo.pl)



Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotował Jan Żaborowski

Część pierwsza

Fale przypływają

# Rozdział 1

*Pahlevi, lato 1942 roku*

Anna przymknęła oczy. Na powiekach poczuła słoneczne ciepło; świat zamienił się w miedzianozłote rozbłyski.

– Nie odpływaj. – Usłyszała.

Uśmiechnęła się. Było jej tak dobrze; ciepło, bezpiecznie, miękko. Mocno grzało, ale drzewa dawały im wytchnienie w cieniu. Dęby – pomniki ostoi i pewności, przed nimi sosny, czuła ich żywiczny zapach. A najbliżej brzozy; delikatne, jak z obrazów impresjonistów – biel złamana szarością i setki zielonych kropek, które fruwały pod jej powiekami.

– Nie odpływaj.

Dokąd by miała stąd odpłynąć? W oddali szumiało morze, co było dziwne, bo skąd tu woda, ale ten odgłos wcale jej nie wołał, nie miała ku niemu ciekawości. Zdecydowanie wolała być tu, z nim. Wreszcie znowu razem. Była wprawiona w czekaniu na niego. W osiemnastym, kiedy wstąpił do armii, rozłączyli się na trzy lata. Zupełnie jak teraz. Może to taka prawidłowość, że wojny zabierają żonom mężów na taki czas? Trójka: jedność we wspólnocie, siła charakterów, moc sprawcza – taka symbolika. Przetrwali to i wtedy, i teraz. Połączyli się na zawsze, wbrew wszelkim przeciwnościom. Racjoniści wyśmiewają tych, co mówią o przeczuciach i uczuciach. „Zdrowy rozsądek, logika!”, tym człowiek powinien się kierować w życiu. Nie negowała tych przymiotów, ale one były o krok za intuicją, która działała szybciej niż najsprawniejsze maszyny liczące, o ile oczywiście miało się do niej dostęp. Anna miała. Dlatego wyszła za mąż za Franciszka Polakowskiego. I dlatego teraz, mimo wojny, mogła poczuć spokój – na

tej łące, w plamie światła i ciepła, z nim u boku. Jak pięć lat temu, kiedy z ich namiętności poczynał się Krzyś.

– Jestem tu. Spokojna i szczęśliwa.

Wyciągnęła w bok prawą rękę. Zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Wzdrygnęła się. Było inne – chudsze, jakby krzywe. Nieznane.

Otworzyła oczy.

– Och!... – wyrwało się jej coś między okrzykiem a jękiem.

Nie była w Niemowiczach, tylko na perskiej plaży. Przed palącym słońcem osłaniało ją zadaszanie z liści palmowych, a nie las. Pod sobą miała brązowy koc ułożony na piasku, a nie trawę. Najgorsze jednak było to, że obok leżał obcy mężczyzna, nie jej ukochany Franciszek.

Oczy miał przymknięte, nie zareagował na jej dotyk.

Anna się rozejrzała. Miała tu liczne towarzystwo. Poślanie przy poślaniu, głowa przy głowie. Niektóre koce były puste, jak te z lewej jej strony, na innych leżały ludzkie ciała. Tak teraz o nich pomyślała: ludzkie ciała. Jasne, wychudzone, obleczone w czystą odzież. Jak ciało przygotowywane do trumny – ono już u kresu swojej ludzkiej wędrówki, zużyte, schorowane, a ubranie nowe, specjalnie na tę okazję przyszykowane, żeby u bram wiecznego życia godnie się zaprezentować.

Raz jeszcze dotknęła ramienia obcego. Na starej, pobrużdżonej twarzy nie zauważyła najmniejszego ruchu. Przyłożyła drżącą dłoń do zwiotczalej szyi. Poczowała pod palcami lekkie pulsowanie. Odetchnęła z ulgą; nie знаła tego człowieka, śmierć stała się już oswojonym wydarzeniem, tyle razy w ostatnich latach ją widziała, a jednak bardzo by nie chciała, żeby ten mężczyzna nie żył. Nie chodziło jej o niego samego, co przyznała z lekkim wstydem, ale o to, że potraktowałaby tę sytuację jako zły znak. Bo skoro wzięła – w półśnie – tego człowieka za swojego męża, a on by nie żył, to by sugerowało, że Franciszek...

– Och! – Teraz się otrząsnęła. I z drobin piasku, i z tych myśli.

Podniosła się z poślania. Stała na plaży, w miejscu obozowiska, które Persowie przygotowali dla przesiedleńców. Musieli tu odbyć kwarantannę, nim zabiorą ich

do obozu. Z Krasnowodzka wypływali jak zwycięzcy – nic, że kurs był w nieznane, a nie do ojczyzny. Wiedzieli, że tutaj czeka na nich bezpieczny ląd. Byli wśród tych, których nie zmogły długie miesiące na nieludzkiej ziemi, którzy siłą woli, wspomagani modlitwą i łutem szczęścia opuścili sowieckie piekło. Do Pahlevi wpływali jednak jak ofiary. Kilkadziesiąt godzin na morzu spędzili w bydlęcych warunkach. Statek był obciążony ponad miarę, co wykluczało zachowanie higieny. Cztery i pół tysiąca ludzi bez dostępu do cywilizowanej toalety – taka była, między innymi, cena za wywiezienie jak największej liczby Polaków ze Związku Radzieckiego. Kapitan wyznaczył im kawałek statku, właściwie to burtę, za którą należało się wysunąć, by morze przyjęło to, co nie mogło się znaleźć w łazience dla załogi. Wiele osób nie zdołało się utrzymać na linie, która miała ich zabezpieczać podczas tej upokarzającej ekwilibrystyki. Anna patrzyła na nieszczęśników, którzy zostawali w granatowej toni, coraz mniejsi i mniejsi, aż znikali całkowicie. Nie było możliwości, żeby ich wyławiać – przy takim obciążeniu statek musiał być cały czas w ruchu, inaczej groziła im wywrotka. „Mniejsze zło”, stwierdził kapitan. „Do tej pory zło zawsze było większe, zatem nastąpiła poprawa sytuacji”, odpowiedział ktoś obok. Trochę ironicznie, ale i trochę akceptująco. Tak czy owak, od tej pory ludzie szli za potrzebą w każdy możliwy kąt, nie bacząc na zasady, wstyd, współtowarzyszy. Przeżyć – to było najważniejsze.

Kiedy wpłynęli do perskiego portu, przypominali zjawy. Brudni, obdarci, słaniający się na nogach. Ile czasu musiało trwać sprzątanie po nich Kaganowicza?

Tego nie wiedziała. Gdy postawiła stopę na rozgrzanym piasku, poczuła, że natychmiast przechodzi w inny tryb – z ciągłej walki o przetrwanie, swoje i dzieci – w spoczynek. Patrzyła, jak Zosia, Ela i Krzyś zdejmują z siebie szmatławe ubrania i nago idą pod prysznic. Szła z nimi, też się szorowała i dezynsekowała. Potem po kolei siadali na stołku, a obce palce szukały w ich włosach wszy. Krzyś wyszedł z tej kontroli z ogoloną głową, im udało się zachować włosy. Ucieszyło ją to; gdyby teraz spotkała się z Franciszkiem, nie chciałyby go witać taka oszpecona. Oczywiście wiedziała, że i na nim te trzy lata na pewno odcisnęły piętno, ale

pamiętała go takim, jakim go ostatni raz widziała, kiedy sierpniowym świtem żegnała go w drzwiach ich domu.

Potem zjedli chleb i napili się wody. Kiedy położyła się na pościeli, omiotła jeszcze spojrzeniem dziecięce głowy – Boże! jakby dopiero teraz spostrzegła, że córki to już młode kobiety; Zosia prawie taka jak ona, gdy się zaręczała, Ela – niewiele młodsza. To właśnie dzięki niej Anna wciąż miała na palcu szafir w koszyczku z granatów. Jak się jej udało zdobyć w Taszkencie jedzenie bez zapłaty? Ludzie bywają dobrzy, ale wtedy, gdy sami walczą o byt, nie odstępują od gratyfikacji, nie oddają porcji, która może decydować o ich przetrwaniu. Czym więc Ela zapłaciła temu młodemu mężczyźnie, który podzielił się z nią swoim wiktem? Wróciła zarumieniona, podminowana, ale przecież chyba... Nie, Anna zaprzeczyła obrazom, które pojawiły się w jej głowie, tak jak wtedy Ela zaprzeczyła jej niedopowiedzianej sugestii. Potem, kątem oka, Anna zauważyła w ręku młodszej córki kartkę z imieniem „Marian”. Zosia miała swojego Jana, z którym regularnie pisywała. Dziewczęta stały na skraju rodzinnego gniazda, gdyby nie wojna, już by rozłożyły skrzydła do lotu, a Anna mogłaby się usunąć w cień. Był jednak jeszcze Krzyś. „Dywidenda od losu”, jak kiedyś powiedział o nim Franciszek. Syn był tak podobny do ojca!... Nawet bez jasnych włosów, takich samych u obydwu, od razu było widać, że to krew z krwi. Anna ścisnęła drobną piąstkę Krzysia i zasnęła. To w tym długim i mocnym śnie powędrowała na łąkę, gdzie przed wojną leżała z mężem i mimo że tego nie wiedziała, już się w niej zaczynało nowe życie.

A teraz?

Dostrzegła trzy znajome sylwetki.

– Mamo! – Krzyś rzucił się ku niej pędem.

Dopał do niej i mocno przytulił łysą głowę do brzucha, w którym go kiedyś nosiła. Teraz brzuch był wklęsły i wyschnięty. Dramatyczne warunki sprawiły, że Anna nie była już kobietą, która mogłaby wydać na świat kolejne życie. Ten etap jej biologicznej egzystencji się zakończył. W normalnych warunkach pewnie by ją to bardziej obeszło, bo ta cezura starzenia się nie była przecież obojętna kobietom –



przekwitanie kojarzy się z jesienią, powolnym zamieraniem. Wtedy jednak pomyślała, że przynajmniej odpadła jej comiesięczna troska o materiały higieniczne.

– Nie budziliśmy cię – odezwała się Zosia. – Spałeś tak spokojnie, a sen przecież regeneruje.

– Byliśmy w kuchni. Mamy dla ciebie obiad. – Ela odchyliła dłoń, którą przykrywała miskę. Rozniósł się zapach baraniny, a Annie zrobiło się niedobrze, gdy spojrzała na breję z kozuchem zastygającego tłuszczu.

– Pani mówiła, że trzeba jeść mięso. – Krzyś zauważył ten grymas. – Żeby zacząć dobrze żyć. – Podskakiwał i biegał wokół niej, powtarzając: – Żyć, żyć, żyć!

Anna wzięła od młodszej córki miskę i nabrała pierwszą porcję. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że ten zapach to skóra, którą się przykrywała, gdy jechali saniami po świąteczne drzewko. A blask padający na powieki to światło świeczek na ustrojonym już świerku. Kurczowo trzymała się tych przeszłych obrazów; dzięki nim wciąż miała siły do walki o kolejne dni.

Głośno przełknęła i znowu zanurzyła widelec w tężejącej brei.

Chciała żyć. Miała na co czekać.

\* \* \*

### *Quizil-Ribat, lato 1942 roku*

Była bardzo ładna. Wysoka, szczupła, kobieca. I to mimo munduru. Wydawałoby się, że uniform będzie odbierał kobietom wdzięk, ale, ku zdziwieniu Jana, wcale tak nie było.

Drugie zdziwienie dotyczyło jego reakcji na tę dziewczynę. Spodobała mu się, i to w taki... nie wiedział, jak to nazwać – podstawowy sposób. Patrzył na jej wąską talię, podkreśloną paskiem, na zgrabne kolana, co chwilę odsłaniane pod spódnicą, na kieszenie munduru wypukłe od zgrabnego biustu. Dziewczyna co chwilę wybuchała śmiechem. Było w tym tyle życia, młodości, radości!...

Może właśnie to go tak pociągało? Takie zwykłe, najprostsze przejawy życia? Bo dopiero teraz zaczynał czuć, że żyje. Co za paradoks – takie odczucia, kiedy się zostaje żołnierzem. Przecież właśnie wtedy człowiek powinien się zgodzić na oddech śmierci na plecach, wkalkulować w taką decyzję bardzo realną możliwość dramatycznego przerwania istnienia.

Tymczasem Jan Biały właśnie tu, trzysta dwadzieścia kilometrów na północny wschód od Bagdadu poczuł, że wraca do żywych. Związek Sowiecki był złem wcielonym. Doświadczenia miał więcej niż niedobre, ale historie, jakich wysłuchiwał w obozie przejściowym, gdzie młodzi mężczyźni, wtedy bardziej podobni półtrupom niż żołnierzom, próbowali odzyskać siły po pobycie na sowieckiej ziemi, były straszne. W tym kraju „wschodniego, komunistycznego dobrobytu” ludzie przymierali głodem. Dlatego tu, gdzie nie dawkowano jedzenia, niektórzy próbowali odrobić żywieniowe straty. W kotłach, ustawionych na końcu obozu na paleniskach z kamieni i gliny, przez całą prawie dobę bulgotał jagnięcy gulasz, który serwowano z ryżem. Nie wyznaczono limitów porcji na żołnierza – można było podchodzić i brać dokładki. Dla wielu to była pokusa nie do odparcia. Nawet już najedzeni, wciąż odczuwali głód, jakby pełne żołądki nie przesyłały do głów informacji, że już, że dość. Jan na początku robił podobnie, ale szybko się opanował. Pamiętał, jak matka opowiadała, że chorzy, którzy przez długi czas mało lub prawie wcale nie jedli, muszą być na ścisłej diecie – zaczyna się od małych i chudych porcji, potem je zwiększa, bo inaczej można umrzeć. Był jeden taki pacjent, któremu rodzina przywiozła wałówkę, bo „w szpitalu nie dają”. I umarł. Janowi trudno było wtedy w to uwierzyć, ale Szymkiewiczowa, ich sąsiadka i pielęgniarka, to potwierdziła. Tu takich biedaków było więcej, tyle że sami brali, skoro dostępne na wyciągnięcie ręki. Pokurczone żołądki i jelita nie dawały rady – skręt kiszek i po człowieku. No i żółtaczką – tak gwałtownie zwiększona ilość tłuszczu w diecie doprowadzała do choroby. Dwóch na trzech żołnierzy miało żółtkłą skórę i białka oczu.

Jan się przed tym uchronił, bo potrafił się opanować. Od dziecka miał tę cechę – umiał poprzestać na mniejszym, jeśli gdzieś na horyzoncie majaczyło większe.

No, może nie w szkole. Wydalili go z gimnazjum, bo matematyka i łacina nie szły mu najlepiej. Właściwie to szły mu źle, a on nic z tym nie robił. Mógłby, ale wolał czytać o bitwach i uzbrojeniu. Albo słuchać wykładów pana Kuryłki. I teraz, po kilku latach, wyszło na jego. Historia była ważna, matma – mniej. Nawet jednak wtedy, mimo że dorastanie nim targało i czasem sam siebie nie rozumiał, potrafił przystopować. Nie przekroczyć granicy, za którą już trudno by było o odwrót.

Tak było z tym jedzeniem tutaj. I z dziewczynami.

Trzy lata w tym wieku to szmat czasu. Jan jechał na wojnę jako młokos, nieopierzony żółtodziób, a teraz był mężczyzną – z męskimi potrzebami.

Wojna to była męska sprawa. Kobiety – też.

Pielęgniarki, które w szpitalu polowym troskliwie pielęgnowały chorych, kojarzyły się z siostrami miłosierdzia, ale ich ciała należały do ziemskiego, bardzo pobudzającego porządku. Łączniczki i dziewczyny z kantyn również. No i te, które uczyły się prowadzić auta.

Jan znowu spojrział na tę dziewczynę. Pociągała go. Zrobiło mu się goręcej, niżby to wynikało z temperatury. Dyskretnie poprawił nogawkę spodni, zdradzającą jego pobudzenie.

Zdrada. Przecież gdzieś tam czekała na niego Zosia. Nie tylko zresztą na niego – sporo chłopaków z jego kompanii spotykało się przed wojną z dziewczynami. Niektórzy tęsknie wpatrywali się w pomięte fotografie, inni podchodzili do sprawy bardziej praktycznie. Był wśród nich taki jeden, Roman Kwiatkowski. Starszy z dziesięć lat, więc na pewno doświadczony w tej materii, tyle że jego doświadczenie rozjeżdżało się z wyobrażeniami Jana. „Kobiety mają inną konstrukcję niż mężczyźni. Myślą nierealistycznie, żyją bajkami. Dlatego można im wszystko wmówić, nie odróżnią, co prawda, a co kłamstwo. Nie ty, to inny to zrobi. I skorzysta. Bo kobiety też chcą seksu, tyle że nie tak za nic. Mężczyzna jest tu bardziej hojny – da miły czas i nie będzie oczekiwał wdzięczności”. W tym momencie wybuchły śmiechy. Janek też parsknął, ale bardziej nerwowo. Może dlatego, że wypił mniej słodkiego wina. „Kawiarnia, kino, prezenty, a potem –

może! – będzie romantyczna chwila. Chwila, bo po takim czekaniu to będzie jak wystrzał z armaty”. Znowu śmiech. Jana również. „Strzały z armaty” mu się zdarzały, w nocy. „No. A najgorzej będą mieć ci, co dadzą się zrobić w małżeństwo. Wtedy uwiązanie do końca. Podporządkuj się, słuchaj, bądź miły, kupuj, co zechce – a to wszystko po to, żeby mieć parę chwil oddechu w sypialni. Taniej i prościej z panienkami, znaczy dziwkami. Cena podana, sprawa ugadana”. Tu już się Jan nie roześmiał. Brzydko mu to zabrzmiało. Przecież z Zosią było i będzie inaczej.

A może on był naiwny? Bo naiwnością była na przykład wiara, że Polskę i Związek Radziecki może połączyć wspólny cel – walka z Niemcami. Na swoje usprawiedliwienie miał tylko swój młody wiek. Szybko się okazało, że brak dostaw broni, amunicji, umundurowania ma drugie dno – chodziło nie tylko o maskowaną biedę tego kolosa na glinianych nogach, a o fakt, że Stalin się obawiał, że Polacy mogliby się zwrócić przeciwko Armii Czerwonej. No a potem, kiedy Rosjanie zdobyli przewagę nad Niemcami podczas walk o Moskwę, wspólnie z Brytyjczykami i Polakami ustalili, że Armia Polska jest bardziej potrzebna w Afryce i Europie Południowej, gdzie też walczone z niemieckim okupantem. A że przy okazji polscy żołnierze zostali usunięci z sowieckiej ziemi – druga korzyść.

Wywody Kwiatkowskiego też mu tak pachniały.

A co do tego usuwania polskich żołnierzy... Kiedy czekali na transport z Krasnowodzka, był świadkiem rozmowy w sztabie obozowym na temat braków kadrowych. Armii Polskiej byli bardzo potrzebni doświadczeni oficerowie, którzy objęliby dowództwo. I takich oficerów Sowietci wzięli do niewoli jesienią trzydziestego dziewiątego roku. Podobno generał Anders mocno naciskał na Stalina, by wyjaśnili los tych jeńców – z ogromnej grupy piętnastu tysięcy wywiezionych w niewiadomym kierunku, gdzieś na terytorium Związku Radzieckiego przebywało zaledwie kilkuset. A reszta? Zwłaszcza że przecież była amnestia. Sowietci milczeli, polski rząd na uchodźstwie drażył, stosunki się ochładzały. Stalin miał odpowiedzieć, że najprawdopodobniej uciekli – do

Mandzurii. Nie trzeba było być specjalnie byстрыm, żeby wiedzieć, że w kraju nieustającej inwigilacji to zupełnie niemożliwe – NKWD miało oczy i uszy wszędzie. Nikt nie mógł tu liczyć na anonimowość. Jeśli zatem nie uciekli i nigdzie ich nie było, mogło to oznaczać tylko jedno – już nie żyli. Jan próbował to sobie wyobrazić, czy może raczej – nie chciał tego sobie wyobrażać, ale wracała do niego myśl: jak „zlikwidować” w krótkim czasie i w ścisłej tajemnicy tak ogromną grupę ludzi? I żeby ślad po nich nie został? A może to właśnie była ta z nielicznych produkcji, które się w Związku Radzieckim udawały – produkcja śmierci?

Dziewczyna znowu się zaśmiała. Drajwerka. Jedna z żołnierek z Pomocniczej Służby Kobiet, która szkoliła się, żeby zyskać uprawnienia kierowcy. Była podobna do Zosi, tyle że więcej w niej było... znowu nie potrafił dobrać odpowiednich słów. Chyba prostoty. Zwykłej radości. Łapania z życia chwil, nawet jeśli to tylko chwile, a cała reszta jest w gruncie rzeczy dość ponura. Zosia była bardziej wyważona. Spokojna. Z klasą. Nic z tych określeń nie oddawało tak do końca istoty sprawy, ale nagle, z ogromną mocą, poczuł, jak bardzo za nią tęskni. Pokochał ją pierwszą, mocną miłością. Ten urok, któremu przed chwilą uległ, był krótkotrwały, tamto uczucie – silne. Bardzo silne. Nie z tego świata, tak mu się pomyślało. Nie w jakimś romantycznym, kobiecym znaczeniu, ale takim, że tamten świat, z którego Zosia wprost pochodziła, po prostu już nie istniał.

Oni natomiast istnieli. Myśli o Zosi wiele razy były jak światło w mroku, dla niej na pewno też.

*Kochany Janku,*

*moja radość z powodu Twojego listu jest przeogromna! Nadzieja, że kiedyś się spotkamy, bardzo pomaga żyć, bo sporo smutnych chwil za nami – Stryjostwo i ich Córeczka nie żyją, nasz los trudny, od Taty żadnych informacji, ponoć opuścił Starobielsk, ale nic więcej nie wiemy. Warunki, jakie tu mamy, pewnie znasz. Wierzę, że nadejdzie odmiana, zresztą same się o to staramy, Mama bardzo dzielna.*

*Całuję*

*Twoja Zosia*

Ten list ciągle nosił przy sobie. Przejechał palcem po serduszku dorysowanym na końcu. Gdzie Zosia była teraz? Czy udało im się zaokrętować i też trafili do Persji? Czy znalazła jego kartkę zostawioną w porcie? Bardzo w to wierzył. Z tego, czego dotychczas dowiedział się o Annie Polakowskiej, płynęła nadzieja – ta kobieta zrobi wszystko, by ich uratować.

*Najdroższa Zosiu,*

*jestem – w dobrej formie ciała i ducha – na obozie szkoleniowym w Iraku. Szkolenie dobrze idzie, wreszcie mamy pełne uzbrojenie: lekkie i ciężkie. Prócz tego uzbrajam się w cierpliwość, że niedługo się zobaczymy. Wysyłam ten list do Pahlevi, gdzie zapewne trafiłaś wraz z rodziną. Jeśli się uda, wystaram się o przepustkę.*

*Twój Janek*

Złożył kartkę i wsunął do koperty.

Drajwerka znowu głośno się zaśmiała, ale Janek miał teraz przed oczami inną młodą, piękną dziewczynę – w kawiarni w Lidzie, z talerzykiem słodkości.

Będzie się trzymał tamtej obietnicy.

\* \* \*

*Żołymbet, zima 1942 roku*

– Ale z ciebie chabet. – Marian popatrzył, jak wychudzony koń wciska chrapy w róg ściany, żeby wybrać resztkę owsa.

Żał mu go było, no jak nie. Przecież pamiętał, jakie ładne to mogą być zwierzęta. Mocne, silne. Zdrów jak koń – to powiedzenie nie wzięło się w końcu znikąd. U nich w Różance był taki. Mocny, tak go ojciec nazwał. Do prac różnych, to oczywiste, bo każda gęba czy pysk, które jedzą, muszą na to jedzenie zapracować. W życiu nie ma nic za darmo – kto mieszka na wsi, uczy się tego od

oseska. Więc Mocny pracował, ale ojciec go uczciwie doglądał. Marian też, bo jego również obowiązywała konieczność pracy. Nie przykładał się tak jak ojciec, bo nie czuł w sobie żadnego pragnienia, żeby zostać dobrym gospodarzem – żadnym gospodarzem właściwie. Byle dalej, byle inaczej – szybko w nim wzrosła ta chęć ucieczki. Ale Mocnego lubił. Za to, że był koniem – bo Marian po prostu lubił konie. Za to, że naprawdę miał w sobie dużo siły – potęga mięśni. Ale chyba najbardziej za pewną krnąbrność. Mocny słuchał się ojca i czasem bata, ale bywało, że się postawił, wierzgnął. Tak uczciwie, kiedy wysiłek mocno go zmęczył. Ojciec się wtedy burzył, jak zawsze, gdy sprawy się wymykały spod jego gospodarsko-ojcowskiej ręki, a Marian odczuwał coś w rodzaju satysfakcji – że to nie tylko pokorne zwierzę pociągowe, lecz także nie do końca stłumiona natura.

A potem Mocny się zestarzał. I tu stała się rzecz dziwna, bo ojciec i Marian jakby się zamienili rolami. Ojciec, ze smutkiem, a może po prostu jakimś namysłem nad życiem, zaprowadził Mocnego do rzeźnika. A Marian, mimo że lubił mięso, w ogóle lubił dobrze zjeść, nie tknął tych kiełbas. „Dojść za tobą nie dojdzie”, ojciec popatrzył na niego znad talerza. „Na co dzień to problemy same, w głowie nie po kolei, pracę uczciwą trzeba od ciebie wymuszać, ale starego konia, co za niedługo i tak by padł, to ci żal”. No było mu żal. Tak jak teraz tego biedaka. Jeszcze chwilę się namyślał, a potem sięgnął do kieszeni po owies.

– Masz. – Wyciągnął rękę w jego stronę.

Wilgotne chrapy przejechały po zmarzniętej dłoni Mariana. To było przyjemne – bo przywoływało wspomnienia z Mocnym, to raz, a dwa – w tym ciepłym kontakcie ciała z ciałem było coś, czego Marianowi jakoś brakowało. Nie chodziło o kontakt ze zwierzęciem, to jasne, Marian miał równo pod sufitem. Chodziło o coś ludzkiego, choć podszytego pierwotnymi instynktami, wspólnymi wszystkim stworzeniom.

Marian wracał wspomnieniami do tej dziewczyny z Taszkientu. Ela. Elżbieta. Było w niej coś takiego, co go od razu złapało. I nie było to to samo, co poczuł do tej kasjerki, Nataszy. Tam to kobiece oczywistości, to, na czym mężczyzna od razu zawiesza wzrok. Na pewno przyjemne, a do tego pewnie łatwe i szybkie.

Dziewczyna do zjedzenia, tak się chyba mówiło. A może do schrupania? Czasem wydawało mu się, że zapomina tu polskiego, bo dokoła panoszył się rosyjski, a po polsku to tylko krótko i narzekania albo modlitwa, zwłaszcza u matki. Ludzie różnie sobie radzili z trudami życia – jego matka wybrała żale i prośby do Boga, ale na tej bezkresnej ziemi, gdzie nikt się nie modlił, widać o wysłuchanie było trudniej. Tak czy owak, chodziło o konsumpcję. A z tą Elą... No też, bo ona była bardzo ładna, może nie tak wprost kobieca jak tamta, ale kiedy jedzenia brak, to się przecież chudnie, ze wszystkiego, zresztą była jeszcze młoda – może siedemnaście, coś koło tego. Na pewno się jeszcze zaokrągli. Było w niej jednak coś takiego, co się Marianowi wydało ideałem – więc wygląd – bardzo mu pasujący, z jednej strony taki niby zwyczajny, ale z drugiej – widać było po niej, że ona nie z prostej rodziny, na pewno wyżej niż Marian, nie żeby to było trudne. Tyle że to „wyżej” nie było za wysoko. Nie tak, żeby między nimi była przepaść, której nie da się przeskoczyć czy zasypać. Było na tyle, ile Marian chciał dla siebie wcześniej – wyrwać się z Różanki, ku lepszemu. Ta Ela była tym lepszym, z pewnością, zresztą to widać też po tej kartce, jaką mu zostawiła. „Jedziemy do Krasnowodzka, potem do Persji. Będę czekać, będę szukać. Ela”. Bardzo ładne, staranne pismo. Żadnych błędów, na ile umiał ocenić. Wygląd też taki miała – nie piękność, ale zdecydowanie nie chłopskie rysy, i to od kilku pokoleń co najmniej. Marian poczuł, że z taką Elą u boku mogliby razem zdobywać świat. On przewodnik, ona wspierająca.

Na razie jednak to wszystko było palcem po wodzie pisane, czy raczej po lodzie. Zamrożone, jak wszystko dokoła. O żadnym nowym naborze nie było słyhać. Front wschodni się podobno ustabilizował, ale polskie jednostki jechały na południe, poza granice Związku Sowieckiego. Oni wyjeżdżali, a tu przecież było jeszcze od groma Polaków. To co się z nimi stanie? Co z Marianem? Nie dość, że nie będzie mógł walczyć, to jeszcze tu utknie, w tej beznadziei?

– Widzisz, Krepkij, sprawa nie jest prosta. – Klepnął konia po zadzie. Nazwał go tak samo, jak tego w Różance, tylko w jego języku. Potem uznał, że to w sumie bez sensu, bo i tak mówił do niego po polsku, ale imię już zostało. – Nie ma jednak



takiej sytuacji, z której nie da się wyjść. Bo jak pomyślisz, że już koniec, to będzie koniec.

„Będę czekać, będę szukać”. On też będzie. I to dopiero początek drogi.

Zamknął stajnię, wcisnął głowę w kołnierz, dłonie w kieszenie i ruszył w kierunku osiedla. Zimno było, ale on czuł w środku jakieś ciepło.

\* \* \*

### *Teheran, wiosna 1943 roku*

Jakie to wszystko podobne, myślała, stojąc przed hangarem lotniczym, w którym urządzono punkt przesiedleńczy. Oni też tu trafili, kiedy już skończyła się ich kwarantanna. Zabrali ich ciężarówkami na przedmieścia Teheranu. Ela nie wiedziała, jak ma wyglądać droga, ale Zosia, dużo lepsza z geografii, powiedziała, że będą musieli przejechać przez góry. Eli trudno było to sobie wyobrazić – no bo jak, piąć się takim dużym samochodem przez wzniesienia?

Okazało się, że trasa wiodła drogą wykutą w skale. W wielu miejscach była tak wąska, że mieściło się tam tylko jedno auto – i to prawie bez żadnego zapasu na koła. A kiedy się jechało... Kierowca jakby nie cenił ani swojego, ani ich życia. Pruł, ciężarówka się chybotwała, ludzie czasem krzyczeli. Zosia też. „Wariat, no jak można”, powtarzała. Krzyś nie mówił nic, bo zasnął, mimo tych warunków, a mama... Dziwne, że Ela wcześniej tego nie zauważyła, dopiero tu. Mama się postarzała. Na pewno nie w jeden dzień, to przecież proces, czyli trwa, ale na Wschodzie jakoś to umykało. Tam to się po prostu działo, dzień za dniem, poza tym sowieckie tło było brzydkie – i miejsca, i ludzie. Wszystko jakoś do siebie pasowało. Tu było inaczej – morze, piasek, rośliny, słońce. I ci, którzy im tu pomagali – z uśmiechami, w czystych ubraniach. Więc mimo powtarzalności trybu, tej ogromnej hali dla samolotów, gdzie początkowo spali na betonie, a teraz baraków, gdzie też były łóżka z desek, wąziutkie przejścia i żadnej intymności, atmosfera panowała już inna. Ludzie jakby tu rośli, jaśnieli, wyciągali się. Choć nie wszyscy. Byli tacy, co chorowali – bo słabi, bo starzy, bo się zarażali. Tutaj również

ludzie umierali, ale generalnie był zupełnie inny nastrój. A mama jakby obok. Zosia twierdziła, że mama jest po prostu zmęczona, wyczerpana. „Potrzebuje czasu. Trzy lata takiej udręki, wiecznej walki o nas, czyli o swoje dzieci. I to w pojedynkę”. Ela czuła, że to o to chodzi. Matka bardzo ich kochała, ale kochała też ojca. A z różnych wieści, które Ela łapała jednym uchem, bo mama wciąż uznawała, że Ela nie jest dość dorosła, by ją wtajemniczać w różne sprawy, płynął przekaz, że los taty i tych wszystkich oficerów nadal nie jest wyjaśniony. „Nie jest wyjaśniony” – ale na twarzy mamy nie było tego napięcia i nadziei, które są, jeśli człowiek ma do czynienia z niewiadomą. Był za to słaby uśmiech – ale tylko ust, oczy zostawały smutne.

– Pani kogoś szuka? – Usłyszała.

Za nią stała dziarska kobieta w sukience z jasnego płótna, takiego wojskowego. Bez żadnego oznaczenia, jak opaska na ramieniu, ale ewidentnie porządkowa.

– Nie. Ja po prostu... Tak spaceruję.

– Ruch jest ważny. I jakie to szczęście, że wreszcie jest sposobność, by po prostu spacerować. – Pokiwała głową i odeszła.

Tak, to było szczęście, takie proste. Ela doceniała te zwyczajne okruchy życia. No, może gdyby jeszcze było z kim... Widywała dziewczyny, które chodziły z chłopcami pod ramię. I takie, które pisały listy albo na listy czekały. Albo takie, które czekały, aż ich chłopcy dostaną przepustkę i ich odwiedzą, jak na przykład Zosia. Ela trochę jej zazdrościła Janka. Wcześniej to nie, bo wtedy była za młoda, takie tematy jej zupełnie nie interesowały; tyle tylko, że był jakiś dreszcz emocji, kiedy podsłuchiwała rozmowy rodziców. „Nie dla niej...”, „Ale my...”, „Inne czasy...”, „(.\*)Charakter nie zależy...”. Teraz lepiej rozumiała sens tamtych słów. Wtedy też pojmowała, o co chodzi, bo one się przecież rzadko bawiły z dziećmi służby i wiedziały, że są porządki, których się nie miesza, ale to było po prostu naturalne, jak oddychanie, nie zastanawiała się, co za tym stoi. Teraz wiedziała, tyle że czasy bardzo się zmieniły. Ówczesne wątpliwości ojca dziś wydawały się zupełnie anachroniczne. Na zsyłce nie liczyło się to, kto ma jakie nazwisko, jacy przodkowie mu dali życie, gdzie wcześniej mieszkał. Sowiecki system wszystkich

zrównał. I bywało tak, że ci, którzy już wcześniej musieli się brać z życiem za bary, lepiej sobie radzili od tych, którzy mieli czyste paznokcie i niezgrubiałą skórę. A tu?...

Rozejrzała się. Tak, to było podobne. Transport, hala, baraki. Oczywiście, że w innej atmosferze i z poczuciem, że wszyscy chcą im tu pomóc, ale warunki nadal trudne. I nadal to ludzkie przemieszanie – nauczycielka obok praczki, dziecko z dworku obok tego, co się urodziło pod strzechą. Czy tak już będzie, kiedy wrócą do Polski?

I jeszcze jedno pytanie, które wciąż do niej przychodziło – czy uda się jej odnaleźć tego chłopca? Nie mogła o nim zapomnieć. Kiedy go zobaczyła, poczuła coś takiego, czego nigdy wcześniej w życiu nie czuła. To było i dziwne, i bardzo miłe. Wysoki, taki duży, nie w sensie, że gruby, tylko po prostu silny. Ta siła jej zaimponowała; przy takim chłopcu można się czuć bezpiecznie – gdyby ją objął, ochroniłby ją przed całym światem. I coś takiego miał też w twarzy – to było spojrzenie kogoś, kto nie przegrywa. Ela czuła, że on te cechy w sobie wykształcił, że nie stała za nimi historia rodzinna. Nie dostał tego w spadku, on sobie to sam wykuwał. I to także jej bardzo zaimponowało. I jeszcze był żołnierzem, jak Janek, bo tamten, który po niego przyszedł, tak go nazwał. Ciekawe, gdzie jest teraz? Czy udało mu się zaciągnąć? Bo podobno wstrzymano pobór. I czy on również ją zapamięta tak, jak ona jego? Czy będzie jej szukał?

– Ela!

Obróciła się. Za nią stała Zosia.

– Gdzie się podziewasz? Poszłaś i jak kamień w wodę. Szukam cię i szukam.

Zosia była zaróżowiona – trochę od gorąca, a trochę pewnie od ruchu. Chyba naprawdę długo jej wypatrywała.

– Przeszłam się. Spacer w ramach gimnastyki. No i coś trzeba robić.

– Właśnie. Msza jest, chodź, bo się spóźnimy.

To też była odmiana. Wreszcie, po kilku latach, można było pójść na nabożeństwo. Ksiądz odprawiał je pod gołym niebem, zamiast posadzki pod

kolanami miało się piasek. Ludzie byli złaknieni takiej formy modlitwy, komunii z Bogiem. Zosia mocno przeżyła pierwszą mszę, mama miała łzy w oczach, zresztą nie ona jedna. Eli te emocje się nie udzieliły. Może to była sprawa miejsca, w którym nie było nic z tej atmosfery, jaką pamiętała z dawnych lat – zapachu wypastowanej podłogi, kadzidła, chłodu bijącego od kamiennych murów, lekkiego mroku. Wtedy to było misterium, które ją poruszało. Podczas ich sowieckiego zesłania modliła się, przyłączając do mamy i siostry, bo przecież innej możliwości nie było. Złożone dłonie i słowa prośb były jedyną nadzieją i działały bez względu na dekoracje dokoła. Ale teraz...

Ela nie powiedziałaaby tego głośno, lecz coś się w niej zmieniło. Jakby gdzieś w środku puściła nitka, która wcześniej to wszystko oplatała, trzymała razem. Ela oczywiście chodziła na msze, klękała, pochylała głowę, spowiadała się, ale to już nie było to samo. Najpierw myślała, że to może żal do Boga, że ich wystawił na taką próbę. Tylu ludzi umarło, tyle nieszczęścia się wydarzyło – dlaczego On na to pozwolił? Tak było, ale to przeszło. Potem, że właśnie inna sceneria, że trzeba się przyzwyczaić. Ale to też nie było to. Ela czuła, że pojawiła się w niej jakaś pustka, której wiara już nie potrafi zapełnić. Ta myśl początkowo przepęniała ją przerażeniem, no bo jak to tak? Coś takiego przecież nie mogło się wydarzyć; nikt inny tak nie miał. Czas był jednak niezwykajny, działy się rzeczy wcześniej nie do pomyślenia, więc może nie było to aż tak dziwne? Tak czy owak, ta pustka ją gnioła. Trzeba było czegoś innego, ale co by to mogło być?

– A, i wiesz co? – Zosia na chwilę się zatrzymała. – Janek napisał.

Sięgnęła ręką do kieszeni spódnicy i wyciągnęła złożoną na pół kopertę. Uśmiechnęła się. Ela zrozumiała, że ten rumieniec to przede wszystkim z powodu tego listu.

– Dostanie przepustkę i przyjedzie tu. Cudowna wiadomość, prawda?

Ela kiwnęła głową.

– Och, czuję, że wszystko się jeszcze ułoży! – Zosia objęła ją ramieniem.

A potem, kiedy Ela klęczała obok siostry i spoglądała na jej półprzymknięte oczy, rytmicznie poruszające się usta wypowiadające słowa modlitwy, wciąż czuła tę pustkę.

Trochę mniejszą, gdy myślała o Marianie.

\* \* \*

### *Żołymbet, wiosna 1943 roku*

– „Pojechałem zrobić to, co powinien każdy Polak – walczyć”. – Krystyna Czernikowa ścisnęła w rękę kartkę, którą Marian zostawił jej na wiosnę zeszłego roku. Teraz zamierzał zrobić to samo – znowu ją zostawić.

Ileż ona wtedy łez wylała! Bo raz, że się nie pożegnał, że nie było tego ostatniego momentu, kiedy on by klęknął, pocałował ją w rękę, a ona by mu zrobiła znak krzyża na czole i go pobłogosławiła – za siebie i za ojca, który...

Znowu zaniosała się płaczem. Nigdy nie było jej łatwo być matką. Ucieszyła się, że urodziła syna, to było oczywiste, bo Zenek chciał mieć swojego następcę. Zresztą dobrze, kiedy pierworodne dziecko to właśnie syn, bo później to już mogą się rodzić dowolnie, nie ma napięcia, co tym razem się pojawi na świecie. Tyle że potem to już się nie udało, Pan Bóg nie dał – na świat ją wydała, ale od razu szybki chrzest, żeby z tego jeszcze ciepłego ciała dusza całkiem nie uleciała i mogła zaznać błogosławieństwa święconej wody. A później to już mała trumienka w jasnym piachu schowana i krzyż drewniany, który Krystyna miała wymienić, bo tamten już zdążył zbutwieć u podstawy i się przechylił, tyle że przyszli ci bandyci ze Wschodu i wszystko im zabrali. Dom, ziemię, zwierzęta i nawet ten krzyż.

Już sama nie wiedziała, za czym teraz płacze – za, bywało, ciężkim, ale spokojnym życiem w Różance, za Zenkiem, którego może i sztorcowała, on zresztą też czasem podnosił głos, ale ręki nigdy nie, czy może za przyszłością, która nie będzie dobra, bo jak ma być, kiedy ona, Krystyna, będzie samotna, bo jej jedyny syn znowu zostawia ją, wdowę.

– Już raz to przerabiałeś! – Rozprostowała tę kartkę, podsunęła mu przez stół pod nos i kilka razy uderzyła w nią dłonią. – Nawet słowem wcześniej nie dałeś znać, tylko zniknąłeś. Ty wiesz, jak ja się wtedy czułam? Jakbym ciebie straciła. I jeszcze nie pomyślałeś, co tu ze mną może być za tę twoją nieobecność!

– Nic nie było. – Marian wzruszył ramionami. – Ani tobie, ani mnie. A na przykład Waldek, który nie chciał jechać, to jak skończył?

Matka pokręciła głową. Z tym Waldkiem to było tak, że kiedy Marian zniknął, a Waldek został, to pierwsze, co pomyślała, że on zrobił dobrze. Obaj dostali przecież nakazy pracy w stepie, gdzie robili nowe szyby. Krystyna się roztrzęsła, kiedy się dowiedziała o tym przydziale do burrazwietki. W kopalni Marian już miał doświadczenie, było ciężko, bardzo ciężko, ale śmierć tam słabiej nad człowiekiem wisiała niż tu, w tym głębokim i wąskim szybie – w dół, jak do piekła, a wydostać się ciężko, bo szerokość na niecały metr. Nikt tam nie chciał iść i nic dziwnego – kamienie się sypały, nie było czym oddychać. Waldek się wtedy zbuntował, że ma wolnościową bumagę, że teraz to oni obywatele, którym nie można nakazywać. Krystyna trochę była za tą prawdą, bo tak się sprawy miały, ale zarazem pamiętała, jak ona za swoją „prawdę” poszła do aresztu. A potem jeszcze przez długie tygodnie kiszki się jej skręcały z głodu, bo dwie części pensji jej zabrali. Później już nie była taka wrywna, żeby walczyć o prawdę. Po cichu, coś do Mariana, więcej w modlitwie albo do Zenka, tak w myślach, ale głośno – nic nie mówiła. Kiedy więc Marian wyjechał, strach ją obleciał, ale nie stało się nic. Wzięli go w papierach w nawias, a potem, kiedy wrócił, ten nawias wygumkowali i do kolejnej roboty skierowali. I nie było żadnej sprawy w sądzie za proguł, czyli opuszczenie stanowiska pracy. I nawet go później z wozakowania do kopalni puścili, ale już nie tej w stepie, a takiej zwyczajnej, gdzie rudę się do wagoników ładowało, a potem ją wstawiało pod przeróbcze urządzenia. A Waldek, buńczuczny na początku, i tak do tego szybu trafił. Kazach z Szortandów, co tam wyroki dawał, w końcu się zjawił i tak zadecydował. Może to i było jakoś ugadane, może to było „zakroj mordy i siadzi patiszej”, czyli łagodniejsza decyzja w zamian za brak głośnego wystąpienia przeciw nieomyślności Związku Radzieckiego, ale ostatecznie

stało się tak, że Waldek miał pomagać chłopakowi, który siedział na dole tego szybu. Kiedy tamten zasłabł, Waldek chciał go ratować. Mógł sobie pomstować na system, ale chrześcijanin musi myśleć o bliźnim jak o sobie samym, nawet jeśli to nie on odpowiada za jego marny los. No i akurat wtedy, kiedy Waldek tamtego wyciągał, kawał bloku się oderwał od skały i w Waldka trafił. Zanim ich obu wyciągnęli – tamtego już nieżywego, Waldka nieprzytomnego – to minęło sporo czasu. Na dole mało tlenu, mózg źle pracuje. Nie wiadomo, czy od tego niedotlenienia, czy dlatego, że Waldek z jedną nogą został, ale siedzi teraz na wyrku i sprawia wrażenie, że niewiele ze świata do niego dochodzi. Nawet kiedy kuśtyka, to też tak jakby wbrew życiu.

Marian musiał trafnie odczytywać to, co się przez myśli matki przewijało.

– No. Trzeba wiedzieć, kiedy i co robić. – Nalał sobie odrobinę spirytusu.

Teraz było go w sklepach całkiem sporo. Jedzenia nie, bo wiadomo, wojna, braki na półkach jak po przemarszu wojsk, ale spirytus – dostępny. Też wiadomo – nie dość, że stara bieda, to jeszcze ta nowa, wojenna właśnie. Trzeba to jakoś wytrzymać. Sowiecki człowiek silny, wiele zniesie, ale czasowe znieczulenie i zapomnienie w tym wspomagają. Nagle Marianowi przypomniał się Krepkij, nie wiedzieć czemu w tym momencie. Nogę uszkodził, nieprzydatny był już do niczego; koń nie Waldek, bez pracy racji bytu nie miał. Poszedł pod nóż, a Marian, w drodze wyjątku i odstępstwa, jako solidny wozak, dostał kawał mięsa. Matce dał, żeby w kuchni przerobiła. Zjadł, rozsądek by nie pozwolił takiego posiłku od siebie odsunąć, ale też musiał spirytusem popić. Nie mógł sam za tym dojść – żeby zwierzęcia było mu bardziej żal niż człowieka? To było lepiej, bo pozostał czuły na krzywdę tych, co niżej, czy gorzej – bo obojętniał na los równych sobie?

\* \* \*

*Teheran, lato 1943 roku*

– Eleventh Polish Corps Signals. – Jego akcent był mocny, ładny, angielsko brzmiący.

Zosia patrzyła na Jana Białego ze wzruszeniem i dumą. Nie dość, że przetrwał zsyłkę, zaciągnął się do wojska i będzie walczył o wolność Polski, to jeszcze tak przystojnie i dobrze wyglądał – zmężniał, jakby nawet trochę urósł. Rysy jego twarzy się wyostrzyły; to już był młody mężczyzna, nie chłopiec, choć młodzieńczy urok mu pozostał. Opalony, uśmiechnięty, w brytyjskim mundurze z polskimi insygniami na rękawie. Podchorąży z plutonu telegraficznego specjalnego „B”. Żołnierz Jedenastego Batalionu Łączności Korpusu, którym od niecałych dwóch tygodni dowodził generał Władysław Anders.

Pasmo sukcesów w tak trudny czas.

„Duma”. I aż się jej ciepło po sercu rozlało.

Czarny beret zdjął; włosy miał teraz inaczej obcięte, też tak bardziej po męsku. Tylko to brązowe spojrzenie się nie zmieniło; choć nie, i tu było trochę inaczej. Jan patrzył teraz na Zosię tak wprost zakochanie, otwarcie, bez uciekania wzrokiem, odwracania głowy, maskowania uczuć. Wyraźniejsze były również sygnały, że chętnie by z nią zniknął gdzieś w ustronnym miejscu, żeby ją całować i pewnie nie tylko.

Co do tego „nie tylko” Zosia miała już całkiem pokaźną wiedzę – teoretyczną, ale i obrazową. U Sowietów napatrzyła się na „odhumanizowane relacje ludzkie”, jak matka nazywała te wszystkie damsko-męskie spotkania, które odbywały się na „półwidoku”, bo o prawdziwej intymności nie mogło być tam przecież mowy. Wyjątkiem była siedziba oficera NKWD, do którego matka regularnie chodziła, żeby uzyskać jakieś informacje o ojcu albo doprosić się o zgodę na ich przenosiny. Jedno i drugie szło opornie. Zosia dopiero po jakimś czasie się zorientowała, jaka jest najmocniejsza kobieca waluta w takich sytuacjach. Nie chodziło przecież o to, żeby ten oficer mógł sobie popatrzeć na wyszykowaną specjalnie na to spotkanie kobietę. Chodziło o użycie tej kobiety – jej ciała. „Użycie” – takim określeniem posłużyła się kiedyś Wanda Walicka; z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Zosia odczuwała to podobnie – to było takie upadlające! Mama nie uległa tym oczekiwaniom, to było pewne. Takie zachowanie zupełnie nie leżało w jej



delikatnej naturze. Potwierdzeniem niezłomności zasad były także nikłe efekty tych wizyt.

Tak czy owak, „nie tylko” w ordynarnych sowieckich warunkach budziło dreszcz obrzydzenia, ale tu, w słońcu, na wolności było już inaczej. W teherańskim baraku też nie było mowy o intymności, co przecież nie znaczyło, że ludzie zrezygnowali z tego rodzaju bliskości. Czasem w nocy Zosia słyszała westchnienia, zdyszany dwugłos, dolatujący gdzieś z zewnątrz. Potem głośniejszy finał i cisza albo śmiech czy szepty. To rozbudzało wyobraźnię i wprowadzało do jej marzeń nowe obrazy. Podobnie wpływały na nią poranne obrazki z baraku. Na początku nie rozumiała, na co patrzy – wybrzuszenia pod kocami, którymi byli przykryci śpiący mężczyźni. Kiedy pojęła, wyobrażenia nabrały jeszcze większych rumieńców.

Jak ona teraz.

– Ślicznie wyglądasz. – Jan ujął jej dłonie. – Już prawie zapomniałem, jaka jesteś piękna.

Znowu rumieniec. Upał i to ciepło w środku stanowiły zwodnicze połączenie. Ale to była prawda, i Zosia miała tego świadomość – łapała przecież długie męskie spojrzenia. Kiedy patrzyła na siebie w lustrze, widziała piękną młodą kobietę. Bardzo przypominała matkę – z przeszłości. Bo teraz... Ukłucie smutku. Anna Polakowska nie mogła dojść do siebie. Przez długie tygodnie męczył ją półpasiec; niby szło ku lepszemu, ale do pełnej rekonwalescencji było daleko.

– Co to za markotna mina? – Jan objął Zosię ramieniem.

– Och... – Westchnęła. – To takie trudne. Bo widzisz, z jednej strony ogromna radość z naszego spotkania, a z drugiej – mama...

Jan pokiwał głową. Znał Annę Polakowską ze zdjęć. I w tej kobiecie, którą teraz Zosia mu przedstawiła, nie rozpoznał tamtej dystygowanej piękności.

– Trudny czas. Wszystko, co przeszliśmy, a matka w szczególności, mocno nadszarpnęło jej zdrowie. Nie może do siebie dojść, bo ciągle coś ją dopada. A najgorsza jest chyba ta niepewność co do losów ojca...

Zosia zawiesiła głos. Czuła się rozdarta; z jednej strony to był cudowny czas, jej i Janka, po tylu latach rozłąki, ale z drugiej – te dwa rodzicielskie bóle, które kładły się cieniem na cudownie wyrwanych życiu chwilach szczęścia. Euforia powoli zaczęła z niej ulatywać. Przed momentem jeszcze miała wrażenie, że nie idzie, tylko unosi się nad ziemią. Teraz mocno poczuła ziemię pod stopami.

Jan docisnął ją do siebie. Nie zdążyli jeszcze o wszystkim porozmawiać, to były pierwsze godziny ich spotkania. Nie wiedział więc, jakie informacje o Franciszku Polakowskim mają jego żona i córki. Było jasne, że długo nieznana historia zaginięcia tylu polskich oficerów może mieć dramatyczne wyjaśnienie, ale póki życia, póty nadziei. Co do tego życia... Słyszał informację o moskiewskim komunikacie zaprzeczającym faszystowsko-niemieckiemu kłamstwu. Fakt, że Sowieci negowali, był jak przyznanie się do winy, to raz. Dwa, że sprawa dotyczyła masowych grobów odkrytych niedaleko Smoleńska. Podobno były tam ciała żołnierzy więzionych w Kozielsku. Zosia pisała, że listy od ojca przychodzą ze Starobielska, istniała zatem nadzieja, że nie dotyczyło to Franciszka Polakowskiego. No i czy można było tak do końca wierzyć Niemcom? Tym, którzy rozpętali tę wojnę i w zakładanych przez siebie obozach mordowali ludzi?

Wahał się, czy powiedzieć o tym Zosi, kiedy tu jechał. Jeśliby coś już słyszała, wtedy tak, jako dopowiedzenie. Ale nie miała tej wiedzy. A on przecież nie miał stuprocentowej pewności, że jej ojciec nie żyje. Zatrąby ją tą informacją, a potem zostawił w smutku i wyjechał. Chciał, żeby choć teraz, przez ten krótki czas z nim, była szczęśliwa. Wyobrażał sobie to ich spotkanie, tę radość, bliskość. Jak ją całuje i przytula, jak razem spacerują pod rękę, bok przy boku, jak czuje jej ciepło, zapach...

– Jest wojna. Wszystko mogło się stać. Wszystko złe, ale i dobre. Jak nasze spotkanie.

To nie było kłamstwo. Pewne przemilczenie, ale przecież nie kłamstwo.

– Och! – Zosia przystanęła. – Takiej pewności mi trzeba. Takiego wsparcia. Jak dobrze, że jesteś! – Wtulila twarz w jego szyję. – Bardzo cię kocham – wyszeptała, nie odklejając się od niego.

Dobrze zrobił. Podarował jej czas spokoju, odwłókł to, co prawdopodobne, ale przecież nie pewne. Miłość nie zawsze musi być bezwzględną szczerością.

– Też cię kocham.

Delikatnie się od niej odsunął, a potem ujął jej twarz w dłonie. Boże, ale ona była piękna! Nachylił się i pocałował ją w usta. Miała ciepłe i miękkie wargi. Docisnął ją do siebie. Czuł dychochotomię kobiecego ciała – miękkość i sprężystość jednocześnie. Domyślał się, że w przypadku większej bliskości te dwa niby sprzeczne doznania się spotęgują.

– Chodźmy – szepnął jej do ucha.

Tylko to jedno słowo. Zosia najpierw popatrzyła w brąz jego oczu, a potem przeniosła wzrok tam, gdzie on spojrział – na oddalony od osiedla baraków namiot rozbity między krzewami. Za nim była już tylko zieleń niewysokiej roślinności, nad którą w rozmytej dali wyrastały góry.

Gdyby nie patrzeć w tył, można by pomyśleć, że to jedyne naznaczone ludzką obecnością miejsce. A gdyby jeszcze lekko zmrużyć oczy, obraz wyglądałby jak płowa tratwa unosząca się wśród zielonkawych wód i płynąca w stronę stałego lądu.

Zosia lekko przymknęła powieki i, nie oglądając się za siebie, złapała Jana za rękę.

\* \* \*

– Nie wiesz, gdzie Zosia? – Anna Polakowska spojrzała na młodszą córkę.

Ela pokręciła głową. Od wczesnego przedpołudnia nie widziała siostry. Rankiem spotkali się wszyscy – mama, ona, Krzyś, Zosia, no i Jan. Bardzo był przystojny, Ela nie spodziewała się, że aż tak. To znaczy przypuszczała, że musi być ładny, bo przecież Zosia była piękną dziewczyną i nie zakochałaby się w kimś, kto do niej nie pasuje, ale i tak się zdziwiła. Widziała jego zdjęcie, kiedyś je podejrziała, jeszcze w Niemowiczach, kiedy Zosia nie dzieliła się z nią żadnymi poważnymi sprawami, bo była „maleńtasem”. I już wtedy Jan Biały wyglądał tak,

że dziewczęce serce mogło szybciej zabić, ale teraz... Nie dość, że ładnie, to jeszcze tak zagranicznie – bo ten mundur i język angielski. Poczowała lekkie ukłucie zazdrości, którego prawie od razu się zawstydziła. Bardzo kochała siostrę, chciała dla niej jak najlepiej. Nic jednak nie mogła poradzić na to, że dopadły ją dwie myśli: „Nie mam pewności, czy Marian się kiedyś odezwie” i „Nigdy nie będę tak ładna jak Zosia”.

– Nie wiem. Oprowadzała Jana po obozie, tyle widziałam. A potem mieli jeszcze pójść na spacer, żeby w spokoju porozmawiać.

Tej dorosłości też trochę jej zazdrościła.

– Zresztą zajmowałam się Krzysiem – dodała szybko, żeby przypadkiem mama nie zauważyła, że takie myśli zaległy się w jej głowie.

Chyba nie zauważyła, ale Ela, dla pewności, całkiem już zwyczajnym, trochę zaniepokojonym tonem dodała:

– To było dawno, a przecież zaraz obiad.

– Zosia! Zosia idzie! – Obie usłyszały okrzyk radości Krzysia.

Rzeczywiście, daleko, już na granicy obozu, można było dostrzec dwie, jakby sklezione ze sobą sylwetki. Kiedy zbliżyły się bardziej, Ela pomyślała, że miłość bardzo Zosi służy – taka była zaróżowiona, świetlista.

Anna Polakowska zaś dotknęła lewą dłonią palca serdecznego prawej ręki. Delikatnie spróbowała przekręcić obrączkę, ale spuchnięte ciało stawiało opór. Pomyślała, że po obiedzie będzie musiała pójść do pralni. I tak miała zrobić przepierkę, więc to będzie dobra okazja.

\* \* \*

– Obiecuję dwie rzeczy. – Jan przyłożył dłoń do kłapy munduru, na wysokości piersi. – Że nie dam się zabić i że wrócę.

Zosia miała łzy w oczach. Cóż za paradoks – kiedy Jan był gdzieś daleko, tęskniła za nim, ale trochę jak za wyobrażeniem czy osobą z kart powieści. Wspomnienia blakły, Zosia posiłkowała się wyobraźnią. Teraz zaś sprawy miały się

całkiem inaczej. Dwa ostatnie dni były pełne obecności Jana – namacalnie prawdziwej.

– Oraz że... – zbliżył się do Zosi, która stała z przodu, za plecami mając mamę, siostrę i brata – ...od razu poprowadzę cię wtedy do ołtarza.

Zosia już nie potrafiła powstrzymać łez. Rzuciła się Jankowi na szyję.

– Do ołtarza to może tata poprowadzi. – Ela czuła dziwne ściskanie w dołku. Co tam się w niej mieszało? Wzruszenie, radość, trochę zazdrości?...

– No oczywiście, że pan Franciszek! – Jan zareagował żywo. – Miałem na myśli to, że bez żadnej zwłoki porwę Zosię, by jej uroczyście ślubować miłość. Teraz też to robię, wśród najbliższych, no ale przed specjalną instancją to już będzie najzupełniej jak należy. – Spojrzał w niebo.

Ela podążyła za jego wzrokiem. Ależ tu był błękit! Taki niebiesko-niebiański. Piękny, a jednak tęskniła za polskim – choćby i przykrytym chmurami.

Jan widać czuł podobnie, bo powiedział:

– Teraz jadę, ale wrócę już jako obywatel wolnego kraju. Będę pisał. A na kopercie zrobię adnotację „narzeczona”, wtedy może listy szybciej dojdą.

Przytulił Zosię, pocałował ją w usta, ukłonił się Annie i Eli, poczochnął Krzysia po włosach, które odrosły jeszcze jaśniejsze i mocniejsze, niż były przed przymusowym zgoleniem, a potem poszedł w stronę czekającej na niego ciężarówki. Mężczyźni w mundurach machali, dając mu znak, że już czas.

Zosia stała nieruchomo, póki nie wsiadł do pojazdu. Obejmowała się dłońmi, jakby wciąż go przytulała.

Kiedy opadł kremowy obłok kurzu, wzniecony przez szybko obracające się koła, odwróciła się w ich stronę.

Ela miała ściśnięty żołądek. To było bardzo wzruszające. Rzuciła się w stronę siostry, żeby ją przytulić. Złapała ją za rękę i poczuła coś twardego na jej palcu. Lewa dłoń, to musi być... Więc naprawdę się jej oświadczył, i to tak z pierścionkiem!

– Och! – krzyknęła i podniosła dłoń Zosi.

I oniemiała. Doskonale знаła ten niebiesko-zielony blask – szmaragdy otaczające szafir.

– Ale przecież to... – Urwała. Obróciła się w stronę matki. Na jej palcu serdecznym odznaczał się już tylko złoty pasek obrączki.

– Tak. – Zosia się uśmiechnęła, ale była trochę speszona. Nie sądziła, że Elę tak poruszy ta zmiana. Ona sama była zdumiona, ale jednak bardziej wzruszona, bo przecież nałożyło się tu wiele spraw: akceptacja mamy dla ich narzeczeństwa, więcej nawet, bo to była jej inicjatywa, by Janek wsunął na palec jej córki pierścionek, który tak wiele dla niej znaczył. Przez chwilę czuła się niezręcznie, ale tuż potem przykryła to fala ogromnej radości i wzruszenia. Mama ją tak kocha, akceptuje Janka i im błogosławi, pierścionek zostanie w rodzinie. To był dobry znak; początki małżeństwa ojca i mamy też były trudne; wiele musieli przejść, by sfinalizować tę miłość.

– Dla ciebie mam złotą bransoletę. – Anna Polakowska popatrzyła na młodszą córkę. – Też prezent od taty. Obie będziecie miały posag w pamiątkowym, rodzinnym kruszcu. – Uśmiechnęła się, ale znowu tym swoim na pół tylko obecnym uśmiechem.

– Po równo – dodała Zosia, ale i tu Eli zabrakło pełnej szczerości.

Anna patrzyła na Zosię i pomyślała: wygląda jak ja, kiedy czekałam na białą sukienkę. Niech jej małżeństwo nie zazna potem takiej rozłąki.

Zosia patrzyła na matkę. Będę szczęśliwa, jak rodzice; i oni też jeszcze będą, stwierdziła.

Ela schyliła się, żeby poprawić zapięcie sandała. Ten pierścionek to miała być zapłata za jedzenie ratujące Zosine życie. Udało się go ocalić, bo Marian zachował się bardzo szlachetnie. Gdyby więc chcieć oddać sprawiedliwość, to te kamienie powinny kiedyś zabłysnąć na palcu Eli. A teraz powinny wciąż być matki, bo tak to można by pomyśleć, że... I bransoletka jest ładna, ale to zupełnie inna symbolika. Poczwała, że jej oczy wilgotnieją i coś ją gniecie za mostkiem. Co się z nią działo?

Zresztą bransoletka też może znaczyć połączenie, nawet silniejsze, bo przecież mocniejsze.

Odchrząknęła, szybko otarła powieki wierzchem dłoni.

– To teraz tylko czekać końca wojny. I powrotu... waszych mężczyzn.

Marian przecież wciąż był jej tajemnicą.

## Rozdział 2

*Żołymbet, lato 1943 roku*

Marian zawsze wiedział, co i jak. Nie w sensie konkretnej wiedzy, na przykład takiej ze szkoły – tu bywało różnie, to potrafił przyznać, choć z zastrzeżeniem, że sam lepiej rozeznawał, co może mu być w życiu naprawdę potrzebne, a co stanowi zbyteczny dla głowy balast. Podobnie było z umiejętnościami praktycznymi, co z kolei spotykało się z niezrozumieniem u ojca.

Było, minęło. Patrząc wstecz, utwierdzał się w przekonaniu, że miał rację. Potem przeszło kilka lat, wydorósł, nabył doświadczenia – tutaj liczonego razy kilka, bo taka to była szkoła życia, i okrzepł w swoim przekonaniu, że najlepiej słuchać siebie.

Teraz czuł się zagubiony.

Od wiosny szykował się do wojska, właściwie to od razu od tamtego powrotu, kiedy nie było dla niego miejsca w naborze. Tyle że nowego naboru nie ogłaszano, a później sprawa się pokomplikowała, bo Polska i Związek Radziecki już nie byli bratnimi narodami. Wszystko przez wiadomości z Katynia. Marian na samym początku pomyślał, że to rzeczywiście obciąża Sowietów. Zabrali polskich oficerów do niewoli i słuch po tych mężczyznach zaginął. Kilkanaście tysięcy ludzi – no jak to możliwe? Gdyby uciekli, to gdzieś by wypłynęli. Czy Stalin karmiłby tak długo i utrzymywał taką masę ludzi po nic? Też niemożliwe. Zresztą była amnestia, a potem wspólny front do walki z Niemcami. Ci oficerowie bardzo by się tu nadali, mieli doświadczenie i w ogóle. Tyle że wciąż ich nie było. Powód mógł być tylko jeden – nie żyją. Pierwsza myśl Mariana: Sowietci wytłukli. Napatrzył się tu i nasłuchał wystarczająco, by do takiego wniosku dojść. Tyle że później pojawiły się inne tropy. Na wiosnę czterdziestego trzeciego zjechała na osiedle



grupka nowych. Przeniesieni podobno z głębi kraju, nawet nazwę podali, ale z geografii Marian nie był najlepszy; jeśli go coś w tym temacie interesowało, to tereny na zachód od Różanki, a nie na wschód. Tak czy owak, zakwaterowali się tutaj i poszli pracować do kopalni. I to właśnie od nich Marian czerpał nową wiedzę; zresztą najpierw to nie była taka wiedza wprost, tylko wątpliwości – Niemcy znaleźli ciała, ale czy Niemcom można ufać? Podobno prawie dwa lata tam byli, a dopiero przypadkiem, po takim czasie, odkryli tę zbrodnię. „Znalazł się, jak w bajce, staruszek, który nie chciał zabierać ze sobą tajemnicy do grobu i pobiegł się zwierzyć przedstawicielom niemieckich władz, że to właśnie tutaj, w katyńskim lesie, komisarze bolszewicy tysiące polskich oficerów wymordowali”, powiedział Wiesław, jeden z tych nowo przybyłych. Czy to brzmiało podejrzanie? Brzmiało, nie tylko dlatego, że każdy, kto na zsyłce siedział, musiał mieć na drugie „Podejrzliwy”. I bez tutejszego treningu Marian zachowałby czujność, w końcu Niemcy już pokazali swoją naturę. Trudno było rozsądzić, czyja gorsza.

To był początek Marianowego rozchwiania, stanu, którego wcześniej w takim natężeniu nigdy nie doznawał. Bo idąc dalej, na wojenno-politycznym polsko-radzieckim horyzoncie pojawiły się osoby, których Marian w obecnej sytuacji zupełnie by się nie spodziewał. Najpierw – Wasilewska. Przewodnicząca Związku Patriotów Polskich. Z jednej strony nazwa podnosząca na duchu, tyle że ten związek powstał w Moskwie. Z drugiej – Wasilewska to osoba wykształcona, pisarka, po studiach polonistycznych. Widać w tym umiłowanie kraju. Więcej, tego też się niedawno dowiedział, była to córka przedwojennego ministra, który się przyjaźnił z Piłsudskim. Można zaufać takiej osobie? Jak najbardziej, choć z trzeciej strony, gdyby taka mogła być, jeśli Stalin to wszystko akceptował, to jakiś powód musiał mieć. Marian widział zdjęcie tej Wasilewskiej i, szczerze mówiąc, wydała mu się toporna, taka męska. Zupełnie inna niż Ela. Ścisnęły go wspomnienia o tamtej dziewczynie. Zdarzyła się miejscowa przygoda, ale nic oprócz odprężenia Marian z tych szybkich razów nie miał. Lepsze to było od wódki czy spirytusu, bo bez kaca, ale to tyle. Marian czuł, że dużo więcej mógłby mieć

z bycia z kobietą. Przy okazji jeszcze usłyszał o tej Wasilewskiej, że jest „łasa na mężczyzn”. I to też mu nie podpasowało, bo nie taki był naturalny porządek w tej materii, choć może to tłumaczyło jej polityczny sukces.

Kolejne niepewności – powstawała polska dywizja do walki z niemieckim okupantem. To już nie miało być takie działanie na hura, zaciąg ochotniczy, tylko zorganizowany pobór do wojska. Organizacja w sowieckim stylu, ale dowódca miał być całkiem niesowiecki – pułkownik Berling, były legionista, który wcześniej podobno siedział w obozie, ale do Iranu by mógł wyjechać, tyle że zrezygnował. I jak to miało się skleić – człowiek represjonowany przez tutejsze władze teraz chciał współpracować ze swoimi oprawcami?

Wiesław pokazał Marianowi spisane i wydrukowane cele Związku Patriotów Polskich. „Potrzeba walki o demokratyczną i niepodległą Ojczyznę, w której ma panować sprawiedliwość społeczna”. Marian nic nie mógł temu zarzucić; może właśnie dlatego gdzieś w nim tliła się iskra nieufności? Każdy, kto widzi sprawy bez wad, jest przesunięty w rzeczywistości, tego Marian był pewien.

Mimo mętliku w głowie Marian wraz z innymi mężczyznami ustawił się przy budynku restauracji i czekał na ciężarówki, które miały ich zostawić w Szortanadach, skąd dalej, już koleją, zaplanowano ich podróż do rejonowej komendy uzupełnień w Aleksiejewce.

– Wszystko masz? – Krystyna Czernik otarła chusteczką łzy.

Trudno było o coś zapomnieć, kiedy się miało tak mało: tobołek, a w nim kalesony, drugą parę skarpet, wysłużoną szczoteczkę do zębów, ćwiartkę mydła, kawałek solonej słoniny, pajdę chleba. Sięgnął ręką do kieszonki na piersi – trzy banknoty zwinięte w rulon i nowy dowód osobisty, który dostał dwa miesiące temu. W poprzednim paszporcie był obywatelem radzieckim, teraz – właściwie nikim, bo o przynależności państwowej nie było tu wzmianki.

– Wszystko – odparł Marian.

– No, to niech Bóg cię prowadzi. – Czernikowa przycisnęła go mocno do siebie, aż się zdziwił, skąd w matce tyle siły. – I pamiętaj, co twój świętej pamięci

ojciec ci powtarzał. Pamiętasz?

– Zawsze wybieraj dobro.

Przez chwilę poczuł się tak, jakby był podrostkiem, który siedzi z ojcem w kuchni i wysłuchuje kolejnej reprimendy, a na koniec ojciec, już innym tonem, daje mu tę radę-polecenie.

Odchrząknął.

– Będę. – To już tylko on sam usłyszał.

Ciężarówka ruszyła.

\* \* \*

*Teheran, lato 1943 roku*

Trzęsa się tak, że nie potrafiła się uspokoić. Niekontrolowane dreszcze wstrząsały nią jak pacynką. Miała wrażenie, że każdy z jej mięśni to odrębny byt, który chce się z jej ciała wydostać – wyrwać się i je opuścić.

Ona też by już chciała opuścić to ciało; nie służyło jej, nie byli już swoimi sprzymierzeńcami. Kiedyś było całkiem na jej usługach – piękne, gibkie, zdrowe. Odplącała mu się troską – regularnymi posiłkami, spacerami, zabiegami kosmetycznymi. Stanowili zgrany duet. Teraz – nie. Ciało stało się balastem. Zużyte, zwiotczałe, ułomne. Musiała je nosić, wspomagać, oporządzać. Niecały miesiąc wcześniej dopadła ją dyzenteria. Okropna choroba, która zaczyna się bólem żołądka i gorączką. Najgorszy objaw to przymus ciągłego wypróżniania się. Zosia przygotowała dla niej odrębną „toaletę” – dół wykopany kawałek za barakami i latryną. „To wszystko przez te zarazki”, załamywała ręce. „Tu higieny nie sposób utrzymać, a kiedy ktoś ma organizm zmęczony chorobami, to pewnikiem coś złapie”. Żeby więcej matki nie narażać na kontakt z bakteriami, prowadziła ją, najpierw sama, a potem z Elą, do tej polowej „łazienki”.

Anna miała wszystkie objawy dyzenterii, zresztą ta choroba nie była tu wcale rzadkością; częstsza w porze deszczowej, ale przez cały rok zbierała śmiertelne żniwo. Anna nie negowała tego, że jej zużyty organizm nie poradził sobie

z agresywnymi bakteriami, ale wiedziała, że jest i inna przyczyna jej stanu. Każdy bolesny skurcz, który wyciskał z niej płyny fizjologiczne i krew, był jak odpowiedź na to, co działo się w jej głowie.

Podczas obiadu dowiedziała się tego, czego nigdy nie chciała usłyszeć – że niedaleko Smoleńska znaleziono grób z czterema tysiącami zamordowanych polskich jeńców wojennych. Podobno to byli ci, których więziono w Kozielsku. Od razu chwyciła się tej myśli: to nie może być Franciszek, on był gdzie indziej. Rozum trzymał się nadziei, ale ciało nie oszukał – tuż po posiłku zwymiotowała. I tak jadła-nie jadła przez kolejne dni. Jakby ona postanowiła, że mimo wszystko będzie się trzymała życia, a ciało podjęło w tej sprawie odrębną decyzję. Anna niby to wspierała się słowami z wiersza Konopnickiej „contra spem spero”, ale organizm wiedział, że to samooszukiwanie się, bo tak naprawdę w myślach już pochowała Franciszka. W Krasnowodzkcu i w każdym wcześniejszym miejscu, gdzie zbierali się andersowcy, pytała o męża. Na żadnej liście nie było Franciszka Polakowskiego. Żadnej informacji nie udzielił jej ten oficer NKWD, choć czuła, że coś przed nią ukrywa. Gdyby wiedział, że Franciszek żyje, zagrałby tą kartą, zażądał wymiany – jej ciało za konkret. I miałby w tym perwersyjną przyjemność – mąż wyczekuje, a on tak tu poczyną sobie z jego żoną. Wtedy to jeszcze były domysły, jeszcze nie wyczerpał się czas wiary. Teraz też niby bez ostatecznego dowodu, ale sprawa była przecież przesądzona. I choć Anna nie mówiła tego do siebie nawet szeptem, to przed własnym ciałem nie zdołała tego ukryć. To wtedy zaczęło się powolne umieranie. Ciało nacisnęło guzik „autodestrukcja”. To samo ciało, które stanowiło jedność z ciałem Franciszka, było domem dla trojga jej dzieci, a potem je żywiło, uznało, że nadszedł już kres działalności. W niczym już nie będzie przydatne. Już nigdy nie będzie dotykane i rozgrzewane. Zacznie stygnąć, obumierać. Przyspieszyło po prostu ten nieuchronny proces. Anna zginała się w chorobowym bólu, ale czuła, że tak naprawdę wyrzuca z siebie rozpacz po Franciszku. Nic nie powiedziała córkom; obie myślały, że to zwyczajna choroba, obie ją troskliwie pielęgnowały.

Patrzyła na nie i widziała dwie dorosłe już kobiety. Zosia zaręczona, z jej pierścionkiem na palcu. Annie na nic on się nie przyda, niech niesie jej dawne szczęście w świat. Jan kocha jej córkę, będą razem. Ela prawie że pełnoletnia, też da sobie radę. Jest w niej taki rys praktyczności, rozsądku; kiedyś Anna uważała, że to może skaza, brak rozwiniętego romantyzmu jak u jej starszej siostry i u samej Anny, ale życie to zrewidowało. Czym były tkliwość i czułość na sowieckiej ziemi? Balastem, osłabieniem. Pragmatyzm i siła – Anna zbudowała je w sobie, wbrew przyzwyczajeniom i warunkom. To jest wyposażenie na trudne czasy, a te jeszcze nadejdą. Nie będzie powrotu do dawnego świata, czuła to. Znikną nie tylko Niemowicze, lecz także cały wcześniejszy porządek. Jedyne, co jeszcze ją tu trzymało, to Krzyś. Jej mały synek, tak podobny do swojego ojca. Kiedy się wykaraskała z dyzenterii, sięgnęła do supełka, w którym trzymała modlitewnik. „Krzysiu! Wyruszyłem walczyć o Ojczyznę. Teraz Ty jesteś jedynym mężczyzną w tym domu. Dbaj – bacząc na własne możliwości – o Mamę, Zosię i Elżunię. Całuję, Twój Tata, Franciszek Polakowski”. Spojrzała na drugą stronę pocztówki – żołnierz na koniu, walczący z potężnym wężem. I cytat z Mickiewicza. Ignacy Zajkowski pozwolił sobie na żarcik, subtelny. To były okrągłe czterdzieste urodziny Franciszka, lato 1935 roku. „A życie jego – trud trudów (...), a imię jego czterdzieści i cztery”. Anna uśmiechnęła się wtedy, choć w tyle głowy miała myśl, że nie wiadomo, jaka będzie przyszłość, bo historia wciąż musztrowała Polaków. I w trzydziestym dziewiątym, chwilę po czterdziestych czwartych urodzinach Franciszka, Sowietci go zabrali. Samospelniająca się przepowiednia, pomyślała wtedy. A potem się dopełniło.

Krzyś będzie miał czułą opiekę sióstr. Zastąpią mu matkę, a ojca przecież nie pamięta. Anna by go zatrąła swoim smutkiem; każdego dnia widziałyby w nim Franciszka, to by było ponad jej siły.

To wtedy, podczas dyzenterii, postanowiła, że już nie chce żyć. Nie tak wprost, to przecież byłby grzech. Żadnego targnięcia się, żadnej głośno wypowiedzianej deklaracji. Ciało jednak odebrało sygnał. I rozpoczęło proces usuwania się z życia.

Po dyzenterii przysłała malaria. Weszła w osłabione tkanki i narządy i miotła teraz Anną.

Leżała pod kocem, zwinięta w kłębek. Dygotała. Chciałaby wreszcie zaznać odrobiny ukojenia. Skuliła się jeszcze mocniej. W takiej pozycji dzieci są w brzuchach swoich matek. Próbowała sobie wyobrazić, że ten dygot właśnie stąd pochodzi. Nie, nie dygot, tylko rytmiczne kołysanie. Nic złego, po prostu ruch. Ciemność i odcięcie od bodźców, bo jest po drugiej stronie świata. Tu jest bezpiecznie, tu jej nic nie grozi. Może zamknąć oczy, może przestać myśleć. Może już się nie martwić, może zaufać siłom silniejszym od niej. Pomogło. Dreszcze ustąpiły, poczuła, że się rozluźnia. Było jej teraz miękko, otulało ją ciepło. Miała wrażenie, że zaczyna powoli opadać w cichą ciemność. Czy tak wygląda poród? Nie, wtedy ciało mocno pracuje, jedno wypycha, drugie chce się wydostać. To, co teraz odczuwała, było przeciwieństwem tego stanu. Więc jeśli tamto to narodziny, to ona teraz...

Głębiej, głębiej, głębiej...

Ciemność czarniejsza od czerni, nigdy czegoś takiego nie widziała.

Cisza najcichsza z dotychczasowych.

\* \* \*

### *Piatichatki, lato 1943 roku*

Ktoś, kto nigdy tu nie był, mógłby tego nie zauważyć; w jednym miejscu lasu ziemia lekko się zapadła. Z zewnątrz nienaruszona, żyzna ściółka, tyle że teraz w lekkiej niecce. A to wszystko jednej nocy.

Przetarł oczy. Nie chciało być inaczej. Cuda jakieś, pomyślał. Zupełnie tak, jakby ktoś od spodu trochę ziemi wybrał, ale przecież wierzch nienaruszony. I kto by to miał być? Zwierzyna? Owady? W każdym razie coś żyjącego, a jakie może być życie pod ziemią?

Chyba że...

Zdjął czapkę i zaczął ją ścisnąć w dłoniach. Nawet jeśli, to przecież niczego nie zmieni tam, pod jego stopami. I jeszcze jemu by się co stało. Nie widzieć, nie wiedzieć, nie słyszeć, nie mówić, tego trzeba się trzymać.

Chwilę jeszcze postął, a potem nałożył czapkę na głowę i poszedł dalej.

Niby jeszcze lato, a już łapał jesienny chłód. Taka nieuchronność natury.

\* \* \*

*Teheran, lato 1943 roku*

Życie zaczyna się w kameralnym gronie – matka, akuszerka, czasem lekarz. Potem następuje wprowadzenie do wspólnoty: chrzest i pierwsze gromadne spotkanie tych, dla których ten nowy człowiek jest ważny. Koniec też jest uroczysty – rodzina, bliscy, znajomi. Ostatnia okazja, by się spotkać i pożegnać zmarłego, a później, ukojonego wiatykiem, składa się w ojczystej ziemi.

Zosia znowu się rozsłochała. Biedna mateńka! Ten kres był dla niej tak trudny! Los ją potraktował po macoszemu. Ją, która mogłaby być wzorem macierzyństwa!

Wytrzymała tak dużo; przeprowadziła ich przez piekło sowieckiej zsyłki, dowiozła do ziemi wolności. I umarła. Życiorys świeckiej świętej.

Ela stała obok siostry. Palce dłoni miała tak splecione, że aż zbieleły. Nie płakała i to było zarówno straszne, jak i dziwne. Czuła się tak, jakby ktoś odebrał jej wszystkie uczucia, jakby się stała wydmuszką.

Nie sądziła, że mama umrze. Mamy nie umierają, to przecież odrębny gatunek ludzki – z ponadprzeciętnymi siłami. Póki są dzieci do odchowania, nie dają się żadnym przeciwnościom. One z Elą były już dorosłe, ale Krzyś?... Mama tak go kochała!... Je oczywiście także, choć... Nie było ku temu namacalnych dowodów, ale Ela czuła się najmniej mamina. Córeczką tatusia też nie była. Zosia – piękność, jak to w rodzinie Niwczyków, mama pokazywała zdjęcia babci. Krzyś – skóra zdjęta z ojca. Ela – takie przemieszanie. Już nie tak wyczekiwana jak pierworodna, potem porzucona na rzecz najmłodszego. Taki los tych, co są w środku.

Chyba zawsze to czuła, tylko tego nie nazywała. Nie chodziło o to, że była niekochana, na pewno nie. Po prostu nie była „tą jedyną”. Tą cudowną, delikatnie faworyzowaną, tą, którą się przed wszystkim chwali. Była zwyczajna wśród mniej zwyczajnych.

Poczuła ściśnięcie w gardle. Te myśli były prawdą, ale były tak okropnie niestosowne. Stała na perskim cmentarzu, przed dołem wykopanym w beżowej, pyłacej ziemi, gdzie zaraz miała już na zawsze spocząć jej matka, a takie okropieństwa chodziły jej po głowie. Może przez nie nie potrafiła się rozpłakać?

Zosia patrzyła, jak mężczyźni wkładają drewnianą trumnę do grobu. Chciała dołożyć modlitewnik, żeby w choć taki sposób dać mamie namiastkę czegoś bliskiego, polskiego, ważnego. Nie udało się; zbyt duże było ryzyko rozniesienia zarazy, dlatego wieka mocno przybijano gwoźdźmi.

Przypomniawszy jej pogrzeb ciotki i jej córeczki. Z nimi przynajmniej można się było pożegnać, choć... Zosia do dziś nie potrafiła wymazać z pamięci widoku małego, siniego ciała. Niby małe dziecko, noworodek, ale w twarzy tej dziewczynki było coś takiego... Śmierć dzieci jest tak okropnie niesprawiedliwa – życie, nim się zacznie, już się kończy. Zosia trzymała wtedy bet z nieżywą Helenką w ramionach, a później, wbrew mamie i pani Walickiej, podała go ciotce. Uważała, że ma ona prawo do pożegnania, do wzięcia w ramiona swojego dziecka. W tym samym momencie jednak przyszło jej do głowy, że przecież to będzie dla ciotki taki ból, od którego można umrzeć. Było jednak za późno, żeby cofnąć ten gest. Przerazona Zosia wybiegła z baraku w ciemną, mroźną wigilijną noc. A ciotka umarła.

Potem sobie to tłumaczyła: że przecież Maria Polakowska była wycieńczona, załamana, taka delikatna. I że i tak nie dałoby się ukryć śmierci jej dziecka, no bo jak? A jednak wyrzut sumienia tkwił w niej jak zadra.

Stryjenka i jej córeczka zostały pochowane razem – trumienka w trumnie. Zosi przypomniawszy się wtedy matryoszki, które dawno temu dostała od pana Zajkowskiego. Bardzo lubiła się nimi bawić, wyobrażała sobie, że to kobieca linia



ich rodziny – ona, mama, mama mamy, mama mamy mamy... Tu też tak było, ale w taki makabryczny sposób...

O matriszkach myślała zresztą już od jakiegoś czasu. Baba w babie, życie w życiu, dziecko w matce...

– Damy sobie radę, nie płacz. – Ela wzięła ją za rękę.

Jej młodsza siostra, którą przecież jeszcze trzeba się opiekować. I Krzyś, maleńtas. Został w obozie, nie można go narażać na takie emocje. Pyta o mamę, choć nie tak bardzo, jak Zosia się obawiała; przez te wszystkie lata role w opiece nad nim trochę się pozacierały. U Sowietów Ela była z bratem najbliżej, przez ostatnie tygodnie – Zosia. Może w ogóle będzie tak, że zapomni? Ojca przecież całkiem nie pamięta.

Ojciec. Kolejny ucisk. Jak on to przeżyje? Jeśli jeszcze żyje.

Zosia poczuła nagle ogromny ciężar na barkach. Teraz to ona, jako najstarsza, odpowiadała za ich rodzinę. Musi matkować Krzysiovi i Eli. Na nich się skupić. Nie mogłaby teraz...

Minęły klęczących ludzi – pogrzeby odbywały się tu grupowo, a polska część nekropolii Dulab szybko się rozrastała – i poszły do czekającej na nie ciężarówki.

Kiedy ruszyły, niebo się zachmurzyło i pociemniało. To jeszcze nie była regularna pora deszczowa, ale zaczęło padać.

Zosia pomyślała, że to zła wróżba. Obróciła pierścionek na palcu, ale nie wiedziała, o co prosić.

\* \* \*

*Diwowo, Sielce, lato 1943 roku*

„Witaj, żołnierzu – wczorajszy tułacz”.

Marian poczuł drapanie w gardle. Po tylu miesiącach przeczytać taki duży napis po polsku, zobaczyć biało-czerwone flagi i nawet orła, który co prawda wyglądał dziwnie, ale na pewno był ich, polskim symbolem, to było coś niezwykłego. Może brak korony to szczegół, który nie miał tak naprawdę wielkiego znaczenia?

Końcówka podróży nie nastrojała go optymistycznie. Wyszli na małej stacji, ni to wieś, ni to miasteczko. Z rzadka rozrzucone chałupy, podniszczone, spłowiałe okiennice i lekko pochylone ganki; okolica sprawiała wrażenie wyludnionej. Nigdzie żywego ducha. Zwykle, nawet jeśli dorośli podchodzą do nich z rezerwą czy lękiem, to i tak wyrwie się dzieciarnia, pragnąca zobaczyć, co się dzieje. Tu – pusto.

Szli dalej. Bezdrzewny teren się obniżył; w dolinie zobaczyli rzekę. To była Oka. Piękna, szeroka, o spokojnym nurcie, z wieloma rozlewiskami i korytami. Na drugim brzegu, na który przewieziono ich promem, krajobraz był nizinny. Swojska łąka, piękna, jak to w rozkwicie lata, choć i trochę zakrzaczona, dalej las z łąką jasnego piasku i tą właśnie bramą.

Brama trochę jak dekoracja, bo żadnego ogrodzenia przy niej nie było, ale i tak się liczyła. To miało być po to, żeby się poczuli jak w Polsce.

Marian rozejrzał się po twarzach współtowarzyszy. Było na nich wzruszenie, ale i ogromne zmęczenie. Nie wyglądali jak tułacze, tylko jeszcze gorzej – jak biedacy, łachmaniarze, ludzie przetrząceni przez los. A mimo to widział w ich oczach to, co czuł w sobie – nadzieję i zapach.

Weszli przez tę bramę. Po lewej stronie mieli domki, takie lepsze, Marian pomyślał, że pewnie oficerskie. Doszli do większego budynku, jak się okazało, komisji poborowej. Tu też była biało-czerwona flaga. Nie łopotała zbyt, jak tamta, ale teren był lesisty, osłonięty, to i wiatru mniej.

Długo czekał na swoją kolej, przy okazji obserwując okolicę i ludzi. Gdzieś w głębi słyszał piosenkę, dość szybko rozpoznał w niej legionowy utwór. Żołnierze, którzy, widać, byli tu dłużej, bo wyglądali na zadomowionych, mieli zwyczajne mundury, ze znanymi mu dystynkcjami. I salutowali sobie, jak należy, dwoma palcami.

Niepokój trochę się rozmył. Marian wciągnął powietrze przez nos. Ciepłe, leśne. I jakby z nutą polskości. Coś go drapnęło w gardle.

– Czekasz na swoją kolej? – Usłyszał.

Obok niego na ziemi usiadł chłopak, który mignął mu kilka razy podczas podróży.

Marian kiwnął głową.

– Wszyscy czekają. – Spojrzał na innych mężczyzn, rozłożonych niedaleko budynku. Może nie było to najwłaściwsze, ale niektórzy z nich zasnęli. Na wejściu dali im prowiant: chleb, ser i ciepłą herbatę; pełny brzuch w połączeniu ze zmęczeniem długą podróżą i ciepłem sprawił, że z niektórych zeszło napięcie i padli jak muchy. Mariana też morzyło, ale nie dał się senności. Ważny moment się szykował, nie chciał być wtedy nieprzytomny, dopiero co ze snu wyrwany.

– I jak znajdujesz to miejsce?

Marian się mu przyjrzał. Wysoki, ale szczupły. Zbudowany jak mężczyzna, nawet kiedy podje i poćwiczy, to atlety jednak z niego nie będzie. Palce szczupłe, mógłby grać na pianinie. Może nawet grał? Miał coś takiego w twarzy. Inna glina, pomyślał Marian. Bez zniechęcenia, a nawet z pewną ciekawością. Jak znajdujesz, powtórzył w myślach. Brzmiało jak z książki, ale rozumiał, o co tamtemu chodzi.

– Zobaczymy. Na razie jest dobrze. Flaga jest, mundury są, jeść dali. Trzy razy lepiej niż u Sowietów. A tak w ogóle – Marian jestem. Marian Czernik.

– Jerzy Orłowski. Jurek. – Tamten też wyciągnął ku niemu dłoń. Uścisk miał słaby. – Byłem zrobić rekonesans.

Tego słowa Marian nie znał, ale uznał, że nie ma się co obnażać przed nowo poznanym, bo to by mogło zaburzyć relację i nie byłiby jak równy z równym.

– Poszedłem w głąb obozu. I widziałem różne osoby. Niby wojaków, a w takich trykotach jak na ćwiczeniach.

– W gimnaściorkach? – upewnił się Marian.

– Tak, pewnie tak – przytaknął tamten.

Czyli byli kwita. Po prostu znali inne słowa, a nie że jeden znał dużo więcej wyrazów niż drugi. To spostrzeżenie od razu wprawiło Mariana w lepszy nastrój.

– Mundurów nie mieli. Tylko opaski biało-czerwone na ramionach.

– Ja tu widziałem takich w legitnych mundurach. Może tamci nowi, jeszcze czekają? Braki na pewno są, ale jak to mówią – nie od razu Kraków zbudowano.

– Tak, to może być sprawa aprowizacji. Choć... – Jerzy się zawahał. – Inne mundury widziałem, Armii Czerwonej. Pełne. I szkolenie też widziałem, po rosyjsku.

Marian spojrzał na niego. Też by wolał, żeby było inaczej, ale sprawy i tak szły w dobrym kierunku, tyle że po wybojach.

– Przejściowe to pewnie. – Wzruszył ramionami. – Nasi dojadą albo się wyszkolą i wtedy będzie po naszymu. I dwa wojska obok siebie, ramię w ramię. Jak równy z równym.

Jerzy spojrzał na niego przeciągle.

– Może. Oby.

Marian poczuł, że coś go gniecie w bucie. Dziwne, że wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Obejrzał się; przed nim było jeszcze kilku chłopaków, zdąży sprawdzić. Rozwiązał sznurówki, ściągnął skarpetę, pomyślał, że musowo trzeba je już zmienić, i wyciągnął kamyczek, który wcisnął mu się między palce.

– Co za ulga. – Uśmiechnął się do tamtego.

Jerzy przez chwilę milczał.

– Był w naszej osadzie pewien naczelnik. Jak na warunki i pozycję, można było czasem pomyśleć, że w porządku. Pamiętam, jak go kiedyś zobaczyłem nad rzeką. Spodnie podwinął, buty zdjął. Nim wszedł do wody, położył się na trawie. I wtedy zauważyłem, że ma brudne stopy.

Marian odruchowo podkulił nogi. Coś go nieprzyjemnie zakłuło w środku. Nim zdążył odpowiedzieć, że tamtemu też na pewno nogi fiołkami nie pachną, Jerzy pociągnął:

– To znaczy z daleka tak wyglądało, ale to było wręcz przerysowane, bo podeszwy tych stóp były prawie czarne. Podszedłem trochę bliżej, że niby spaceruję, i wtedy dopiero się zorientowałem, co naprawdę widzę. On miał

wytatuowane postaci. I podpisane, gdyby była wątpliwość. Stalin na lewej, Lenin na prawej.

Marian się odprężył. Więc to nie przytyk do niego.

– Moi koledzy chcieli sobie imię dziewczyny napisać. – Znowu się uśmiechnął.  
– A to... – Wzruszył ramionami.

– To też na pewno było podyktowane uczuciem.

Nie, nie żartował sobie z niego.

– Może nawet silniejszym. Skórę trudno zmienić.

Teraz mówił serio, ale Marian na chwilę się zagubił – czy chodziło o skórę dosłownie, czy tak jak w powiedzeniu? Znowu przeszył go dreszcz, ta historyjka, niby niewinna, zwarzyła mu pogodny nastrój. Czy tamten tak przypadkiem, czy specjalnie?

– Następnyyyy! – rozległo się od drzwi.

Marian w pośpiechu wsunął buty na gołe stopy. Skarpety zostały na trawie.

\* \* \*

*Teheran, lato 1943 roku*

– Leż, nie wstawaj.

Stopkiewiczowa przytrzymała ramię Zosi, żeby ta się nie podniosła.

– Leż – powtórzyła.

Teraz pogłaskała ją po spoczonej głowie.

Zosi przypomniawszy się gestowi matki; podobnie czuł. Omal się nie rozplakała. Nie było w nich żadnego podobieństwa – ani z wyglądu, ani z pochodzenia. Alina Stopkiewicz była pogodną, dużą kobietą, z podstawowym pewnie wykształceniem i niezłomną serdecznością wobec świata. Póki mama żyła, wymieniały uprzejmości i czasem rozmawiały na zupełnie przyziemne tematy. Kiedy Anna Polakowska umarła, Stopkiewiczowa zbliżyła się do Zosi, Eli i Krzysia, jak kwoka, która rozpościera skrzydła, by zrobić tam ciepłe i bezpieczne miejsce także dla obcych

piskłał. I to nic, że Zosia była już pełnoletnia. A teraz siedziała przy niej, pielęgnowała ją i o nic nie pytała. Choć przecież sprawa była oczywista.

Zacząło się trzy dni temu. Zwykłe krwawienie, zwykłe ciągnięcie, które potem przeszło w ból. Też zwyczajny, znany. Zosia najpierw była trochę zdziwiona, ale później poczuła ogromną ulgę. A więc to nie to, czego tak się obawiała, co spędzało jej sen z powiek. Nie była w ciąży. Po prostu wszystko się rozregulowało, pewnie przez stres, jakiego doznawała w ostatnich tygodniach. Przecież trzeba by było jakiegoś niezwykłego zrządzenia, żeby tak za pierwszym i jedynym razem zejść w ciążę. Tak to się nie działo. Chyba. Wiedza Zosi w tej materii była skąpa – w przeciwieństwie do krwawienia, którego doświadczyła wczoraj w nocy. Początkowe plamienie zmieniło się w krwotok. Ból się spotęgował, Zosia wyraźnie czuła skurcze, które raz za razem usuwały z niej fragmenty tkanek. Fragmenty nowego życia. To nie była spóźniona *menarche*, tylko jej dziecko. Osłabła od tego widoku, bólu, a potem – od myśli.

Bo ona nie chciała tego dziecka. Kiedy tylko się zorientowała, że to może być to – tak o tym myślała – „to”, była przerażona. Matce nie mogła powiedzieć, bo ta już była bardzo chora, to jak by można było dołożyć jej takie obciążenie? Zresztą co ona by sobie o swojej najstarszej córce pomyślała? Że tak ją wychowała? Dała Jankowi swój pierścionek, ten ukochany, od ojca, a oni... Janka też nie poinformowała. Nie umiała przelać na papier tej wiadomości. „Jestem w ciąży”. To jak z jakiegoś brukowego melodramatu. „Jestem w stanie błogosławionym”. To wzniosłe i... nieprawdziwe. Nie mogła myśleć o tym rosnącym w niej życiu jak o błogosławieństwie, bo nie czuła tego błogosławieństwa. Nie chciała swojego dziecka. Nie chciała, żeby to życie żyło.

– Popłacz sobie, popłacz. – Stopkiewiczowa znowu pogłaskała ją po głowie. – Niech to wszystko z ciebie spłynie.

– Ja... ja... – Zosia zanosła się płaczem. Nie potrafiła powiedzieć nic więcej.

– To się stało tak samo z siebie? – Pytanie było konkretne, ale zadane miłym głosem. Zabolalo, bo i taka myśl do Zosi przysłała. Zdążyła się z niej przed Bogiem

wyspowiadać, wiele razy, ale poczucie wstydu ją piekło. Tak się sobą rozczarowała...

Pokiwała głową.

– To dobrze, bo żadnego zakażenia nie będzie. Ja to się napatrzyłam na takie historie... Umierała kobiecina, a po niej tyle drobiazgu zostawało, też na zatracenie. Ech, i gdzie tu sens? Najlepiej by było, gdyby się dzieci rodziły tam, gdzie ich czekają.

Zosia znowu się spięła.

– Ale nie wychodzi tak. No nie wychodzi. To może już by lepiej, żeby to tak jakoś medycznie? – Pokręciła głową. – Wiesz – nachyliła się do Zosi – u nas we wsi to była taka, co się tym zajmowała. Różnie bywało, ale tak bardziej po ludzku. Bo jak byliśmy w Sowietach... Wrotycz kazała sobie tam wkładać i niech chłop mocno w brzuch wali. Ale co ja ci opowiadam, mój Boże! – Otrząsnęła się i podniosła. – Przecież to nie twój świat. Dobrze będzie, zobaczysz. Wojna przejdzie, wolność wróci, ten chłopiec też. – Spojrzała na pierścionek Zosi. – I wtedy się uda. Na wszystko jest w życiu pora.

Zosia była jej bardzo wdzięczna za te słowa. Złapała się ich kurczowo. Wybaczy sobie te myśli i zapomni o nich. I nastanie ta dobra pora.

\* \* \*

*Diwowo, Sielce, lato 1943 roku*

– Składam uroczystą przysięgę ziemi polskiej, broczącej we krwi, narodowi polskiemu, umęczonemu w niemieckim jarzmie, że nie skalam imienia Polaka, że wiernie będę służył Ojczyźnie. Przysięgam ziemi polskiej i narodowi polskiemu rzetelnie pełnić obowiązki żołnierza w obozie, w pochodzie, boju, każdej chwili i na każdym miejscu, strzec wojskowej tajemnicy, wypełniać wiernie rozkazy oficerów i dowódców. Przysięgam dochować wierności sojuszniczej Związkowi Radzieckiemu, który mi dał do ręki broń do walki ze wspólnym wrogiem, przysięgam dochować braterstwa broni sojuszniczej Czerwonej Armii. Przysięgam

wierność sztandarowi mojej dywizji i hasłu ojców naszych, które na nim widnieje: za naszą wolność i waszą. Przysięgam ziemi polskiej i narodowi polskiemu, że do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu zwalczać będę wroga – Niemca, który zniszczył Polskę, do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu walczyć będę o wyzwolenie Ojczyzny, abym mógł żyć i umierać jako prawy i uczciwy żołnierz Polski.

Marian miał ściśnięty żołądek. Do tej pory myślał o wojaczce jak o czymś zwyczajnym – jest wojna, to się walczy. Filozofii do tego nie trzeba dokładać. No i fakt – wszystko wydawało mu się lepsze niż gnicie w kopalni u Sowieców. Teraz jednak odczuwał ogromne wzruszenie. Z trudem wypychał słowa z gardła i bardzo się pilnował, żeby mu się oczy nie zmoczyły. Przecież właśnie oficjalnie zostawał żołnierzem. Mężczyźni nie płaczą, żołnierze – tym bardziej.

Zaczęło się od mszy. Prowadził ją kapelan major Kubsz. Każdy, bez wyjątku, musiał się zachować po katolicku – bez czapki być, klękać, kiedy trzeba, ceremoniał wypełnić. To się Marianowi podobało – nie z powodów jego własnej potrzeby natury religijnej, ale dlatego, że traktował to jako element silnego zaznaczenia polskości.

Obok Kubsza stał Berling. Generał Berling. Marian sporo się tu o nim dowiedział, przede wszystkim od Jurka. Niepozorny chłopak, a w głowie miał tyle informacji, choć to w sumie było spójne – ci, co poświęcali czas muskulaturze, o rozwój głowy dbali mniej. I na odwrót. Kiedy Marian patrzył na Berlinga, wydawało mu się, że ten człowiek łączy obie te, niby sprzeczne, cechy. Zresztą już życiorys pokazywał, że całe życie generała składało się ze sprzeczności. Kapitanem został po wojnie polsko-bolszewickiej. Za obronę Lwowa dostał *Virtuti Militari*, potem awansował na podpułkownika. I to by było tyle, bo jego kariera się zawaliła. Oficerski sąd honorowy wydał wyrok usuwający Berlinga ze służby. Powód – rozwód. Tu się Marian pogubił. Rozwód to było coś, o czym tylko słyszał. Nikt w jego rodzinie, nikt w rodzinach kolegów – prości ludzie i tak mieli pod górkę, więc kto by sobie życie komplikował rozstaniem. Bo potem co – chałupa na pół, łyżka na pół, sad na pół? I jak w pojedynek pociągnąć życie? Zdrady, romanse, tak,



o tym słyszał. Teraz coraz mniej się temu dziwił – już znał ten impuls, który potrafi tak człowieka przeszyść, że nie da się wzroku odwrócić, odejść, nie wziąć tego, do czego natura przymusza. Nie jest to dobre, na pewno, ale ludzkie. Wyobrażał sobie, że jak się dobrze ożenić, to takich pokus nie ma. On by na pewno od tej Eli do innych kobiet nie chodził. Widać Berling nie wybrał tak dobrze. Mógł to rozwiązać romanssem, kulturalnie, no ale wybrał rozwód. Czy to było gorsze? Przecież taki rozwód to jednak jakiś rodzaj prawdy – nie mogę, nie chcę tu być. To chyba lepiej niż udawanie? „Przed Bogiem przysięgał. Tylko śmierć z takiej obietnicy zwalnia”, stwierdził Jurek. „A tyś się kiedy zakochał? Poczuł to coś, co z człowiekiem wyczynia różne rzeczy?”, zapytał go Marian. Jerzy wzruszył ramionami. Więc właśnie. A co do Berlinga, to nawet wybuch wojny nie zmienił jego sytuacji – mobilizacji do armii nie dostał. NKWD go aresztowało, gdzieś tam trzymało, w Starobielsku chyba, a potem do Moskwy dało. W tej Moskwie przygotowywał oficerów do jednostek wojskowych, które miały powstać. Tyle tylko, że to się odbywało bez zgody rządu polskiego. „W świetle prawa to zdrada”. Jurek zawiesił głos, jakby to Marian miał rozsądzić, czy tak, czy nie. No, może prawo tak to oświetlało, ale jeśli nad Polską zawisł ogromny cień, to chyba ważniejsze było ten cień likwidować, choćby formalnie bezprawnie. Zresztą potem nastąpił zwrot. Kiedy się Polska dogadała ze Związkiem Radzieckim i zaczęło się formowanie Armii Polskiej na tym terenie, Berling trafił do Andersa, gdzie i Marian celował, tyle że jemu się nie udało. Podobno miał być komendantem bazy w Krasnowodzku, skąd odpływały statki do Persji. On jednak zdecydował się zostać u Sowiec. „Dlaczego?”, zapytał Marian. Jurek znowu wzruszył ramionami. „Nie wiem. Nie będę spekulował. Ale w takiej sytuacji mogło się wydarzyć tylko jedno – nie wykonał rozkazu, więc go wydalono z Wojska Polskiego i jako dezertera zaocznie skazano na karę śmierci”. Marian pomyślał, że ta historia to jak wykresy funkcji, których nie udało mu się opanować na matematyce – pamiętał tylko rysunek: falowana linia, raz się wznosząca, raz opadająca. Takim rytmem szła kariera Berlinga. Skreślony przez Polaków, przedstawił Stalinowi pomysł sformowania Wojska Polskiego w ZSRR. To dzięki niemu Marian stał teraz w tym miejscu

i składał przysięgę. „Jedno w tym wszystkim jest pewne – gdyby nie Berling, to ci wszyscy, ja i ty też, wciąż bylibyśmy łagiernikami”.

Po mszy nastąpiła krótka przerwa. A po tej przerwie pojawili się goście, wśród których byli przedstawiciele Armii Radzieckiej, attaché wojskowi państw sprzymierzonych oraz korespondenci wojenni. I brunetka, którą Marian kojarzył ze zdjęć – Wanda Wasilewska. Orkiestra odegrała oba hymny – polski i radziecki.

A potem Wasilewska płomiennie, pewnie, bardzo piękną polszczyzną mówiła o kontynuowaniu walki z wrogiem, o ojczyźnie, która czeka na wyzwolenie. Nie, Marian nie zmienił zdania – nie podobała mu się jako kobieta, to znaczy żadnych erotycznych impulsów w nim nie wzniecała, ale w jej zapale i niezachwianiu było coś pociągającego. Coś hipnotyzującego. Wasilewska mówiła też o znaczeniu przysięgi, którą będą składać.

To wszystko sprawiło, że Marian ze ściśniętym gardłem wypowiadał teraz te słowa. Dygotał, ale jednocześnie zyskiwał jakiś spokój. A kiedy na sam koniec z jego ust wydobyło się: „Tak mi dopomóż Bóg”, poczuł, że wreszcie się dopełniło. Teraz będzie tak, jak być powinno. Nie dlatego, że to go jakoś religijnie poruszyło, ale ta końcówka, wypowiedziana na sowieckiej ziemi, gdzie Bóg oficjalnie nie istnieje, była gwarantem polskości.

\* \* \*

### *Grigoriewo, jesień 1943 roku*

– Tak, zgadza się. No, dobrze, bardzo dobrze. – Marian ostatni raz spojrzął na swoje notatki. Nie patrzył w nie tak otwarcie, bo to by było jak przyznanie się do jakichś braków, a przecież przełożony powinien być dla żołnierzy wzorem.

Szkolenie przeszedł, egzaminy zdał, wszystko zgodnie z przepisami, tyle że w zawrotnym tempie. Został chorążym. Był taki stopień w polskiej armii przed wojną, ale mniejszej rangi. Teraz chorąży to był pierwszy próg oficerski. Oficerski! Marian długo obracał ten wyraz w myślach. Na jego ramieniu pojawiła się dystynkcja – cienki sznurek wzdłuż naramiennika z gwiazdką w środku. Wyglądało

to trochę jak kometa, zauważył, słusznie, jeden z żołnierzy. No i od razu ktoś wymyślił sprośny dowcip. „Jaka jest różnica między chorążym a kometa? Kometa to gwiazdka z kutasem, a chorąży to kutas z gwiazdką”. Marian się śmiał, bo rubasność była jednocząca, a jedność w armii to podstawa, ale jednak z tyłu głowy miał to, że śmieje się i z siebie. Tak czy owak – był chorążym i miał swój pluton. To była duma. Gdyby ojciec mógł go teraz zobaczyć – tego krnąbrnego syna, nieskorego do nauki i do pracy koło domu. Co prawda kariera odbywała się na obcej, nieprzyjaznej ziemi, ale to tylko na czas wojny, bo potem... To „potem” to była jedna wielka niewiadoma, ale na razie widziana dość optymistycznie, zwłaszcza że właśnie dziś żołnierze dostali dopełnieniowyj pajok: pierniki i suchary, konserwę rybną, tytoń, kostkę masła oraz parę skarpet. Nie żeby na kuchnię batalionową można było narzekać, ale mimo wszystko potrzeby odbudowującego się i mającego sporo wysiłku organizmu były większe. Marian nie musiał palić; mógł, tak dla towarzystwa, ale nie był to nałóg, który by miał nad nim władzę. Dlatego swoją porcję dał ordynansowi, żeby ten wymienił ją na chleb. I dostał ciężki czarny bochen. Żyto i ziemniaki, i trochę zakalca, który jednak mu nie przeszkadzał. Chleb to chleb, podstawa. Jeśli jest, człowiek jakiś spokojniejszy.

Zatem teraz to on szkolił swoich chłopaków. Teoretycznie szło nieźle, praktyka niestety trochę kulą. Najgorzej było ze strzelaniem – pudłowali jak łamagi, nawet dowódca kompanii. Mieli jeszcze czas, żeby ćwiczyć w tym swoim lesie, pytanie, jak długo. Front się od nich oddalał, kanonady artyleryjskie cichły, karabiny maszynowe coraz rzadziej i słabiej było słyszeć. Tylko samoloty na niebie upewniały ich, że gdzieś obok toczą się walki.

Do stołówki chodzili w szyku zwartym, z pieśnią na ustach. Bardzo ładna była ta piosenka o Ocie. „Szumi dokoła las, czy to jawa, czy sen? Co ci przypomina, co ci przypomina widok znajomy ten?” Widok rzeczywiście był trochę znajomy, czasem można się było zapomnieć, na czyjej ziemi buty się stawia. „Najpiękniejszy Wisły brzeg”, to też z zapalem śpiewał, choć Wisły nigdy przecież nie widział na żywo. „Jak to męczy, jak to boli, Wisło w niemieckiej niewoli”. Tu się najbardziej

wzruszał. No a potem wchodzili do stołówki i rozkoszowali się zapachem kawy zbożowej, zaskwarzanej zupy, a czasem nawet amerykańskiej konserwy mięsnej.

Gdzieś między tymi chwilami uniesienia i zaspokajania głodu Marian przyzwyczajał się do myśli, że niedługo dostaną rozkaz do wymarszu.

I że zaczną się dla nich prawdziwa wojna.

\* \* \*

*Ahwaz, jesień 1943 roku*

– Stalin wygrał.

Krzyś miał jeszcze mokre policzki, ale już nie płakał. Nieobeschnięte łyzy były z dwóch powodów: po pierwsze, trochę bolała go poparzona ręka, po drugie, siostry nigdy wcześniej na niego nie krzyczały, a teraz – tak. Właściwie krzyczała Zosia, Ela krzyknęła tylko raz, przestraszona, że bratu stało się coś poważnego, a potem powtarzała, próbując uspokoić rozzłoszczoną Zosię: „No już, dobrze, że wszystko w porządku”. „Nic nie jest w porządku”, tego Zosia nie krzyknęła, tylko wyłkała. Ela puściła rękę brata i przytuliła siostrę. Zastygły w takim nieporadnym sklejeniu. Krzyś nie wiedział, czy to lepiej, czy gorzej, bo nie mógł zobaczyć ich twarzy, a cisza go przestraszyła. Już raz tak było – i takie przytulenie, i takie milczenie. A później obie, wciąż splecione, zaczęły do niego mówić – tak jakby były jednym organizmem – słowo od Eli, słowo od Zosi. Że teraz one będą się nim zajmować, że zawsze będą obok niego, że nigdy się nie rozstaną i żeby się nie martwił, bo niedługo wrócą do domu. To ostatnie było najradośniejszym tonem powiedziane, więc się uśmiechnął, ponieważ nie lubił, kiedy ktoś obok niego był smutny, bo i jemu robiło się wtedy jakoś tak boleśnie. „W domu najlepiej”, to już słyszał, nie raz, od różnych osób. I wszyscy mieli wtedy takie twarze jak Zosia i Ela. Więc to musiało być coś dobrego – dom w ojczyźnie, dom w Polsce. I o ile dom potrafił sobie wyobrazić, bo i tu, i tam, gdzie byli przedtem i gdzie było zimno, stały przecież budynki, w których mieszkali zwykli ludzie, nie tacy jak oni – przesiedleńcy, o tyle Polski i ojczyzny – nie. Podobno jest tam ładnie i spokojnie.

Ludzie są mili, jedzenia nie brakuje. Tam, w tym dobrym miejscu, miał swoje łóżeczko i swoje zabawki. Książeczki i psa. I oni tam wrócą, a wtedy Krzyś znowu będzie miał swój dom, zacznie w ładnym mundurku chodzić do szkoły i pozna nowych kolegów.

Tymczasem tu, na tej pustyni, nie było nic z tego – prócz kolegów. Teraz mieszkali w innym miejscu niż na początku – w obozie, w którym rządzą Brytyjczycy. Stąd mieli popłynąć w kierunku domu. Kiedy i jak dokładnie – nic nie było wiadomo. Elę i Zosię to chyba trochę trapiło, ale Krzysia – nie. Warunki były tu trochę lepsze – miejsca więcej, mieli coś na kształt pokoju, który wydzielili sobie, rozwieszając w wielbłądziej stajni koce. No i Krzyś miał tutaj kolegów. Starsi byli od niego, ale wcale go od siebie nie odganiaли, wręcz przeciwnie, pozwolili mu chodzić ze sobą. Ostatnim razem, kiedy to się stało, też. Podobało mu się w ich towarzystwie, bo było zupełnie inaczej niż z Elą i Zosią, które bardzo się o niego troszczyły, ale często wyglądały na smutne, a nawet jeśli nie, to nie miały takich fajnych pomysłów jak chłopcy.

Więc poszedł – na pustynię. Nie bardzo daleko, bo gdyby było daleko, toby się bał, że się zgubią, no i sępów by się bał. Podobno one uciekają na widok ludzi i interesuje je tylko padlina, ale kto wie, jak by było naprawdę? Czasem jest tak, że starsi mówią jedno, a dzieje się drugie. Tak było z mamą. Najpierw dużo spała, mało się odzywała, ale to jeszcze nie dziwiło za bardzo, bo mama często tak miała, od kiedy przyплыnęli tu tym wielkim statkiem. Ale później mama zniknęła i nie było jej, nie było... Krzyś zapytał o nią kilka razy i za każdym razem słyszał, że jest w szpitalu i żeby się modlił. Najpierw było „o zdrowie mamy”, a potem „za mamę”. No to zapytał Elę, czy zdrowie już dobre, skoro nie trzeba się za nie modlić. Ela spojrzała na niego tak dziwnie, jakby zrobił jej coś złego, i się rozplakała, a później go tuliła i mówiła: „Moja ty sieroto”. Znał to słowo, bo w miejscu, gdzie wcześniej żyli, działał dom dla sierot, czyli dla dzieci, które nie miały rodziny. To się nie zgadzało, bo Krzyś przecież miał rodzinę – Zosię, Elę i mamę. Miał dużo rodziny. Ela mocniej go uścisnęła i powiedziała: „Mamy już nie będzie z nami, jest w niebie”. Odruchowo spojrzał do góry. Niebo było tak samo

niepojęte jak Polska. Niby je widział, ale dotknąć się nie dało. Zrozumiał więc, że mamy już nigdy nie zobaczyć. Rozpłakał się, jakoś samo to z niego wyszło, ale wcale nie za długo trwało, bo tu obok działały się różne sprawy, a jemu wciąż daleko było do sieroty, skoro miał Zosię i Elę; zwłaszcza Elę, bo Zosia też przez jakiś czas leżała i Krzyś się bał, że stanie się z nią jak z mamą. Ela była najpewniejsza – najpogodniejsza, najmiłsza, najczęściej obok – od kiedy pamiętał. Więc trzymał się Eli, ale gdy jej nie było – wtedy nie było, bo poszła coś załatwić, trzymał się kolegów. I razem z nimi przesuwali się po pustyni, a kiedy już odeszli tak daleko od latryny, że nie czuł jej smrodu, zatrzymali się i zaczęli wypatrywać skorpionów. To znaczy szukali małych okrągłych dziurek w piasku, przez które te dziwne i trochę straszne zwierzęta wychodziły. Krzyś wiedział, że trzeba się od nich trzymać daleko, bo kiedy ugryzą, to już koniec, człowiek umiera. Sama śmierć nie była dla niego do końca zrozumiała – tyle tylko, że tego, kto umarł, już nie będzie tam, gdzie do tej pory był. Ci, co go kochali, już nie będą go mieć przy sobie. Choć z niebem musi być inaczej, bo podobno mama ma się tam dobrze, mimo że jest sama, bez nich. „A może z tatą?”; Krzyś tak zapytał, bo nagle przyszło mu do głowy, że skoro taty, którego całkiem nie pamiętał, nie ma, to prawdopodobnie jest w tym samym miejscu, do którego poszła mama. Zosia powiedziała kiedyś, że tatuś teraz nie walczy, a przecież wszyscy mężczyźni walczyli, chyba że byli bardzo starzy albo jeszcze całkiem młodzi. Tata był taki pośrodku. Jeśli nie miał karabinu i hełmu, musiał być w niebie, no bo gdzie indziej? Zosia spojrzała na niego smutno i zacisnęła wargi. „Chodź, Krzysiułku”, Ela pociągnęła go do siebie. Też niczego nie wyjaśniła, ale od razu poczuł się lepiej po tym przytuleniu.

Więc szukali skorpionów – starsi chłopcy z przodu, smarki, jak nazywali młodszych, mieli się trzymać z tyłu. Zabawa nazywała się „Hitler i Stalin”. Krzyś wiedział, że jeden jest Niemcem i pierwszy zaczął wojnę, a drugi – Sowietem i też napadł ich ojczyznę oraz to przez niego musieli wyjechać ze swojego domu i tułać się po tym okropnym kraju, z którego uciekli na statku. Wobec tego Stalin wydawał mu się gorszy i chciał, żeby to on właśnie przegrał.

Zabawa polegała na tym, że jak już się znalazło jamkę, to któryś z chłopców wylewał z niedużej puszkę benzynę, tak jakby wokół tej jamki rysował koło – spore, Krzyś mógłby się dwa razy ułożyć w jego najszerszym miejscu. Potem inny chłopak nalewał z butelki wody do otworu w piasku i wychodził poza ślad benzyny, a ten pierwszy ciskał draskę i rzucał płonąca zapalkę, tak że powstawał gorący okrąg, bo benzyna się zapalała. Woda wyganiała skorpiona z jego kryjówek, ponieważ one się boją wody, zresztą mogłyby się potopić. Ognia też się boją, i słusznie, bo jak by miały przez niego przejść? Zatem zaczynała się wędrówka wzdłuż płomienia – skorpion szukał pustego miejsca, „okienka”, żeby się wydostać z tej pułapki. Oba skorpiony, to znaczy obaj – Stalin i Hitler – szukali, bo udało się zrobić tak, żeby równocześnie wypęły spod ziemi. Jedna grupa kibicowała Stalinowi, druga – Hitlerowi. Zachęcające okrzyki miały doprowadzić do tego, żeby skorpion konkurencyjnej drużyny zabił się pierwszy. Chłopcy mówili, że inaczej nie będzie, bo taka jest natura tego zwierzęcia – jeśli nie może wygrać, w tym przypadku wyrwać się z ogniowo-wodnej pułapki, to się zabija – własnym żądłem. No i się udało – Hitler pierwszy podwinął ogon i wcisnął w siebie truciznę. Stalinowi zabrakło to więcej czasu, nawet się wydawało, że się nie podda, ale natura zwyciężyła. W sumie to cieszyły się obie drużyny, ta przegrana też. I Krzyś się cieszył – tak bardzo, że się zagapił i upadł, prosto na puszkę po benzynie, która była blisko ognia i mocno się nagrzała. I teraz Krzyś miał na przedramieniu czerwoną skórę, która go bolała i piekła.

– Jaki Stalin? – Zosia trzęsącymi się rękoma opatrywała jego ranę. Wyglądała paskudnie. Ela głaskała brata po głowie.

– No ten nasz. – Krzyś wygiął buzię w podkówkę. Jednak bolało. Póki biegł w kierunku obozu, gnany strachem, jako tako się trzymał. Teraz – emocje puszczały.

– Trzeba do lekarza. – Zosia się poddała. – Tylko trochę oczyściłam z piasku, ale to powinno się zabezpieczyć, czymś posmarować. No i dać sterylny opatrunek. Co ci do głowy strzeliło?... – Głos jej zmiękł, gdy zobaczyła łzy w oczach brata.

– To nie miało być nic złego... – Krzyś pociągnął nosem. – Oni mówili, że to będzie bitwa, to ja też chciałem... Przecież to sprawa dla chłopców. No i nasz Stalin wygrał...

– Stalin. – Zosia w końcu się uśmiechnęła. Widać było, że napięcie z niej zeszło. Kiedy się zorientowały z Ela, że Krzysia nie ma w obozie, wpadły w panikę. Teraz była zła, w sumie nie na Krzysia, przecież był jeszcze mały. To raczej one zawały. Ela poszła pytać o szkolenia, no bo ile można tak beczynnie siedzieć, a Zosia miała lekcję polskiego z grupą dziewczynek. Krzyś miał się bawić, nie odchodząc. Dziewczynka może by posłuchała, ale pięcioletni chłopiec miał w sobie zdecydowanie więcej energii i mniej posłuszeństwa.

– Stalin, Stalin! – Krzyś na moment zapomniał o bólu, skoro burza awantury przeszła obok. – Mocniejszy od Hitlera!

– Aleś się urządził, będzie ślad na całe życie. – Ela pogłaskała go po głowie. – Będziesz miał o czym wnukom opowiadać.

– Oby tylko ta wygrana się nie sprawdziła. – Zosia też w końcu całkiem się rozchmurzyła.

\* \* \*

### *Szosa warszawska, jesień 1943 roku*

Namoknięte od nieustępliwego deszczu płaszcze były ciężkie. Już to mogłoby zmęczyć, bo przecież maszerowali długo, po wertepach, często głodni. A oni nieśli ze sobą jeszcze broń osobistą, łopatkę saperską, maski przeciwgazowe, stalowe hełmy, kociołki, amunicję. Szli szosą warszawską, w kierunku na Smoleńsk i dalej, do Mińska. To była najkrótsza droga do Warszawy, stąd ta nazwa, jeszcze z czasów carskich. Dobry kierunek, marsz po zwycięstwo, ale entuzjazm oklapł. Podła pogoda, coraz lepiej słyszalna linia frontu i świadomość, że naprawdę niedługo zaczną walczyć – to wszystko mogło tremować, wprowadzać element nerwowości. Nie byli przecież zawodowcami, byli prostymi chłopakami, dla których to miał być pierwszy raz.



Nie wszyscy to napięcie wytrzymali. Pokątnie słyszało się jakieś obawy, zwykle to rzucone niby żartem, ale było jasne, że to tylko maskowanie lęku. Nikt się oficjalnie nie wyrywał z takimi sprawami, bo wyszedłby na babę, a i tak by nie było odwrotu – dezercja to śmierć, jasna sprawa. Niestety, wydarzył się wypadek. I to akurat w plutonie Mariana. Krzysztof Kornik, chłopaczek spod Krakowa, cichy i spokojny szeregowy, został ranny, a dokładniej – postrzelił się. Kontakt z nim był trochę utrudniony, kiedy zabierała go karetka sanitarna, ale Marian usłyszał o wypadku podczas czyszczenia broni. Tak zraportował, ale już na pytanie, jaka jest jego opinia, po wahaniu przyznał, że Kornik miał ostatnio „coś w rodzaju załamania nerwowego”, że widać było targające nim obawy, jego rana wygląda zaś nietypowo jak na samopostzelenie. Marian odpowiadał spokojnie i mówił prawdę. Nie za dużo, nie za mało. Że jest nie najlepiej, zorientował się, gdy do akcji wkroczył prokurator. Mimo wszystko nie połączył dobrze wszystkich kropek i kiedy na zarządzonym postoju zwołali ich wszystkich na leśną polanę, gdzie ustawiono już coś w rodzaju sceny, na której stanęły stoły i krzesła, najpierw pomyślał, że to może pogadanka, jakie się tu przecież odbywały – a to o przyszłej Polsce, a to o klęsce wrześniowej czy rządzie londyńskim, ale nie. Po jednej stronie stołu siedzieli wojskowi, a po drugiej stał Kornik. Zgięty, blady, przestraszony. W płaszczu, ale bez pasa. Marian zrozumiał, że to sprawa sądowa. Do tego prowadzona przy takiej widowni – cel był jasny: to będzie pokazówka. Nie tylko Marian odczytywał spadek motywacji wśród żołnierzy – trzeba było ich zmobilizować. Pozytywnie było trudno, zatem zostawało trzymanie w lęku, zarządzanie strachem. Jak się Kornika skaże na dziesięć czy dwadzieścia lat więzienia, to innym podobne pomysły nie przyjdą do głowy.

Tyle że Kornik został skazany na karę śmierci. Tchórzostwo, zdrada, zhańbienie munduru – grzmiał prokurator. Kornik się kulił. Sędzia miał niezachwiany głos, nawet wtedy, gdy dodał, że wyrok nie podlega zaskarżeniu i apelacji. Los mogłoby odwrócić ułaskawienie przez dowódcę dywizji, ale Berling z tego prawa nie skorzystał.

Marian zamknął oczy, gdy w kierunku Kornika poszybowały kule. Tak zacisnął zęby, że w uszach zaczęło mu szumieć i prawie, prawie nie słyszał ich świstu. A potem starał się nie zobaczyć ciała, które jak kukła padło na ziemię.

Od tego wydarzenia codziennie rano budził się z myślą: odwrotu nie ma, można tylko naprzód.

\* \* \*

### *Quizil-Ribat, jesień 1943 roku*

*Kochany Janku!*

*Czas płynie, bo taka jest jego natura. Im więcej go mija od śmierci Mamy, tym trudniej uwierzyć, że w ogóle była. Ta wspaniała kobieta stanowiła nasz jedyny łącznik z poprzednim życiem – światem, który wydaje się teraz tak odległy...*

*Próbuję się pozbierać – dla Eli, Krzysia i dla Ciebie, oczywiście. To wszystko jest patrzeniem w przyszłość. I to jest dobre, bo przecież należy tak, jak pisał poeta: „Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe”. A jednak jest we mnie smutek. Ostatnio dużo takich smutnych myśli.*

*Czuję się tak, jakby coś we mnie umarło...*

*To minie, na pewno. Zwłaszcza gdy Ty będziesz obok.*

*Całuję i trzymam najmocniej kciuki za Twoje szkolenie; ponoć już niedługo będą Was przerzucać. Po zwycięstwo, nie wątpię w to!*

*Twoja Zosia*

Jan złożył kartkę. Kilka już razy wracał do tego listu. Był potem i inny, ale z tego przebijał taki smutek... Nawet mu się wydawało, że Zosia mogła płakać, kiedy to pisała – ta linijka, gdzie było o umieraniu, trochę rozmazana, jakby łąza kapnęła. A może sobie to dopowiedział? Zaręczyny go zmieniły – nie to, żeby wcześniej był hulaką, choć przecież były tu możliwości... Romek Kwiatkowski co jakiś czas „zaliczał bazę”. Za pierwszym razem Jan pomyślał, że chodziło mu po

prostu o to, że był w drugim obozie, gdzie toczyło się zwawsze życie towarzyskie – bo tam były kobiety. Zatem – owszem, to miał na myśli, ale i miłe obcowanie z Anią czy Krysią, drajwerką czy dziewczyną z biura. Imion Janek nie zapamiętał, zresztą Romek też sprawiał wrażenie, że one mu się mylą. Jak było naprawdę? Pewnie jak ze wszystkim, należało to dzielić przez dwa, ale na pewno coś było na rzeczy. Inni, może ośmieleni gadulstwem Romka, może przyciśnięci potrzebą, częściej niż przedtem, próbowali swojego szczęścia. Zresztą nie tylko o tych kilka chwil przyjemności tu chodziło – Janek już to wiedział. Bo wtedy z Zosią... Mokre palce, spocone plecy, szum w głowie, coraz szybszy oddech, smak jej skóry, sprężystość piersi, gładkość brzucha, szorstkość poniżej, wilgoć, pulsowanie, coś nie z tego porządku, coś poza czasem i miejscem, coś, co zabierało w inną przestrzeń, gdzie nie było wojny, śmierci, nazistów, sowietów, strachu... Seks był tym, o czym Romek żartował, i był tym, co Jan poczuł. Widać różnica brała się z tego, z kim się tę największą intymność dzieliło. Że fizycznie seks to była bomba – zgoda. Ale jeśli do tego dołączała miłość, to robiło się z tego coś absolutnie niezwykłego. W tych chwilach na pustyni z Zosią Jan czuł jej miłość, oddanie, spełnienie, swoje emocje też odbierał, ale oprócz tego zdawało mu się, że szybuje w nieśmiertelność. To uczucie brało w nawias całą rzeczywistość. A ta – krystalizowała się. Niedługo mieli zacząć ich przerzucać do Europy. I mieli zacząć walczyć.

Pod koniec lipca tego roku we Włoszech upadł reżim Mussoliniego. Jego następca, Badoglio, rozpoczął rokowania z państwami zachodnimi. Na południu Włoch wylądowały wojska sojusznicze i ogłoszono rozejm. W odwecie Niemcy okupowali prawie całe pozostałe włoskie terytorium. Badoglio wypowiedział im wojnę, ale bez wsparcia z zewnątrz nie udało się Niemców pokonać. I tu na arenę wkraczali alianci – kampania włoska rozpoczęła się już w lecie. Było więc jasne, gdzie wkrótce przyjdzie walczyć Drugiemu Korpusowi Polskiemu. Na razie wciąż się szkolili, przede wszystkim w terenie górskim, co miało imitować trudne włoskie warunki. Zaczęto również manewry taktyczne. Niedługo w praktyce będą mogli się przekonać, jak ich do tej pory teoretycznie tylko kształcone umiejętności,

sprawdzą się w rzeczywistym boju – gdzie będą i zwyciężeni, i pokonani. I żywi, i martwi...

Jan myślał o tym. I o swojej – możliwej przecież – śmierci. O seksie także myślał, bo seks, choćby na parę chwil, przesuwał wizję śmierci w niebyt. Seks to była pełnia życia.

Dlatego już rozumiał Romka i chłopaków. Władały nimi najbardziej podstawowe instynkty. Tak to natura urządziła, tylko siła woli mogła się temu przeciwstawić. I miłość, ale to musiało być mocne uczucie. I to go, nieoczekiwanie, utwierdzało w jego miłości wobec Zosi. Wieczorem patrzył w rozgwieżdżone niebo i wyobrażał ich sobie po wojnie. Noc za nocą w miłosnych uściskach. A potem – z dzieckiem, bo przecież i taki był zamysł ewolucji: seks, który jest przyjemny, prowadzi do nowego życia. Chciałby mieć dziecko z Zosią. Więc były już dwa silne powody, by nie dać się zabić.

W ogóle obserwował tu wpływ pragnień na działania ludzi. Tak było na przykład z dużą grupą Żydów, która dołączyła do Armii Andersa. Spośród nich sporą część stanowili syjoniści, którzy chcieli, by na terenie biblijnego Izraela powstało ich państwo. Osadnictwo żydowskie w zarządzanej przez Brytyjczyków Palestynie istniało, a teraz miałoby się zmienić w prawdziwy kraj. Piękne marzenie, Jan przecież to rozumiał, bo też tęsknił za Polską. Ona co prawda miała za sobą burzliwe dzieje i wiele lat niewoli, ale była, istniała na mapach. Żeby jednak pójść za tym głosem, trzeba było opuścić armię. Zdezercerować – tylko tak to było możliwe. A dezercja to zdrada, za dezercję są sąd i wyrok. Co zatem wybrać – wierność przysiędze wojskowej czy marzenie o własnym państwie? Wielu Żydów wybrało to drugie. I... nic. Nie wydarzyło się nic, co potwierdzało plotkę, że Anders zakazał żandarmerii ich ścigania. Że zgodził się na to, by zostali u siebie i walczyli o swój kraj.

Kiedy obracał w głowie te wydarzenia, Jan myślał też, że miał sporo szczęścia, że udało mu się pod te dowódcze skrzydła trafić. Wiedział, że daleko w Związku Radzieckim działa inna polska armia, to znaczy armia złożona z Polaków, których los nie puścił za sowieckie granice. Złe głosy o niej słyszał – że nie uznawała rządu

na obczyźnie, że prym w niej wiedli komuniści, że tak naprawdę to była w sowieckim władaniu. No ale walczyli naprawdę. I ginęli naprawdę. Ostatnia duża bitwa była pod Lenino. Podobno z żołnierzy zrobiono tam mięso armatnie. Nic dziwnego, ludzkie życie to od zawsze była w Związku Radzieckim najtańsza broń. Do jednorazowego użycia, ale wiele jej mieli.

Tak, Jan miał szczęście. I tej myśli zaczynał się bać. Ojciec powtarzał: „Szczęście człowieka psuje, nieszczęście hartuje”. Jan był już zahartowany i nie czuł się zepsuty. Może nie zawsze ojciec miał rację? Coś go ścisnęło w żołądku. Z ojcem nie miał kontaktu od czterech lat. Z mamą – rwany. Wciąż była w Furmanowce, wciąż przy pracach gospodarskich. Jasno wyczytywał z listu, że towarzyszy jej uczucie beznadziei – warunki bytowe coraz gorsze, kraj wypatroszony z zasobów, a przecież najgorsze jeszcze nie nadeszło. „Czekam na powrót do domu”; tym pięknym zdaniem mama kończyła każdy list. Tyle że domu już nie mieli. Te cztery drewniane ściany były wypełnione obcymi ludźmi, obcym językiem. Nic tam nie należało już do nich. To już w ogóle nie była polska ziemia. I Jan wątpił, by do Polski wróciła.

Tym mocniej trzymał się swoich prywatnych marzeń.

\* \* \*

### *Pod Lenino, jesień 1943 roku*

Był tam, w samym środku, ale kiedy teraz o tym myślał, to zdawało mu się, jakby wszystko obserwował z boku. Pamiętał tylko ogromne napięcie, chwilę, gdy strach go na moment uziemił, a potem Marian ruszył do przodu, jak maszyna.

Jeszcze przed chwilą panowała cisza, dokoła rozciągały się jesienna mgła, puste pola i jakaś melancholia, jak z oleodruków, które sprzedawali na rynku w Szczuczynie – wtedy się zastanawiał, po co komu na ścianie taki smutek, co duszę ściska, przecież lepsze byłoby coś weselszego, a później się zaczęło.

Dym i ogień, eksplodujące czołgi, samoloty wyrzucające z siebie ogień i spuszczone bomby, potykanie się o martwe ciała, dzikie spojrzenia i bagnety

w dłoniach. I ten ciągły krzyk: „Hurra! Hurra!”.

Marian też krzyczał i też parł naprzód.

Setka wódki, którą wszyscy dostali przed bitwą, już dawno z nich wyparowała. Teraz został tylko podstawowy instynkt – przetrwać. Albo ty zabijesz, albo zabiją ciebie. Nie znał wcześniej takich uczuć, nie przypuszczał, że potrafi się tak zachować. Różne były sytuacje z kolegami, bójki i mecze piłkarskie; czuł wtedy, jak się w nim kotłuje, jak złość lub niezwykła siła z niego buchają jak z chrapów rozzłoszczonego byka, ale to, czego tu doznawał, to było coś dużo silniejszego, zwielokrotnionego.

Dwa i pół dnia w ogłuszającym huku, w błocie, wśród nieżywych, konających lub rannych kolegów. Odwrot do okopów, próba uzupełnienia braków – ludzkich i broni, i znowu atak, za którymś razem wreszcie ze wsparciem artylerii.

Aż skończyła się amunicja. Jeszcze ją zbierali – na tym okropnym, krwawym pobojowisku, przeszukując martwych wrogów. Marianowi przeleciało wówczas przez głowę, że to takie bezsensowne – marnotrawienie ich sił i żyć. Zrobili z nich żywe – do czasu – tarcze. I jeszcze podczas odwrotu, w panice, tylu ich padło. Nic tu nie było zorganizowane. Marianowi, który leżał, oparty o zimną i wilgotną ziemię i słuchał świszających nad jego głową kul, przypomniła się matka, która często powtarzała ojcu, że powinien tak nad synem pracować, by ten chodził jak w zegarku. „Jak w zegarku”. No, tutaj nie było jak w zegarku. Marian pamiętał, jak ci obdarci żołnierze ze Wschodu, którzy ich na rampie wpychali do wagonów, mieli poupychane na nadgarstkach zszabrowane zegarki – dla nich nowość. Nic tu nie było jak w zegarku. Przed atakiem jeden z tych, co mówił łamanym polskim, próbował dodać im odwagi: „Odważnego lęka się nawet kula”. No to chyba nie byli odważni.

Trudno było się z tych myśli i obrazów otrząsnąć. I jeszcze z tego, co zrobili Niemcy. Z moździerza rozrzucaли ulotki, a przez megafon mówili to samo, co na tych kartkach było pisane: „Polacy! Zostawcie wojsko rosyjskie, przystańcie do nas! Oni was zdradzą!”.

Kiedy później Marian rozmawiał z Jurkiem, któremu też udało się przeżyć, powiedział: „To było tak, jakby piekło się wydobyło spod ziemi i próbowało nas wchłonąć”. Jurek spojrzał na niego i zapytał: „A te niemieckie nawoływania?”. Niby bez związku, ale głębiej była przecież intencja. Marian odparł: „Walczymy ramię w ramię z armią radziecką”. Jurek pokiwał głową, nie skomentował, ale to była znacząca cisza. Marian pomyślał jednak, że teraz najważniejsze to nie dać się zabić i wygrać Polskę, a potem... Potem wydawało się teraz niewyobrażalnie daleko.

# Rozdział 3

*Riazań, styczeń 1944 roku*

– Zostaniecie oficerem.

Marian spojrział na porucznika. Ten zaciągał z wileńska, ale przecież nie tak, żeby go nie zrozumieć.

– Oficerem? – powtórzył po nim.

– Oficerem. – Tamten wciąż się jeszcze uśmiechał.

– Ale ja... – Marian w pierwszej chwili zachłysnął się tym słowem. Oficer! No przecież to niemożliwe. Chłopak z Różanki nie zostaje oficerem. Takie rzeczy nie mogą się zdarzyć. Takie rzeczy by się nie zdarzyły – nie przed wojną, nie w Polsce. Wiele się w ciągu kilku ostatnich lat wydarzyło, ale pewien porządek spraw na tym świecie mocno jednak siedział w Marianie, dlatego dokończył: – ...do gimnazjum nawet nie zdążyłem dobrze pochodzić.

Twarz porucznika pojaśniała jak śnieg w dzisiejszym słońcu. Błysnął złoty ząb.

– Gimnazjum... Czego szkoła nie nauczyła, my tu nadrobimy. Chęci najważniejsze. Dawne czasy, gdzie liczyło się tylko, z jakiego ojca kto był, minęły. Dziś nie ma takich ograniczeń.

Marian już nic nie odpowiedział. Przecież to wszystko odbywało się uczciwie, oni proponowali, on się zgadzał. Zresztą – lepiej było się zgodzić. Wojsko na tym polega – na wykonywaniu rozkazów, nawet jeśli są propozycją. Za sobą miał już szkolenie w radzieckim dydaktycznym ośrodku chemicznym, więc liznął trochę teorii, nie tylko zawodowej. A teraz znalazł się w Riazaniu.

Zimy w Polsce były mroźne, a jakże, ale tu mróz ścinał zdecydowanie bezlitośniej. W ogromnej koszarowej sali, która znajdowała się na poddaszu okazałego budynku, ustawiono około stu dwupiętrowych metalowych łóżek. Gdy



Marian budził się rano i opierał ręką o ramę, miał wrażenie, jakby lodu dotykał. Jedyne, co ogrzewało to duże pomieszczenie, to było ciepło dwustu męskich ciał. Zesłańcy, skazańcy, lesoruby i kołchoźnicy – wszyscy mieli za sobą podobną przeszłość. Nie tylko zresztą tę sowiecką – wcześniej ich losy także były podobne. Marian nawet nie musiał o to pytać, to po prostu było widać i czuć. Skoro wejdiesz między wrony, musisz krakać tak jak one; tu nie było problemu z krakaniem – oni wszyscy byli jak jedno stado. No, prawie. Trzech takich jak Jurek się zaplatało. Inne twarze, inne słowa, inne wątpliwości. Dwóch trzymało się razem, Jerzego Marian ciągnął za sobą. Więcej już o nim wiedział. Chłopak był z Warszawy. Z samej Warszawy! Dwa lata starszy od Mariana, z lekarskiego domu. Wierzył mu, choć trudno mu było to sobie wyobrazić. Jurek został wysłany na wakacje do wujostwa, do jakiegoś majątku – a jakże – na Wschód. I stamtąd go zgarnęli do wagonów. Podzielił los tamtych ludzi, a teraz współdzielił go z Marianem. Obaj trafili na dodatkowy kurs upolityczniający, który mieli zakończyć z oficerską gwiazdką, a więc pomijając kilka szczebli kariery.

– To tyle warte co... – Jerzy od czasu do czasu fasował mu ten tekst.

Marian odpowiadał zawsze to samo:

– Ciszej mów.

Za pierwszym razem coś tam próbował Jurkowi wytłumaczyć, że przecież warunki odmienne, bojowe, że nie robią nic złego i że – to było najważniejsze – tu trzeba własne zdanie głęboko w kieszeń schować. A Jurek zachowywał się tak, jakby był w tej swojej Warszawie i wolno mu było gadać, co mu się umyśliło. Niby taki mądry chłopak, a podstawowej wiedzy o życiu mu było brak. No to Marian go uczył, a w zamian Jurek podciągał go z innej nauki – szkolnej. Szło im różnie, ale Marian jednak był lepszy. Pilniejszy.

Stali za podwórkową latryną i jedli lepioszki. Marian kupił jeszcze razowy placek, żytni, którym się dzielił z Jerzym. Niby szczapa, a wsuwał, aż miło.

Marian zjadł już swoją porcję, dożuwał jeszcze ciemną, wilgotną skórkę. W głowie przewijał treść dzisiejszego wykładu. „Idziemy do Polski najkrótszą

drogą... nasze wojsko jest i pozostanie apolityczne... zbudujemy Polskę Wolną i Niepodległą; ustanowimy parlament jednoizbowy... obszarnicza ziemia dla chłopów...” Dobrze mu to brzmiało. Co do parlamentu nie miał zdania, bo co on wiedział o senacie? To był tak odległy świat. Sejm też, ale ten już był bliższy. Ziemia dla chłopów – on by nie skorzystał, ale ojciec by się ucieszył. Znowu ścisk. Niczego z tego nieoczekiwanego dobra ojciec nie dożyje. Został w tej sowieckiej, obcej ziemi – taki kres za tyle lat ciężkiej pracy. A Marian, syn marnotrawny, może mieć lepiej. Życie bywa nieobliczalne.

– O czym tak myślisz? – Jurek też już skończył jeść. Elegancko przetarł usta chusteczką. Marian strzepnął rękaw, którym odruchowo omiół usta.

– O tym, że życie potrafi zaskoczyć.

Tak krótko to ujął, bo jednak było mu nieswojo obnażać się przed Jurkiem. Nic wstydliwego, chłopem był; jaka tu wina, że tak go los przydzielił? Podobnie – jaka zasługa Jurka, że w lekarskim domu dorastał? A jednak – coś takiego w nim siedziało. W takim przekonaniu wzrastał, i to uczucie gorszości, mimo że mierzył przecież wysoko, tkwiło w nim. Blisko pięć lat na sowieckiej ziemi zmieniło jego poglądy w tej sprawie, ale przy Jurku – odżywały. Ot, paradoks – lubił tego chłopaka, uważał, że ciągnie go tu za uszy, a jednocześnie czuł się przy nim gorszy. *Bez wódki nie razbieriosz*, tak się mówiło w Związku Radzieckim. Bywało, że Marian szedł za tą mądrością, ale zorientował się już, że to może się obrócić przeciw niemu. Im więcej pijesz, tym więcej potrzebujesz alkoholu. Aż w końcu zamiast mądrości będziesz mieć mózg jak sitko.

– Ogólna prawda życiowa. – Jurek się uśmiechnął. – Choć zwodnicza. Bo wiesz, tak naprawdę, życie nie zaskakuje. W gruncie rzeczy jest całkiem przewidywalne.

– O! – Marian podchwycił wesoły ton Jerzego. – To co szanowny kolega przewiduje dalej?

– Jedyna wątpliwość, czy przeżyjemy. Jeśli tak, na co są szanse jak jeden do dwóch – przy okazji, profesor Gołębski by ręce załamał, że tak prosto obliczam

prawdopodobieństwo tak złożonej sprawy, ale życie upraszcza naukę. Zatem – jeśli nas nie zabiją – to przyjdzie nowe. Nowe ma to do siebie, że jest przeciwieństwem starego. Komu było dobrze w starym, w nowym poczuje się źle. I na odwrót.

Wciąż się uśmiechał, ale to już był doklejonny uśmiech.

A Marian pomyślał, że to on będzie na odwrót. Właściwie to już się odwracał.

\* \* \*

*Ahwaz, wiosna 1944 roku*

Zosia przyciskała chusteczkę do ust.

– Nie mogę, nie dam rady.

Trzęsącą się ręką poprawiła kosmyk włosów, który wysunął się z ciasnego upięcia.

Ela podała siostrze kubek z wodą.

– Napij się – powiedziała miękko.

Patrzyła na nią z czułością, ale i ze zdziwieniem. Zosia, twarda i opanowana, zaprawiona w różnych okropieństwach, które przecież dotyczyły jej w sposób bezpośredni, teraz dała się pokonać? Były w amerykańskim szpitalu wojennym, który znajdował się nieopodal obozu. Obie z intencją pomocy, którą można będzie potraktować jako wstęp do kursu pielęgniarstwa. Czas mijał, żadnych wieści o nowej sposobności wydostania się stąd nie było, trzeba było zatem zająć czas i ręce. No i przecież kiedyś wróci normalność i cokolwiek ona będzie, praca stanie się koniecznością. Zosia uczyła dzieci, ale jakiś czas w tem w obozie pojawiła się prawdziwa nauczycielka, więc Zosia ustąpiła jej miejsca. „Wykwalifikowana osoba”, powiedziała siostrze. One obie były niewykwalifikowane. Do tej pory w ich rodzinie kwalifikacje nie były kobietom potrzebne. Nie znaczyło to oczywiście, że się nie kształciły, wręcz przeciwnie, odbierały staranną edukację, ale ona nie miała służyć żadnym utylitarnym celom – trzeba było mówić po francusku, grać na pianinie, znać klasykę, władać piękną polszczyzną, dużo czytać. Wiele nieprzydatnych w obecnych trudnych czasach

umiejętności. I żadna nie miała na celu umożliwić im zarobkowania, bo w ich rodzinie od zarabiania byli mężczyźni.

– Już lepiej? – Ela popatrzyła na siostrę.

Zosia kiwnęła głową.

– Sama nie wiem, co mi się stało. Przecież nie takie rzeczy... – Spojrzała w stronę, gdzie leżeli najciężej ranni. Miały tam z Elą zmienić pościel. Ciężka praca, bo wymagająca siły fizycznej – podnieść bezwładne ciało, wysunąć zużyte prześcieradło, rozścielić nowe, znowu ułożyć ciało. Określenie „ciało” było w tym przypadku najodpowiedniejsze, ponieważ ranni z tej części szpitala byli w takim stanie, że swoją obecność na tym świecie zaznaczali tylko cieleśnie i bezwładnie, jakby dusz już w nich nie było. Leżeli nieprzytomni, z zamkniętymi lub półprzymkniętymi oczami, czasem wydobył się z nich jęk bólu bądź niezrozumiałej skargi. Niekompletność była także widoczna w ich ciałach – bez nóg, rąk, z pokiereszowanymi klatkami piersiowymi, pozbawieni oczu, z odstrzelonymi genitaliami.

Zosia najpierw próbowała jakoś oswoić tę niekompletność ciał, a potem pomyślała o Janku. Ich też już przerzucano do Europy, na włoski odcinek. Słyszała, że panują tam trudne warunki, że kolejne wojska różnych narodów nie dają rady okupantom. Niemcy pod koniec zeszłego roku skutecznie zatrzymali ofensywę aliantów i zagrodzili im drogę do Rzymu. Miejscem, gdzie zbiegały się niemieckie linie obronne Niemców, był skalisty kompleks wzgórz klasztornych Monte Cassino, które zamykały jedyną drogę do stolicy Włoch biegnącą przez dolinę. Trudne warunki, żeby to wiedzieć, nie trzeba było być taktykiem wojennym. Zosia wyobrażała sobie, że ci, co napierają na wzgórze, są wystawieni jak na patelni. Jak wygrać taką bitwę? Jak nie dać się zabić?

A potem patrzyła na tych wymęczonych, kalekich żołnierzy w szpitalu i ścisnęło się jej serce. Ledwo co zaczęli dorosłe życie, a już im odebrano sprawność, siły, chęci, możliwości.

Przecież on nigdy..., pomyślała, gdy zobaczyła tego biedaka bez genitaliów. Zawstydziała się tej myśli. Była wojna, były zesłania, wiele ludzkich dramatów, a ją poruszyło właśnie to. A przecież chłopak ocalał życie, to było najważniejsze. Zosia pomyślała jednak, że kiedyś ta wojna się skończy, musi. A oni zaczną zwyczajne życie. Będą go tak głodni, że tylko w pierwszej chwili radość zapewni im sam fakt, że udało im się przetrwać. Bo później będą pragnęli nadrobić wszystko to, co jest przymiotem młodości, a co im zostało zabrane. Radość, śmiech, pocałunki, bliskość. Ten intymny świat, choć otwarty tylko na krótko, wracał do Zosi. Chciała takiego życia, takiej bliskości. Od tamtego wydarzenia odczuwała pustkę. Wiedziała, do czego może tęsknić, wiedziała, co ją omija. Myślała też o rodzicach. Znała ich historię – matka czekała na ojca, ich miłość musiała pokonać różne przeszkody. A kiedy już się pobrali – to było pasmo szczęścia. Teraz rozumiała gesty, miny i spojrzenia. I wiedziała, co się kryło za uśmiechem matki, kiedy wrócili z pewnej wycieczki we dwoje, a niespełna dziesięć miesięcy później na świecie pojawił się Krzyś. Krzyś... jak on ich spajał, jak na nowo obudził w nich parę, jakby dopiero co zostali małżeństwem i przeżywali pierwsze rodzicielstwo. I zaraz odzywał się w Zosi wyrzut sumienia – że ona nie chciała, odrzuciła to nowe życie. Niby to natura zdecydowała, ale przecież nie ma co oszukiwać, wola Zosi się spełniła. I dlatego Zosia poprzysięgła sobie, że gdy tylko los pozwoli jej połączyć się z Janem, ona niczego nie zepsuje, niczego nie zmarnuje – będzie najlepszą żoną i matką na świecie. Teraz aż zacisnęła dłonie, jakby chciała przed sobą przypieczętować tę przysięgę.

– Wojna jest. Trzeba się z tym oswajać.

Ela powiedziała to ciepło i współczująco, ale Zosia, jeszcze rozedrgana po ostatnich myślach, nie powstrzymała się.

– To zmienia ogląd spraw. – Wysunęła przed siebie dłoń z pierścionkiem. Ależ on dziwnie wyglądał w tej scenerii – bandaże, kuwety, wyciągi, pojękiwania, medyczne zapachy. Oraz szafir i szmaragdy. – Widzisz... – Zawahała się.

Niby były z Elą blisko, przecież zawsze razem, obok siebie, kochały się, życie by za siebie oddały, a jednak Zosia czuła, że się od siebie oddalają. Dorosły – każda

w trochę inną stronę. Zosi wydawało się kiedyś, że rodzina to taki połączony twór, w którym każdy jest podobną częścią, a dzieci to już na pewno. Co prawda różniły się wyglądem, ale to sprawa natury, co komu po przodkach przydziela. To, co wypracowane, przekazane, wpojone, powinno dać podobny efekt u każdego dziecka. Nie dało. I chyba w ogóle nie daje – człowiek niby się rodzi jak ta niezapisana kartka, *tabula rasa*, ale to nie do końca była prawda. Jakiś zasadniczy zrąb charakteru i temperamentu jest dany od urodzenia. Życie może to modyfikować, ale zmienić – nie.

– Trudno mi patrzeć na tych chłopców. Myślę o nich, myślę też o ich bliskich. Żonach, narzeczonych. Jeden dramat tu przekłada się na kolejne dramaty gdzie indziej. Ja bym... bardzo bym nie chciała przeżyć takiego dramatu. – Spojrzała na Elę. Trzy lata młodsza, w tym wieku to dużo. I bez żadnych doświadczeń damsko-męskich. I w ogóle jakoś tak... Mimo wszystko ciągnęła: – Boję się o Janka. Jeśliby jemu coś się stało, to ja bym... chybabym się nie pozbierała. Nie ma mamy, nie ma ojca...

– O tacie to przecież nic ostatecznie pewnego – przerwała jej Ela.

– Tak, tak... – Zosia wyrzuciła z siebie to zapewnienie. Szybko i automatycznie. – Tak powiedziałam, bo jego nie ma już tyle czasu, że trudno wprost uwierzyć, że...

– Ale ty wierzysz. Mocno.

Zosia miała wrażenie, jakby rozmawiała z Elą pierwszy raz w życiu. Przedziwne uczucie. To, co wcześniej było kwitowane przytaknięciem, kiwnięciem głową, teraz Ela formułowała w pytania albo odpowiedzi – takie, jakich nigdy nie było.

– Wierzę, oczywiście. W Boga, w Jego opiekę, w plan, jaki nam szykuje na ziemi. W miłosierdzie też – dodała, bo czuła, że w kontekście zaginionego ojca to jakoś niepełne.

– I jak w takim razie tłumaczysz sobie śmierć mamy i zniknięcie taty?

Nie, Ela nie była zaczepna. Stała i patrzyła na nią tymi swoimi brązowymi oczami, w których była jakaś nieodgadniona głębia. Kiedy ona się pojawiła?...

– Tym, że... – Urwała. Mogłaby podać jakiś tekst, miała je pod ręką. Wyglądzone od częstego używania. – Nie wiem, Elu – powiedziała jednak po chwili. – Naprawdę nie wiem. Nie umiem ci tego wyjaśnić. Sobie też nie. Na tym to chyba polega – rozum musi tu ustąpić przed wiarą. Łatwiej wierzyć, kiedy wszystko się układa. Można powiedzieć, że prawdziwym sprawdzianem wiary są czasy trudne.

Ela pokiwała głową, ale nic nie odpowiedziała. Zosia ją przytuliła; to był odruch, taki gest jak z czasów dzieciństwa, kiedy niczego się nie planowało, tylko po prostu robiło. Przez moment tamten czas wrócił – Ela była ciepła, miękka, bezpieczna. Oddała Zosi jej gest. Ale to już nie była tamta pierwotna bliskość. Coś się zmieniło.

– Wiesz, dobrze by było, gdybyś miała kogoś. Masz mnie, Krzysia, to oczywiste, ale chodzi o inny rodzaj obecności, który daje człowiekowi coś takiego, co go mocno trzyma, pcha do przodu. To jak Janek dla mnie, tata dla mamy...

Zosi już wcześniej przyszło do głowy, że mama się poddała, bo przestała wierzyć, że ojciec wciąż żyje. Zrozumiała to, kiedy jej bliskość z Janem weszła na inny poziom. Wcześniej sądziła, że mamę trzymają przy życiu oni – jej dzieci. I tak z pewnością było – zawdzięczali jej przetrwanie na zsyłce, ona z kolei dzięki nim odnalazła w sobie nadludzkie siły, których by z siebie w innych okolicznościach nie wydobyła. Kiedy tu przyjechali, coś się jednak zmieniło. Ich życia nie były zagrożone, one z Elą wyrosły. I stało się tak, jakby mama straciła ten życiowy napęd. Jakby spojrzała przed siebie, zobaczyła puste miejsce obok i już nie miała sił i ochoty. Może nawet nie tak mocno – po prostu przestała się boksować z życiem. I to wystarczyło. Tego Zosia już by Eli nie powiedziała. Raz, że jak to wytłumaczyć kobiecie, która nie ma ukochanego, a dwa – to jednak było zbyt intymne.

– A w ogóle to chciałam ci coś powiedzieć. – Zmieniła ton na radosny, prawie, prawie naturalny. – Bo wiesz – teraz odsunęła Elę na odległość wyciągniętych

ramion – jest tu taki jeden chłopiec. Mężczyzna. – Uśmiechnęła się. – Prawie już zdrów. Bardzo przystojny.

– A Janek? – Ela była zdumiona.

Po tym wszystkim, co siostra jej powiedziała, coś takiego?

– No przecież nie o mnie tu chodzi. – Zosia się zaśmiała, całkiem już szczerze. – Tylko o ciebie. On tak za tobą wzrokiem wodzi – powiedziała ciszej. – Kiedy szłaś do pokoju sanitariuszek, to aż się podniósł.

– Tak? – zdziwiła się Ela. Nie jakoś przesadnie; zorientowała się już, że może się podobać. Do tej pory uważała, że jest kaczuszką przy łabędzicy Zosi, ale teraz zmieniała zdanie. Nie była tak piękna jak siostra – urodą przedwojenną, eteryczną i romantyczną, ale na pewno była ładna – i to w sposób bardziej oczywisty, widzialny i... namacalny: krągły biust, wcięta talia, zaokrąglone biodra. Uroda Eli może nie zapierała tchu w piersiach, ale, to też Ela dostrzegała, mężczyźni niekoniecznie musieli przestać oddychać, by się zauroczyć. Kobiety mniej pomnikowe z pewnością wydawały się bardziej przystępne. A ich oczywiste walory... bardziej oczywiste.

– Tak, tak! Chodź!

Wzięła Elę pod rękę i ruszyła w głąb budynku. Szybko minęły ten nieszczęsny oddział z najbardziej poszkodowanymi. Sunęły korytarzem; łóżka były tak pogrupowane, że w jednym końcu szpitala leżeli ci, których życie wisiało na włosku, w drugim – ci, którzy byli tuż przed wypisem.

Zauważyła go, Zosia nie musiała dawać żadnych znaków. Bardzo przystojny i bardzo... bardzo nie polski. Z tego, co już zauważyła – po prostu amerykański. Oni wszyscy tacy byli – inaczej ulepiani. Inne twarze, mocno zarysowane szczęki, ładne zęby, jasne spojrzenia, gęste, ale gładkie włosy. Ten mógłby spokojnie dać twarz do reklamy albo nawet w filmie grać.

Ela minęła jego łóżko; widziała, że ją zauważył. Zwolniła, wyprostowała się, wypięła pierś, nagle zaczęła inaczej iść, stawiać stopę przed stopą, jakby płynęła. Lekko się tylko obejrzała, ale i bez tego wiedziała, że on odprowadza ją wzrokiem.



Uśmiechnęła się do siebie; więc to jest ta „kobieca siła”, pomyślała.

– No i jak? – Szept Zosi wsączył się jej do ucha. – Bardzo przystojny chłopiec, prawda? Może byś się nim zajęła? Pielęgniarsko, a potem... Może to właśnie ten jeden jedyny?

– *Miss!*

Ela słabo jeszcze знаła angielski, ale nawet gdyby nie znała go wcale, to i tak by wiedziała, że to do niej. I że to on.

Odwróciła się.

Ależ ładne miał to spojrzenie – błękitne jak niebo nad Niemowiczami.

\* \* \*

### *Do Polski, wiosna 1944 roku*

– Sarny. Wreszcie coś prawdziwie polskiego. Sarny, jak sarenka.

W wagonie rozległ się śmiech. Marian się poruszył. Pamiętał tę nazwę. Ela powiedziała, że jej dom był w Niemowiczach, kilkanaście kilometrów od Saren. Wyjrzał przez okno. Gdzieś tam, za horyzontem... Choć i tutaj musiała bywać, bo przecież tu pociągi, sklepy, urzędy. Życie.

– Było, minęło – powiedział Jurek. Dość głośno, tak, że i inni usłyszeli. Śmiechy trochę ucichły.

– Jeszcze będzie... – powiedział któryś, choć ciszej.

– Po wolność jedziemy! – To zawołał inny, głośniej.

Wagon potakująco zamruczał.

Marian spojrzał na Jurka, który nie przyłączył się do tego odzewu. Dziwny to był chłopak. Gdyby ktoś wcześniej powiedział Marianowi, że się z takim zbrata, wyśmiałyby go. Co oni mieli wspólnego? Gdzie by się mieli bliżej poznać, co by ich miało połączyć? Zresztą na pewno się trzymali na odległość, bo wiadomo, że swój ciągnie do swego. No ale nie było normalnie, była wojna i wszystko mogło się wydarzyć.

– Jurek. – Marian spojrzał na niego. – Nie siej... – Urwał. – Jak ty to mówisz, nie mogę sobie przypomnieć.

No nie mógł. Tyle się ostatnio uczył, że niektóre sprawy mogły mu jeszcze nie wejść na trwałe do głowy.

– Defetyzmu. *Défaitisme*. To całkiem nowy wyraz, od poprzedniej wojny w użyciu.

Jerzy patrzył na Mariana tak, że ten nie mógł się zorientować, czy za uśmiechem stoi sympatia, sympatia i pobłażliwość, czy może tylko pobłażliwość?

E, na pewno sympatia. Na tyle już zdążył go poznać.

– Właśnie. Nie siej go, tego defetyzmu. Jestem synem chłopca, co prawda niezbyt w ziemi rozkochanym, ale praktykę jakąś mam. Co zasiejesz, to zbierzesz.

Poklepał go po ramieniu.

Jerzy znowu się uśmiechnął. Teraz już bez wątpliwości szczerze.

– Nie jestem synem chłopca, więc się nie znam, a ty może masz rację.

Pociąg zasyczał, zadudnił i przyspieszył.

Sarny były już tylko coraz mniejszym punkcikiem, aż w końcu zniknęły.

\* \* \*

Pachniało Polską. To było prawie że niemożliwe, no bo jak drzewa miałyby wydzielać zapach, a jednak tak czuł. Jeszcze raz przysunął nos do chropowatej, wilgotnej kory. Zaciągnął się. Tak, to był ten sam zapach. Coś z natury, coś ziemno-mszystego, trochę jak kryjówka, takiego pierwotnego, a trochę jak strach. Chociaż ten strach to mu się nakładał ze wspomnień. Nie przytulał się do drzew, bo przecież nie był jak jakaś romantyczna panienska. Chował się wtedy przed ojcem. Coś mu strzeliło do głowy i podebrał matce pieniądze – wiedział, że chowa je pod powałą, a on chciał sobie kupić pasek – taki ładny, mocny, z solidnego kawałka naprawdę ładnej skóry. Elegancki. Już go tydzień wcześniej przyuważał na targu w Szczuczynie, ale kaletnik zaśpiewał za niego tyle, że bez nadziei, że miałyby to w tamtym momencie zarobić. No to podebrał pieniądze, a matka się zorientowała –

dużo szybciej, niż się spodziewał, bo się wybrali z ojcem na ten sam targ, ojciec po jakąś maszynę, umówioną, za odliczoną kwotę. No i była przykra niespodzianka, a druga wtedy, gdy się na tym targu spotkali. Marian dał nogę, no bo co można w takiej sytuacji? A potem się kręcił po lesie przy domu, a ojciec koło płotu chodził i go wypatrywał. I też był z pasem, tyle że w rękę. Stąd ten strach, który teraz Marianowi siadł na ramieniu. Tamten lęk był trochę dziwny – z jednej strony Marian się bał ciężkiej ojcowskiej ręki, którą już znał, upokorzenia, które się wiązało z krzykiem i wymierzaniem kary; z drugiej, bał się też czego innego – właściwie kogo innego: bał się siebie, swojej reakcji. Bo po raz pierwszy poczuł w sobie coś takiego, że mógłby się bronić, tak czynnie. Szarpnąć, nawet zamachnąć. Na ojca. Czuj ojca swego i matkę swoją, stukało mu w głowie, ale czuł, co czuł. Wszystko się wtedy rozmyło, bo dotrwał w tym lesie do rana, a kiedy wrócił, zziębnięty, bo to był wyjątkowo chłodny maj, to matka tylko go szmatą trzepnęła, ale tak bardziej na pokaz, bo zaraz miskę gorącego żuru postawiła. „Zostaw”, powiedziała tylko ojcu i ojciec odstąpił.

Teraz Marian też czuł taką emocję, żeby wyskoczyć, zaatakować, walczyć. Mieli mieć postój w Kiwercach, ale przed stacją, w lesie, musieli się zatrzymać. Nad ich głowami dudniły niemieckie eskadry – leciały na Równe. Wycie samolotów, wybuch bomb, huk armat przeciwlotniczych ustawionych w pobliżu peronów.

Dostali sygnał, żeby opuścić wagony i przejść do lasu. I tak tutaj stali, schowani za tymi grubymi pniami.

– Ruszyłyby się człowiek – powiedział do Jurka, który był tu razem z nim. – A nie stał jak kołek czy drzewo.

Trochę to może było buńczuczne, bo przecież znał już zapach potu, krwi i prochu, już wiedział, czym jest wojna, a jednak nie potrafił się pozbyć tej stałej podskórnej drżączki, która go pchała do przodu, wciąż do przodu.

– Drzewa też się czasem ruszają, na przykład taki las birnamski.

Znowu ten uśmiech–nieuśmiech Jerzego.

– Birnamski? A gdzie to? – Marian lekko się spiął, jak zawsze, kiedy nie wiedział, o czym mowa.

– W Szkocji.

– No i co tam się stało? Jak to drzewa się ruszały?

– To było dawno temu. I u Szekspira.

Tu już lepiej. Marian był przekonany, że to nazwisko słyszał, tyle że z bojowością nie miało ono nic wspólnego.

Hałasy cichły, naloty przestały szumieć nad ich głowami.

– Można wracać. – Marian spojrział w niebo. Pojaśniało i przetało się.

\* \* \*

Ich pociąg wreszcie wtoczył się na stację. Киверцы. To jednak było dziwne – jak to litery potrafią zmienić rzeczywistość. Zatrzymali się na prawym torze. Na lewym, na ich wysokości, stał inny pociąg – taki sam jak ten, do którego cztery lata temu Marian, jego rodzice i wielu innych wsiadali z rampy – jak towar, który się upycha na bocznicę. Tu też byli upchani ludzie, zobaczył ich przez małe, zakratowane okno.

– Co się tu dzieje? – zapytał ni to siebie, ni Jurka.

– Sołdaci kogoś pilnują. Widać kogoś ważnego, to znaczy niebezpiecznego, bo porozstawiani gęsto. I broń w gotowości do użycia.

Żołnierze zaczęli wysiadać, Marian też w końcu znalazł się na peronie. Podszedł bliżej; pilnujący nie zareagowali, po prostu stali – niewzruszeni, z kamiennymi twarzami, w rozkroku.

Marianowi natomiast wyraz twarzy się zmienił. Przez grubą kratkę, teraz już z bliska, zobaczył orła. Orzełka w koronie, na rogatywce. Poczuł na szyi, że krew zaczyna szybciej w nim krążyć.

– Nasi.

Jurek stanął za nim. Powiedział to cicho, ale nie z obawy, tylko dlatego, że gardło miał ściśnięte, tak samo jak pięści.

– Kto to? – Marian starał się zapanować nad głosem.

Nikt z tego pilnującego szpaleru mu nie odpowiedział, więc zapytał raz jeszcze:

– *Kto eta?*

Jeden z żołdatów w końcu się odezwał:

– *Polskije faszysty.*

Marian dotknął szyi. Pod palcami poczuł nabrzmiąłą żyłę. Żołądek mu się ścisnął. Mniej myślał, więcej czuł.

Wśród żołdatów zapanowało poruszenie. Coś zaczęli do siebie wykrzykiwać ci, co stali kawałek dalej, na końcu tych wagonów. Marian wyłapał: „dawaj”, „skorjeje”. Ponieważ szpaler z karabinami się rozstąpił, Marian podszedł bliżej.

– Kto wy? Skąd tu? – Teraz pytanie padło przez kratkę, do środka wagonu.

– Polacy. Prawdziwi. Najpra...

W tym momencie głośny gwizd zagłuszył wszystko. Marian spojrzał w stronę, skąd ten dźwięk dochodził, i zauważył, że do wagonów podczepiono lokomotywę. Skład ruszył, wciąż jeszcze eskortowany przez żołdatów z bronią.

– Pojechali. Na wschód. – Jerzy w końcu się odezwał. W rękę trzymał swoją czapkę – tę, gdzie na godle orzeł był bez korony.

\* \* \*

*Monte Cassino, wiosna 1944 roku*

„Żołnierze! Kochani moi bracia i dzieci. Nadeszła chwila bitwy. Długo czekaliśmy na tę chwilę odwetu i zemsty nad odwiecznym naszym wrogiem”.

Jan przypominał sobie słowa generała Andersa, które odczytano im przed ich pierwszym natarciem. Dodawały im wtedy otuchy, choć bojowy duch w nich i tak był zwarty i gotowy do walki.

„Zadanie, które nam przypadło, rozśławi na cały świat imię żołnierza polskiego. W chwilach tych będą z nami myśli i serca całego narodu,

podtrzymywać nas będą duchy poległych naszych towarzyszy broni. Niech Lew mieszka w waszym sercu”.

Lew mieszkał w sercu Jana i jego współtowarzyszy – cały czas, kiedy płynęli ku Europie, kiedy wyokrętowali ich w Neapolu, kiedy zbliżali się do pierwszego celu swojej podróży, czyli do Monte Cassino.

Dotarli tu, żeby walczyć. Po latach zesłania, bo znakomita większość z nich miała za sobą sowiecką katorgę, po tygodniach ćwiczeń na sucho czekali okazji, żeby ruszyć do boju. Morale i odwaga – tym byli wysyceni.

Tu, na miejscu, ich ambicje zostały podbite. Przed aliantami była czwarta bitwa o przełamanie linii Gustawa – każda poprzednia kończyła się fiaskiem. Brytyjczycy i Amerykanie już wycofywali się z frontu włoskiego, by brać udział w innych operacjach. Nowozelandczycy opuścili ten teren jeszcze wcześniej. Cała nadzieja w polskim korpusie – to miał usłyszeć generał Anders od generała Leese’a. Co można było zrobić w takiej sytuacji? Tylko jedno – zgłosić swój akces. I generał Anders tak zrobił. Każdy by tak zrobił, pomyślał Jan. To znaczy każdy Polak. To przecież były ich cechy – niezłomność i dzielność.

„Żołnierze – za bandycką napaść Niemców na Polskę, za rozbiór Polski wraz z bolszewikami, za tysiące zrujnowanych miast i wsi, za morderstwa i katowanie setek tysięcy naszych sióstr i braci, za miliony wywiezionych Polaków jako niewolników do Niemiec, za niedolę i nieszczęście Kraju, za nasze cierpienia i tułaczkę – z wiarą w sprawiedliwość Opatrzności Boskiej idziemy naprzód ze świętym hasłem w sercach naszych: Bóg, Honor i Ojczyzna”.

Sowieci rozsiewali plotki, że Polacy nie chcą walczyć. Kto by mógł zdzierżyć takie haniebne kłamstwo? Zwłaszcza że podobno w zachodniej prasie też zaczęły się pojawiać takie sformułowania. Może to z tego powodu, a może z innego, niedostępnego szeregowym żołnierzom, nie stało się tak, jak to jeszcze kilka tygodni temu miało być – że walki Polaków na włoskim froncie – tak, ale że ich działania nie będą przełamujące.

Jan widział w tym jakiś zamysł taktyczny, ale jednocześnie i niewiarę w ich możliwości.

Zatem działania przełamujące były, to znaczy miały być. Wcześniejszego rozeznania terenu nie przeprowadzili. To nie decyzja Andersa, tylko Brytyjczyków, którzy mieli tu przecież głos nadrzędny. Sens jasny: Niemcy nie mogą wiedzieć o zmianie jednostek na pozycjach.

To, że startują na „hura”, to już było polskie działanie. Jan się wtedy nad tym nie zastanawiał. To współgrało z jego duszą, poza tym odpowiadało potrzebom chwili.

Ale potem...

Lało. Skały, na które mieli się wspinać, były tak śliskie, że ich podkute buty nie dawały rady. Nie dawały rady także nerwy niektórych żołnierzy. Napięcie, lęk, zwykłe ludzkie odruchy, które się w nich obudziły, zaczęły brać górę. Nie byli przecież maszynami, tylko zwykłymi chłopakami, którzy w krótkim czasie zmienili się w żołnierzy. Różna była ich kondycja – i ciała, i ducha, różny wiek. Kiedy Jan odtwarzał później w głowie scenki z tej bitwy, jasno dostrzegł, że walczyli z młodymi żołnierzami, którzy dodatkowo mieli dopracowaną technikę – trzysobowe grupy szturmowe, z konkretnym podziałem zadań. *Ordnung*.

W masie, w grupie – Polacy wykazali się męstwem, nieustępliwością. Tak podobno mówili o nich Niemcy, których jednak nie pokonali. Związali część ich sił, ale to wciąż było za mało.

Dlatego teraz czekali na kolejny szturm – następnego, czyli szesnastego dnia maja.

Szymański, dowódca brygady, miał zameldować, że jego zdaniem wszyscy wykonają zadanie. A później, już nieoficjalnie, dodać, że zrobią to bez entuzjazmu.

W Janie był entuzjazm.

Choć... Szczerze mówiąc, czyli tylko do siebie, w duchu, podsycał go rozumem. Przypominał sobie swoje chłopiące marzenia. I opowieści pana Kuryłki

– na przykład tę o walkach pod Chocimiem. I o płaczącym Osmanie II, który patrzył na pole bitwy – pole jego klęski.

Gorączkował się wtedy tymi opisami, patriotycznie wzruszał chwałą polskich żołnierzy. Być taki jak oni!... Jakie to musi być uczucie, jaka duma. I jeszcze to, że się zapisze dla potomnych – na zawsze już, w glorii chwały.

To wszystko wspierał wolą, ale chyba każdy z nich tak miał?... Nie toczyli tu takich rozmów, raczej żartobliwe wymiany zdań, które miały spuścić napięcie. I trochę gadania o dziewczynach. Byli farciarze, którzy nosili przy sobie fotografie swoich narzeczonych – małe, czarno-białe prostokąty-amulety. Wystarczyło wyciągnąć i popatrzeć. Wracały wspomnienia, a wraz z nimi plany na przyszłość. „A już po wszystkim...”

Jan też miał takie plany. Wszystko po kolei – najpierw wygrać wojnę, potem toczyć małe potyczki z życiem. Choć o co z Zosią by mieli się potykać?...

Pewnie każdy z nich miał w tyle głowy obawę, że nawet jeśli ta bitwa zostanie wygrana dla aliantów, to dla nich – każdego z osobna – może się okazać ostatnią. Ale – i to była dla Jana nowość – w chwili gdy przyszedł rozkaz rozpoczęcia szturmu, człowiek przełączał się ze zwykłego trybu w nadzwyczajny. Zmysły wyczulone, tętno przyspieszone, w głowie hasło: walcz. Później dołączyło drugie: nie daj się zabić.

I to „nie daj się zabić” powracało do niego jak bumerang, gdy zasypiał piętnastego maja czterdziestego czwartego roku pod ruinami zbombardowanego klasztoru na Monte Cassino.



# Rozdział 4

*Ahwaz, wiosna 1944 roku*

Ależ to było dobre!

Krzyś nigdy nie miał w ustach niczego równie niezwykłego. Słodkiego. Soczystego. Dziwnego. Śmiesznego. No po prostu wyjątkowego.

– Smakuje ci? – Ela podparła się pod boki i patrzyła na brata z uśmiechem.

Rozczulający był. W tym roku skończy sześć lat, a wciąż jeszcze miewał takie zachowania, jakie się przydarzają młodszym dzieciom.

To było dziwne połączenie – z jednej strony Krzyś został pozbawiony dzieciństwa, życie od razu rzuciło go na głęboką wodę, taką, gdzie trzeba umieć pływać, i to dobrze. Żadnego pluskania się, beztroskich zabaw na brzegu. Czasem, kiedy patrzyła w jego oczy, widziała w nich Krzysztofa, nie Krzysia. Nawet wtedy, gdy był na tyle mały, że nie potrafił dobrze mówić.

Z drugiej strony – zdarzały się absolutnie rozczulające sytuacje, kiedy Krzysiewi trafiały się jakieś okruchy zwyczajności, jak na przykład ta guma do żucia.

Choć właściwie...

Ela nigdy nie żuła takiej gumy. Pańskie skórki – tak, znała, ale to było co innego. Tamto zaklejało zęby, trudno było buzię otworzyć, jakby się człowiek słodkiego kleju najadł. Tutaj – było elegancko. Guma sprężysta, gładka, można było nią obracać w buzi, zmieniać kształt i jej nie ubywało.

– Ależ ma radość.

Zosia przystanęła obok siostry.

– Ano. Miło patrzeć. – Ela nie odrywała wzroku od brata.

– Na ciebie też – dodała Zosia.

– Na mnie? A to dlaczego? – Ela w końcu przeniosła spojrzenie z Krzysia próbującego wydmuchać z gumy balona na Zosię.

– No... Taka jesteś ostatnio pogodna, zadowolona. – Zosia umilkła. Widać było, że nie ma ochoty dokończyć myśli.

– Jestem zwyczajna. – Ela też postanowiła grać w te grę.

– Daj spokój, znam się na tym. Wiem, jak to jest, kiedy...

– No kiedy co?

Krzyś trzymał w dłoni jeden koniec gumy i rozciągał go w ciekawą nitkę. Potem nawijał ją na palec i z powrotem wkładał do buzi.

– Niehigienicznie. – Zosia westchnęła.

– Nie przesadzaj. Tyle tu przeżył, że taka zabawa mu nie zaszkodzi. Chcesz? – Sięgnęła do kieszeni spódnicy po drugą paczkę gumy. Ta, którą miała dla Krzysia, nazywała się Juicy Fruit. Ta, którą zachowała dla siebie, bo Krzysiu nie podszedł miętowy aromat – Spearmint.

– Nie, dziękuję. Ząb mnie ćmi, chyba będę musiała coś wreszcie przedsięwziąć w tej sprawie.

– Koniecznie.

Ela odwinęła papierek. Podsunęła sobie cienki listek pod nos. Ależ pachniało! Przymknęła oczy. Przypomniało się jej suszenie mięty w lecie. Pomagała mamie zbierać listki, a potem rozkładać je na płótnie. Później, kiedy już podeschły, oglądały je wspólnie, by nie schować do pudełka żadnego popsutego, boby zainfekował inne. Włożyła gumę do buzi. I poczuła, że uśmiecha się tak jak Krzyś.

– No dobrze, powiedz wreszcie, nie drocz się ze mną – będzie coś z tego? – Zosia patrzyła na nią.

– Z... – „Czego”, chciała odpowiedzieć Ela, ale uznała, że już dość zabawy.

– No z... tego chłopca. Pana Wrigleya. – Zosia spojrzała teraz na nazwę firmy produkującej gumy, wypisaną na opakowaniu dużą czcionką.

– A co ma być? – Ela obracała w dłoni paczuszkę.

– Och, daj spokój! Przecież widzisz, że on jest tobą zainteresowany. Bardzo! Te spojrzenia, te westchnienia, te prezenciki...

– Gumę dał dla Krzysia. Czuły gest wobec sieroty.

– Ty też jesteś sierotą. I to taką, która wpadła mu w oko. Zresztą on też ci się podoba, nie zaprzeczaj.

Ela nie zaprzeczyła. To był bardzo przystojny chłopak. Teraz już w całkiem niezłej formie – towarzyszyła mu podczas spacerów i miała wrażenie, że czuł się lepiej, niż to okazywał. Ewidentnie chciał jeszcze zostać w szpitalu. I Ela domyślała się, co, a raczej kto jest tego powodem.

– Może powinnaś iść za tym głosem?

Niby pytanie, ale bardziej sugestia.

Ela nic nie odpowiedziała. Żuła gumę – rytmicznie, raz za razem obracając ją językiem i zębami. Słodko-miętowy aromat wypełniał jej buzię.

– Wojna niedługo się skończy, alianci mają sukcesy, nasi chłopcy wygrali pod Monte Cassino... – Zosi załamał się głos. Od kiedy Jan popłynął do Włoch, modliła się dwa razy dziennie. Zaczynała i kończyła kolejną dobę prośbą, by jego życie zostało ocalone. Widać Bóg znowu słyszał jej modlitwy. – Będzie nowy świat. I twój mógłby być od razu dobry. Wyobrażasz sobie – ty w Stanach? Nie do uwierzenia – kiedyś. A teraz – realne.

Ela przyjrzała się siostrze. Zosia mówiła to z takim entuzjazmem, jakby to jej samej dotyczyło. Albo jakby już było zdecydowane.

Zacisnęła szczęki; wydobyła z gumy kolejną porcję aromatu. Przypomniała sobie scenę sprzed dwóch lat, z Taszkientu. Wtedy też miała zaciśnięte zęby – z emocji. W ustach sucho, w piersi drżenie, kolana – miękkie. Krajobraz dokoła ponury, przyszłość niepewna, ale wówczas liczył się tylko on. Punkt na osi czasu, od którego sprawy toczyły się już innym rytmem. Hipotetycznym, głos w środku mówił jej jednak, że takim, który się ziści.

– Pewnie tam ładnie. Ale ja...

Nie chciała mówić, bo mimo wszystko wolała nie zapeszać. No i gdyby jednak coś nie wyszło, Zosia byłaby świadkinią jej niepowodzenia. Ela by nie zniosła słów współczucia od szczęśliwej siostry.

– Ja mam inne plany. Nie chciałabym opuścić Polski. Chcę tam wrócić, do domu.

To była prawda, ale prawdą było też to, że nie wyobrażała sobie Mariana gdzieś za granicą – po prostu nie. On raczej również zostanie w kraju. I się odnajdą. Choć z boku mogło to wyglądać jak mrzonka zakochanej dziewczyny, Ela była tego pewna.

– Naprawdę? – Zosia próbowała ukryć zdumienie. – No to znaczy rozumiem, też mi tęskno do ojczyzny, ale to jest... szansa, tak to nazwę. Poza tym to naprawdę bardzo interesujący mężczyzna. Zastanów się jeszcze, Dudka.

Dudka. Zosia już dawno jej tak nie nazywała. Jeszcze w Niemowiczach, kiedy była mała i świat jawił się im obu absolutnie nieskomplikowanie, a potem – już nie.

– Takie życie mogłoby ci dobrze smakować. – Zosia się uśmiechnęła, jakby na zachętę.

Ela wykonała kilka ruchów zuchwą. Guma stwardniała i straciła swój aromat.

\* \* \*

### *Przebraże, wiosna 1944 roku*

Wiosna, taka piękna, jak piękne może być tylko to, co stworzyła natura.

I jeszcze ten smak w ustach – błogość. Oderwał kolejny kawałek bułki, resztę schował do kieszeni.

Zieleń w najbardziej nasyconym odcieniu – majowym. Czysta, głęboka, prawdziwie żywotna. Było ciepło, ale nie gorąco, słońce świeciło akuratnie – tyle, żeby człowiekowi ogrzać plecy, ale nie spocić karku. Czasem przysłoniła je chmura, ale nie w tym momencie – teraz niebo było nieskalane.

Skąd mu się wzięło to „nieskalane”? Przecież tak to tylko w kościele ksiądz mówił, a Marian już dawno nie był w kościele. Zdarzały się tu msze, ale to raczej

na początku, obecnie rzadziej. Nic dziwnego, warunki się przecież zmieniły. W Sielcach byli na „rozruchu”, a teraz jak prawdziwe wojsko. To znaczy nie w tym momencie, bo od kiedy wylądowali w Kiwercach, cały czas siedzieli w obozie rozbitym pod Przebrażem. Na początku mieli zadanie – pilnować beli siana, które przyjechały tu razem z nimi jako jedzenie dla ich koni. Praca prosta i lekka, i jeszcze miała tę zaletę, że dzięki niej poznali miejscowych – Polaków, którzy tu żyli. Oferowali im oni różne produkty na sprzedaż, między innymi mleko i bułki. Białe, takie jak Marian pamiętał z dawnych czasów. Rarytas po czarnym jak ziemia i kwaśnym chlebie, który do tej pory w siebie wrzucał. Nie za twarda i nie za miękka skórka, sprężysty miękisz, lekka słodycz na podniebieniu. Coś tak prostego i tak przyjemnego. I wymagającego zapłaty, jak wszystko. Z żołdem było krucho, ale nadarzyła się okazja. Z okazjami w ogóle jest tak, że trzeba je chwycić, bo nie wiadomo, kiedy się zjawią kolejne – i czy w ogóle. A podczas wojny to już w ogóle nie ma się co namyślać. Dlatego Marian się nie namyślał, tylko zgarnął cztery butelki amerykańskiej wódki, które przyjechały tu w transporcie kolejowym. Pomagał w rozładunku i widział, jak co któraś flaszka znika, przechwycona sprawną ręką kolegi. Sam by może tego nie zrobił, ale skoro to już się działo i ktoś będzie miał korzyść, to czemu nie? Okazja czyni obrotnego. Jerzy też to zauważył, ale się nie przyłączył. Nie skomentował, dalej po prostu robił to, co im wyznaczono. Po wszystkim Marian sprzedał cały swój wódczany zapas i teraz mógł się dożywiać – i to takimi rarytasami jak białe pieczywo.

Kiedy wracał z zakupem od gospodyń, które podchodziły do granicy obozu, okazało się, że wszyscy już się zbierają na polanie. Nie brzmiało to jak zaproszenie na zebranie albo inną pogadankę. Od razu było jasne, że to coś poważnego – wbrew tym ładnym okolicznościom przyrody i pogodnemu dniowi.

No i się Marian nie pomylił.

Polana była malownicza; akurat na jakiś landszafcik, zwłaszcza z powodu tej wiosny. W oddali, kawałek od Mariana, ale na tyle blisko, by wszystko widzieć, rosła duża olcha. Wysoka, rozłożysta, o jasnym pniu, jakby go coś wybieliło.

Od tej białawej kory odcinała się sylwetka sierżanta Piotrowskiego. Ręce wygięte do tyłu, dłonie pewnie mocno związane, bo stał, jakby w ogóle nie mógł się ruszyć. Jak skamieniały. A może to strach go tak trzymał? Bo jak by miał się zachowywać ktoś, kto za chwilę umrze?

Marian już raz to przerabiał, wtedy, z szeregowym Kornikiem. Tam to była dezercja, to znaczy chęć dezercji, ucieczki tuż sprzed pola walki. Trzeba było przykładnie ukarać, żeby innym nie dać sygnału, że tak można. Czy Berling nie mógł ułaskawić tego nieszczęsnego chłopaczka? Mógł, ale widać uznał, że dla dobra ogólnego, większego taki pokaz siły – formalnie sprawiedliwej – będzie lepszy. Marian już nie wracał do tamtego pamięcią – przeszło, minęło.

A tu? Marian wiedział, jak było. Piotrowski wybrał się do Równego, dokąd po zesłańczej tułaczce wróciła jego ciotka. Jedyna krewna, wychowywała go, bo wcześniej został sierotą. I nadal był sierotą, ponieważ pomyślał sobie, i słusznie, że nie dostanie przepustki, ale to nic, bo przecież ma plan zastępczy. Powiedział kilku kolegom, co i jak, i że jak najszybciej wróci. I wrócił, a właściwie to go żandarmeria odwiozła – zgarnęli go na dworcu, żadnych tłumaczeń nie słuchali. Tutaj sąd wysłuchał, ale i tak wydał taki sam wyrok jak na Kornika.

Marian myślał, że może mu zamienią – więzienie, kompania karna, coś, co będzie karą, ale i nauzką.

Z tej nauki, którą Piotrowski miał zaraz odebrać, on sam już nie skorzysta, bo zmarli się nie poprawiają. Może kto inny.

– ...przykład dla każdego, kto się pokusi o dezercję. Ochotnicy do wykonania wyroku?

Marian spojrział na czubki swoich butów. Widział już wiele śmierci – po tamtej stronie, z głodu, chorób, wycieńczenia. Po tej – w boju, w działaniu. Ta miała być drugą po egzekucji Kornika celową i na chłodno przeprowadzoną.

Poczuł ucisk w żołądku – z głodu, na pewno, bo towarzyszyło mu burczenie. Zdążył zjeść tylko dwa kęsy bułki. Ale był to też odgłos niewypowiedzianej słowem niezgody. Marian wierzył Piotrowskiemu: chłopak – kilka dni temu

skończył osiemnaście lat, wciąż wyglądał jak gimnazjalista – zrobił głupio, ale czy za głupotę trzeba umierać?

Ochotników nie było, wywołano więc żandarmów. Sześciu stanęło w równej linii. Wyciągnęło broń i wycelowało w napięte jak struna szczupłe ciało przywiązane do olchowego pnia. Marian wsunął dłoń w kieszeń. Wciąż patrzył w ziemię.

A potem dwa głosy przecięły się w ciepłym majowym powietrzu:

– Pal!

– Precz ze Stalinem! Niech żyje Polska!

Seria prawie równoczesnych strzałów.

Gdy Marian wracał do namiotu, mijał tę olchę. Niby wolał odwrócić wzrok, ale to jednak było silniejsze od niego – spojrzął. Jasną korę pokryły czerwone rozbryzgi. I znowu ten ucisk, bolesny, jakby mu się żołądek do pleców przykleił. Pomyślał, że jednak musi coś zjeść, na rozkurcz i żeby nie czuć żółci w gardle. Sięgnął do kieszeni po bułkę. Ze zdumieniem odkrył, że zamiast zwartego kawałka pieczywa ma tam rozdrobnione palcami okruchy.

\* \* \*

*Monte Cassino, wiosna 1944 roku*

– „Wojska alianckie zdobyły Monte Cassino”.

Jan chyba po raz pierwszy widział Romka tak poważnego. Bo Kwiatkowski zawsze i ze wszystkiego żartował, i to w jednym, mało obyczajnym wydaniu. Towarzyszył temu specyficzny uśmieszek i błysk w oku – zaczepno-figlarny. Teraz w jego spojrzeniu nie było grama uśmiechu – tylko złość.

– I co jeszcze? Może ci Brytole dodadzą, że na wzgórzu trzepotała aliancka flaga? Taka wspólna dla wszystkich, biało-czerwona, co? Żeby ich, psiakrew!

Jan najpierw pomyślał, że Romek sobie żartuje – byłby to żart w marnym wydaniu, ale nie takie sztuki Kwiatkowski skuteczniał. Okazało się jednak, że nie, że tak było naprawdę. BBC podało, że Monte Cassino zostało wyzwolone spod

niemieckiej okupacji dzięki bohaterskiej postawie aliantów. Czy była to prawda? No była, w końcu żołnierze Drugiego Korpusu to alianci. Czy w tej prawdzie zastosowano bolesne i krzywdzące ich pominięcie? Tak, to też była prawda. Jan pomyślał, że coś niedobrego działo się ostatnio z tym terminem. Kiedyś prawda była jedna, czysta jak kryształ, teraz robiła się z tego drobnica.

– Gdyby ci Brytole tu byli, inaczej by gadali. Gdyby na przykład takiego Zbyszka widzieli, co to pod niemieckim ostrzałem dobiegł do bunkra, granaty wrzucił i jeszcze ostrzelał wewnątrz ze swojego thompsona, a jak Wejman został ranny, to go na własnych plecach, czołgając się, odciągnął. A kolejnego dnia znowu do ataku, na czele. Jak im celowniczego RKM-u ranili, to wziął od niego breń i dalej walczył, i znowu do bunkrów, i znowu granaty wrzucać. I tak do wygranej. Zresztą komu ja to mówię? – Kwiatkowski się rozejrzał. – Każdy z was tam był. I każdy walczył, nie oglądając się na własne życie. Każdy z was i z tamtych, co już ich nie ma wśród nas, to bohaterzy. Polscy bohaterzy! A oni nas traktują tak jak zawsze, jakby nas znowu na mapach nie było i nigdy miało nie być, psia ich mać!

Zaległa cisza. Jan też milczał. Czuł tak samo jak Romek, tyle że miał w zanadrzu nadzieję, która trochę hamowała jego złość.

– Masz rację, ale przyjdzie czas na pełną prawdę. Na opowiadanie ze szczegółami, jak to było. Wojna się skończy, a nasze poświęcenie, nasza przelana krew nie pójdą na marne – odezwał się w końcu Jan. Głos mu drżał – trochę ze zmęczenia, a trochę dlatego, że on też publicznie nigdy wcześniej nie uderzał w wysokie tony.

Romek patrzył na niego bez słowa.

– Alianci nam pomogą – ciągnął Jan. – Nie zostawią nas na pastwę Rosji. To będzie siła sojuszu.

– Siła sojuszu? – powtórzył za nim Roman. – No, może. Tylko którego? Bo żeby nie było tak, że mocarni znowu razem, a sieroty do kąta.

\* \* \*



*Teheran, lato 1944 roku*

– Nie jestem sierotą! Nie jestem, nie jestem!

Nic więcej nie widział i nie słyszał, tylko ten swój krzyk. W oczach mu pociemniało – najpierw dlatego, że tak go to słowo zabolalo, a potem zacisnął powieki i zaczął walić na oślep. Tamten nie pozostał mu dłużny. Inne dzieci próbowały ich rozdzielić, ale bez efektu – Krzyś i Antek tak się zaciętrzewili, że dopiero opiekunkom udało się ich od siebie odciągnąć.

I teraz obaj stali, wciąż jeszcze dygocząc, w bezpiecznej odległości od siebie.

Krzyś był spocony, łzy spłynęły mu aż na szyję, a pod nosem rosły bąble smarków.

– Chłopcy, co się stało? – Opiekunka trzymająca dłonie na plecach Antka patrzyła to na jednego, to na drugiego.

– On powiedział, że ja jestem sierotą! – Krzyś się trząsał i nie potrafił tego opanować. Chętnie by się wtulił w białą spódnice opiekunki, żeby się uspokoić, ale nie miał odwagi – to w końcu obca osoba, zresztą on był już duży. A duzi chłopcy muszą sobie radzić sami. „Jesteś już duży, spróbuj zrozumieć” – mówiła Ela, kiedy tu przyjechali. Nie chciał jej zawieść, naprawdę nie chciał, ale nie wyszło. Poczul, że łzy znowu napływają mu do oczu.

– Bo jesteś! Tu jest przecież sierociniec! No to niby dla kogo? Dla tancerzy albo dla gruźlików? No przecież, że dla sierot. – Antek miał jedenaście lat i mimo że z wyglądu niewiele starszy od Krzysia, teraz szybciej się opanowywał. – Tutaj wszyscy są sierotami, taki los – dodał, już całkiem spokojnie.

– Ja nie! Ja mam Elę i Zosię. I tatę! – Krzyś aż podskoczył.

– To są siostry, nie rodzice. – Antek pokręcił głową.

– Ale tata jest! – Krzyś się upierał. I choć niby miał rację, to znowu zaczęło nim telepać.

– No to gdzie jest twój tata? – Antek nie był już zaczepny; wyglądał nawet na smutnego, ale odpuścić nie chciał.

– Walczy. Z Sowietami. Od samego początku walczy!

Antek pokręcił głową. Spojrzał na opiekunkę.

– Proszę pani, pani mu powie. No przecież jak ktoś nie pisze od kilku lat, to...

– Chłopcy, chłopcy! – odezwała się ta, która wcześniej przytrzymała Krzysia. Teraz głaskała go po plecach. – Czasy są niełatwe, po co dokładać sobie smutku? Tu jest dom dla wszystkich dzieci, które są bez rodziców lub opiekunów, a dla niektórych to chwilowy stan. I nie zawsze jest tak, że jak ktoś zaginął, to już się nie odnajdzie. Trzeba wierzyć. A teraz się przeproście i idźcie się bawić. – Popatrzyła na obu chłopców, ale żaden z nich nawet nie drgnął. – No... – Delikatnie popchnęła Krzysia do przodu. Druga opiekunka zrobiła to samo z Antkiem.

Po chwili wahania obaj wyciągnęli do siebie dłonie, ale nie patrzyli sobie w oczy. I obaj mruknęli pod nosami coś, co miało brzmieć jak „przepraszam”; u Antka było trochę wyraźniejsze.

Po południu Antek przyszedł do Krzysia; znalazł go w ogrodzie.

– Ładnie tu, prawda? – zagał.

Krzyś milczał. No było ładnie, jak to wśród drzew i innej zieleni. Lubił tutaj przychodzić, tu się czuł dobrze. Zosia powiedziała, że podobnie było obok ich domu. Może to dlatego? Może takie sprawy się czuje?

– Nie bocz się. Głupio wyszło, nie chciałem. – Antek wyciągnął dłoń, teraz w sposób bardziej zdecydowany.

Krzyś próbował szpicem buta wydłubać kamyk z ziemi. Nie udawało się, może dlatego, że stopa mu się suwała w za dużym trzewiku.

– Naprawdę, słowo honoru. – Antek był spokojny i nieustępliwy.

Krzyś w końcu spojrzał na niego. Antek patrzył tak, jak patrzy ktoś szczerzy, więc Krzyś też wyciągnął rękę w jego stronę.

– Jeszcze się nie wygoiło? – Antek zatrzymał wzrok na obandażowanym kciuku Krzysia.

– Nie. Podobno się paskudzi, bo na gwoździu dużo rdzy i od tego się robi zakażenie. Ja jeszcze sobie wbiłem drzazgę i palec mi spuchł, ale potem ta kulka sama pękła i ropa się wylała. I to lepiej, bo przy okazji zarazki wypłynęły. Tak pani mówi. – Krzyś się ożywił; choroby to były bardzo interesujące sprawy.

– A gdzie właściwie się tak urządziłeś? – Antka jednak interesowało coś innego.

Krzyś kiwnął głową w kierunku wysokiej bramy.

– Tam. Patrzyłem, czy się nie otwiera.

– Zwiąć chciałeś? – Podziw wziął górę nad zdziwieniem.

– Nie. Tak tylko patrzyłem. Co ja bym robił po drugiej stronie, sam, tak bez nikogo? Gdzie spać, co jeść? Zresztą czekam na siostry, przyjadą, jak się skończy kwarantanna. Bo teraz znowu jakaś choroba w obozie i nawet na kurs nie chodzą. Ale jak się skończy, to one mnie odwiedzą. A później skończą ten kurs i razem wyjedziemy do Polski. I odnajdziemy tatę.

Antek wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Przez chwilę milczeli, w końcu zapytał:

– A twoje siostry to obie chcą być pielęgniarkami?

Krzyś kiwnął głową.

– Tak. Żeby mieć pracę, najpierw tutaj, a potem w domu. Choć Zosia mówi, że to się wszystko okaże, jak już wrócimy do Polski.

To też go trochę niepokoiło i może dlatego rzucił się na Antka. Czuł się tak, jakby nosił w kieszeni kamyki zdenerwowania. Zaczęło się od jednego, a później ich przybywało. Ciężko mu. Kiedy się tak poszarpali z Antkiem, w końcu poczuł, że kieszeń – ta wyobrażona – pękła.

– Ja mam mamę, tylko że w szpitalu. I też mówi, że stąd wyjedziemy, tylko że dokąd Bóg da. Jak da do Stanów, to do Stanów. Albo do Argentyny, albo do Europy.

Stany. Krzyś znał tę nazwę, bo ona kilka razy padła w rozmowie między Zosią a Elą. Podśłuchiwał, ale co miał robić, kiedy się obudził? Zatkanąć sobie uszy? Zosia

zapytała, czy Ela na pewno by nie chciała w tych Stanach żyć. I jeszcze, żeby się dobrze zastanowiła. Ela powiedziała, że się zastanowi, ale Krzyś wyczuł, że to chyba nie do końca było szczere. Zosia najwyraźniej niczego nie wyczuła, bo jeszcze ciągnęła ten temat. Potem przez jakiś czas było normalnie, aż siostry – razem – powiedziały mu, że chwilowo musi zamieszkać z innymi dziećmi, bo one obie będą się uczyły w Teheranie na pielęgniarki i tam są tylko kursy dla dorosłych, ponieważ dzieci została garstka i nikt nie organizuje dla nich szkoły. W tym zakładzie (słowo „sierociniec” nie padło) natomiast jest szkoła i wszystko, czego by Krzyś potrzebował. Krzyś jednak nie czuł się tu dobrze. Jedyne, co go zajmowało i odciągało od myślenia o własnym losie, to była nauka pisania. Szło mu świetnie: jego litery były coraz kształtniejsze, coraz lepiej je łączył w wyrazy, a te – w zdania. Dziś też ćwiczył: „Walka to życie, młodość – to wiara. Walka o wolność – to chwała”. Bardzo zgrabnie mu wyszło, pani go na pewno jutro pochwali. A on zachowa ten zeszyt, żeby pokazać tacie, który będzie z niego dumny.

– Może chodźmy już do środka, co? Późno, będą się denerwować. Albo bure dadzą. – Antek uśmiechnął się do Krzysia.

Krzyś kiwnął głową. W sumie to całkiem fajny był ten Antek. Przez moment się wahał, ale sięgnął do kieszeni i wyjął z niej trochę już zdefasonowaną paczuszkę.

– Chcesz? – zapytał.

– Pewnie! – Antkowi oczy się zaświeciły. – Ale jest tylko jedna. – Spojrzał na Krzysia, gdy już obracał w palcach pakuneczek.

– Nie szkodzi, weź. Mnie się już przejadły. – To nie była prawda, bo jak coś tak dobrego jak guma mogło się przejeść? – Poza tym Ela mi znowu przyniesie.

To też nie był prawdą, bo Ela powiedziała, że ten miły żołnierz od gum już wyjechał i niestety więcej paczuszek z napisem „Wrigley” nie będzie. No i to również się minęło z prawdą, bo Krzyś go zobaczył, jak coś zawoził czy odbierał ze szpitala. To na pewno był on, bo raz Elę z nim widział. Dużo się zrobiło tych

nieprawd. Panie stąd twierdziły, że za kłamstwo trzeba przeprosić Pana Boga i wtedy człowiekowi lżej na duszy. Krzyś próbował, ale musiał robić coś nie tak, bo nie czuł ulgi. Postanowił, że będzie więcej czytał, skoro już umie, bo miał odpowiednią książeczkę – modlitewnik. Zosia mu zostawiła, teraz, gdy go tu z Elą dały. Żeby towarzyszyło mu coś rodzinnego, jakaś pamiątka.

W nocy nie mógł zasnąć. Rozejrzał się po dużej sali – rząd łóżek pod obiema ścianami. Ciche i nieruchome sylwetki, równo opadające i podnoszące się koce. Wszyscy spali, nawet opiekunki. Krzyś sięgnął po książeczkę, którą chował pod poduszką. Miał szczęście, że jego łóżko stało pod dużym oknem, a księżyc był wyjątkowo jasny. Dało się czytać, jak przy świeczce.

„Krzysiu! Wyruszyłem walczyć o Ojczyznę. Teraz Ty jesteś jedynym mężczyzną w tym domu. Dbaj – bacząc na własne możliwości – o Mamę, Zosię i Elżunię. Całuję, Twój Tata, Franciszek Polakowski”.

To nie było w modlitewniku, a na kartce wsuniętej za okładkę. Wiedział, że to ręką taty skreślone, zresztą był podpis. Bardzo ładne słowa, choć Krzyś się bał, że się nie wywiązuje dobrze z tej prośby, bo przecież mama już nie żyła. A może po prostu był jeszcze za mały?

Przejechał palcami po tych wyrazach. Ładne pismo, równe, porządne.

Tylko ten kleks – jak czarna gwiazda.

\* \* \*

*Lublin, lato 1944 roku*

Ogrodzenie kojarzyło mu się z tym, co widział na Wschodzie. Wysoki drewniany płot ciągnął się i ciągnął. Odmienne było to, że na górze dołożono drut kolczasty. Podobne natomiast były wieże wartownicze, które regularnie tu porozstawiano. Widział takie u Sowietów.

Trafili tutaj przypadkiem. Dowódca zgodził się, żeby poszli zwiedzić miasto – pierwsze większe za Bugiem. Byli w Polsce! Radość, wzruszenie, nawet trudno

opisać. Mieli się dobrać w piątki i oglądać to, co od kilku lat było tylko wspomnieniem lub marzeniem.

Zatem – poszli. W kierunku centrum, przez które już przejeżdżali. Marian czuł się wtedy jak... wyzwoliciel. Wybawiciel. Tułacz, który po latach poniewierki wraca jako żołnierz niosący wolność. Bardzo dobrze się czuł. Słońce świeciło, niebo było bezchmurne, wojskowe auta powoli jechały ulicami z obu stron obstawionymi mieszkańcami. Wiwaty, okrzyki, kwiaty rzucone w ich kierunku. Do maszerujących żołnierzy podbiegały dzieci z bukietami, staruszki z mokrymi od łez oczami i westchnieniami „Boże, o Boże!...”, młode dziewczyny, które wspinały się na palce, by dać im szybkiego całusa. Ludzie wpychali im do rąk papierosy i słodycze.

Marian rozglądał się, jakby miał nadzieję, że gdzieś w tym tłumie wypatrzy Elę. Naiwność, trzeba by było niezwykłego trafu, żeby akurat tu się znalazła. Gdyby udało się jej opuścić Związek Radziecki, pewnie chciałaby jechać do domu. Tyle że jej dom należał już do kogoś innego.

Marian strząsnął z siebie tę ostatnią myśl, bo poczuł, że ona mu psuje humor. Teraz trzeba było patrzeć wyłącznie do przodu, żadnego oglądania się za siebie. Potem się jakoś w nowym człowiek urządzi, kiedy już tylko się Niemców pokona.

Napawał się więc tym przemarszem, choć później zauważył, że nie wszystkim mieszkańcom udzielił się świąteczny nastrój. Bo oprócz tych, co tak wiwatowali i ocierali łzy wzruszenia, byli też tacy, którzy zachowywali wobec nich rezerwę: grupki młodych mężczyzn, z wyglądu jakby wyjętych z dawnych czasów – w wysokich oficerkach, w długich, watowanych marynarkach.

Interesowało go, jak w tym Lublinie wygląda zwyczajne życie, chciał porozmawiać z ludźmi, rozejrzeć się, coś zjeść. Kiedy trafili na to osiedle, a może przedmieście, zobaczyli żółtą tablicę z czarnym obramowaniem i napisem: „Majdanek”. Nikt z nich nie znał tej nazwy, nawet Jurek. Poszli wzdłuż wysokiego ogrodzenia, kierowani zwykłą ciekawością – co to takiego mogło być. Ogrodzenie się skończyło, pojawiła się brama, a przy niej mężczyzna w pasiastym ubraniu. Przewodnik, jak się okazało. Jeden z więźniów obozu, który urządzili tu Niemcy.

– Zaczniemy od tego miejsca. – Ręką wskazał przed siebie na punkt, który czerwienił się w oddali.

Szli za nim milcząco. On też nic nie mówił. Marian uznał, że dopiero gdy tam dojdą, zacznie im opowiadać historię tego miejsca. Mijał ludzi, którzy się tu kręcili – innych żołnierzy, ale przede wszystkim zwykłych mieszkańców, i zastanawiał się, co oni tu robią. Nie wyglądali na zorganizowaną grupę, jak jego piątka wraz z przewodnikiem. A ten szedł szybko, mimo oznak zmęczenia i nie najlepszego stanu zdrowia, i tylko czasem zerkał przez ramię, czy oni dotrzymują mu kroku.

– Co to jest? – zapytał, dziwnie jak na przewodnika, który przecież miał im wszystko objaśniać, gdy zatrzymali się przed solidnymi żeliwnymi drzwiczkami, podwójnie zabezpieczającymi dostęp do obiektu. Przed tym zamknięciem był wykopany dół, który zabezpieczono kratą.

Marian spojrzał na budynek. Czerwona cegła, w kształcie podobny do pieca cegielnianego właśnie. Podeszedł bliżej, pozostała czwórka też.

W ciemności dołu i popiołów (więc jednak piec, pomyślał Marian) coś się bielilo. Nie potrafił zgadnąć co to. Kucnął, żeby dobrze się temu przyjrzeć. Białe, długie, sporych rozmiarów... To przecież...

– Boże!...

Przeniósł wzrok na Jurka. On też był teraz biały – tak biały, jak dolna część ludzkiego ciała, która tu leżała. Nogi i fragment korpusu z widocznymi różowymi fragmentami jelit.

Marian powoli się podniósł. Jurek – przeciwnie – szybko się odwrócił i schylił. Wymiotował.

– Proszę tutaj.

Przewodnik jakby nie widział zgiętego wpół Jerzego i min jego kolegów. Przeszedł kilka kroków i skręcił za budynek. Poszli za nim. Do cegieł przymocowana była tabliczka z niemieckimi napisami.

– To paszport techniczny pieca z Nadrenii. Określa zdolności produkcyjne tej maszyny: spalanie – czterdzieści trupów na cykl. Leichenkommandoführer

uznawał, że to niezbyt wydajnie, bo potrzeby były ogromne. Zalecał więc maksymalny załadunek, byle tylko dało się domknąć drzwiczki. Kiedy się nie dało, wystarczyło użyć siekiery i odrąbać wystający kawałek, co przed chwilą widzieliście.

Marian zauważył Jerzego. Stał kawałek od nich, objęty ramionami. Lekko się kiwał. Na pewno słyszał objaśnienia przewodnika.

A ten prowadził ich dalej przez obozowe zabudowania.

– Zaczęliśmy od ostatniego kręgu piekła, teraz inne, które do niego prowadziły.

Marian słuchał tego człowieka i zastanawiał się, jak to możliwe, że on tu jeszcze był. Że nie chciał uciec jak najdalej, zrzucić tego obozowego pasiaka, zapomnieć, zetrzeć spod powiek obrazy? Jak on dawał radę o tym wszystkim mówić?

Jurek szedł obok niego bez słowa. Milczał również wtedy, gdy Marian powiedział do niego „patrz”, kierując wzrok w stronę ciemnej sterty, gdzie leżały zelówki, cholewki i inne fragmenty pociętych butów. Stały tam kobiety w średnim wieku, wyglądające na zwykłe gospodynie domowe, które ze znawstwem brały do rąk kolejne przedmioty, szybko decydując, co da się wykorzystać, a co jest już zupełnie nieprzydatne. To, co przeszło selekcję, trafiało do ich płóciennych toreb.

Kiedy mijali stertę dziecięcych ubranek, które też były sortowane, Marian się nie odezwał. Czuł się straszliwie zmęczony. I skołowany. Jego ostatnie lata to było ciągłe obcowanie ze śmiercią – na zesłaniu, w wojsku, w Polsce. Widział martwych i umierających, trochę się z tym oswoił, byłoby dziwne, żeby nie. Co innego jednak patrzeć, kiedy nie może się nic zrobić, a co innego – dorabiać się na czyjejś śmierci. Nie uszanować jej, nie uczcić, nie...

– Jak one mogą? – Nie wytrzymał i złapał Jurka za rękaw. – No przecież to jest... nieludzkie. Tu powinni być jacyś wartownicy albo ja wiem? To trzeba zabezpieczyć, schować, to jak grób czy pomnik. No co się z tymi ludźmi porobiło? Czy oni nie wiedzą? – To ostatnie zdanie wypowiedział głośniej, zaczepnie.



– Im już na nic. – Jedna z kobiet spojrzała w niebo i się przeżegnała. – I to Niemcy im zrobili, to wszystko ich wina, nie nasza, my też tu mogliśmy trafić. A to przecież jeszcze może się przydać. To jeszcze do użycia. – Odwróciła się do nich tyłem.

– Do użycia – Jurek powtórzył po niej. – U-życia. Życia. – I zaczął się śmiać – najpierw po cichu, jakby nieśmiało, a potem coraz głośniej i głośniej, aż się popłakał. Na końcu już tylko płakał.

\* \* \*

– ...i oni tak leżeli, no jeden na drugim. Pewnie było tak, że te skurwysyny kazały im iść w róg, a potem seria i tratatata!... – Brański się lekko zachwiał, kiedy udawał, że strzela.

Za dużo wypił, pomyślał Marian. Wszyscy dziś pili. Ci, co byli na tym Majdanku, i ci, co byli na zamku. Tam w celach znaleźli rozkładające się ciała. Wiele ciał. Wynosili je na noszach na zewnątrz i układali w równych rzędach. Zeszli się ludzie i rozpoznawali swoich bliskich. Podobno lament i płacze niosły się daleko poza Starówkę.

– I nie marnowali kul na dobitki, bo po co – przywali się innymi, to i tak ten ranny w końcu umrze. Skurwysyny, bladzie! Czy może być coś gorszego na tym świecie niż szkop? Fabryki śmierci tu sobie urządzili! Ale my pomścimy tych wszystkich niewinnie zabitych. Pomścimy! No! – Brański podniósł rękę ze szklanką wódki. Zbyt zamasyście, więc trochę rozlał.

– Ja to się zastanawiam, jak to jest możliwe, że tyle zła się wydarzyło, a niektórzy ludzie... – Marian odwrócił się do Jurka, który siedział obok niego. – A skąd to masz? – Dopiero teraz zauważył przypiętego do klapy orzełka z koroną.

– Dostałem. – Jurek mało wypił, może dlatego nie był rozgadany.

– No ale od kogo? – Marian sam się zdziwił, że ten orzełek wywołał w nim... tęsknotę? Zazdrość? Niepokój? Trudno było ocenić, wszystko mu się już dziś mieszało w głowie.

– Od ludzi z AK. Są patrole w mieście. Chwilę rozmawialiśmy.

– I?

Jurek wzruszył ramionami.

– I nic. To naprawdę była chwila. Pytali, jak tam u nas. Czy sowieccy oficerowie dla nas dobrzy.

– Sowieccy? No przecież u nas i Polacy oficerami. – Marian lekko uderzył się w pierś. Zdenerwował się. Za dużo, za dużo, pomyślał. Wszystkiego dziś było za dużo. – Zresztą wiesz, co ci powiem? Teraz to tylko jedno ważne – pokonać Niemców. Tylko to jedno. Kto i jak – to nieważne. Ważne, żeby ich stąd wykurzyć. I my to zrobimy, zobaczysz. Polacy, Rosjanie, ci inni. Wspólny cel.

Niby ta myśl go uspokoiła, ale sięgnął po butelkę i nalał sobie wódki.

Wypił jednym haustem, aż go zapiekło w gardle.

\* \* \*

### *Loreto, lato 1944 roku*

Piękny widok się stąd rozciągał – trochę niżej kamienne budynki – część z nich przycupnęła na zboczu, pozostałe były porozstawiane jak pudełka na makiecie. Tam teren był płaski i z rzadką roślinnością, choć jeśli już się zdarzyła, to błyszcząca ciemną zielenią, ale to nie miało znaczenia, bo na horyzoncie szaro-brązowo-piaskowy łąd graniczył z wielkim błękitem, który przyciągał wzrok i magnetyzował.

Ten kolor i ten bezkres to było coś, do czego Jan nie mógł przywyknąć. Wydawało mu się, że szybciej się przyzwyczaił do podłych warunków zsyłki niż do tego niewyobrażalnego piękna. Nic, co wcześniej słyszał o Włoszech, o Morzu Śródziemnym, nie mogło się równać z tym, na co teraz patrzył. Może było tak, że człowiek znosi ucisk, bo to jest wpisane w jego los, a kiedy zdarzy mu się coś cudownego, to czuje, jakby to było przez pomyłkę albo zaraz miało się skończyć. Zresztą – przecież mogło się zaraz skończyć. Dotychczasowe sukcesy nie

wykluczały ryzyka porażki. No i na każdym kolejnym odcinku ich skład się uszczuplał.

Było południe, słońce przypiekało szczególnie mocno, więc przesunął się pod mur, w cień, wciąż jednak pozostawał na tarasie, wytyczonym na wzgórzu pod bazyliką. Właściwie to były trzy tarasy, wyglądające jak wysunięte szuflady biurka: górna mniej, dolna – najbardziej.

Ciekawe, jak to religia może połączyć narody, pomyślał. Bili się z Niemcami nieustępliwie, bohatersko, napędzani wewnętrzną, niezłomną siłą. Ważne było tylko to, żeby ich oskrzydlić i ucaścić. I znowu wyzwolić kawałek włoskiej ziemi i zyskać lepsze pozycje do kolejnych ataków. Założenia wojny są w sumie bardzo proste – walcz, nie daj się zabić, zwyciężaj. Koszty – wszelkie – są już wliczone, bo w ekstremalnych warunkach dopuszczalne są wszystkie rozwiązania. A jednak – ograniczali ostrzał artyleryjski, żeby ocalić tutejsze sanktuarium. Dla Włochów święte miejsce, zwłaszcza to, co nazywali Świętym Domkiem. Stała tam figura Matki Boskiej, dzięki której Pius IX, zanim jeszcze wybrano go na papieża, został uzdrowiony. Jankowi przypomniły się Trokiele. Oni też mieli swoje święte miejsca, i tam też działy się cuda. Na przykład zostały wysłuchane modlitwy Zosi, która zjawiła się pod ołtarzem w intencji spełnionego macierzyństwa swojej ciotki. Jej modlitwy zostały uwzględnione przez Najwyższą Instancję, szkoda tylko, że dalsze wydarzenia były tak tragiczne. Może gdyby wtedy Zosia modliła się dłużej i żarliwiej? Ale nie zrobiła tego, bo musiała poczuć na sobie wzrok Janka. Pan Kuryłko wciąż siedział w kościelnej ławce, głowę miał spuszczoną, oczy przymknięte, a Zosia, taka piękna, brązowowłosa, brązowooka, w zielonej sukience, przeszła obok Janka, spojrzała, a potem, już na zewnątrz, stanęła trochę z boku, jakby na kogoś czekała. Jan zaryzykował, że to na niego. Czasem dobrze ryzykować.

Cholernie było gorąco. Do tego również nie mógł się przyzwyczaić. Ze stania przeszedł na kucki. Plecami oparł się o mur, z tej strony przyjemnie chłodny. Przymknął oczy.

Został tu chyba ostatni, chłopcy, zdaje się, już zeszli. On też musi się zbierać. Przed nimi trzydzieści kilometrów do Ankony. Tam port, więc morze jeszcze bardziej bezkresne, jeszcze bliższe; człowiek czuje się jeszcze mniej znaczący – wobec takiej natury. Przyływy i odpływy będą przez całą wieczność, a ludzkie życie przeminie bez śladu.

Chociaż akurat tutaj jakiś ślad został.

Otworzył oczy i podniósł się. Jeszcze przez chwilę zamiast ostrego obrazu świata widział skrzące mroczki, ale kiedy wzrok dopasował się do jasnego słońca, Jan zorientował się, że nie jest sam.

Była tak piękna, że wydawała się równie nierzeczywista co morze. Ciemne, hebanowo lśniące włosy, lekko falowane, opadające na ramiona. Skóra karmelowa, gładka jak jedwabna chustka mamy, jej największy galanteryjny skarb. Oczy jak węgle. Opalone, odsłonięte ramiona, piersi schowane w nieukrywającym wszystkim dekolcie, wąska talia.

– *Buongiorno!* – przywitała go.

– *Buongiorno* – odpowiedział.

Uśmiechnęła się. Ten uśmiech też był śliczny.

Stali i patrzyli na siebie. Ona przyłożyła prawą dłoń do piersi i przykryła ją lewą. Lekko się zakołysała i pochyliła głowę. Zrozumiał, to był gest wdzięczności. Potem odchyliła dłonie w jego kierunku, jakby chciała mu podać swoje serce. To był gest jeszcze większej wdzięczności. Aż w końcu rzuciła mu się na szyję. Poczuł jej ciepło; i swoje, w odpowiedzi na jej miękkie ciało. Odnalazł jej ciepłe usta. Pachniała słodko, chyba miodem, a może migdałami? Znowu przymknął oczy. Pyląca ziemia, upał, wilgotna, miękka skóra, pulsowanie w łądźwiach, przyspieszony oddech... Znał to wszystko, tęsknił do tego, przypominał sobie tę scenę wiele razy, czasem w nocy, gdy ze snu wybudzał go lęk, który spływał potem po plecach; dusiło go, spinał się, musiał sobie ulżyć, więc jego dłonie wędrowały pod koc i serią szybkich ruchów uwalniały go od napięcia ciepłą wilgocią. I teraz był tak samo napięty, a rozwiązanie było tak blisko i tak pociągające, że...

Odsunął ją od siebie. Powieki miała półprzymknięte, usta rozchylone. Po chwili na niego spojrzała.

– *Perché?* – wyszeptała.

Dopiero teraz zauważył, że przyszła tu z zielonymi gałązkami. Wyglądały jak laur. Upuściła je na ziemię. Jan schylił się po nie i podał jej.

Przyjęła je. Wciąż na niego patrzyła – trochę oszołomiona, trochę rozżalona. Wziął ją za rękę i wyszli wprost na palące słońce. Zmrużył oczy. Przez chwilę czuł się tak, jakby stracił orientację, ale szybko ją odzyskał. W kilku krokach trafił tam, dokąd chciał. Zatrzymał się, spojrzał w dół. Jej wzrok również tam powędrował.

– Tego by chciał najbardziej pod słońcem – powiedział Jan. Po polsku, bo przecież włoskiego nie znał, tylko kilka zwrotów i trochę słów. Za mało, by jej wytłumaczyć. A ona milczała, ale chyba rozumiejąco. – Niby zawsze tego samego, ale ostatniej nocy, przed Loreto, powiedział to tak jakoś... – Głos mu się załamał. – Jakby szukał nie tylko przyjemności, ale i miłości. Miłości, rozumiesz? *Amore* – dodał. Jakoś tak miękko, bo się wzruszył. Bo to był ten jeden jedyny raz kiedy się odsłonił. Może wcześniej się przechwalał, może miał w sobie coś ze słodkiego drania, ale w tamtą noc był zwykłym facetem, który poczuł, że może coś go w życiu ominęło. I już tego nie spotka.

A następnego dnia umarł, przywracając mieszkańcom Loreto ich największą świętość.

Dziewczyna się schyliła i położyła zielone gałązki na ziemi, która już zdążyła wyschnąć na wiór. Wyżej była tabliczka: „Roman Kwiatkowski 1913–1944”.

Schodząc, Janek raz jeszcze obejrzał się na wzgórze – od razu zobaczył ten grób: jeden wyróżniony ziemno-kamienny prostokąt wśród wielu setek innych.

\* \* \*

*Ahwaz, lato 1944 roku*

– Ale czy to racjonalne? – Ela się podniosła.

– Nie ruszaj się, bo cała praca na nic. – Zosia schyliła się, żeby podnieść gazetę, która sfrunęła na ziemię.

– No i septykę szlag trafił. – Helena się zaśmiała. – Po co ja wam to wszystko opowiadam na zajęciach?

– Bo to ważne sprawy, a skoro ty masz lepszy nasłuch niż my... – Zosia nie potrafiła określić jednoznacznie swojego stosunku do Heleny. Z jednej strony ją lubiła, bo była inteligentna, czytana, wychowywana w podobnym domu i duchu co ona i Ela, ale z drugiej... Dużo w niej było z chłopca – pewnego siebie, może nawet trochę krnąbrnego. Takiego, co to nie zajmuje się maskowaniem swoich poglądów, tylko mówi, co chce i jak chce. A ponieważ to „męskie” zachowanie nie szło w parze z wyglądem, bo Helena była bardzo ładna, taka kobieca, dysonans wydawał się Zosi jeszcze większy.

– Mam. Dobra, strzepnij i robimy dalej. – Helena się rozejrzała, czy wykładowczyni ich nie widzi. Nie widziała. – Przecież to nie pierwszy raz. Armia Krajowa organizowała już takie akcje oporu.

Zosia pokiwała głową. Niby racja, ale jednak wydawało się jej, że to będzie zbyt trudne zadanie. Janek napisał, oszczędnie, lecz ona umiała czytać między wierszami, ile trudu kosztowało ich zdobycie Monte Cassino. Oczywiście, warunki górskie, ciężkie, na to wszystko brała poprawkę, ale mimo wszystko – to byli żołnierze. Z nowego naboru, prawda, ale po solidnym szkoleniu, wyposażeni w broń, dowodzeni przez doświadczonych ludzi. A tutaj?...

– Zresztą podobno mieszkańcy ich wspierają i atmosfera jest wspaniała. Teraz trzeba przedzielić, o, tu, na końcu. – Helena przejęła od Zosi bandaż i wprawnym ruchem przedarła go wzdłuż na pół. – I teraz jeden koniec pod kolanem, drugi nad i... gotowe. – Sprawnie związała końcówki i nawet zwieńczyła je kokardką.

– Ale żeby to nie było jak rok temu, kiedy wybuchło powstanie w getcie. – Ela znowu się podniosła. Spojrzała na swoją nogę – całkiem profesjonalnie to wyglądało. Helena miała do tego dryg, świetnie się nadawała na sanitariuszkę. Zosi szło trochę gorzej, choć przecież z różnymi pracami ręcznymi radziła sobie

naprawdę dobrze – Ela pamiętała to jeszcze z domu. Widać medycyna nie była jej powołaniem.

– No, to była inna sytuacja. – Helena pokręciła głową. – Oni przecież byli bez szans. Bo jak by to mieli wygrać? Zamknięci w wygrodzonym kawałku miasta, mała grupka, prawie bez broni, bez szansy na pomoc z zewnątrz... – Rozłożyła ręce w geście bezradności.

– To chyba rozwiązanie honorowe. Żeby umrzeć na swoich warunkach – odezwała się Zosia.

Ela się zamyśliła. Kiedy się dowiedziała, co się stało z warszawskimi Żydami, zastanawiała się, jak ona by się zachowała na ich miejscu. Walczyłaby czy próbowała uciec? Jedno i drugie najpewniej skończyłoby się śmiercią, ale ucieczka mimo wszystko dawała jakąś nadzieję – dla tego, który uciekał. Nie dla całości czy grupy, bo tu odmianą losu faktycznie mogłaby być wyłącznie walka, ale tylko zwycięska, na co, jak słusznie zauważyła Helena, szans nie było.

– Mnie się wydaje, że to też był taki głos sprzeciwu. Nie, nie sprzeciwu. – Helena się zamyśliła. Zwykle się uśmiechała, wręcz zarażała optymizmem, ale teraz jej oczy spoważniały. – Głos sumienia. Żeby o nich usłyszeć, żeby świat o nich usłyszał. I żeby świat poczuł wyrzuty sumienia, że oni tam walczyli sami i byli z góry skazani na śmierć.

– Bardzo ładnie. – Do ich stanowiska podeszła pani Worolska, prowadząca kurs. – Jeszcze tydzień i z czystym sumieniem wypiszę wam papiery. Dobra robota, dziewczęta. – Przez chwilę pottrzymała dłoń na ramieniu Zosi, po czym przeszła do kolejnego stołu.

– Pod tym względem teraz to inna sytuacja. – Pierwsza odezwała się Zosia. Rzeczywiście, gdy na to patrzeć w taki sposób. – I świat o tym wie, to wszystko się dzieje przecież na widoku, jawnie. – Zaczęła się przekonywać do tej myśli. Próbowwała walczyć z lękiem, który co jakiś czas ją opanowywał. Na początku zsyłki był mocno nasilony, zdarzały się noce, gdy wydawało się jej, że sobie z nim nie poradzi. Czuła się tak, jakby umierała – serce waliło jak opętane, a ona była jak

zwierzę zagnane w pułapkę podczas polowania. Żadne myśli nie potrafiły jej wtedy uspokoić, zresztą nie umiała ich zebrać w logiczną całość. Potem się jej poprawiło, okrzepła, ale znaczenie miał fakt, że u boku była mama, która okazała się prawdziwą siłaczką. To Zosię uspokajało. Teraz mamy nie było; Zosia ze wstydem przypomniała sobie, co się jej w głowie kłębiło, gdy rodzice rozmawiali o niej i o Janku – usłyszała ich wtedy i to, co nie było przeznaczone dla jej uszu, jednak do nich dotarło: niechęć ojca i mamy, która niby to próbowała go przekonać, ale dało się wyczuć, że Janek nie jest wymarzonym zięciem. Zosi przebiegło wówczas przez głowę, że chciałyby już być dorosła, tak naprawdę, i móc samodzielnie, nie oglądając się na rodzicielski majestat, decydować o swoim życiu. Teraz to miała – żadnej zależności, pełna swoboda. I znowu czuła się niepewnie. Naiwnością było myślenie, że metryka czyni człowieka dojrzałym. Choć, i to też był kolejny kamyczek do ogródka zdziwień, Eli szło to całkiem nieźle, chyba lepiej niż Zosi.

– No ale czy racjonalna? – Ela zeszła ze stołu i usiadła na krześle. Obandażowaną nogę wyciągnęła przed siebie, bo nie mogła jej zgiąć w kolanie.

– Racjonalność nie jest domeną ani kobiet, ani wojen. – Helena klapnęła obok niej. – Choć akurat tu to chyba przemyślane. Przecież to nie zryw chłopski w gniewie, tylko decyzja władz. A oni są w kontakcie z rządem w Londynie. No i pewnie mają obiecane wsparcie od aliantów – za taką postawę naszych chłopców we Włoszech jak by miało być inaczej?

Zosia kiwnęła głową. Podane w taki sposób to miało sens.

– Ale przecież armia radziecka jest już w Polsce, idzie na Warszawę. Gdyby jeszcze trochę poczekać, to doszłaby do Wisły i musiała się bić z Niemcami – stwierdziła Ela.

– I tak będzie! Zaraz oni zaczną się brać za łby, a nasi chłopcy dokończą sprawy w Warszawie. Początek poszedł im świetnie, centrum wyzwolone. Będzie dobrze! – Helena klepnęła Elę w kolano.

– Nie po ranie, panno sanitariuszko! – Wracająca Worolska się zaśmiała. – Nie można się tak obchodzić z rannym.



\* \* \*

Wieczorem Ela nie mogła zasnąć. Może to z powodu rozmów z Heleną i Zosią, może dlatego, że dziś przydzielono im pokój w baraku, więc nie zdążyły się do nowego miejsca przyzwyczać, a może dlatego, że martwiła się o Krzysia. Ostatnie odwiedziny u niego były jakieś smutne. Niby zarzekał się, że wszystko w porządku, ale widziała, że był markotny. Opiekunka opowiedziała im o sprzeczce z kolegą. Dodała jednak szybko, że u chłopców to normalne, że taki wiek i tego typu tarcia są naturalne. „Oni tak załatwiają nieporozumienia. Zresztą już się pogodzili, teraz widzę ich razem, zgodnych”. Ela dostrzegała różnice w zachowaniu między dziewczynkami i chłopcami, bo sporo się napatrzyła na dzieciaki – przez ostatnie lata w jej świecie były przede wszystkim babki, matki i dzieci, mężczyźni albo walczyli, albo zabici. I mimo przykładu idącego od kobiet, zwykle spokojnych i cierpliwych, chłopcy łobuzowali, krzyczeli, doprowadzali do bijatyk – taka natura, i tyle. Krzyś jednak był trochę inny – rozważniejszy, cichszy, nieskory do szarpaczek. Zosia tłumaczyła mu zasady odpowiedniego zachowania, mówiła, że lepiej ustąpić, nie eskalować konfliktu, że siła nie może być argumentem i takie tam, a Ela po prostu przytuliła brata. Uważała, że czasem gest jest lepszy niż słowa. Krzyś też chyba był tego zdania, bo oddał jej uścisk i nic nie odpowiedział.

Przewróciła się na bok. Będą musiały wypracować z Zosią jakąś wspólną linię wychowania, żeby Krzysiovi w głowie nie namieszać, że raz tak, a raz inaczej. I wspólną linię czułości, choć tu będzie zdecydowanie trudniej. A może w tej kwestii nie trzeba? Niech Zosia będzie mniej wylewna, a Ela – bardziej. W zwyczajnym domu, z matką i ojcem, Krzyś też by tak przecież miał. A teraz i po wojnie wielu chłopców chowa i będzie się chować bez ojców. Czy to ich zmieni? Czy to będzie inne pokolenie?

Znowu się obróciła, teraz w drugą stronę. Jak to wszystko będzie wyglądało? Zamieszkają razem z Jankiem? Oni pewnie wezmą ślub, to musi być na serio, skoro Zosia zdecydowała się rozstać z wiankiem. Ela nie jest przecież ani głupia,

ani ślepa, zresztą kobiety czują takie rzeczy. Więc oni razem, a Ela z Krzysiem na doczepkę? Pewnie tak, przynajmniej dopóki nie odnajdą się z Marianem. Gdzie on teraz mógł być? Wedle jej wiedzy chyba nie dał rady przyłączyć się do Andersa, bo wtedy zakończono już mobilizację. A jeśli tak, to poszedł walczyć razem z Armią Czerwoną. I kto wie, może właśnie jest wśród tych żołnierzy, którzy teraz prą na Zachód, do Warszawy. I może właśnie on będzie ją wyzwalał?

Znowu się przekręciła. Tyle czasu marzyła o jakimś intymnym kącie, gdzie będą ściany i drzwi, i kiedy wreszcie go dostały, nie potrafiła zasnąć. I łóżka miały prawdziwe – rama i siennik, a nie na byle jak zbitych deskach spanie. I sufit zwykły, nie taki jak w stajni. Tak, ta przeprowadzka do baraków to był awans życiowy. Gdyby ktoś jej to powiedział przed wojną...

Poczuła, że ogarnia ją senność. Zrobiło się jej ciepło i miała wrażenie, że powoli się zapada w miękkość. Przez jej ciało zaczęły przepływać łagodne prądy, zmęczenie i nerwy odpuszczały. To było nawet przyjemne, dopóki...

– Nie! – krzyknęła i wystrzeliła z łóżka. Dopadła do ściany i przekręciła kontakt. Pokój zafalował – ruchome punkciki śmigły po podłodze. I po jej ciele.

W Elę jakby coś wstąpiło. Do tej pory zwykle spokojna, teraz ściągnęła z siebie koszulę nocną i zaczęła gwałtownie suwać dłońmi po nagim ciele, a potem z wściekłością waliła podeszwą buta w deski pod stopami i na ścianach.

– Co za parszywce! – wrzeszczała. – A masz, masz, masz! – Obcas trzaskał, pękały twarde pancerze pluskiew, smród wypełnił pokój, a na bielonym drewnie pojawiły się krwawe smugi.

Zosia też się zerwała, ale jej działania ograniczyły się do strzepywania z siebie insektów. Kiedy wszystkie albo pochowały się w szczelinach, albo zostały wybite, Ela usiadła na łóżku, a Zosia się odezwała:

– Ale pobjowisko. Musiały ci przerwać naprawdę miły sen, skoro tak cię rozeźliły. I ubierz się, bo tak nieobyczajnie wyglądasz, gdyby ktoś wszedł...

Nieobyczajnie, Ela powtórzyła to słowo w myślach. A później spojrzała na nieduże lustro powieszony na gwoździu nad stołem i zobaczyła spoconą, potarganą

i nagą dziewczynę. Fakt, z dawnej obyczajowości nie zostało już nic.

\* \* \*

*Warszawa, lato 1944 roku*

Światelka na drugim brzegu migotały jak gwiazdy. Woda uderzała o drewniane obramowanie tratwy, rozbryzgując się delikatną mgiełką. Wiał lekki wiatr. Można by się poczuć bajkowo, gdyby nie głośnie strzały, które raz za razem przesywały ciemną ciszę.

Jurek schylił się, skulił, dotknął dłońmi mokrego drewna. Przypomniały mu się książki przygodowe, które czytał w dzieciństwie. Wypatrywał wtedy w Warszawie miejsc, które mogłyby stanowić scenerię zabaw wzorowanych na poznawanych z wypiekami na twarzy opowieściach. Na tapecie byli Karol May i poszukiwanie skarbów. Teraz nie płynęli po skarby, to oni mieli przywieźć coś dobrego – albo słowo, albo broń. Niestety, ani jednego, ani drugiego nie mieli w nadmiarze.

Zeskoczyli na piaszczysty brzeg i głębokimi rowami ruszyli przed siebie. Tu było jeszcze głośniejsze i żadnej możliwości, żeby głowę choć wystawić, bo ostrzał niemiecki był ciągły. W końcu dotarli do powstańczych stanowisk. Oświetlenie liche, ale nawet w takich warunkach Jurek zobaczył to, czego tak bardzo się obawiał – zmarnowanych, zmęczonych, obdartych chłopaków. Jego ciało przeszło dreszcz smutku i złości jednocześnie. Więc tak wyglądali ci, którzy postanowili odbić stolicę z rąk wrogów. Osamotnieni i skazani na klęskę – co do tego nie miał wątpliwości, choć przecież by tego nie powiedział, zresztą nikt się z taką opinią nie wyrywał.

– Żadnej więcej broni? – zapytał jeden z powstańców, wyraźnie rozczarowany. Młody, chyba byli równolatkami. Zresztą czy on go przypadkiem?...

– A ty może z Reytana? – zapytał Jurek.

Tamten kiwnął głową.

– Klasa profesora Koniecpolskiego?

Znowu kiwnięcie.

– I siostrę Marysię masz?

Trzeci raz ten sam ruch głową. Więc dobrze typował; Jurek kończył liceum, tamten zaczynał. Kilka razy widział go z absolutnie zjawiskową dziewczyną, starszą od niego i po siostrzanemu czułą, więc szybko stało się dla Jurka jasne, że muszą być rodzeństwem. Raz udało mu się wyrwać ze szkoły przed dzwonkiem – widział przez okno, że ona czeka przy bramie, chciał tam być, nim inni chłopcy opuszczą gmach. Zdobył się na odwagę, zagaił rozmowę. To było na sam koniec roku, on wiedział, że zaraz wyjedzie do rodziny na wschód, ale umówili się w końcówce sierpnia, że on będzie przychodził pod tę bramę każdego dnia w południe i wtedy się spotkają. Do Warszawy już jednak nie wrócił, ojciec uznał, że lepiej będzie przeczekać początek wojny na prowincji. I w ten oto sposób zjawił się w stolicy po pięciu dopiero latach. Nawet nie wiedział, czy Reytan jeszcze stoi, czy jest furka, przy której mogliby się kiedyś spotkać. Straty jeszcze przed powstaniem były duże; rodzice musieli się wynieść ze Śródmieścia, bo bomba uszkodziła kamienicę na Hożej, gdzie mieszkali. Znaleźli lokum na Woli – dla mamy to degradacja, bo całe życie spędziła w centrum, ale Jurek się ucieszył: peryferyjna Wola to lepsze miejsce na czas zawieruchy.

– To i moja szkoła – wyjaśnił. – Poznałem kiedyś twoją siostrę, gdy na ciebie czekała. U niej wszystko dobrze?

Chłopak spojrzał na niego.

– Sanitariuszką jest. Od dwóch tygodni nie mamy kontaktu. Chyba dobrze, bo jak inaczej? Trzeba mieć nadzieję. To naprawdę tylko tyle? – Teraz obrócił się w stronę Olechnowicza.

Porucznik rozłożył ręce.

– Oddajemy, ile mamy. A wy się tu trzymacie jakoś?

– Jakoś – odparł chłopak. – Wy już tak blisko, to dlaczego wciąż po tamtej stronie?

Olechnowicz odchrząknął.

– Natarcie w przygotowaniu. Teraz przegrupowania trzeba zrobić...

– A lotnictwo? Przecież jest w zasięgu. Radzieckie samoloty mogłyby nas osłaniać przed Luftwaffe.

Olechnowicz wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem, ale mówili, że w radiu w Lublinie, który jest przecież wolny, dali odezwę do powstańców i warszawiaków. Że czas wyzwolenia bohaterskiej stolicy jest bliski, że kościuszkowcy wdarli się na Pragę. „Odsiecz nadchodzi! Wytrwajcie w walce!”, „Wytężcie wszystkie swe siły! Wytrwajcie!” Tak mówili.

Chłopak milczał; jego towarzysze też. Jurkowi wydało się, że w tej ciszy jest nie tylko rezygnacja, lecz także jakaś nuta... zawodu. Niechęci. A może nawet czegoś więcej?

– Ja więcej nie wiem, powtarzam, co słyszałem. My tylko walczymy, tak samo jak wy. Szeregowi jesteśmy, wykonujemy rozkazy.

Po drugiej stronie znowu cisza.

– Żadnych zrzutów nie było? Niczego od aliantów? – zapytał Olechnowicz.

Odpowiedziały mu zbiorowe kręcenia głowami. A Jurek odczuł w tym pytaniu nie troskę czy zainteresowanie, a raczej chęć odbicia piłeczki – my wam nie przynosimy pomocy, ale inni też tego nie robią.

Poczuł, że boli go brzuch. Z głodu, ze stresu, wstydu – tego nie potrafił rozeznać.

– Dawajcie, co jeszcze macie. – Teraz Olechnowicz zwrócił się do swoich żołnierzy.

Wyzbyli się wszystkiego, co mogłoby tamtym pomóc. A potem, w samych slipkach, weszli do wody. Tym razem musieli pokonać rzekę wpław. Nurt był silny, zносиło ich. Jurkowi przypomniały się wyprawy na plażę miejską. Matka go zawsze przestrzegała, żeby uważał. „To trudna rzeka, prądy są, wiry. Tylko blisko brzegu, żadnego chojrakowania. Chłopcy w twoim wieku mają różne pomysły”.

Nie chojrakował – ubrani na białą policjanci z komisariatu rzeczno-żeglarskiego raz odprowadzili Krzyśka do domu, bo wypłynął poza linię. Mama widziała tę scenę z okna i była przekonana, że to Jurkowi coś się stało i za chwilę usłyszy: „Pani

Orłowska, niestety pani syn...”. Jurek przyrzekł jej wtedy solennie, że chojrakować nie będzie. Z perspektywy czasu ta ostrożność była trochę śmieszna, bo chwilę później zaczął przechodzić próby sto razy cięższe. Mimo wszystko dotrzymał danej matce obietnicy – teraz też zachował ostrożność: nie powiedział Marianowi, że idą na rekonesans, bo spodziewał się odmowy z jego strony, a bardzo nie chciał jej usłyszeć. Wolał przemilczenie i niepewność co do tego, jak Marian by się zachował. Bo chyba by nikomu o tym nie doniósł?... Polubił tego chłopaka, z którym przed wojną nic by go nie połączyło. Była w nim taka wiejska mądrość, pęd do przodu właściwy tym, co od urodzenia mieli mniej, więc sami musieli zagarniać życie do siebie. To nie był zły człowiek, ale... Podatny na wpływy, tak Jurek go sobie tłumaczył. Wielu takich tutaj było. Zresztą – i Jurek się tu znalazł, bo nie dostał żadnej innej możliwości. Póki co, mimo całej tej sowieckiej otoczki, czynili propolskie dobro. Tyle że powoli dochodziło do tego czynienie dobra także Sowiecom. I, o tym Jurek był przekonany, proporcje będą coraz bardziej zachwiane, aż w końcu... Może powinien zostać po tamtej stronie Wisły?

Znowu go zniosło. Spiał się, bo przecież nie może wylądować daleko, jeszcze by go posądzili o dezercję. A to jeszcze nie teraz, nie tak...

Dygocząc, wyszedł na piach. Rozejrzał się, ale nikogo koło siebie nie zobaczył, dopiero kawałek dalej dostrzegł zarys nagiej sylwetki. Nim jednak podszedł do któregoś z kumpli, usłyszał:

– Kto wy? Niemcy?

– Nie, Polacy, żołnierze – odpowiedział i odruchowo podniósł rękę.

Bojcy z karabinami wymierzonymi w jego wątłą klatkę piersiową przez chwilę na niego patrzyli, a potem jeden z nich krótko powiedział:

– *Iditie.*

– My od was, z wami – powtórzył Jurek.

– *Iditie.* – Tamten popchnął go kolbą.

Poszedł; ten, którego zauważył, ale twarzy jeszcze nie rozpoznał, też szedł w głąb lądu, też w asyście mundurowych z bronią.

Dziesięć minut później znowu byli razem, i znowu w wodzie, którą wypełniono zimną piwnicę.

Jurkowi przeszło przez myśl, że jednak wolałby teraz być po lewej stronie, z bratem Marysi i innymi chłopakami. To przynajmniej byłaby bohaterska śmierć.

\* \* \*

Przyzwyczał się do niego. Bardziej, niż mu się wydawało. Najpierw go trochę jeżył, chłopczek ze stolicy, z czystymi paznokciami, i to nawet w takich warunkach! Potem powoli się do niego przekonywał, aż doszli do jakiegoś dziwnego etapu. Nie przyjaźni, bo przyjaźnią się dziewczyny. Kumpelstwa też raczej nie, bo Jurek się na kumpla nie nadawał, za porządny był, za gładki, a kumpel, wiadomo, do różnych sytuacji jest. Bez nazywania – coś go z tym chłopkiem łączyło. A teraz – jak kamień w wodę, tak Marian pomyślał rano, kiedy nigdzie go nie widział. A niedługo później się dowiedział, że zgarnęli takich, z wody właśnie, co to nocą, mokrzutcy, prawie nago, wyszli z Wisły. Bez mundurów, bez dokumentów. Do piwnicy ich dali.

Podszedł bliżej. Zobaczył i usłyszał majora Szczagiela. Odpowiadał komuś, kto z tej piwnicy do niego mówił. Rozpoznał głos Olechnowicza. Odczekał dłuższą chwilę i zobaczył, jak wyprowadzają na zewnątrz grupkę chłopaków – Jurek był wśród nich. Dokądś ich zabierali. Jezusie, co on odwalił, przeleciało Marianowi przez głowę. I tuż po tej myśli pojawiły się obrazy z egzekucji Piotrowskiego i Kornika, którzy według paragrafów byli winni, ale tak zgodnie z ludzkim osądem – jakby mniej. W przypadku Jurka ten osąd zawsze był na plus – dziwak i nieprzystosowany trochę, ale z mocnym kręgosłupem moralnym, mimo wątlej sylwetki.

\* \* \*

Był w nowym mundurze, ale solidnie zmizerowany. W pierwszym odruchu Marian chciałby go może nawet, co za głupota!, przytulić, ale ostatecznie poklepał go po plecach. Chyba za mocno, bo Jurek zakaszłał.

– No, to co coście zmagistrowali? – zapytał Marian.

Jerzy usiadł obok niego na ziemi. Był bledszy niż płowy, wysuszony piach pod ich stopami.

– Poszliśmy zobaczyć, jak bronią mojego miasta.

Jerzy był apatyczny – może zmęczony, a może co innego, Marianowi trudno było ocenić.

– Ale ty wiesz, że to mogło się źle skończyć, co?

– Daliśmy im naszą broń i co tam mieliśmy. – Jurek jakby nie słyszał tego pytania. – I tyle.

– Podobno tam u nich słabo?

No a jak by miało być?, zastanawiał się Marian już wcześniej, ale co miał teraz powiedzieć.

– Słabo – zgodził się Jurek. – U nich, czyli u nas. U mnie jeszcze bardziej, to moje miasto. To znaczy teraz Niemców. Atakują jak wściekli.

– Jeszcze chwila i my ruszymy z odsieczą, to kwestia dni. – Marian szczerze w to wierzył. Szkoda tamtych chłopaków, ale trzeba było czekać. – Stalin mówi, żeby kontynuować natarcie, przecież nie będzie inaczej.

– Jeszcze chwila i ich nie będzie. – Jurek spojrział przez rzekę w kierunku zabudowań, nad którymi unosił się dym. – I miasta pewnie też.

\* \* \*

*Warszawa, jesień 1944*

– Niczego nie przesądzajmy. – Marian przeplatał końce sznurówek przez otwory w skórzanych butach. Poprzednie mu się porwały – sztukował je, aż w końcu zrobiły się za krótkie. Same buty też były już zdezelowane, ale o takim rarytasie jak nowe obuwie mógł tylko pomarzyć.

– Nie przesądzamy, pewnie – zgodził się Bronek który siedział obok niego i końcem noża dłubał w ranie na przedramieniu. – Cholera, jak to się babrze! –



Spojrzał na zaczerwienioną i zaropiałą skórę. – Niby takie nic, a rwie i boli. I nie chce się goić.

Marian pokiwał głową. Nie wyglądało to dobrze, fakt. Odwołanie generała Berlinga też nie wyglądało dobrze. Sam Stalin podobno podpisał odpowiednie papiery – za to, że nie udało im się wygrać walk o przyczółki. No ale Niemców była znacząca przewaga, mieli czołgi, a oni co? Kilka dział i moździerzy. Nie dali rady się połączyć z powstańcami, musieli się ewakuować na prawy brzeg. I tak mieli szczęście, że przeżyli. Nie mieli przecież takiego doświadczenia bojowego, które umożliwiłoby im prowadzenie walk w mieście. Wcześniej walczyli na otwartym terenie, a tego się nijak nie da porównać. Fakt, dowodzeni byli tak sobie, na ile Marian potrafił ocenić. Zresztą podobnie musiał uważać Berling, skoro odwołał generała Galickiego, i to w trakcie walk.

– Mnie się wydaje, że to może być za tę dymisję, nie? – Bronek jakby czytał mu w myślach. – Bo ten Galicki to był od nich, czerwonoarmiejec. To jak Berling im go zdjął, to oni zdjęli Berlinga.

Zdjęli. I to właśnie zaniepokoiło Mariana, choć nie chciał tego głośno powiedzieć. W ogóle uważał, że zbyt gadulstwo to kiepawy pomysł, bo nigdy nie wiadomo, co i do kogo dotrze, a i dla siebie samego lepiej trzymać wątpliwości tylko w głowie, nie słyszeć ich wypowiedzianych swoim głosem, bo wtedy jakby przybierały na sile.

– Może tak być.

– No. Ale z drugiej strony – Bronek aż wystawił koniec języka i nachylił się, żeby lepiej wymierzyć pole zabiegu – to gadają, że tego Korczyca da się opolaczyć. No, wreszcie! – Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi, a z rany pociekła żółtawa, podbarwiona krwią ciecz.

– Widzisz, nie ma co się źle nastrojać – zgodził się Marian. Ponieważ nie lubił wychodzić w rozmowie na gorzej poinformowanego, takiego, co to mniej do dyskusji wnosi, dodał: – No, a moim zdaniem to jeszcze ten Rokossowski się nie

popisał. Gdyby nie wysyłał ludzi na północ, a lotnictwo by bombardowało Niemców, to byłaby zupełnie inna sytuacja.

– Też może być. Tylko co nam, szarakom, do takich decyzji? – Bronek obwiązywał sobie przedramię sfatygowanym kawałkiem płótna. – Tym chłopaczkom z powstania też chyba niewiele, co? Podobno – nachylił się do Mariana – oni wcale nie tacy chętni do walk, znaczy już nie. Na początku to wielki zapał, radość, szli jak w dym, a teraz... Wszystko się wali – Niemcy wściekli, jakby im na odcisk nastąpił. Wojna wojną, ale to, co robią z ludźmi, znaczy z cywilami... – Pokręcił głową. – Sowieci w tym przypadku to małe miki.

– A co robią? – Marian już się uporał z wciąganiem sznurówek. Teraz wsuwał mocno już zużyte buty na nogi.

– No, bombardują, podobno chcą całą Warszawę zniszczyć. Taka zemsta za powstanie. Nikt się czegoś takiego nie spodziewał, mieszkańcy też nie. Najpierw to radość, a teraz... – Machnął ręką.

– A teraz co? – Marian podniósł głowę i zobaczył Jurka. Źle wyglądał, zmizerowany i przetrącony po tym ich bojowym zrywie, ale żywy. Marian w chwili złości, że idzie im jak po grudzie, no bo faktycznie nie najlepiej było, pomyślał, że dostają teraz ciągi za stolicę, więc w sumie i Jurek w to uwikłany. Szybko mu jednak przeszło, no bo co Jurek miał z tym wspólnego? Nie było go tu, tylko rodziców miał stąd, ojciec lekarz, na pewno urobiony po łokcie, bo tam ranny na rannym.

– Teraz to wszyscy mają dość. I ja im się nie dziwię. – Bronek oparł plecy o pień zwalonego drzewa. – Wszyscy chcą wolności, ale tak w to wciągnąć cywili... – Pokręcił głową.

– Nie można chcieć wolności tylko cudzymi rękami. – Jurek stał nad nimi. Za plecami miał słońce, więc wyglądał jak mroczny cień.

– No nie – zgodził się Bronek – ale trzeba wiedzieć, na co się godzisz. Ty żeś poszedł do wojska, ja też i Marian również. Nikt nas siłą nie wsiulił. No, nawet

jeśli, to jak jest wojna, mężczyźni walczą. Ale dzieci? Kobiety? Starcy? Oni zawsze byli poza tym wszystkim.

– A Żydzi? – zapytał Jurek.

Marian miał już oba buty na stopach. Wystarczyło kilka godzin, żeby się przyzwyczaiły do braku ucisku, więc teraz zasznurowywał i rozsznurowywał wiązanie, bo wciąż wydawało mu się zbyt ciasne.

– No Żydzi, Żydzi... – Bronke wzruszył ramionami. – To jest jakby inny temat. U nich to w ogóle nikt nie walczy.

– Też mieli swoje powstanie.

– A gdzie niby?

– W getcie.

– No w getcie. Ale kiedy? Na sam już koniec.

Marian przysłuchiwał się tej rozmowie. Bronek miał trochę racji, ale nie aż tyle, żeby go popierać kosztem popsucia relacji między nim a Jurkiem. Zresztą wszyscy byli zmęczeni, nie czas na takie dyskusje.

– Dajcie spokój. Ty masz rację i ty też. – Spojrzał na Jurka, potem na Bronka. – Nie ma co...

– Jest – przerwał mu Jerzy. – To priorytety.

– Priorytety, powiadasz... – Bronek się wyprostował.

Marian poczuł, że nic dobrego z tego nie będzie. Znowu skupił się na sznurówkach. Chcą się brać za łby, trudno.

– No to czy priorytetem było to, co Niemcy zrobili warszawiakom? Gdzie to było... – Nie mógł sobie przypomnieć nazwy. – No, tam, gdzie przeszli przez kwartał miasta i wyrzynali wszystkich w pień. Stary, młody, dziecko, kobieta, w ciąży, z małym przy piersi – bez różnicy. Pod ścianę i seria z karabinu. Albo do piwnicy, a tam granat. A jak im było szkoda amunicji, to kolbami główki niemowląt roztrzaskiwali. Albo kazali jednym patrzeć na egzekucje sąsiadów czy rodziny, potem te ciała układać, jak barykadę, nawet jeśli ktoś jeszcze dychał, i kłaść się na nim, żeby po chwili też dostać kulkę w łeb. Zgrabna organizacja!

Teraz było za luźno. Szlag, no! Trudno mu się tego słuchało, to naprawdę było jakieś zezwierżenie. Jurek znosił to jeszcze gorzej, nie dziwne, wydelikacyony, a to rzeczywiście wzbudzało dreszcz.

– A gdzie tak było? – zapytał.

– No było, było, ze sprawdzonej drugiej ręki wiem. Człowiek rozmawiał z powstańcem, który tam kogoś miał. Jak to się nazywało, ta dzielnica...

Wreszcie. Idealnie – nie uciskało, nie było luzu. Teraz tylko kokardkę zrobić i gotowe.

– Wu... Wie.... Wiela?... O, nie, już mam, Wola. Wola się to nazywało. Podobno nikt stamtąd nie przeżył.

Marian poczuł zbierającą się w gardle ślinę. Nie znał Warszawy, bo skąd, ale tę jedną nazwę kojarzył, bo padła w rozmowie z Jurkiem. Opowiadał o swoich rodzicach, którzy się tam schronili. Powoli podniósł głowę. Nigdy nie widział tak bladej, białej po prostu twarzy. Znowu się schylił. Palce mu lekko drżały, nie mógł przepleść nitek.

– Cholera, no – mruknął pod nosem.

Ścisnął materiał i usłyszał głuchy trzask – sznurówka pękła.

\* \* \*

*Warszawa, styczeń 1945 roku*

Nowy rok powitali na Choszczówce. Marianowi przyszło do głowy, że ta sowiecka poniewierka na coś mu się przydała – trochę się tam zahartował. I teraz miał już jakąś wprawę, bo cały ten mroźny czas spędzali w ziemiankach. Mróz trzaskał, a oni gorzej niż psy. Człowiek jednak wiele wytrzyma, byle tylko mieć jakiś cel przed oczami. Marian miał – pokonać Niemców. I nie wracać do Różanki. No, tego i tak by nie mógł, ale skoro taka zmiana, to niech na lepsze, do jakiegoś sporego miasta. Ciekaw był Warszawy, ale to, co słyszeli i widzieli przez Wisłę, nijak nie pozwalało poznać tego miasta – jego już prawie nie było. Co więcej, to podobno nie było już polskie miasto. W sylwestra właśnie była taka sytuacja – ktoś z ich

pułku zaczął do nich gadać. Przez tubę i z niemieckiej strony. Wzywał ich do poddania się i przejścia do nich, mówił, że i tak polskie ziemie trafiły w ruskie ręce, a Niemcy dobrze traktują jeńców i dają im jeść. Jakies poruszenie to wywołało, nie tylko oburzenie, lecz także po prostu – zainteresowanie. Marian się w sumie nie dziwił, przez te tygodnie na prawym brzegu można było zważyć we wszystko. I podobno kilku poszło, ale on się już tym nie interesował. Zrozumiał jedno – sytuacja się zmieniła. Wcześniej wszystko było prostsze, jasne – szkop to wróg, Sowieci pomagają z nim walczyć. A teraz?... „Oni nawet już nie udają”, powiedział Jurek. „Ten ich komitet PKWN to marionetka, o wszystkim decyduje NKWD”. „Wojsko Polskie jest prawdziwe”, odpowiedział mu Marian. Nie szedł na zwarcie, bo Jurek po informacji o śmierci rodziców jeszcze nie do końca się otrząsnął, a poza tym – po co? „No ale wcześniej to się mówiło «berlingowcy», a teraz – «Ludowe Wojsko Polskie». Bo to wszystko jest niby nasze, ale jednak obce. Ty popatrz na orła, którego nosisz – to nie ten przedwojenny ptak, to jakaś pokraka podobna do wrony”. Jurek od czasu tamtego spotkania w Lublinie miał orzełka w koronie i fakt, Marian trochę mu go zazdrościł, ale bez przesady. Liczyły się przede wszystkim działania. „Przecież o to chodzi, żeby iść na Zachód, nie?” Kiedy w grę wchodzi wyższe dobro, możliwe są pewne odstępstwa od wcześniejszych założeń. „Kto na Zachód, ten na Zachód”, odparł Jurek. „Niektórzy w zaplombowanych wagonach jadą w głąb Rosji. Kiedyś carskie kibitki, teraz tak. Ci, co przed chwilą byli *polnische Banditen*, teraz stali się «faszystowskimi pacholkami» albo «zdrajcami ludu pracującego». Dawniej był *wieszatiel*, teraz *stupajka z naganem*”. I znowu Marian nie wszedł w głębszą dyskusję. Żał mu było Jurka, bo życie go przetrąciło, a on nie był na to przygotowany, delikatniejszą miał konstrukcję. Poza tym nie było sensu tracić sił na jakieś kłótnie, skoro wokół tak wymagające warunki.

W połowie stycznia w końcu dostali rozkaz sforsowania Wisły. Nocą szli po śliskim lodzie, modląc się, żeby nie trafić na przerębel po pocisku artyleryjskim. Udało się bez strat, może dlatego, że nie byli jeszcze tak piekielnie zmęczeni, bo później to już posuwali się naprzód jakimś nadludzkimi siłami napędzani. Bez snu,

bez jedzenia, po łąkach moczarowych, nieużytkach. Marian nie mógł w to uwierzyć, ale i jemu musiało się to przytrafić, bo przecież nie sposób nie spać przez pięć nocy, a oni nie spali, to znaczy nie kładli się na odpoczynek, bo nie było gdzie i jak, a to znaczyło, że musieli spać podczas marszu. I wreszcie dotarli do Warszawy. Nie sami, bo obok nich ciągnęli cywile. Do czego im tu spieszno, myślał Marian, patrząc na wypalone czarne kikuty dawnych budynków. Jak okiem sięgnąć – gruzowisko. Jakiej to trzeba było determinacji, żeby wszystko w pył obrócić? Jakiej złości czy może właśnie odwrotnie – chłodno skalkulowanej metodyki? Ci, co wracali, mieli natomiast w sobie ogromną wolę życia – wbrew wszystkiemu. I to właśnie tu ta wola odnajdywała miejsce do działania – w mieście, które wyglądało jak z horroru. „Wiesz, ilu nas tu było przed wojną?”, zapytał go Jurek. Marian nie wiedział, bo skąd. „Milion i piąta część miliona. Wyobrażasz to sobie?” Nie wyobrażał sobie. Samej liczby nie umiał sobie przedstawić, przecież ich w Różance to było około tysiąca. „Tysiąc was było? To może teraz jest tylu tutaj. Może”. Marian wypisał sobie w głowie milion, bez tego ogona, bo tak łatwiej, i tysiąc. Tu sześć zer, tu – trzy. Trzy zera to różnica. Trzy zera to tysiąc. W Warszawie było teraz tysiąc razy mniej ludzi niż przed wojną. To tak, jakby w Różance została jedna osoba. Liczył to kilka razy i zawsze wychodziło tak samo. Tysiąc. Tysiąc razy mniej.

Nigdzie nie znaleźli odpowiednich warunków do spania. Te resztki budynków, które przypomniały dawne lokale mieszkalne, nie miały ani okien, ani drzwi. Nic nie dało zastawianie szafami czy deskami. Minus dwadzieścia stopni w takich warunkach wykluczało sen, bo byłby to sen wieczny – rano zamiast nich na podłodze leżałyby już tylko zamrożone zwłoki. Dlatego spędzili w Warszawie tylko jedną dobę i wczesnym rankiem ruszyli na zachód, by ścigać cofającą się armię niemiecką.

\* \* \*

*Ahwaz, styczeń 1945 roku*

– Znalazłam ojca.

Zosia stanęła w progu ich kwatery. Ela siedziała z Krzysiem przy stole i dawała mu nauki z języka polskiego. Dziś opowiadała o Mickiewiczu i *Sonetach krymskich*. To była jedna z jej ostatnich lekcji w lecie trzydziestego dziewiątego roku. „Kto chce zrozumieć poetę, musi jechać do kraju poety”. Takie motto, wzięte od Goethego, było zamieszczone przed wierszami. Wtedy sens tych słów był dla niej inny; to znaczy sens może ten sam, ale emocje i trudności wiążące się teraz z ich powrotem do Polski nadawały mu inny wydźwięk. „A my wrócimy do domu?”, zapytał Krzyś. My już nie mamy domu, pomyślała Ela, ale przed odpowiedzią uratował ją powrót Zosi.

Obie były już po kursie pielęgniarskim i pomagały w tutejszym szpitalu, ale w takim układzie zmian, że mogły zabrać brata z sierocińca. Wrócił jakby doroślejszy; wyrósł, zmieniły mu się rysy twarzy, co było całkiem zwyczajne, bo dzieci szybko – i często skokowo – rosną. W Krzyśku zaszły jednak również inne zmiany – w charakterze. Zrobił się spokojniejszy, mniej skory do wygłupów. „Aleś ty zmężniał”, powiedziała Zosia. Ela zaś pomyślała, że to nie męstwo, a raczej jego przeciwieństwo – Krzyś po prostu otoczył się takim murem obronnym, który mógł wyglądać jak odwaga czy dojrzałość, ale tak naprawdę kryły się za nim lęk i smutek.

– Naprawdę? – Podniósł się teraz z krzesła i spojrzał na starszą siostrę. Właśnie tak, bez gwałtownych emocji.

– Tak. W pewnym sensie. – Zosi łamał się głos.

Ela wiedziała, co to oznacza. Nie odzyskają ojca, zyskali tylko pewność, że on nie żyje. I wiedzę, gdzie go pochowano.

– Krzysiu – Zosia podeszła do niego – myśmy długo wierzyły w szczęśliwy koniec. Ale to była wiara... bardzo duża wiara. Bez wiary nie da się żyć, to jest prawda, ale czasem fakty są takie, że ta wiara musi... musi ustąpić im miejsca.

– To ja już nie wierzę! – wyszeptał Krzyś.

– No nie, tak nie można, Krzysiułku. – Zosia położyła mu dłoń na ramieniu, ale on się odsunął.

– Nie wierzę – powtórzył głośniej.

– Krzysiu, to nie wypada, przecież to grzech. – Zosia też ciut podwyższyła ton.

– Nie wierzę. – Krzyś zacisnął dłonie w pięści, po czym wybiegł z pokoju.

– Krzysiek! – Zosia chciała ruszyć za nim, ale Ela ją powstrzymała.

– Zostaw go – powiedziała.

– No jak zostaw? Przecież on jest poruszony, jeszcze coś głupiego zrobi. Poza tym nie można tak mówić...

– Można, nie można... Tak czuje, to tak powiedział. To jeszcze dziecko, to przede wszystkim dziecko. Nie rozliczaj go jak dorosłego. Zresztą...

– Zresztą co? – Zosia pokręciła głową. – Są sprawy, których nie wolno zostawić. Są sprawy podstawowe, na przykład szacunek do wiary. A wątpliwości bywają szczeliną, przez którą zło może się wślizgnąć. Przecież to rozumiesz, prawda? Straciliśmy już tyle, że nie możemy stracić więcej. I w tej postawie właśnie wiara nas utwierdza.

Ela spojrzała na siostrę i pokręciła głową.

– Mówisz jak nauczycielka. Tak *ex cathedra*. Ludzie mają prawo do zawahania, do wątpliwości, do złości.

Zosia nie wyglądała na przekonaną, wręcz przeciwnie – chciała coś szybko dodać, dlatego Ela ją ubiegła:

– Tobie też się przecież zdarzyło ulec emocjom, czyż nie?

Ela niby się starała o spokojny, neutralny ton, ale chyba wymsknęła się jej jakaś wyższościowa nuta.

Zosia przełknęła to, co chciała powiedzieć. Reakcja Eli ją zdumiała. Po pierwsze, dlatego że nie sądziła, że siostra się wtedy domyśliła, po drugie, dlatego że nastąpił jakiś wyłom – Ela zmieniła miejsce w szeregu, z młodszej siostry stała się równoprawną Zosi osobą. I jeszcze ten Krzyś, który się wysforował. Do tej pory



Zosia czuła się odpowiedzialna za tę dwójkę, jakby zastępowała im obojgu matkę i ojca, a teraz taka zmiana.

– To nic takiego. – Ela podeszła do niej i położyła jej rękę na ramieniu. – Jeśli cię uraziłam, to przepraszam.

Zosia kiwnęła głową. Nie poczuła się urażona, tylko raczej zdetronizowana. Choć nie do końca tak – bo ta detronizacja ją zaboląła. Jeśli się przez tyle lat miało taką pozycję, to trudno się z nią rozstać. Mieć, a potem nie mieć – trzeba czasu, by do tego przywyknąć. Z jednej strony ta ciągła troska była męcząca – nie tylko fizycznie, lecz także psychicznie, ale z drugiej – dawała satysfakcję. Poczucie spełnienia. Wyznaczała życiu sens. Sens jest tym, co człowieka trzyma w pionie, w staraniu. Zosia już odkryła, że takie są właściwości jej charakteru. Musi się kimś opiekować. Dzięki temu, choć nie przyznałaby się do tego przed Elą za żadne skarby, jakoś zniosła śmierć mamy. Po prostu przejęła po niej pałeczkę – kobiecej głowy rodziny. A teraz Ela i Krzyś się jej wymykają. No, może nie tyle z opieki, bo ta się dzieje, ile... spod kontroli.

Nagle poczuła jakąś niezwykłą potrzebę kontaktu z Janem – żeby to wszystko już ustalić, być razem, zamieszkać, mieć dzieci. Poukładać życie i toczyć je po równym i spokojnym torze.

– Póki Krzyś nie wrócił – głos siostry przywołał ją do rzeczywistości – czego się dowiedziałaś?

– Że nazwisko ojca widnieje na liście piętnastu tysięcy zamordowanych jeńców wojennych, których przetrzymywano w obozach w Ostaszku, Starobielsku i Kozielsku.

– Czyli tamte informacje to była prawda... – Ela usiadła na krześle.

Ona, wbrew temu, co przed chwilą powiedziała, informacji sprzed dwóch lat nie uznała za pewnik. Owszem, wszystko wskazywało na to, że ich ojciec i inni polscy oficerowie zabrani przez Sowieców jesienią trzydziestego dziewiątego roku już nigdy nie wrócą do domów, ale póki brakowało dowodów, nie zamykała furtek. Dobra była w takim niedomykaniu różnych furtek. W przypadku Franciszka

Polakowskiego był to wąski przesmyk, w przypadku Mariana – szerokie przejście. O ile w pierwszym przypadku każdego dnia wyzbywała się odrobiny nadziei, tak by ostatecznie poczuć smutek, ale nie rozpacz, o tyle w drugim nie wyobrażała sobie, by miało ją spotkać rozczarowanie. Nie dlatego, że jej wiara była tak głęboka jak Zosi. Nie była. Przecież trzeba by w końcu zapytać, jak to możliwe, że Bóg zgadza się na tyle zła. Odpowiedź mogłaby doprowadzić do wniosków, które poważnie by zachwiały religijnością Eli, a na to nie była gotowa. Stracić jedno i nie mieć nic w zamian? I dlatego Ela uznała po prostu, że pula cierpienia jest czymś, co los każdemu może przyszykować, nic w tym nadzwyczajnego – splót czasów i ludzi – ale potem już basta. Jej pula, zwieńczona dzisiejszą informacją, była zamknięta.

– Prawda. Po czterdziestym roku kilkuset więźniów kontaktowało się z bliskimi. Od tamtej pory – już nikt. – Zosia rozłożyła ręce w geście bezradności. Eli zrobiło się jej żal. Wstała, podeszła do niej i ją przytuliła.

– Wszystko jeszcze się ułoży, zobaczysz.

– Tak myślisz? – zapytała Zosia.

– Tak.

Co prawda pewność Eli dotyczyła jej losu, ale dlaczego z Zosią miałyby być inaczej? W końcu cała ich trójka dużo wycierpiała.

– Ja, ty, Krzy...

Drzwi do pokoju otworzyły się z hukiem. Do pomieszczenia wpadła pani Worolska.

– Ela, Zosia, szybko! Do szpitala!

– Co się stało? – Ela odsunęła się od siostry.

Obóz opustoszał, pacjentów było już niewiele, nie toczyły się żadne akcje w pobliżu. Skąd takie poruszenie?

– Mamy rannego.

– Już idziemy. – Zosia zatrzymała się w pół kroku. Obróciła się w stronę stołu, na którym leżał zeszyt. – Tylko napiszę jedno zdanie dla Krzysia, żeby wiedział,

gdzie jesteśmy, kiedy wróci. – Wzięła do ręki ołówek i pochyliła się nad kartką.

W tym momencie Ela spojrzała na panią Worolską. I już wiedziała.

Zosia się wyprostowała.

– Już. Chodźmy. – Obróciła się w ich stronę. – Co się stało? – zapytała. Jej mina zdradzała, że też zaczyna rozumieć.

– Ten ranny to... Krzyś.

Przecież ta pula nieszczęść jest już wyczerpana, pomyślała Ela.

– Boże, błagam Cię. – Zosia miała inny zestaw ratowania się przed najgorszym.

\* \* \*

Włochy, kwiecień 1945 roku

*Kochana Zosiu!*

*Wiosna, ale tylko w przyrodzie. Podobno koniec wojny coraz bliższy, wszystkie wiadomości to potwierdzają. Czekam, tak samo jak Ty i wszyscy nasi rodacy. Inne nacje też wypatrują zakończenia tej wyniszczającej sytuacji, ale położenie nie jest równorzędne. Nie wiem, jakie wieści do Was docierają, jak Wasze oddalenie wpływa na stopień poinformowania.*

*My jeszcze tu, potrzebni do nadzorowania niemieckich jeńców. Taka nam rola po Bolonii przypadła – odpoczynek i pilnowanie niedawnych okupantów. To jedna z przyczyn zatrzymania we Włoszech. Inna to taka, że niemożliwy będzie nasz, to znaczy polskiej armii, powrót do kraju w pełnym uzbrojeniu. Wieści przekazywane jeszcze nieformalnie, ale oczywiste dla każdego, kto rozumie bieg zdarzeń. Rozwiązaniem ma być nasza demobilizacja w Wielkiej Brytanii.*

*Włosi mają dużą grupę jeńców na terenie Związku Sowieckiego, sto tysięcy ludzi. Relacje z Moskwą powinny więc być poprawne, co najmniej, by sprawnie przeprowadzić akcję ich powrotu do kraju. To wymaga „odpowiedzialnej” polityki zagranicznej. W tym przypadku*

*odpowiedzialność oznacza współpracę po linii wytyczonej przez Sowietów. Poza tym Włosi chcą zabezpieczyć posiadanie swoich terytoriów.*

*Armia Czerwona opanowała Bałkany, Polskę, zaraz będzie walczyć z Niemcami już u nich. Na Pacyfiku alianci wypierają Japonię. Amerykańskie bombowce miażdżą Niemców. Niemcy narodowosocjalistyczne są skazane na zagładę, to pewnik, który bardzo cieszy. Siedlisko zła należy wypielić do ostatniego chwastu. „Naród niemiecki drożej tylko zapłaci za swą przegraną, jeżeli w dalszym ciągu będzie usiłował stawiać beznadziejny opór”. To prawda. Niemcy zostaną zdemilitaryzowane, osłabione, zmuszone do płacenia reparacji. Nie wątpię w to. W trzydziestym dziewiątym to było marzenie, dla którego wiele by się poświęciło, bo to była przyczyna wszelkiego polskiego zła – w okresie między pierwszym a szesnastym września. Dzień później...*

*Jedni mówią: „konferencja jałtańska”, inni – że to sytuacja podobna do 1772, 1793, 1795 roku. „Pragnienie ujrzenia Polski państwem silnym, wolnym, niepodległym i demokratycznym”. Pięknie to brzmi, tyle że nie jest konkretem. W czas wojny tylko konkrety się sprawdzają. Konkretem jest uznanie rządu lubelskiego, nie londyńskiego. A ten ostatni stwierdza, że „spotkanie trzech” nie może być uznane przez Naród Polski.*

*Cokolwiek się wydarzy, oderwanie wschodniej części Polski jest już faktem. Nasze domy przestały być naszymi domami, już definitywnie.*

*Nie chcę, Zosiu, by z tego listu przebijała tylko beznadzieja, ale taki mam dziś nastrój. On się zmieni, to pewne, ale postanowiłem nie ukrywać go przed Tobą. W końcu myśmy sobie najbliżej.*

*Obawiam się po prostu, że powojenna potęga sowiecka będzie się wzmagać. Co to znaczy dla nas, Polaków, marzących o powrocie do domu – nie wymaga tłumaczenia. Dlatego z jednej strony aktualny smutek z początku listu, a z drugiej – próba konstruktywnego myślenia o przyszłości. Wszystko wskazuje na to, że miejscem nowego początku będzie dla mnie Anglia.*

*Nic przesądzonego, zwłaszcza długofalowo, zresztą kto by teraz robił dalekosiężne plany? Wojna skutecznie nas tego oduczyła. Pomyśl jednak nad tym. Na spokojnie, uwzględniając oczywiście Elę i Krzysia. Jak on się ma? Powinienem był zapytać o to na początku listu, przepraszam za to przesunięcie. Nie wynika ono z braku troski o Twojego brata, a z powodu patriotycznych tęsknot i bólu. Jeśli idzie o zrost kości, to podobno klimat ciepły, słoneczny, dużo lepszy ku temu. Wielka Brytania w tym punkcie nie ma atutów, ale służby medyczne, gdyby była potrzeba, podobno na wysokim poziomie. Liczę na dobre przyjęcie Polaków, którzy udowodnili przecież, że nie żałują zdrowia czy nawet życia, by wywalczyć nam pokój w Europie.*

*Całuję  
stęskniony i Twój Janek*

\* \* \*

*Na Zachód, maj 1945 roku*

Nie mógł zasnąć. Takie dobre warunki – dywan miękki, puszysty... delikatesowy. Tak pomyślał, choć wiedział, że to nie ten wyraz. Blisko był, ale to nie było to. Każdego dnia gadał po polsku z Jurkiem, ale w masie dokoła dominowały rosyjski i białoruski. *Hospodi spasie*, powtarzał czasem za innymi, jeśli zdarzył się moment na modlitwę. Niespecjalnie to przeżywał – może dlatego, że w obcym języku, a może dlatego, że jakiegokolwiek prośby wydawały się bezsensowne. Wydarzyło się już tyle zła, że Szatan musiał tu nieźle namieszać, w każdym razie w tym starciu Bóg wycofał się do narożnika. I nie było widać szans na szybką poprawę.

Świat dokoła płonął złem. Parli na Zachód, niezłomnie, walczyć z nazistami. Oni – wyzwalający, niosący wolność, Niemcy – upadający potwór. Oni – dobrzy. Niemcy – źli. Proste, bo jakie by miało być?

Niemieckich cywilów zostało niewiele. Kiedy ich odnajdywano – kulka w łeb. Na miejscu, po odprowadzeniu do komendantury – różnie. Co było do zabrania,

zabrane, a potem ołów w potylicę. *Germaniec, szpion*, zresztą czy trzeba podawać powód? Niewłaściwy język przesądza sprawę.

Marian by jednak wolał, żeby ten powód był. Branie jeńców, w porządku. Ale tak? Może nie każdy z tych, których zabito, czynnie popierał nazistów? Na przykład taki, co był młodszy niż Marian w trzydziestym dziewiątym – tylko śmierć mu się należała? Co on się tego życia świadomie nażył? Co on mógł decydować?

Czarno-biało, tak to widzieli ci z NKWD. A przecież dokoła było sporo szarego. Na przykład jeńcy wojenni – kilka dni temu przyłapali żabojadów na kradzieży. Sowieci się śmiali, Marianowi to nie grało. Taki prosty rewanż to początek czegoś złego, nie tak to trzeba przeprowadzać. Tyle że czasy nie sprzyjały słusznym założeniom. Wszystko się tu mieszało – ludność niemiecka, robotnicy przymusowi, uwolnieni jeńcy rozmaitych narodowości. Różne rzeczy się mogą w takiej masie zdarzyć – i się zdarzały. Najskuteczniejszą obroną dla każdej z takich osób była znajomość języka rosyjskiego. Gadasz w tym języku – jesteś swój. No, chyba że jesteś kobietą – wtedy mało co cię chroni. Swoja nie jesteś, jesteś tego, na którego masz nieszczęście się natknąć.

Wiedział o gwałtach, nawet kilka razy był blisko takich sytuacji, ale to zawsze było albo przed, albo po. Gdzieś gnane, jeszcze normalnie wyglądające, choć niektóre próbujące ucieczki lub wzbudzenia litości, krzyczące bądź zawodzące albo skądś wracające, w porwanych ubraniach, pokrwawione lub z nieobecny spojrzeniem. Nigdy jednak nie był w sytuacji, że to się właśnie miało zadziać, i to przy nim. A teraz tak było.

Szedł na noc do kwatery i usłyszał kobiecy krzyk. Ciemno już było, trudno było się na początku rozeznać. Krzyk się jednak powtórzył i już wiedział, skąd dobiega. Ruszył w tamtą stronę bez wahania, zwłaszcza że „ratunku” dolatywało do niego po polsku. Dom, parter, wybite okno. Tamten pewnie tą drogą się dostał. Kobieta leżała na ziemi, on klęczał nad nią. Marian zauważył, że dziewczyna – bo młoda była, ledwie co dorosła, miała podartą koszulę i obnażone uda. „Stój”, krzyknął, i wtedy tamten spojrzał na niego. Oczy dzikie, pewne swego. Już widział takie,

w Różance. A teraz to był towarzysz broni. Wtedy mu to do głowy nie przyszło, bo to nie była pora na myślenie, tylko na działanie. Tamten sięgnął po pepeszę, to Marian po parabelkę. Trach-trach-trach!... Poszło tyle, ile było. Bojec przez moment jakby znieruchomiał, zastygł, w oczach miał niedowierzanie, a czerwone plamy na jego mundurze się powiększały. A potem zwałił się na tę dziewczynę. Marian musiał go, takiego ciepłego, ściągnąć z niej. W pierwszej chwili trudno było rozeznaczyć, czyja krew na niej była, ale ona powiedziała, że Marian zdążył. Dziękowała mu i chyba Bogu, a może się skarżyła? Dał jej jakieś ubranie z szafy, niepasujące ani rozmiarem, ani porą roku, ale co tu do czego pasowało? Wyszli razem i natknęli się na polski konwój. Dziewczyna przyłączyła się do tych ludzi. Na odchodnym doskoczyła do Mariana i go przytuliła. Szybko, histerycznie, tak jakoś straceńczo. Patrzył, jak odchodzi, i nie wiedział, co czuć. Uratował ją, tę młodą kobietę, Polkę, którą Niemcy zabrali tutaj na roboty. Ewa, studentka medycyny, z tajnego uniwersytetu w Warszawie. Dobrze zrobił, nic nie usprawiedliwiałoby gwałtu. Sam czasem czuł się tak, że tylko zrobić to, co ten tu chciał. Zanurzyć się w tę ciepłą wilgoć i sunąć, przyspieszać, raz za razem, żeby nie było nic innego, tylko to. A potem ulga. Znał to; wtedy to z ciekawości, to były naturalne podniety, a teraz – ścisk od środka, który nie puszczał. Można było od tego wariować, ale na to są inne sposoby, własna ręka nie zawodzi. Nie mógłby przemocą brać. Przemoc go brzydziła; czasem trzeba pokazać przewagę, ale to nie może być sposób na życie.

Mógł za to wystrzelić całą serię w tego chłopaka. Nie w sytuacji bojowej, nie na polu walki. Mógłby go unieruchomić czy coś, ale po prostu go rozwalił. Bronił jej, siebie też, bo tamten w niego celował, ale było w tym... Złość w tym była. Na sytuację. Na tego ruska. Na tych, co ich spotkał dzień wcześniej.

Wypastowane buty, mundury, jakie pamiętał z dawnych czasów, wyprostowane sylwetki, skórzane pasy. Polscy oficerowie. Wyglądali dostojnie, dobrze – jak na warunki, oczywiście, ale niebo lepiej niż oni. Opuszali oflag, z którego zwiali strażnicy. Oni szli na wschód, Marian – w przeciwną stronę. Podszedł do nich,

zwyczajnie, żeby zagadać, w końcu rodacy, równi stopniem, a oni do niego... Jakby był zdrajcą. Te ich słowa zaboląły mocniej, niżby szpicrutą dostał.

Poczuł się podle. Kim oni byli, żeby mu tak dać w twarz? Co to – on nie walczył, wcześniej i teraz? Nie kładł na szali swojego życia? Może nie było wiele warte – dla innych, ale dla niego – najwięcej. Szedł wpięro, na zapad, wyzwałać od Niemców.

Obok szli Sowieci, żeby walczyć, ale żeby gwałcić i rabować też.

Co on miał z tym wspólnego? Miał tam gnić, w tej kopalni? Przecież do polskiego wojska szedł, do polskiego! Byłby Anders – to on by z Andersem był. Nie było – to z Berlingiem. W tym to nie Marian decydował. Przypadek, los, życie – ale nie on.

Znowu się przekręcił z boku na bok. Czuł, że ze snu nici.

Pomyślał o Eli. Jak ona mu weszła w głowę! Coś w niej takiego było... Wciąż się nad tym zastanawiał i nie potrafił rozsądzić, co takiego. I to go tylko utwierdzało w przekonaniu, że musi za tym iść. Rodzice byli razem, bo byli. Dobrze się do siebie odnosili, na tle tego, co czasem widział u innych, to bardzo dobrze nawet, ale to tyle. Łączyły ich dom, ziemia, praca, no i Marian. Poznali się po sąsiedzku, bo gdzie indziej? Wszystko było takie proste. A Marian nie chciał takiej prostoty. Poznanie Eli w Taszkencie, tysiące kilometrów od domu, to było zaprzeczenie prostoty. Ten fakt i to czucie, które w sobie miał, gdy o niej myślał, utwierdzały go w przekonaniu, że z nią powinien żyć. Gdyby ona była tu teraz obok, to... a oprócz tego po prostu by się przy niej dobrze czuł. Na miejscu. Odpowiedni. No, prawie, ale to się da dorobić.

– Boże – szepnął i zamilkł, taki był skołowany. Nie, ten trop już nie działał. Nie mógł dalej, głupio i bez sensu gadać, gdy nie idzie za tym głębsza prawda. Nie czuł tego, zupełnie. Szopka by była. W obcym języku jakoś szło, po polsku nie dało się udawać.

Żeby tylko to przetrzymać, zrobić swoje i wrócić do Polski.

To wszystko zostanie za nim; a przed nim...



\* \* \*

*Berlin, 8 maja 1945 roku*

– Wszystko czerwone.

Jerzy stał i patrzył na niebo, gdzie co chwilę wybuchały rakiety. Nad nimi były chmury dymu i żarząca się łuna dopalającego się miasta.

Marian kończył swoją porcję zupy z kotła, którą świętowali koniec wojny. Gorąca, z solidnym wkładem. Na Jurkowej porcji powoli tężał tłuszcz.

– Jedz. Dziś karmią, wiadomo, co będzie jutro? – ponaglił go.

– Trochę wiadomo. – Jurek odwrócił się w jego stronę. Marian na chwilę przestał wiosłować łyżką. Znał ten ton i to spojrzenie. I nie lubił ani jednego, ani drugiego. – Właściwie to od dłuższego czasu było wiadomo. Od zawsze nawet. My, Polacy, mamy tę wiedzę we krwi – że jak oni coś zagarną, to nie popuszczą. I mimo wszystko żeśmy za nimi poszli, jak w dym. – Znowu spojrzął w niebo.

– Jurek, a co można było?

Marianowi odbiło się zupa. Może za szybko zjadł, a może było w niej coś nieświeżego? Chyba to pierwsze, bo na drugie był już zahartowany. Sześć ostatnich lat to była szkoła hartu. O takim dorosłym życiu marzył, gdy siadał do niewygodnej ławki szkolnej i próbował nie oblać po raz kolejny algebry czy łaciny. Dostał to i dobrze już wiedział, że to wcale nie była łatwiejsza nauka.

– Zresztą zobaczymy, nie może być tak źle...

Jerzy przeniósł wzrok na niego.

– Nie może być, bo już jest. *Krasnaja Armia* w Polsce, Sowietci u władzy, choć dowodzą z drugiego rzędu, w lasach ci, co szukają jedzenia, bo bieda, i akowcy, dla których teraz, w dniu zakończenia wojny, zaczyna się inna, trudniejsza walka.

– No to co robić? No co, kurwa, robić? – Marian się zdenerwował. Odsunął od siebie menażkę. – Mam się teraz zabić? Palnąć sobie w łeb za to, że chciałem dobrze? Chciałem wolności! O naszą i waszą walczyliśmy i ja wierzyłem, potem je sobie rozdzielimy – oni wezmą swoją, my – swoją.

– Wzięli obydwie. – Jurek usiadł na trawie i sięgnął po swoją porcję zwycięskiej zupy.

Rakiety wciąż rozświetlały czerwień horyzontu. Co i raz rozlegały się strzały, zagłuszające zbiorowe wiwaty.

– Że też chce się im jeszcze strzelać. – Marian trochę się uspokoił. Chciał jakoś ugodowo i w lepszym nastroju zakończyć ten dzień. – Ja już mam dość strzałów, do końca życia. No, będzie dobrze, zobaczysz. – Kucnął przy Jurku i poklepał go po plecach. – Zobaczysz – powtórzył i odkaslnął. Piekły go gardło i oczy, rzeczywiście przesadzali z tym świętowaniem. Potarł powieki i wycisnął z nich trochę wilgoci. Kiedy znowu otworzył oczy, zobaczył migoczące gwiazdy.

Żółte gwiazdy na czerwonym tle.

\* \* \*

*Ahwaz, lato 1945 roku*

– Ile razy można stracić ojczyznę?

Ela i Zosia spojrzały na Krzyśka.

Przysłuchiwał się ich rozmowom, ale nie brał w nich czynnego udziału. Aż do tego momentu.

– Ile razy? – powtórzyła po nim Zosia. – Krzysiu, to chyba za trudne dla ciebie, ale postaram ci się wytłumaczyć, choć my same z Elą... – przerwała, dostrzegając wymowny wzrok siostry. Ela była zdania, że bratu należy przedstawiać jak najprostsz obraz świata. Niczego przed nim nie ukrywać, wytłumaczyć tak, by ogarnął to swoim intelektem, ale wszelkie decyzje podawać w taki sposób, żeby nie wyczuwał w nich wahania. „Dzieci potrzebują pewności. Stabilizacji i pewności. Nie mogą widzieć naszego rozedrgania”. Według Zosi to podejście było po prostu bliższe naturze Eli, która brała rzeczy takimi, jakie były, i szła do przodu – zamasyście; chód Zosi nie miał w sobie takiej werwy – Zosia składała się z wielu różnych wahań i trudno było jej to ukryć; stopowało ją to również. Musiała jednak

przyznać, że co do dziecięcej psychiki, to Ela miała rację. Niby młodsza, a całkiem często okazywała się w różnych kwestiach bardziej dojrzała.

– Najpierw, choć tego nie pamiętasz, bo byłeś malutki, musieliśmy wyjechać, bo nas wygnali. Sowieci zabrali nas swoimi pociągami do swojego kraju, a sami zajęli nasze domy. Są w nich do dziś, a my jesteśmy tu – na obcej, choć przyjaznej ziemi. To nie jest nasz dom, nie możemy i nie chcemy tu zostać – powiedziała do brata.

– No to wróćmy do innej Polski. Bo przecież Polska jest? – Krzyś spojrzał na nią, a potem na Elę.

– Inna Polska. No jest – zgodziła się Zosia.

– A Niemców już w niej nie ma, prawda?

– Nie ma. – Ela włączyła się do rozmowy.

Od kilku dni – i nocy też – rozmawiały z Zosią, co teraz. Zosia skłaniała się ku wyjazdowi do Wielkiej Brytanii. Mogłaby tam pojechać, to by się dało załatwić, bo bliscy walczących w polskiej, Andersowskiej armii mieli tam zapewnione miejsca i pomoc, dopóki samodzielnie nie staną na nogi. Jan powinien już być w drodze do Londynu, gdzie miała czekać na niego praca – najprawdopodobniej w organizacji, która miała przywracać polskich żołnierzy ich cywilnemu życiu. Zosia marzyła o tym, żeby to przywracanie objęło i ją – ich razem. Jan czekał na Zosię, co było oczywiste, dodatkowo zapewniał ją o tym w każdym liście. Kiedyś kartki były oszczędniej zapisane, ale takie były realia – wojenny ferwor. Poza tym oswajali się ze sobą, ugruntowywali w uczuciu. Kiedy już wreszcie się spotkają, będzie tak, jakby naprawdę odbyli solidne narzeczeństwo. I wtedy już tylko długo i bardzo szczęśliwie... Na razie w towarzystwie Eli i Krzysia, to jasne, taka była potrzeba chwili. Zosia kręciła kółka na palcu zaręczynowym pierścionkiem, który odziedziczyła po mamie, i powtarzała: „Obiecałam, że się wami zaopiekuję. Że o was zadbam”. Ela to doceniała, ale jednocześnie nie chciała być doczepiona do Zosi. Miała dziewiętnaście lat, a gdyby liczyć doświadczenie zdobyte przeżyciami, mogłaby sobie dodać z dekadę. Nie ciągnęło jej do Wielkiej Brytanii, mimo że

przecież nigdy tam nie była. Zagraniczność chyba jej nie pociągała, do takiego wniosku doszła. Ci brytyjscy i amerykańscy chłopcy... ładni, ale to tyle. Tutejsi to już w ogóle taka obcość, że o niczym by nie mogło być mowy. Ela chciała pojechać do Polski. Przecież jeśli będzie jej źle, to zawsze będzie czas na zmianę – nawet zagraniczną. Ale żeby tak od razu rezygnować?...

Powtarzała to Zosi, która niby wszystko pojmowała, zawsze jednak mówiła, że to już nie jest ta sama Polska, którą Ela pamięta. „Wagony wyjechały, ale oni zostali. A oni się nie zmieniają. Pamiętasz Zajcewę?” Oczywiście, że Ela pamiętała. Lubiła tę staruszkę, jej dom to było ich najlepsze miejsce do życia podczas całej zsyłki. Płakała, kiedy Zosia jej wyjawiała na tamtym porannym spacerze, że już nie wrócą do tej chałupki i jej gospodyni, bo matka zaplanowała ich – nielegalny – wyjazd i dla wszystkich będzie najlepiej, żeby zachować jak najdłużej tajemnicę – także Zajcewa będzie bezpieczniejsza, mniej wiedząc. Jasne, że chciała wrócić do Polski, tak wtedy, jak i teraz, ale smutno jej było, że nie mogła się z Zajcewą pożegnać. Z tą jedyną, dzięki której miała dobre wspomnienie z sowieckiej ziemi. „Całe życie ją okłamywali. Całe długie życie. I miliony innych swoich obywateli. I tak będzie zawsze”. Ela nie kłóciła się z tym, przecież sama tego doświadczyła, ale nie była tak kategoryczna. Skoro na tej konferencji w Poczdamie uznano, że jest szansa, by przywrócić Niemców do zwyczajnego życia – po tym, co zrobili, a robili rzeczy straszne, jak na przykład te obozy zagłady, to może i z Sowietami sprawa nie była przesądzona? Zgadzała się, że obecność Stalina na tym spotkaniu układającym podwaliny pod nowy świat, mogła budzić obawy, ale takie były prawidła historyczne – zwycięzców się nie osądza, decydują przywódcy. „On będzie ich wiecznym przywódcą, póki nie umrze”, stwierdziła Zosia. „Raz wybrany, zniknie dopiero po swojej śmierci”. Tu Ela też potakiwała.

Ela mogłaby zatem iść tropem wyborów Zosi, to prawda. Jej delikatny opór w tej kwestii miał jednak drugie, silne podłoże.

Trzy miesiące temu znalazła na terenie obozu gazetę. Pomagała sprzątać stajnię, w której kiedyś mieszkali – oni i wielu innych. Teraz budynek stał już pusty. Wydawałoby się, że wszystko stamtąd zniknęło – w końcu gdy się ma tak

niewiele, to łatwiej o niczym nie zapomnieć. A jednak czyjaś pamięć lub uważność były niewystarczające – Ela zobaczyła pod deskami, na których kładziono sienniki, zdjęcie. To znaczy najpierw myślała, że to rodzinna fotografia, bo widniały tam postaci, dopiero chwilę później, gdy pociągnęła za róg, zorientowała się, że to większy format – gazeta. „Czyn Młodzieży”, wydanie z maja trzydziestego szóstego roku. Jak tu przywędrował, skąd, za kim i dlaczego został? Nie wiadomo. Ludzie w panice i pośpiechu pakowali różne rzeczy, nie wszyscy pewnie byli tak metodyczni i zorganizowani jak Anna Polakowska. Elę zakłuło w sercu na to wspomnienie. Od tamtej chwili aż po kres na perskiej ziemi mama była prawdziwą opoką. Cały zresztą numer był takim bolesnym przypomnieniem o braku matki. Ela chodziła na cmentarz, udało się nawet obstałować prostą płytę z imieniem i nazwiskiem oraz datami narodzin i śmierci. Ela jakoś się pogodziła z ich sierocym losem, ale kiedy teraz zobaczyła na okładce kobietę z trojgiem dzieci, które do siebie przygarniała, rozpłakała się.

A potem przejrzała zawartość gazety. I między wierszami, opowiadaniem, ilustracjami poświęconymi macierzyństwu, które kłuły ją jak szpilki, znalazła broszurkę Polskiego Czerwonego Krzyża. Tu tematem przewodnim też było majowe święto matek.

„Największa Polska Macierz – Polskie Towarzystwo Czerwonego Krzyża” – taki był plakat na okładce. A na nim Macierz, czyli Czerwony Krzyż, która troskliwym, pełnym miłości gestem otaczała śpiące dziecko, starca i ранego żołnierza. Obraz miał wyrażać wszystkie cechy, które stanowiły o istocie misji i działalności Czerwonego Krzyża, ale na następnej stronie był artykuł przywołujący wypowiedź marszałka Piłsudskiego. „Ranny i chory żołnierz – to sierota wojskowy. Wchodzi nagle, jako odpadek wielkiej produkcji wojennej, do bezdusznej, skomplikowanej maszyny, bezsilny, zdenerwowany, często bezwolny. Trzeba włożyć duże wysiłki, aby w tej maszynie pracowało serce matczyne, które więcej kocha właśnie to dziecko, które jest nieszczęśliwe i zbolące, a więc nieużyteczne dla pracy, i w tym leży szczytne i wielkie zadanie Czerwonego Krzyża w czasie wojny...”

Przeczytała i znowu się wzruszyła, zupełnie jak nie ona, przecież nie była rozedrganą i delikatną Zosią. Ranny żołnierz, który po zakończonej walce, niby zwycięski, a jednak potrzebujący oparcia. Miłości, niekoniecznie tylko przecież matczynej.

Jeszcze niżej był ręczny dopisek, zapewne właścicielki tej gazety, który natchnął ją nową nadzieją. I to taką, którą wprowadziła w czyn.

A teraz czekała na efekt tego czynu.

Jedno już jednak wiedziała – ten efekt czeka na nią w Polsce, więc to musi być docelowy kierunek jej podróży.

Część druga

# FALE ODPLYWAJĄ

# Rozdział 5

*Wrocław, lato 1945 roku*

Wozy sunęły nieprzerwanie – wypakowane ponad miarę tym, co najwartościowsze i co rokowało, że przetrwa trudy podróży – dalekiej, na wschód. Konserwy, puszki, mąki, flaszki, do tego pierzyny, poduszki, garnki, dywany, futra, nawet meble. Na tych furach były całe życia – stracone przez jednych, wzięte przez drugich.

Przed wojną, kiedy siedział w szkole na lekcjach historii, wydawało mu się, że dlatego nie jest w stanie wiele z nich spamiętać, bo tam wciąż była mowa o nowych sprawach – wojnach, sojuszach, reformach, najazdach, zajazdach. Różne miejsca na mapie, różne nazwiska, różne daty. Wiek za wiekiem, ogrom faktów. Jak to poukładać w głowie?

Teraz uważał, że historia jest w gruncie rzeczy powtarzalna. Pewnie zawsze taka była, tyle że on oglądał ją oczami niezainteresowanego widza, a teraz był w środku wydarzeń.

Wozy były sowieckie, dobytek na nich – niemiecki. No akurat takiego układu zmiany właścicieli dóbr jeszcze nie widział, ale że po raz kolejny obywatele Związku Sowieckiego mają przy sobie (czasem i na sobie) rzeczy, które nigdy by ich nie były, gdyby nie wojenne zrzędzenie losu – to tak.

Tamci u nich, w Różance i Szczuczynie, nie obłowili się aż tak bardzo, no bo co tacy Czernikowie albo ich sąsiedzi mieli? Małe i większe biedy. Przędło się z tego życie, pracą i znojem. Dla tamtych, którzy przyjechali z najdalszych zakątków sowieckiego świata, to i tak musiało być trochę jak w raju. Nieznanym, nęcącym, dlatego zgarnęli nawet lep na muchy z ich kuchni.

Ci tutaj weszli na inny poziom, ale i wrocławskie warunki były odmienne. To znaczy w tych miejscach, w których z Wrocławia coś zostało. Bo w wielu innych



z ziemi sterczały tylko poczerniałe zgliszcza spalonych domów, wałało się mnóstwo śmieci, porzucony sprzęt wojskowy, porozwalane witryny sklepowe. Widział kilka pocztówek starego Breslau. No, nie aż tak starego, bo jedna była z grudnia zeszłego roku. Bardzo piękne miejsce, eleganckie miasto. Kiedy jednak Armia Czerwona zbliżyła się do jego granic, Niemcy, zwykle dbający o ład i porządek, uznali, że tu sprawa i tak przegrana. Zrobili z Breslau twierdzę. Czy nie wiedzieli, że sytuacja jest dla nich beznadziejna? Może nie, bo może byli zaprogramowani tylko na wygrywanie? A może postanowili zostawić po sobie same zgliszcza? W starych, zabytkowych budynkach obsadzili stanowiska artyleryjskie, urządzali składowiska amunicji, punkty obserwacyjne. Jasne było, że czerwonoarmijecy będą walić właśnie w te miejsca. I walili, aż do ostatniej cegły. Część budynków zresztą wysadzili sami Niemcy, żeby sobie zrobić lotnisko – w centrum miasta.

W ciągu kilku tygodni Wrocław zmienił się w ruinę – tak jak Warszawa. Tej nie znał przed wojną, ale pewnie wyglądała podobnie, w końcu stolica. Kiedy przechodzili tamtędy w styczniu, widział ciągnących do miasta ludzi – i tu też tak było. Sowieckie odjeżdżające wozy mijały się z tymi, dla których tutaj miał być kres wędrówki – wycieńczeni, zmęczeni, głównie z guberni lwowskiej. Była jeszcze jedna nitka w tym nieustającym ludzkim ruchu – Niemcy, którzy wciąż tu pomieszkiwali. Dla nich Breslau już nie był domem, dla tamtych – jeszcze nie był.

Odwrócił się i powoli poszedł w kierunku Karłowic, gdzie mieli dziś prowadzić działania rozpoznawcze. Kawalek od centrum, ale bardzo ładne miejsce. A tuż obok inne osiedle, czy jak to tam nazwać, te skupiska domków – Rosenthal, czyli Różan albo Różanka, bo takie tłumaczenie tej nazwy też słyszał. Domy niby niewyglądne z zewnątrz, ale za to w środku – centralne ogrzewanie, bojler z ciepłą wodą, prąd, a w piwnicach pralnie. Ścisnęło go z zazdrości – nieźle tu sobie poczynali. Też by mu było żal takie cudo zostawiać i iść nie wiadomo dokąd. Ale może była w tym jednak sprawiedliwość? Nie popierał zabijania, gwałtów, takiej najprostszej zemsty. To trzeba systemowo przeprowadzić, jakimiś ustawami, prawem.

Niemcy wiele po sobie zostawiali – Marian szedł ulicą i czuł się, jakby był w salonie meblowym: szafy jak antyki, skórzane fotele, niektóre co prawda z rozprutymi siedziskami, solidne stoły na toczonych nogach. Było też trochę drobniejszych przedmiotów: lampy, parasole, dokumenty, które wyglądały jak jakieś dyplomy, książki, nawet cylinder się zdarzył. Powynoszone z opustoszałych mieszkań, pewnie w nadziei, że uda się to wszystko albo przynajmniej część ze sobą zabrać. Nie udało się, bo jak? A teraz ci niemi świadkowie dawnego dobrego życia tkwili na ulicy, bezpańscy. Taki stan nie trwał długo, bo zjawiali się inni i wnosili je do środka, czasem do tych samych mieszkań, bo właśnie te sobie upatrzyli, a czasem – do innych. Bywało, że ktoś kolejny się zjawiał i zabierał. I przedmioty znów rozpoczynały wędrówkę. Albo były na potrzeby własne, ale częściej niesiono je na plac Grunwaldzki. Szaberplac, taka nazwa była teraz w użyciu. Niby to kradzież, lecz taka, na którą państwo pozwala, a w każdym razie jej nie zauważa. Mogłoby, tylko co by dało tym ludziom w zamian? Więc proceder zabierania nie swojego trwał. Obejmował nie tylko te przedmioty, na których wciąż jeszcze unosił się zapach poprzednich właścicieli, lecz także na przykład kable czy szyby z okien. Szkło było towarem deficytowym, trzeba było go pilnować, zresztą wszystkiego trzeba było pilnować, bo kradli. Co do tego słowa, to Marian się teraz trochę wahał, bo w jego słowniku kradzież dotyczyła jednak rzeczy, które się kupiło, zrobiło, no po prostu zdobyło jakimś kosztem, a nie tak jak tu, że wchodzisz i już masz.

Zresztą to nie była jego sprawa. Gdyby zauważył coś grubego, toby zadziałał, ale na taką drobnicę nie będzie się rozmieniał. Sprawy poważne zaczynały się wieczorem i ciągnęły w noc. Strzały, napady na przypadkowych przechodniów albo na konkretne miejsca i osoby – to ostatnie to była zorganizowana działalność. I do tego właśnie Marian został wyznaczony.

Czuł z tego powodu dumę. Wcześniej wszystko prowadzili w masie, był trybikiem tej wielkiej maszyny, a teraz – zrobiła się z niego jednostka. Też w grupie, ale proporcje były inne, a do tego on się wyróżniał. Podobno. Niby już było po wojnie, ale przecież sytuacja wciąż wymagała walki. Ważnej dla

odradzającego się państwa. Już nie pod sowieckim dowództwem, ale w polskich strukturach.

Jurek miał na ten temat odrębne zdanie, jak zawsze zresztą. Nie chciał tu być, kilka razy pisał podanie o urlop, ale załatwiane odmownie. Może dlatego, że najpierw starał się o demobilizację. „Nie teraz, teraz kraj was potrzebuje”. „Was”, prychnął potem Marianowi w twarz, „jakbym mu się w oczach dwoił”. Marianowi ta forma nie przeszkadzała, gorsze by było tykanie, bo to mu się źle kojarzyło, jak wszystkim, którzy nigdy poza ten najniższy stopień drabiny nie poszli. A tu... Więc nie było źle, bo miasto duże, fakt, zniszczone, ale to się odbuduje, będzie nawet ładniej, bo niektóre budynki z tych, co zostały, to takie wielkie, gmaszyska po prostu, i jak na marianowy gust – zbyt ozdobne. Z jedzeniem mogłoby być lepiej, bo teraz to przede wszystkim zateęchła kasza i czarny chleb, kwaśny i tak działający na kiszki, że żał gadać, zwłaszcza że z papierem też problemy. Dobrze, że wśród tych powywalanych rzeczy było dużo książek, to zresztą i z myślą o zimie.

Nagle usłyszał strzały, całą serię, a chwilę potem zorientował się, że to wybuchy. Wyskoczył do przodu i schował się za najbliższy róg. Coś się działo w budynku, którego przeznaczenia jeszcze nie znał, ale na pewno miało być urzędowe, bo od rana trwał tutaj wzmożony ruch – sprzątanie, wnoszenie mebli. Jutro miał o to zapytać na odprawie, bo lubił być dobrze poinformowany. A teraz ktoś tu urządzał taką rzeźnię. Znowu się wychylił, ostrożnie. Strzały ucichły, na parterze prawego skrzydła paliło się. Odczekał jeszcze chwilę i ruszył w tamtą stronę. Rękę zaciskał na kaburze. Rozglądał się dokoła, ale nikogo nie widział. Zaczynało się zmierzchać, co nie ułatwiało sprawy. Przełknął ślinę. Głupio by było tutaj zginąć. Ostrzegali i mieli rację. Naiwni byli ci, co sądzili, że Niemcy się łatwo poddadzą. Widać nakaz Hitlera działał nawet zza grobu – tak fanatycznych miał wyznawców. Dostrzegł ciemne sylwetki postaci uciekających od budynku w stronę rzeki. Rzucił się za nimi, choć bez ostrzeżenia. Ich było kilku, on – sam. Gdy przebiegł na drugą stronę ulicy, zobaczył pojedynczą postać zbliżającą się w jego stronę. Wyjął i odbezpieczył broń. I wtedy zobaczył, że to Jurek.

– Co ty tu robisz? – zapytał, patrząc w kierunku, gdzie zniknęli uciekinierzy. Szanse, że ich dorwie, dramatycznie mały.

– Wracam z obchodu. Usłyszałem strzały i przyszedłem tu.

– Zwiali, skurwysyny. Niezłomni, co? – Marian pokręcił głową.

– A ty ich dobrze widziałeś? – zapytał Jurek.

– Tyle o ile. Ciemnawo już. Ale kto to – wiadomo.

– A kto?

– No kto? Nazwisk ci nie podam, ale przecież to jasne. Szkopy. *Werwolf*.

– Szkopy – powtórzył po nim Jurek. – Na pewno?

– No a kto niby? – Marian zabezpieczył broń i schował ją do kabury. Słabo jakoś się postarali, bo ogień przygasał.

– Na przykład nasi.

– Nasi?

Z Jurkiem musiało być źle. Może ten opór i zniechęcenie tak na niego działały i mąciły mu w głowie?

– Widzisz, ja całkiem nieźle jednego z nich widziałem, bo z tamtej strony szedłem. – Pokazał ręką w kierunku ucieczki podpalaczy.

– Niemożliwe. Słyszałeś, co mówili. Nie tylko zresztą mówili, bo przecież te wilkołaki ostatnio wysadziły Czechom magazyn amunicji.

– Słyszałem. Że była komisja rządowa i szybko wszystko ustaliła.

– No. I to samo jest u nas. *Werwolf*. Tacy niby partyzanci.

– Niby.

– Jurek, co tobie, kurwa? – Marian się zdenerwował. Zmęczony był, głodny, a ten mu jeszcze jakieś podchody robi.

– Nic. Po prostu głośno myślę. Tyle tylko – dodał po chwili, jakby trochę pojednawczo.

Czasem Marian naprawdę go nie rozumiał. I to nie dlatego, że Jurek był od niego mądrzejszy.

– Chodź, późno, nic tu po nas. – Teraz on trochę ustąpił.

Jurek kiwnął głową.

Przez chwilę szli w milczeniu, ale kiedy znaleźli się po drugiej stronie Odry, Jurek się odezwał:

– A jak ta twoja sprawa? Coś się ruszyło?

Mariana jakby kto przełączył na lepszy nastrój.

– Może coś się ruszy. Gadałem dziś z naszym dowódcą, tak bez zobowiązań, zeszło na żony, dziewczyny i tak jakoś... Swój człowiek. Doradził coś, zobaczymy.

– To dobrze. Przynajmniej to dobrze.

\* \* \*

### *Okolice Liverpoolu, jesień 1946 roku*

Dygotała. Z zimna czy z głodu? Zapewne jedno i drugie tak się w jej ciele objawiało. A najbardziej to chyba złość. Tak, była na siebie zła, że dała się Zosi przekonać. Niby nie było innej drogi, ale może gdyby się lepiej zakreśliła, wywiedziała?...

Wysunęła rękę spod koca, żeby mocniej wcisnąć jego róg pod plecy. Szorstki materiał był z zewnątrz oszroniony. W takich samych warunkach żyli u Sowietów; tam to czasem nawet lepiej, bo przecież palili ogniska, kiedy tylko udało im się skądś zdobyć opał – wszystko jedno, jaką drogą – zwykle kradzieży, czy, jak kto wolał, „gospodarowania wspólną własnością wedle potrzeb”. Tam zostali włączeni w wielki sowiecki organizm, to i własność mogła być ich. Tu, w Wielkiej Brytanii, byli ciałem obcym. Kilka zaledwie dni znajdowali się na terytorium brytyjskim, a Ela już powzięła takie przekonanie. Owszem, była uprzedzona co do przyjazdu tutaj, ale nawet gdyby chciała zostać w Anglii, nie mogła być ślepa na prawdę. A prawda była taka, że przyjęli ich tu marnie. Jak można kogoś zaprosić – i to nie byle kogo, bo Polaków, których tak wychwalali za waleczność we Włoszech i w Anglii – a potem oferować mu takie liche warunki?

Czekały na nich baraki z blachy falistej, które wyglądem przypominały beczki. Zosi zrzędała mina, choć próbowała to ukryć. „Taki przesiedleńczo-imigrancki

standard”, powiedziała. Że niby tak samo mieli w Persji. Owszem, ale po pierwsze, tam było ponad trzydzieści stopni cieplej, a po drugie, tamtejsi gospodarze działali z czystej dobroci serca – co oni Polakom zawdzięczali? Wzięli ich obdartych, brudnych i głodnych i przez kilka lat gościli u siebie. A tutaj?

Znowu się zatrzęsała. Blacha była cienka, a prawie wcale tu nie grzali. Uczucie zimna potęgowało duża wilgotność powietrza. Po tylu latach nasłonecznienia trudno się było przyzwyczać do oblepiającej, mokrej mgły. Zjawili się tutaj w letnich ubraniach, bo po co im były inne w bliskowschodnich warunkach? Ela wyobrażała sobie, że od razu się nimi zajmą, pozwolą na gorącą kąpiel, sprezentują przygotowane pakiety odpowiedniej odzieży, dobrze nakarmią. Nic z tego zestawu życzeń się nie wydarzyło. Wpakowali ich w te beczki, dali im to, co przygotowali wcześniej dla osób, które cywilnie wspomagały aliantów – wojskowe łóżka polowe, po dwa koce na głowę, łyżkę bladych, rozgotowanych ziemniaków, mdłą, podobnie paciajowatą kapustę, kromkę białego chleba i herbatę. „I figi”, dodała skrupulatnie Zosia. Fakt, figi też dali. „Może to taki gest, żebyśmy się poczuli jak chwilę wcześniej?” – w sensie, że tam też jedli figi. Akurat! Dali, co mieli pod ręką. Te figi chyba im zalegały, bo były jakieś pomarszczone i w ogóle nie smakowały dobrze.

Podniosła się. Zimno i złość skutecznie odganiały sen. Podeszła do łóżka Krzysia. Spał, bledziutki i zmęczony. Jeszcze nie doszedł do siebie po tamtym wypadku, choć upłynęło już tyle miesięcy. Wystrzelił wtedy jak z procy, rozgoryczony i zezłoszczony. Zwyczajna sprawa, takie dziecięce, wybuchowe humory. Nie było w tym winy Zosi, choć to przecież ona wtedy z nim rozmawiała. Tak czy owak, wybiegł z budynku i poleciał przed siebie, wzdłuż zabudowań, niesiony emocjami i niezwracający uwagi na otoczenie. No i pech chciał, że wpadł pod wojskową ciężarówkę. Szczęście, że nie skończyło się to śmiercią, bo i kierowca nie zachował odpowiedniej uważności – w ostatniej chwili w tumanie kurzu zauważył nieduży, człeko-, dzieckokształtny cień, i dał po hamulcach, aż żołnierze polecili z ławek. Krzyś oberwał w ramię; ucierpiały kości, nie narządy wewnętrzne. Wtedy, gdy Worolska im to mówiła, uczepiły się tej myśli – że to

lepiej, bo życie Krzysia nie jest zagrożone. Później jednak się okazało, że sprawa nie taka prosta. Krzysiove kości, nie najlepiej odżywiane w czasach wczesnego dzieciństwa, były kruche i delikatne. Popękały i się przemieściły. Potrzebna była operacja – poważna, zresztą już sama narkoza wywoływała w siostrach paniczny lęk, bo ryzyko śmierci istniało, zwłaszcza że to dziecięcy organizm. Udało się jednak Krzysia uśpić, obudzić, a w międzyczasie kości poskładać. Najlepiej, jak można było, ale sześciotygodniowe unieruchomienie i domorosłe rehabilitowanie odcisnęły piętno na sprawności chłopca. Dodatkowo nie wiadomo było, jak dalszy wzrost wpłynie na jego zmieniony operacyjnie kościec. Po pół roku widać było lekką nierówność w położeniu ramion – lewe było ciut wyżej. Nie było to widoczne na pierwszy rzut oka, ale na drugi – już tak. Zosia uspokajała, że to się przecież w oczy nie rzuca, no i że tu mają dobrych specjalistów, jakby co. Ela myślała inaczej, z szerszą perspektywą – nie chodziło przecież wyłącznie o wygląd. Jeśli gdzieś nastąpiło przesunięcie, to w innym punkcie ciała też się coś zmieni, bo organizm, a w szczególności szkielet, tak właśnie działa – tutaj przesunięcie, to gdzie indziej także. Tym bardziej więc trzeba się Krzysiem zająć, a tu... jeśli tak to ma wyglądać, to nici z leczenia. Zresztą Zosia pewnie szybko straci zapał do zajmowania się Krzysiem, kiedy pojawi się na świecie dziecko – jej własne dziecko.

Rany, jak tu było chłodno!

– Szlag by to – zaklęła pod nosem.

Nic się nie składało. A najbardziej to, że Czerwony Krzyż milczał.

\* \* \*

*Londyn, jesień 1946 roku*

Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia – Polish Resettlement Corps.

Jan wygładził papier kancelaryjny z tym nagłówkiem w obu językach. *Resettlement*. Całkiem nieźle już mówił po angielsku; oczywiście nie tak, żeby móc zupełnie swobodnie rozmawiać na każdy – poważniejszy – temat. Język był mu

potrzebny przede wszystkim do codziennej komunikacji, do zwyczajnych spraw – bytowych i pogodowych. Tak, rozmowy o pogodzie były tu na porządku dziennym. I o tym, jak się kto czuje; w tym przypadku jednak rozbudowane słownictwo nie znalazłoby zastosowania – w Anglii należało się czuć dobrze. *I'm fine, thank you.*

*Resettlement.* Przesiedlenie. Anglicy dali dobre słowo na oddanie ich sytuacji. Niby tacy kurtuazyjni i mało wylewni, ale kiedy trzeba było nazwać sprawę po imieniu, to nazwali. Polskie słowa przeciwnie – owiwały rzeczywistość w bawełnę. Rozmieszczenie i przysposobienie. Jakby pisali o pakunkach albo małych, bezwolnych dzieciach. Jakby nigdy wcześniej im się to nie zdarzyło – wywózka, zsyłka, dramat. Oczywiście, wtedy nikt ich o nic nie pytał, jedzcie, pakujcie się, szybciej. I tyle. Teraz byli tu z własnej woli. Przynajmniej w teorii. W ogóle własna wola, mimo zakończenia wojny, nadal była tworem abstrakcyjnym.

– Coś się tak zamyślił?

Jan obrócił się w stronę Tomasza Zankiewicza, do którego należał ten głos. Fajny był z niego chłopak. Rok starszy od Jana, z Jacewiczów, małej miejscowości gdzieś między Wilnem a Kownem. Cztery domy oraz majątek należący do jego rodziny. Dawny, bardzo dawny świat sprzed kilku lat.

– Tak ogólnie. Co robić i te kwestie.

– No, tak ogólnie. – Zankiewicz usiadł obok niego, ale na stole, bo drugie krzesło było zajęte przez pudła z papierami. – Powiem ci, że i mnie to spędza sen z powiek. Pierwsza myśl, kiedy się obudzę, to niezmiennie – co robić. Do wczoraj miałem większe wahanie w tej sprawie.

Jan pokiwał głową. Wczoraj się dowiedzieli, że generał Anders nie jest już Polakiem. On i ponad siedemdziesięciu innych oficerów. Nie żeby zrejterowali z obywatelstwa. To nie była ich decyzja, tak uchwaliło państwo polskie, o którego wolność przelewali krew podczas wojennych tułaczek. Niżsi rangą wojskowi, tacy jak Jan czy Zankiewicz, nadal mogli się uważać za polskich obywateli, ale pytanie jak długo – jeśli nie wrócą do kraju.



Jan był rozbity. Powoli tracił złudzenia co do tego, w jakim kierunku zmierza jego ojczyzna. Były takie jaskółki nadziei, ale padły. Bo na przykład latem zeszłego roku ogłoszono amnestię dla działaczy podziemia. Na fali ufności czy może zmęczenia, kto wie, ale ponad trzydzieści tysięcy ludzi się ujawniło. A potem, niby to bez związku, spora ich część została aresztowana. Powody różne, ale wszystkie sfingowane. Konkordat też rozwiązali. Religii już podobno w szkołach nie było, kolejne miały być śluby w wersji cywilnej i dopuszczenie rozwodów. Jan nie był ultrakatolicki, bo obce mu były wszelkie przesady, ale jakieś podstawy istnienia ludzkiego musiały przecież być – nie tylko w życiu osobistym, lecz także całego społeczeństwa. I co by miało zastąpić ten fundament, na którym Polska stała od wieków? Prawo stworzone przez komunistów? Nowa religia, którą już poznał u Sowietów?

Parsknął, gdy sobie to wyobraził.

– Ciebie to śmieszy? – Tomek spojrzał na niego zdumiony.

– Nie, zupełnie nie, to nie w twojej sprawie. – Jan szybko położył mu rękę na ramieniu. Lubił tego chłopaka, jakoś sobie podpasowali; czuł, że ma w nim bratnią duszę, a tego właśnie potrzebował. Człowiek nie może być sam, został stworzony do życia w grupie, w społeczności. I to nie takiej, jaką szykowali im w Polsce komuniści. – Po prostu próbuję sobie wyobrazić codzienność wedle nowych prawideł. I nie potrafię. – Pokręcił głową. – To taki śmiech z histerii trochę.

– A może nie trzeba sobie wyobrazać? Bo wiesz, co ja myślę? – Zankiewicz przełożył papiery i przysunął się do Jana. – Że to nie da rady w taki sposób. Owszem, oni działają, robią, co robią, ale naprzeciw mają miliony ludzi. A wśród tych milionów duża grupa, która walczyła o to, żeby Polska była. Stara Polska, nie taka. Myśmy się na dali Sowietom na ich ziemi, to co, myślą, że u siebie odpuścimy? Nie odpuścimy! – Rąbnął pięścią w blat stołu, aż kilka kartek podfrunęło. – Będzie tak, jak większość będzie chciała. Tak, żeby było sprawiedliwie. Tak, żeby Polska była nasza, nie sowiecka.

– Trzy razy tak. – Jan się uśmiechnął, ale wbrew układowi warg przecząco pokręcił głową.

Referendum było sukcesem tych, co rządzą, choć trudno było uwierzyć, że prawdziwym. A może prawda już całkiem nie miała znaczenia?

– Ale to polskim alfabetem musi być pisane, nie bukwami. – Zankiewicz się ożywił, jakby zwątpienie Jana dodało mu animuszu. – Patrz, jak to czasem przeciwności potrafią człowiekowi dodać skrzydeł. Jeszcze jak tu szedłem, to nos na kwintę, w głowie chaos i gonitwa myśli. A teraz, szast-prast! I zdecydowane. Jadę! Wracam. Przecież tam ojcowizna, tam mam dom!

– Tam to już nie. To nie polskie.

– Dobra, dobra. Formalnie masz rację, ale przecież będzie coś w zamian.

– Już jest. Ziemie Odzyskane.

Zankiewicz nieznacznie się skrzywił.

– Jedne odzyskane, inne stracone. Ja ci powiem, Janek, że nic nie może się równać z zapachem skoszonego siana na naszej łące. Albo sadu wczesną jesienią, kiedy rano niby to chłodniej, lekka wilgoć, ale ziemia oddaje nagromadzone latem ciepło. A jeszcze potem, jak ziemniaki z gorącego popiołu wyjmujesz i polewasz śmietaną ze spiżarni. Albo kiedy wychodzisz z obejścia i patrzysz, a tam po kres tylko zieleń – taka, że gdzie indziej nie uświadczysz. No to jest po prostu... – Spojrzał w stronę okna, za którym rozciągało się popołudnie w kolorze mocno spranej koszuli. Od kilku dni mgła była taka, że widoczność spadała do metra. – No. – Odchrząknął. – Więc może nie będzie dokładnie tego samego, ale postawi się stopę gdzieś tam. I ma być angaż do wojska. Ja bym chciał, to zawsze zaszczyt. I prestiż. A tu... – Rozłożył ręce.

Tu było nie najlepiej. Janowi wydawało się, że w monarchii brytyjskiej czeka ich dobre życie. Rewidował ten pogląd krok po kroku. Zaczęło się od tego, że reprezentacyjny oddział Armii Polskiej nie został zaproszony do wzięcia udziału w defiladzie zwycięstwa w Londynie. Zresztą to nie było pierwsze; przecież sygnały docierały już wcześniej – prehandlowali ich za zadowolenie Stalina. No ale wciąż było zapewnienie, że Anglia będzie domem dla tych, co tak walecznie bili się u boku Brytyjczyków. I była, ale to nie był dom hojnej i zamożnej ciotki –

szli raczej w stronę przytułku. Wszędzie był powojenny kryzys, a wtedy na pierwszym miejscu stawia się swoich obywateli. To było całkiem zrozumiałe, a i tak w Janie tliło się rozżalenie. O tym, co w Polsce, nie miał siłą już myśleć. Nie podzielał nadziei Tomka. Coś, nie użyłby słowa „intuicja”, ale to z tego porządku, mówiło mu, że obrót spraw będzie coraz gorszy. Bił się z myślami, choć właściwie prawie, prawie już podjął decyzję. Dwie niewiadome tu jeszcze były – Zosia i rodzice. Z ojcem nie miał kontaktu od czasu, gdy ten poszedł walczyć. Przed samym zaciągnięciem się Jana do wojska matka z drugiej ręki przyniosła informację, że jest w jakimś obozie, tysiąc kilometrów na północ od nich. Potem – już nic. Czy rodzice się odnaleźli? Czy już byli w kraju? I gdzie? Na ścianie wschodniej czy zachodniej? Czekał na wiadomość, bo jego losy łatwiej było śledzić. Bardzo chciał ich zobaczyć, ale to nie oni byli już punktem odniesienia w jego życiu – Zosia nim była. I jutro miał się z nią spotkać. Jechał do Liverpoolu, bo tam, na jego obrzeżach, wylądowali Polakowscy. Nie mógł się doczekać tego spotkania. Ze wszystkich spraw, które najmocniej trzymały go w dobrej formie, Zosia była na pierwszej pozycji. W chwilach zwątpienia, zmęczenia, niepewności – jej obraz pod powiekami nie pozwalał mu się poddać. Nie wiedział, jakie będzie jej zdanie na temat powrotu do ojczyzny, ale mógł się domyślić – tacy jak Polakowscy już w Polsce nie istnieli. Ich dwory, majątki i pałace zajęli inni. Nie pasowali do nowego ładu. Jeśli Jan nie miał po co wracać, to Zosia po wielokroć bardziej. No i nie ciągnęły ją tam już żadne więzy rodzinne – matkę pochowała w Persji, ojciec został na sowieckiej ziemi. Jan poczuł drapanie w gardle. Rzadko się wzruszał, ale Zosia wzbudzała w nim takie opiekuńcze myśli – zająć się nią, zadbać, zapewnić dobre życie. Nie tylko zresztą jej, lecz także dzieciom, które do nich przyjdą. I niech wtedy nawet dokoła będzie nie tak, jak sobie wymarzyli, ale w ich małej rodzinie wszystko się potoczy, jak należy. To będzie ich świat – choćby w skali mikroskopu.

– O, widzę, że i ty to czujesz. Niby mgła jak mleko, ale coś takiego w niej, że szczypie w gardło i w oczy. Chodź, może się załapiemy na jakąś kolację. I może to

nie będzie ten koszmaryny budyń z brukwi czy coś równie podłego. Gdyby oni znali kołduny mojej babki, toby królestwo za nie oddali. No, chodź.

Jan postawił kołnierz i wyszedł w oblepiającą, kwaskowatą mgłę.

\* \* \*

### *Liverpool, jesień 1946 roku*

„Ryby to biedne jedzenie”, powtarzała Wojtusikowa, która pomagała mamie w kuchni. A może ona się inaczej nazywała? Ela nie mogła sobie przypomnieć. Nawet twarz kucharki zatarła się w jej pamięci. Właściwie to Ela najbardziej pamiętała jej miękki brzuch i obfite piersi. To dorodne ciało na pewno nie wyrosło na chudej rybie, tylko na mięsie w zawiesistym sosie, zaprawianych zupach i pełnych słodczy deserach. Kucharka była najlepszą reklamą swojego gotowania – obfita, pachnąca, zadowolona.

Ela wytarła palce w chusteczkę. Ryba, którą tu podali, była przesiąknięta tłuszczem, wbrew opinii Wojtusikowej. Panierka z grubego, trochę zbyt twardego ciasta oraz ciosane w nieduże kawałki ziemniaki – fish’n’chips – trudno było powiedzieć, jak jej to smakuje. Przede wszystkim właśnie tłuszczem. I solą; soli dała za dużo. Może dlatego, że solniczka najpierw wydała się zapchana, zawilgocona, a potem nagle zbyt dużo białych kryształków posypało się na talerz.

A może dlatego, że Ela nie potrafiła oderwać wzroku od Zosi i Janka.

Spotkali się w obozie. Zosia już na godzinę przed umówionym spotkaniem kręciła się w pobliżu bramy, nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Widać było, że jest bardzo podminowana. Rano długo upinała włosy, potem kilka razy zmieniała bluzki – z jednej na drugą, bo tyle tylko miała, szminkowała usta, z nerwów zjadała pomadkę, znów ją nakładała, dokładała pudru, ścierała, bo za dużo i „wygląda jak mara”. I tak w kółko. Aż zjawił się Jan.

Ela dostrzegła go z daleka. Wysoki, chyba zeszczupłał. Krok sprężysty, pewny siebie. Wyprostowany, z lekko dłuższymi włosami, takimi, jakie tu były modne. Dobrze mu było w tej fryzurze. I w marynarce. Wyglądał naprawdę przystojnie

i tak... angielsko. Ela pomyślała, że się wpasował; gdyby go nie znała i zobaczyła na ulicy, mogłaby go wziąć za Anglika. A Zosię za jego angielską dziewczynę.

Najpierw przywitani się tak... oficjalnie. Stanęli przed sobą, ona podała mu rękę, on ją podniósł i musnął ustami, ale chwilę później rzucili się sobie w ramiona. Zosia stała na palcach, Jan zamknął ją w ramionach. Całowali się.

Ela odwróciła wzrok, chociaż z tej odległości nie mogli jej widzieć, zresztą i tak byli zajęci wyłącznie sobą.

Później Jan wręczył im prezenty – Zosi wełniany sweter, Eli – kamizelkę, a Krzysiówi czapkę, szalik i rękawiczki. Pamiętał o nich wszystkich, bardzo to było ładne z jego strony. I zabrał ich do pubu, na obiad.

Krzyś był podekscytowany, podskakiwał, zadawał pytania o wojsko, o bitwy, o samoloty, pistolety – jak to chłopiec. Jan odpowiadał, kilka razy kurtuazyjnie zagadnął o coś Ele, ale trudno mu było ukryć, że najchętniej spędziłby czas tylko z Zosią. Siostra też nie potrafiła udawać, że równo obdziela wszystkich swoją uwagą.

Kiedy Jan odjechał, Zosia poinformowała ich, że za tydzień jedzie do Londynu. Tym razem mówiła już tylko o sobie. Na spotkanie, żeby zobaczyć, jak Jan mieszka, no i żeby zwiedzić trochę miasto. Ale oczywiście wróci. Oczywiście, pomyślała Ela. Jednocześnie przyszło jej do głowy, że ta furka właśnie się zamyka. Tak jest zawsze, gdy łączy się dwoje ludzi – inni zawsze będą tak trochę na dokładkę.

\* \* \*

*Wrocław, zima 1947 roku*

– No, to trzymaj się.

Marian poklepał Jurka po ramieniu. Po chwili go przytulił – szybko, niezgrabnie, jak dzieciak, któremu każe się pożegnać niezbyt często widywaną ciotkę. To porównanie nie do końca pasowało – spędzali ze sobą czas od kilku lat, więc poznali się już całkiem dobrze, oczywiście na tyle, na ile się dało, bo

wiadomo, że jak się ludzie różnią, a mimo wszystko lubią, to nie będą gadali o sprawach, które budują między nimi mur. No i właśnie – lubili się. Trochę to wszystko było na opak, ale co ostatnio takie nie było?

Marian się odsunął.

– Jak się tam już jakoś ustawisz, to daj znać, co?

Głupio mu było przed samym sobą, ale głos mu trochę drżał.

– Dam znać. Choć z tym ustawianiem się to może być krucho.

Jurek patrzył na niego zwyczajnie. Z uśmiechem, więc i chyba serdecznie. A jednak Marian nie był tego do końca pewien. Przy nikim nie czuł się tak, jak przy tym chłopaku – z jednej strony coś go do niego ciągnęło, a z drugiej – zawsze musiał być czujny. Chciał być czujny – żeby czegoś nie palnąć, nie przegapić, nie zrobić źle. Mówi się, że przyjaciel to ktoś taki, przy kim można być sobą, bo on nie oceni. No i Jurek nie oceniał, przynajmniej nie na głos. Za to Marian bywał dla siebie sędzią. Kurwa, pomyślał. Co za dziwaczna sytuacja.

– Tak mi się powiedziało. Chodzi mi o to, że jak już znajdziesz jakiś kąt do mieszkania, bo przecież na spalone jedziesz, jak już się gdzieś zahaczysz, bo...

– ...bo zdegradowany jedziesz.

Właśnie. No właśnie o coś takiego, kurwa, mu chodziło. Niby normalna rozmowa, ale czy tam było jakieś drugie dno?

– Wiesz, jak jest. Chcesz iść do cywila, to tracisz to, co zdobyłeś w wojsku. – Marian powiedział to, jakby z dzieckiem gadał.

– Ja się nie skarzę. Wszystko ma swoją cenę – zgodził się Jurek.

Marianowi coś nieprzyjemnie zbulgotało w brzuchu. Może z głodu, a może nie.

– Słuchaj... – zaczął, ale sam nie wiedział, co chce powiedzieć.

Jerzy go wyręczył.

– Jest dobrze. Między nami jest dobrze. Dokoła – rozejrzył się po zatłoczonym peronie – jest różnie, ale między nami jest w porządku.

Skurcz minął.

– Będę wsiadał, bo za chwilę odjazd. No i muszę się gdzieś upchnąć. – Jurek spojrział na zatłoczony wagon. – Odezwę się, kiedy, jak ty to mówisz, urządzę się.

– To może potrwać. – Marian się uśmiechnął. Trochę z obawą.

Jerzy zaczął wchodzić po schodkach. Za nim wciskał się jeszcze jakiś korpulentny pięćdziesięciolatek z wypchaną teczką.

– Uważaj na siebie – dodał Marian, już do pleców Jerzego, ale ten usłyszał. Nie odwracając się, odpowiedział:

– Będę.

Zamachała chorągiewka konduktora, rozległ się gwizd i pociąg powoli ruszył. Marian jeszcze przez chwilę szedł wzdłuż powoli toczącego się wagonu. Jerzy stał teraz przy uchylonym oknie. Mógłby coś dodać, na przykład żeby Marian też na siebie uważał, ale nic już nie powiedział.

Marian powoli szedł w kierunku centrum. Dziś była niedziela, wolne. Dobrze, przyda mu się, bo ostatnio miał bardzo dużo roboty. Tej zwykłej, w ich korpusie, i tej dodatkowej, związanej z wyborami. Tak dużo się tego zebrało, że ciągle brakowało mu czasu, żeby pojechać do matki.

Odnalazła go. Z listu wiedział, że długo jej nie puszczali ze Wschodu. Po co ona im tam była? Ona i inni? No ale trzymali ich, dopiero przed trzema miesiącami w końcu osiadła na polskiej ziemi. Polskiej też od niedawna. Matka trafiła do Legnicy. Jakąś okrężną drogą, przez centrum kraju. Doklejona do większej grupy, jakby sama pojedyncza nie liczyła się w masie. Pisała o rolnikach, gdzieś spod Kielc, o jakichś ludziach ze Wschodu i jeszcze chyba o Nowym Sączu. Niezbyt to było składne, ale raz, że w emocjach, a dwa – matka przecież nie nawykła do pisania. Sam po sobie wiedział, że to może sprawiać kłopoty. Uczył się, czytając gazety. Trochę nudna treść, ale to nawet lepiej, bo skupiał się na pojedynczych wyrazach. Cokolwiek będzie chciał robić w życiu, pisanie będzie mu potrzebne, i to takie bez błędów, żeby się nie wstydzić. Parę razy go Jurek poprawiał, bez sztorcowania, ale to nic przyjemnego. Matce taki trud zbyteczny, przecież nie będzie zarabiała na życie, pisząc. Tak czy owak, nie skarżyła się zbytnio, raczej go

informowała. Marianowi wydawało się, że trochę okrzepła, zrobiła się silniejsza. Wiele przeszła u Sowietów, połowę tego czasu przecież jej towarzyszył, więc wie. Widać to ją zahartowało. Jednych życie zabijało, drugich – wzmacniało. Czernikowie należeli do tej drugiej grupy. Ojciec co prawda umarł, ale tu przyczyną była raczej choroba. Choć gdyby w psychice był mocniejszy, może by się chorobie nie dał?... Nie było co rozpamiętywać. Więc matka też już w kraju, z zabezpieczonym bytem. I tylko kilkadziesiąt kilometrów od niego. Spotkają się – jeśli jemu się nie uda na przepustkę, to ona przyjedzie. Ale to po wyborach.

Wybory. Temat trudny, jeden z tych, co to mógłby go z Jerzym rozdzielić. Obaj dostali przydział do obstawy głosowania. Tyle że jakoś tak wyszło, że kilka dni wcześniej Jerzemu udało się otrzymać zgodę na odejście ze służby. To się wiązało z odebraniem stopnia i degradacją, i może dlatego nie skierowano go już do żadnego punktu wyborczego – mimo że formalnie był wtedy jeszcze na służbie? A może dlatego, że Jurek niezbyt markował swoje nastawienie do tego głosowania? Niby tak zupełnie prywatnie, w wąziuteńkim gronie, ale widać takie czasy się zrobiły, że pewne grono było tylko jednoosobowe – sam zainteresowany.

Marian poszedł. Robił, co mieli robić. Jemu przypadło w udziale kierowanie ruchem na korytarzu. Żeby odbywało się to płynniej, wywoływali czekających ludzi. Kluczem była chęć oddania głosu na konkretny punkt na liście. Marian dostał trójkę, czyli Blok Stronnictw Demokratycznych. Według oczekiwań, to był faworyt. Czy się sprawdzi – to pokażą wyniki, mają być pod koniec miesiąca. Gdyby miał sądzić po korytarzowym ruchu, to niekoniecznie aż tak wysoko by obstawił, ale tam był przez jakieś trzy, cztery godziny, potem jeździł po jakieś dokumenty dla komisji, które docierały z opóźnieniem, więc pełnej wiedzy mu brakowało.

W sumie poszło całkiem sprawnie. Jeszcze kilka tygodni przed wyborami czuć było napięcie. „Nastroje są wzmożone”, mówił ich dowódca. Były. Jeździli po okolicy, żeby je „tonować”. Polegało to na tym, że rozdawali ulotki, zwoływali wiece i tłumaczyli, że teraz ważne są spokój i odbudowa kraju. To znaczy nie on osobiście, od tego byli inni ludzie, z innych oddziałów. Im przypadły w udziale



„trójki uświadamiające”, czyli chodzenie od domu do domu i namawianie, żeby głosować na PPR. „Namawianie, no tak się mówi, ale przecież nikomu do głowy karabinu nie przystawialiśmy”, powiedział Jurkowi, którego z nimi nie było, bo jemu wyznaczili jakieś porządkowe, najprostsze, dopasowane do degradacji zadanie.

No i taka była prawda, nikogo nie zmuszali. Potem, według oceny Mariana, też było w porządku. No, całkiem. Drobne incydenty, że na przykład ktoś nie mógł zagłosować, bo nie było go na liście czy krótka przerwa w pracy komisji, bo trzeba było pilnie wyjaśnić wątpliwość – tak, to się zdarzyło. Że później część obywateli nie zdążyła zagłosować? To też, ale to były nieduże liczby, w skali kraju nie będą miały znaczenia. Podobno w innych miejscach takich sytuacji było więcej, ale generalnie, i takie było zdanie Mariana, ludzie byli całkiem zadowoleni. Przynajmniej ci, na których on trafiał. Nie raz się powtarzało w różnych rozmowach, że może teraz będzie lepiej. Też tak myślał, zwłaszcza że mówili to ci, po których widać było, że przed wojną mieli gorzej. W tym jednym sprawiedliwości zabrakło – ci, co wcześniej wyżej, elity różnego rodzaju, teraz poznawali smak życia bliżej ziemi. Bliżej chodnika. Ci z przedwojennych nizin – piełi się do góry. No a może to właśnie była sprawiedliwość – taka zamiana ról? Przecież wcześniejsze były tak długo obsadzone.

W ogólnej skali ta teoria mu całkiem pasowała, ale kiedy patrzył na Jurka, to było mu go żal, bo chłopak stracił wiele, wszystko prawie. No ale siebie w Różance też czasem żałował – że go tam los zrzucił. Marzył, że to zmieni, ale tak realnie – jakie by miał szanse przed wojną? A teraz – świat się przed nim otwierał. Czy to było sprawiedliwe? No było, odwrócenie losu, wreszcie. Zresztą...

– Marian!

Z tych myśli wyrwał go znajomy głos. Odruchowo się wyprostował, złączył stopy, prawą ręką wykonał szybki ruch do czoła.

– Dobrze, już dobrze. – Wyrostkiewicz, ich dowódca, odebrał Marianowy salut, a później pokiwał głową i dłonią dał mu znak, że przejdą teraz w tryb mniej oficjalny. Marian znał już ten gest. – Skąd wracacie?

- Z dworca. Odprowadzałem kolegę. Jurka. Jerzego znaczy.
- No tak. – Wyrostkiewicz pokiwał głową. – I pojechał?
- Pojechał – przytaknął Marian.
- To dobrze.

Dowódca był naprawdę w porządku, ale jednych lubił bardziej, innych – mniej. Jerzy był z tej drugiej grupy, no ale on generalnie nie był brat łata.

- Ruch duży?
- Duży, bardzo. W jedną, w drugą, w każdą.

Tygodnie mijały, a ludzie wciąż byli w drodze. Wrocławskie mieszkania się zapelniały, ale jeszcze były takie, które wciąż czekały na nowych lokatorów. Te najlepsze już zajęte, jasna sprawa, więc wygrywali ci, których rzucono tu wcześniej. Albo ci, co się nie opierali i nie czekali, że może, że jednak. Tak jak na przykład Niemcy. Niektórzy z nich też liczyli na nie wiadomo co, że nie każą im się wynosić, darują winy narodowe albo coś równie naiwnego, a potem mieszkali z dokwaterowanymi Polakami, choć to ci pierwsi właściciele byli teraz jakby dokwaterowani i na łasce. To się całkiem zmieniło – do różnych prac porządkowych, rozbiórkowych brało się Niemców. Za żadne wynagrodzenie albo za jedzenie, ale liche. „I tak mają za dobrze, oni w obozach ludzi zamęczali”, „Sprawiedliwe to jest, jeszcze im dołożyć”, tak ludzie mówili. Trochę inaczej było z tymi, co mieli dobre kwalifikacje – ich się zostawiało, bo polskich specjalistów brakowało – wybici albo potrzebni gdzie indziej. No ale z nimi też tak będzie, że jak już Polska okrzepnie, to tamci pójdą *raus*, daleko stąd. Marian się z tym wszystkim zgadzał, wyrównanie krzywd powinno być, przynajmniej takie, no bo jaka to byłaby sprawiedliwość? Zresztą przegrani zawsze muszą płacić. „A jak nam Sybir wynagrodzą, ci drudzy?”, zapytał Jerzy. Jerzy i te jego pytania, ale fakt, to było nie bez racji, tyle że bez szans. I jeszcze jedno – zwycięzcom nikt warunków nie dyktuje, a Sowieci wygrali. Polacy także, ale jakby mniej.

– No, takie czasy, że ludzie jeżdżą – stwierdził Wyrostkiewicz. – Nowe domy, nowe warunki, ale idzie ku lepszemu, prawda?

Marian pokiwał głową. Szli chodnikiem i tak sobie rozmawiali. Nie była to rozbudowana dyskusja, ale zgodna, w jednym kierunku, tak jak ich trasa. I dlatego, mimo że to przełożony, Marian lubił jego towarzystwo. Wyrostkiewicz był przewidywalny.

– A wy lubicie jeździć?

– Ja? Lubię, zawsze mnie ciągnęło w świat. To znaczy tu jest mi dobrze, chwila odpoczynku, bo w końcu trochę się najeździłem przez ostatnie lata.

Wyrostkiewicz spojrzał na niego tak, że Marianowi trochę ten pewny grunt usunął się spod stóp – dosłownie, bo potknął się o kawałek zbrylonego śniegu. Może niedobrze, że o przeszłość zahaczył?

– Trzeba uważać. – Dowódca złapał go pod ramię. – No, to jasne, taki los, u was chwalebny. Zresztą – zatrzymał się – w dobrą stronę idziecie, jeśli mowa o losie. W tym przypadku nawet więcej – jedziecie. Dlatego pytałem o podróż.

Marian też przystanął. Tętno mu wzrosło. Z tonu Wyrostkiewicza wnioskował, że to, co usłyszy, to dobra informacja, ale czasem dobre przychodzi nie w porę. Gdzie się dało, pozamieszczał ogłoszenie. „Elżbieta Polakowska, ostatni raz spotkana w Taszkencie, w lecie 1942 roku, proszona jest o kontakt z Marianem Czernikiem, Wrocław, jednostka KBW, zgodnie z siedzibą. Ktokolwiek wie o losie Elżbiety Polakowskiej, także proszony jest o kontakt. Gratyfikacja”. To ostatnie dodał po wielu wahaniach. Musi być jakaś dodatkowa zachęta, przecież każdy ma teraz tyle na głowie, że czasem dla bliźnich nie starcza. Wahał się; wynagrodzenie, pieniądze, nagroda – jakoś mu nie pasowało. Gratyfikacja – to mu Wyrostkiewicz właśnie podsunął. Bardzo ładne słowo. Zatem Wyrostkiewicz wiedział też, że Marian – listownie, osobiście, raz nawet telefonicznie – zamieścił to ogłoszenie w różnych dziennikach w całym kraju. Odpowiedź, jeśli przyjdzie, to tu, do Wrocławia. No a jeżeli Marian wyjedzie...

– To mi schlebia, bo to na pewno dobra propozycja, tylko wie pan, znaczy wiecie...

– Wiem, wiem. – Wyrostkiewicz położył mu rękę na ramieniu. – Na to też coś zaradzimy. Zresztą pewne kroki zostały podjęte. A tymczasem się szykujcie, bo w przyszłym tygodniu pojedziecie na małą uroczystość. Małą, ale i wielką. A potem do nowych obowiązków, na razie jako oddelegowanie, ale kto wie, kto wie...

– A dokąd? Jeśli mogę zapytać?

– Możecie. Do Warszawy. Aha, i może jeszcze do fryzjera się wybierzcie, bo fotograf będzie, zdjęcie do prasy pójdzie. No, to na razie tyle, ja tu już w inną stronę idę.

Marian przez chwilę jeszcze stał na chodniku. Mroźno było, jak to w styczniu, ale w końcu wyszło słońce i od razu tak cieplej i lepiej się zrobiło.

# Rozdział 6

*Londyn, zima 1947 roku*

Tapeta była kremowa w bladoniebieski wzór. Pastelowe barwy, delikatne, Zosia też takie lubiła. Czas jednak zrobił swoje i kolory wyblakły, nierówno – na wysokości jej wzroku był najjaśniejszy placek, jakby tu kto bielinkę wtarł. Niżej – ciemniej, takie brzydkie smugi, pewnie od opierania pleców. Na samej górze – szarawo, od osadzającej się z kominka sadzy. Teraz z małego paleniska ledwo co płynęła chmura ciepła, tyle tylko, żeby dało się wytrzymać, bo opału brakowało. W grubym swetrze, tym, który dostała od Janka, było całkiem znośnie. Do tego filiżanka herbaty i jeśli się nie siedziało beczynnie, można było wytrzymać, a palce tylko trochę marzły.

*Five o'clock* jednak dopiero za kilka godzin, a ona nie miała na sobie swetra. Spódnicy, butów, pończoch i bielizny też nie. Leżała nago, pod kołdrą, obleczoną w poszewkę w różany wzór. Gryzły się te dwa dekory i kolory, a gdy dołożyć do tego lawendowy dywan przed łóżkiem, to już całkowite pomieszanie z poplątaniem. Nic tu do niczego nie pasowało.

Prawie – oni byli w tym niedopasowanym otoczeniu wyjątkiem.

To była jej druga wizyta w Londynie. Za pierwszym razem pojechała na rekonesans. Denerwowała się tą samodzielną wyprawą do obcego kraju. Nauka angielskiego szła jej naprawdę dobrze – miała samouczki i dużo wolnego czasu, bo ciągle tkwili w stanie zawieszenia. Pracy nie było, to znaczy takiej, która w stopniu większym niż minimalny wykorzystywałaby jej możliwości i chęci. Nie była wysoko wykwalifikowana, ale w Polsce... Czasem jeszcze łapała się na takim myśleniu – absurdalnym w tych warunkach. W każdych zresztą. Tu też było niedopasowanie – czas przeszły nie przystawał do terażniejszego. Poza tym miały

Krzysia pod opieką, ponieważ wciąż nie zorganizowano szkoły dla dzieci – w tym obozie było ich za mało. Niebawem planowano rozpoczęcie polskich lekcji w innym miejscu, ale to nie na terenie placówki, tylko w szkole z internatem. W Persji niby też tak było, nawet gorzej, bo Krzys formalnie trafił do sierocińca, ale tam to było wiadomo, że tylko na bardzo krótki czas, poza tym tam wszystko było jakby w nawias wzięte. Przejściowe, w oczekiwaniu na nowe, prawdziwe życie.

Tutaj to życie już do nich przyszło, przecież wojna się skończyła. Podejmowane decyzje przestawały być tymczasowe, rozciągały się na nieokreśloną przyszłość.

Dzisiejszy przyjazd do Londynu był jednak sprawą chwilową – kilka godzin tylko we dwoje. Nie chodziło o to, że bez towarzystwa Eli i Krzysia, bo już poprzednim razem tak było. Wtedy jednak przez kilka godzin spacerowali po mieście, dwa razy wstąpili do różnych lokali, żeby się ogrzać, bo chociaż wskazania termometrów nie były bezlitosne, to chłód w połączeniu z wilgocią dawał mocno nieprzyjemne odczucia.

Zosia wysyciła się wtedy rozmową i obecnością Janka, ale oboje czuli niedosyt innego rodzaju. Nie musieli tego mówić, zresztą Zosia nie bardzo znajdowała na to słowa. Te z listów czy zapamiętanych lektur nie przystawały do tego, co płynęło z ciała. U Janka to było oczywiste, mężczyźni po prostu tacy są. Że i kobiety takie bywają – tego się dopiero uczyła. Widziała to i w obozie. Była taka Basia, wesola, pogodna, całkiem prostolinijna. Ze starsząwą ciotką tu przetransportowana. Czekwały... w sumie nie wiadomo na co, ale raczej nie na powrót do Polski, bo nie było do kogo i czego wrócić. Ciotka zamknięta w sobie, mało rozmowna, wiekowa, jakby już niespecjalnie zainteresowana otoczeniem – może to kwestia przeżyć, a może związanego z latami oświecenia zaburzonego świadomości. Basia natomiast była cała nastawiona na życie, jakby chciała sobie powetować te lata, co minęły w mizerii. I całkiem otwarcie wyznawała, że ona by wolała tutaj zostać, bo tu widzi lepsze warunki do życia. Tyle że jej samej, obciążonej wiekową ciotką – trudno. I żeby rozgonić te obawy, poprawić sobie nastrój, czasem wychodziła na miasto. Wracała pod bramę nie w pojedynkę. Zosi wydawało się, że ci chłopcy, co ją

odprowadzali, się zmieniali, ale od jakiegoś czasu zjawiał się ewidentnie ten sam. Basia była przy nim pogodna i miała nadzieję utrzymać ten nastrój – nie tylko podczas ich spotkań. „Dziewczyny potrzebują śmiechu i zabawy, bez względu na wszystko”, powiedziała Zosi. „Ale też oparcia i pewności. Odpowiedni chłopiec będzie przepustką do życia tutaj”.

To również było szczerze, od serca podane. I dlatego, także szczerze, Zosia zapytała, czy Basia jest pewna swego wyboru – bo przecież w błyskawicznym tempie trafiła na tego jedyne. Basia uśmiechnęła się tym swoim dołączkowo-rozkosznym uśmiechem i odparła: „W gruncie rzeczy oni wszyscy są podobni. I wszyscy chcą tego samego. Ale wśród tej rzeszy są i tacy, którzy chcą, żeby to była na kilka razy, i tacy, co chcą trwałości. I taki jest mój Johnny”.

Mój, czyli sprawy szły w dobrym kierunku. Basia była zadowolona, ten Johnny też, więc Zosia jej pogratulowała. Zastanawiało ją to jednak – skąd u innych taka łatwość dobierania się w pary? Że idą na jakąś potańcówkę albo do kawiarni czy wręcz na ulicy kogoś spotykają, mijają kilka spotkań, i oni już, dobrani. Jej się Jan trafił w zupełnie inny sposób. Cały czas myślała, że cudowny, bo przecież pod tym niezwykłym obrazem się poznali. Ani wcześniej, ani później nie spotkała nikogo takiego. A tu, proszę – tak to łatwo szło, co jednak wykluczało wyjątkowość.

Mocniej wtuliła się w plecy Jana. Ależ to było niezwykle uczucie! Duże, ciepłe, męskie i nagie ciało tuż obok. Skóra przyklejona do skóry, jakby to była najzwyczajniejsza sprawa na świecie. Czuła jego zapach – wody kolońskiej pachnącej trawiami i drzewami. „Nic wyszukanego, popularny kosmetyk w rozsądnej cenie”, powiedział Jan, gdy podczas powitalnego pocałunku owionął ją ten zapach. A jednak – działał na nią... podniecająco. To wszystko razem – ich sekretne spotkanie w pokoju użyczonym przez angielskiego kolegę na kilka godzin – to akurat miało posmak taniej sensacji, ale zarazem był w tym element dorosłego życia. No i czy mieli inne wyjście? Jej Jan sprezentował wodę toaletową – też już nią pachniała. Zbliżyła nadgarstek do nosa. Zapach konwalii, coś pięknego, jak u nich na wiosnę, w tym mieszanym zagajniku, gdzie... Na chwilę zastygła we wspomnieniu, ale od razu przyszyły do niej obrazy kolejnych strat – ich wywózka,

miesiące tułaczki, wyniki ustaleń na szczycie, które odebrały jej dom i odcięły od korzeni. Ścisnęło ją w żołądku. To bolało, dlatego nie chciała do tego wracać. Może była tchórzliwa, ale nie miała siły, by konfrontować się z nowym ładem, sprawdzać, ile z jej dawnego świata zostało w Polsce. „Oni są jak stonka. Nie zwalczysz, obleżą i zostaną. Pamiętaj, od Sowietów jak najdalej”. To było jedenaste przykazanie mamy. Wyspy Brytyjskie były chyba wystarczająco daleko. No i nie będzie tu sama. To było najważniejsze – miała u boku cudownego mężczyznę, narzeczonego – jakie to ładne słowo! I wbrew wszystkiemu będzie tutaj szczęśliwa. Jeszcze zanim tu doszli, Jan poprosił, żeby ustalili datę ślubu. „Jak najszybciej. Tyle czasu nam już uciekło. Łapmy go teraz”.

Łapali. Już w drzwiach tego pokoiku, kiedy on niezgrabnie rozpinał guziki jej bluzki, a ona mu w tym pomagała. A potem zsuwała pończochy i w ogóle nie myślała o tym, że mogą się podrzeć, a przecież nowe są takie drogie. Jak w amoku uzupełniali kupkę na dywanie o nowe części garderoby. Aż w końcu stanęli naprzeciwko siebie nadzy i Zosi aż zabrakło tchu – od tej jej śmiałości, od bezwstydu, widoku męskiego ciała, które przestało mieć dla niej tajemnice. A później od pocałunków, którymi nabrzmiały jej usta, od jego palców, które centymetr po centymetrze ją poznawały, eksplorując terytoria, które nawet dla niej były jak terra incognita. Ona też wytyczała swoimi dłońmi nowe szlaki na jego ciele.

Kochali się i było inaczej niż za pierwszym razem, na rozgrzanych piaskach. Wtedy więcej oszołomienia, strachu, bólu. Teraz napięcie roztapiało się wraz z przyspieszającym rytmem ich bioder. Finał na chwilę pozbawił ją przytomności. Znalazła się w innej rzeczywistości, poza ciałem i czasem. Nigdy niczego takiego nie przeżyła i już miała pewność, że nic bardziej niezwykłego jej się nie przytrafi.

Jan czuł podobnie, widziała to po nim. Wysunął się z niej, ale nie wypuścił jej z objęć. Tulił ją, rytmicznie kołysząc nimi, a ona chciała, żeby nigdy nie zwolnił uścisku ramion. Po jej udzie spływała ciepła strużka, po policzku – łzy.

Wiele przeszła, dosłownie i w przenośni. Życie wystawiło jej bardzo słony rachunek, ale wreszcie, bo jak inaczej można by wierzyć w sprawiedliwość, która



kieruje ludzkimi losami, nadeszła chwila wyrównania krzywd. Nie, nie chwila – kolejne dni, tygodnie i lata. Będzie szczęśliwa, z Janem. Nie ma siły, która mogłaby jej to odebrać.

\* \* \*

Zosia podniosła łyżkę i zbliżyła ją do czary kieliszka. Ela przymknęła oczy; pamiętała taki gest z czasów, gdy w ich domu odbywały się przyjęcia. One były za małe, żeby brać w nich udział – ładnie witały gości, a potem szły do swojego pokoju. To znaczy Zosia tak robiła, bo Ela lokowała się w bibliotece i przez szparę w drzwiach podglądała, co się dzieje przy stole. I właśnie podczas takiego nielegalnego współuczestnictwa kilka razy obserwowała, jak tata wstaje, z kieliszkiem w jednej dłoni i łyżeczką w drugiej, a potem rozlegał się dźwięk przypominający krystaliczne dzwonki. Teraz też zadzwoniło, ale zabrzmiało to bardziej płasko, niżej, toporniej. A może tamto, co przechowywała w pamięci, było po dziecięcemu ufantazjowane? Rozmawiały o tym z Zosią; kilka razy się okazało, że mają odmienne wspomnienia – Eli sprawy wydawały się bardziej kolorowe, beztroskie, wesołe, Zosia zatrzymała je w trochę innych barwach. Czy trzy lata różnicy w ich wieku mogło dawać takie efekty? Chyba nie. Zatem albo było tak, że jedna z nich się myliła, albo innymi oczami oglądały świat.

Z pewnością to drugie. Zosia zawsze była tą rozsądniejszą, spokojniejszą, bardziej opanowaną i stonowaną. Panienska z dobrego domu, jak z obrazka. Ela... Cóż. Typ bardziej chłopczycy, zawsze z jakąś plamką lub dziurką w sukience, zawsze jakiś kosmyk wypadł z upięcia, a emocje były trudniejsze do okiełznania. Jeśli Ela się cieszyła, to całą sobą, jeżeli smuciła – to też bez dna. Zosia potrafiła zapanować nad tym, co się w niej działo, Eli przychodziło to z większym trudem. Choć właściwie nie tak – mówienie o trudzie było niezasadne, bo Ela w ogóle nie próbowała panować nad tym, co nią kierowało. Zmieniła to dopiero wywózka. Ela wtedy... stężała. Jak galareta z ozorków, która na dolnej półce w spiżarni czekała, aż lepki płyn zmieni się w sprężystą masę. Ela również się trzęsła, ale była spójna. To znaczy na początku się rozpadała, ale później już nie. Mama pracowała, Zosia

pracowała, a Ela zostawała z Krzysiem. Krzyś miał w sobie jakąś niezwykłą busolę, ustawioną na Eli lęki i niepokoje. Im więcej ich w niej było, tym bardziej płaczliwy on był. Kiedy Ela potrafiła się zebrać w sobie, Krzyś się rozpogadzał. Zaczęli działać jak połączony mechanizm. Ela pracowała nad sobą, żeby nie zarażać Krzysia niepokojami, jego spokój zachęcał ją do dalszego kroczenia tą ścieżką. Może dorastanie i tak ociosałoby ją z trzpiotowatości, bez względu na okoliczności, a może nie? Tak czy owak, zmieniła się. Wciąż sporo w niej było emocji, ale już brała życie z dobrodziejstwem inwentarza. I przegoniła w tym Zosię – siostra niby też akceptowała nieuchronność losu, lecz czasem widać było jej niezgodę na taki stan rzeczy; to nie był otwarty bunt, bo Zosia nigdy się nie buntowała. Smutniejsze spojrzenie, melancholia – zewnętrzne oznaki tego, co w środku. I obrywanie skórek przy paznokciach. Zosia nabawiła się tego zwyczaju, kiedy były u Sowietów. Zaczęło się po śmierci ciotki i jej córeczki. Wtedy nasilone, do krwi, tak Zosia skubała nadmiarową skórę przy płytce paznokcia, aż się robiły krwawe wyłobienia. Potem, w Persji, było lepiej. Pomagały też brak pracy fizycznej i dużo słońca. Śmierć mamy i nastąpił nawrót. A później znowu uspokojenie.

Dzyń, dzyń. Dźwięk rozległ się po raz kolejny. Intensywniejszy, mocniejszy. Ela się ocknęła i otworzyła oczy. Teraz również Jan prosił o uwagę.

Jacy oni są zgodni, przeleciało jej przez głowę. Nie tylko zresztą zgodni, lecz także podobni do siebie. A teraz jeszcze dodatkowo łączyły ich dwa złote kółka na palcach serdecznych.

Ela poczuła krótkie ukłucie. Bardzo krótkie, jak szpilką podczas fastrygowania. Nie było jednak sensu udawać, że się nie zdarzyło. Kochała siostrę, cieszyła się jej szczęściem, ale nic nie potrafiła poradzić na to, że czuła się tak, jakby los ją lekceważył. Zosia zgarniała wszystko, póki co.

– Chcielibyśmy bardzo podziękować za waszą obecność. – Jan spojrzał na zgromadzonych przy stole. Mała grupa – nowożeńcy, Ela, Krzyś, Tomek Zankiewicz i ksiądz. Miała być mama Jana, ale jej przyjazd w krótkim czasie nie wchodził w rachubę, a oni nie chcieli już czekać. Ela to rozumiała; widziała, jak się

tulili do siebie, kiedy Jan zjawił się rano w obozie. – Żal, że bez błogosławieństwa rodziców.

Zosia przygryzła wargę; tym razem Elę przeszły współczucie. Żałować było łatwiej, niż cieszyć się z czyjegoś szczęścia, zwłaszcza jeśli samemu odczuwało się tu deficyt. Wspólny smutek spajał, jednostronne spełnienie dzieliło.

– Jesteśmy pewni, że rodzice Zosi życzyliby nam dobrego życia we dwoje.

Jan objął żonę.

Ela pamiętała rozmowy rodziców z dawnych czasów. I sceptycyzm taty. Ale to było tak przeszłe, że dziś pewnie nie miałyby znaczenia. Niewiele z dawnych czasów dotrwało do teraźniejszości.

– Moja mama w liście nam pobłogosławiła, mam dowód. – Uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni munduru, skąd wyjął złożoną na pół kopertę. Przystojnie mu było w tym stroju – odprasowany, udekorowany orderami za waleczność. Tak wyglądali zwycięzcy, choć, obserwując Jana i innych polskich żołnierzy, trudno było w ich codzienności dostrzec echa niedawnych dokonań. A co do matki – Janowi udało się nawiązać z nią kontakt. Odnalazła się we Wrocławiu. Sama, bez męża, który zmarł na zapalenie płuc już w drodze powrotnej do Polski. Smutne, choć i tak radość, że jedno z rodziców ocalało. I że Jan wreszcie połączył się z matką, choć na razie listownie.

– Tyle mamy, o resztę musimy się postarać sami. I obiecuję, że to zrobię. Przy was wszystkich solennie to obiecuję – Zosi, mojej żonie, i wam, jej bliskim.

Zosia sięgnęła po chusteczkę. Ślicznie wyglądała. W prostym, skromnym kostiumie, z cienkiej wełny w błękitnym kolorze, który udało się okazjnie kupić i samodzielnie przerobić tak, że idealnie pasował, oraz w kremowym toczku.

– Nie mogę płakać, bo to zły znak na ślubie. – Zosia odchrząknęła. – No i makijaż się zniszczy – dodała, rogiem chusteczki wycierając kąciki oczu.

Umalowana też była ładnie. Kosmetyki niedługo zresztą miały zacząć jej codziennie towarzyszyć – czekała na nią praca w fabryce Yardleya. Nie była to jej wymarzona posada, ale po trzech tygodniach bezskutecznych poszukiwań

zdecydowała się na to zatrudnienie. Tymczasowe; myślała o kursie dla stenotypistek, ale jej angielski, choć coraz lepszy w mowie, w piśmie wciąż zostawiał sporo do życzenia. Żadnych – praktycznych i do wykorzystania w tej sytuacji – umiejętności nie miała. Niby odbyła kurs pielęgniarstwa, ale był on niewystarczający, żeby móc się tu wystarać o posadę. Zresztą ta praca przypomniałaby Zosi czasy, o których wolała zapomnieć. Jan wciąż był zatrudniony w Korpusie Przynależności i Rozmieszczenia, choć i nad nim wisiła konieczność znalezienia innej pracy – rząd brytyjski zapewniał środki na tę działalność tylko do połowy przyszłego roku. Potem nieprzynależnych i nierozmieszczonych miało już nie być. Życie nieustępliwie parło do przodu, trzeba było się dopasować. Ela czuła ten przymus; jeszcze się zajmowała Krzysiem, ale lada moment chłopiec musiał zacząć chodzić do szkoły. Edukacja była koniecznością, co do tego obie się zgadzały. Tyle że Ela myślała o polskiej placówce, bo wciąż planowała powrót do kraju, a Zosia – o szkole angielskiej, bo chciała przyzwyczajać Krzysia do tutejszych warunków życia.

– Nie płacz. – Zankiewicz podniósł kieliszek. – Wypijmy za waszą miłość, za szczęście, za zdrowie. Jesteśmy świadkami tej wyjątkowej chwili. I takich samych chcemy was widzieć za... powiedzmy pół wieku.

Podnieśli kieliszki, zakołysały się czerwone płyny.

– Za miłość – powiedziała Ela, która również im świadkowała.

Spełnili toast i usiedli. Krzyś też dostał swoją porcję – soku porzeczkowego. Napój był chyba zbyt kwaśny, bo chłopiec upił go tylko trochę i odstawił szklanekę na stół. Zrobił to jednak niezbyt uważnie, bo ta się zachybotła, przechyliła i przewróciła. Ciemnoczerwona struga popłynęła przez biel obrusu, w stronę nowożeńców. Zosia w ostatniej chwili odskoczyła, ale i tak na mankietach marynarki pojawiła się czerwona smuga.

– Solą trzeba. – Spojrzała na tę skazę. Zmarkotniała.

– Soli brak, przecież to ślub. Mógłby być cukier, ale też brak. – Jan się uśmiechnął. – Nie przejmuj się, to drobiazg.

Ela spojrzała na Krzysia. Był bliski płaczu.

– Nie chciałem... – zaczął niepewnie.

– Oczywiście, że nie. Każdemu może się zdarzyć. – Ela przygarnęła go do siebie.

– Tak, każdemu. – Zosia powtórzyła to pocieszenie, choć jej mina zdradzała, że czyni to trochę wbrew sobie.

– Cukier, sól, jeszcze gorzkiego potrzeba. – Zankiewicz się roześmiał. – Więc gorzko, gorzko!...

Jan objął Zosię w pasie i ją pocałował.

– Miło popatrzeć, prawda? – Zankiewicz nachylił się ku Eli. Lekko przesunął dłoń po obrusie, tak że jego palce prawie dotknęły jej dłoni.

– Miło – potaknęła i się wyprostowała.

Też by tak chciała, ale nie z nim. Dotknęła złotej bransoletki, którą stale nosiła od czasu wyjazdu z Persji. Zosia miała swój pierścionek, ona – tę pamiątkę. Osobliwie wyglądała w zestawieniu z nicowanym płaszczem i koszulą, do której Ela doszywała nowy kołnierz i mankiety, podczas gdy reszta pozostawała bez zmian, to znaczy płowiała, ale się nie przecierała. Tu siermiężnie, tam – bogato. Zgrzytało, ale jednocześnie pozwalało marzyć. I Ela marzyła.

\* \* \*

*Warszawa, zima 1947 roku*

Marian co i raz suwał dłońmi po spodniach. Potniały, robiły się ciepło-wilgotne, więc przejeżdżał nimi po udach. Materiał był zaprasowany w kant, bał się zniszczyć tę sztywną formę, no bo przecież jak on by wyglądał taki wymięty, ale jak na złość chustkę zostawił w kieszeni palta, a palto – w szatni. No to jaki miał wybór? Przecież mokrej ręki nie poda, taki wstyd, a uścisk dłoni na pewno nastąpi.

Najgorsze jednak było to, że nie wiedział, kiedy to się stanie. Siedział w tej sali już dobre pół godziny, a na scenie wciąż ktoś przemawiał. Wszyscy podobni do siebie, w podobnych garniturach, nawet mówili w taki sam sposób. Że teraz przy

mównicy Gomułka – to szczęśliwie dosłyszał, z czym były problemy, bo w głośniku coś zaszczekało i zachrobotać. Potem już było w miarę gładko, ale na razie ze sceny płynęło tylko o wyborach.

– ...przytłaczająca większość... zdecydowała... daje nam prawo...

O wynikach Marian już czytał, w „Trybunie Ludu”. Nawet nie musiał jej kupować – przez szybę kiosku widział, kiedy czekał na pociąg – cała pierwsza strona była o tym. Dziewięćdziesiąt procent Polaków poszło głosować. Mogło się zgadzać, przecież to był taki przywilej – wreszcie decydować o swoim losie. Osiemdziesiąt procent wybrało Blok Demokratyczny. No, to było dużo, fakt. Ósmioro na dziesięciu głosujących, tak też można było to przedstawić. „Na Blok Demokratyczny głosuje każdy uczciwy człowiek”. Może to hasło przemówiło? Przecież wszyscy myślą o sobie albo przynajmniej chcieliby myśleć, że są uczciwi. Ci, co głosowali na Mikołajczyka, również mogli być uczciwi, czemu nie, ale na pewno było ich dużo mniej. Jak dużo? A skąd jemu to było wiedzieć. Więc może jednak najwięcej głosujących poszło za tymi podpowiedziami, co to ich pełno było na każdym kroku? W końcu nie każdy potrafi sam ocenić sprawy, które dzieją się wysoko, wyżej niż jego rozum i doświadczenie. A od jednego z chłopaków słyszał, że nawet na mszy w kościele ksiądz mówił, żeby na koalicję głosować.

– ...nigdy więcej niemieckiego ucisku...

Znowu spocily mu się dłonie. Z trudem skupiał się na tym, co dobiegało z głośników. Może dlatego, że nie było w tym przemówieniu niczego, czego by już wcześniej nie słyszał albo nie przeczytał. Wiadomo, że w takiej sytuacji czujność spada, bo głowa już to wszystko wie, już ma poukładane. Znane słowa przepływały więc obok, a Marian się denerwował – w oczekiwaniu na nowe.

Rozległy się oklaski. Władysław Gomułka przestał przemawiać. Marian się wyprostował, a ponieważ zobaczył, że inni się podnoszą, on też wstał. Jeszcze by tego brakowało, żeby ktoś go podsumował, że nie potrafi się zachować albo nie popiera wystarczająco.

Gomułka podniósł rękę, uciszając tłum.

– Powtórzę – nie pozwolimy nikomu stać w poprzek naszej drogi. Wara nienawistnikom i niedowiarkom od patriotycznych sił narodu. Władze państwowe nie będą tolerować działań wymierzonych w rację stanu.

Aplauz, Marian również poklaskał.

– Ale są i tacy, co bez tych napomnień pomagają rządowi. Pracą, nauką, zaangażowaniem wykazują oddanie słusznej sprawie. Naszej sprawie. Jednej z takich osób wręczę zaraz legitymację. Ma numer pięćdziesiąt tysięcy.

Aplauz. Marian kolejny raz zbliżył do siebie dłonie, ale nie wiedział, czy najpierw je wycierać, bo znowu były wilgotne, czy klaskać, żeby nie wyszło na afront. Wiedział, że zaraz będzie musiał wstać i iść.

– Szykujcie się. – Wyrostkiewicz wyrósł obok niego.

– Pięćdziesiąt tysięcy członków Polskiej Partii Robotniczej.

Marian siedział z boku; specjalnie tak go usadzono, żeby nie musiał się przeciskać między innymi. Jak by to wyglądało, gdyby Gomułka na niego czekał?

Oklaski, ale on słyszał tylko walenie swojego serca i szum w głowie. Nogi miał sztywne, w gardle sucho, dłonie znowu mokre. W przyływie paniki przyszło mu do głowy, żeby może niby to zahaczyć ręką o jeden ze sztandarów wiszących przy wejściu na scenę, ale jednak tego nie zrobił. Szybko przesunął dłońmi o tylne kieszenie spodni – tam nie będzie widać ani mokrego, ani pomiętego.

Podszedł do Gomułki, który z bliska okazał się mężczyzną o miłym, ujmującym uśmiechu i pogodnym spojrzeniu zza okrągłych metalowych oprawek.

– Za ofiarną pracę nad spotęgowaniem siły i wpływów partii, szczególnie wśród mas pracujących. I za pełny udział w kampanii wyborczej uwieńczonej zwycięstwem demokracji ludowej. Potrzeba nam więcej takich obywateli jak Marian Czernik. – Gomułka w jednej dłoni trzymał kartonowy karteluszek, a drugą wyciągnął w kierunku Mariana.

Marian przygotował sobie kilka zdań, ale nic z nich nie zostało mu w pamięci. Pokiwał więc głową i wydusił z siebie:

– Dziękuję. Dziękuję, obywatelu sekretarzu.

Czuł, że teraz spocily mu się także plecy; chciał wyswobodzić dłoń, ale uścisk Gomułki był mocny.

Gdzieś z boku rozbłysła lampa. Marian odruchowo zamknął oczy.

Kurwa, pomyślał w panice. Przecież Wyrostkiewicz uprzedzał, że będzie fotograf. Po to się Marian ostrzygł i elegancko ubrał. Jeszcze małe lusterko wetknął w wewnętrzną kieszeń marynarki i grzebyk też, żeby w ubikacji przed przyjściem tutaj się poprawić. I teraz co? Na szczęście fotograf raz jeszcze podniósł rękę. Marian napiął powieki. Błysnęło, trochę go oślepiło, ale nawet nie mrugnął.

– No, teraz dobrze. – Usłyszał głos Wyrostkiewicza za swoimi plecami. – Zmotywowany zawsze da radę.

A teraz te plecy zostały jeszcze akceptująco poklepane.

Marian zszedł z podestu i wrócił na swoje miejsce. Poczuł, że oczy go pieką.

– Chwilowe. Przejdzie. – Dowódca również opuścił scenę. – A pamiątka będzie na całe życie.

\* \* \*

Złota. Teraz ta nazwa zupełnie nie pasowała. To nawet nie był tombak – to były rudery, wybebeszone brzuchy kamienic. Może przed wojną było tutaj prawdziwe, eleganckie centrum, ale teraz...

W styczniu czterdziestego piątego nie był w tej okolicy, ale od tamtej pory chyba niewiele się tu zmieniło. Jasne, nie mogli robić wszystkiego w jednym czasie, a przecież postęp był wyraźny – dwa lata pracy Biura Odbudowy Stolicy przynosiły wymierne efekty.

Marian widział domki, w których zamieszkali ci, co mieli podnosić Warszawę z gruzów. Bardzo ładnie zlokalizowane, na skarpie, która ostro zjeżdżała w stronę Wisły. Miejsce niczego sobie, jakby wyjęte z miasta. Domki – też. Trochę elegantsza wersja prowincjonalnych drewniaków. Szczerze mówiąc, jemu to nie pasowało w stolicy, no ale to na pewno było przejściowe – potem się je wyburzy i postawi tam coś bardziej odpowiedniego.



Wszędzie będą budować, tu na pewno też. Na razie podnosili z gruzów najważniejsze obiekty, takie jak dworzec albo szpital. Wywozili tony cegieł, sprząтали. Może trudno było to docenić, bo to takie mrówcze zajęcie, ale przecież widział, że robota się paliła w rękach.

Zaraz pewnie zajmą się i tą Złotą – w końcu środek miasta, to pierwsze widzą ci, co przyjeżdżają. Potem – będą robić dalej. Drugą godzinę chodził po mieście i sam już nie wiedział, co czuł. Z jednej strony radość, że znowu tu jest – i to w jakich okolicznościach, z drugiej – lekkie rozczarowanie, bo wyobrażał sobie, że jednak będzie więcej zrobione – przecież stolica, nie ma ważniejszego miasta w Polsce. No a z jeszcze innej strony, to bolały go te widoki. Wrocław też tak wyglądał, ale to było miasto zdobywcze, pogruchotane niemieckie budynki, nie ich. Jakoś to się inaczej układało. A Warszawa...

No, tutaj to już było tylko gruzowisko. Gruba warstwa cegieł pokrywała ogromne połacie ziemi. Wszędzie indziej to było przemieszane – resztki budynków, jakaś ściana, szkielec, pudełko bez dachu, a tu – nic. Pustkowie. Pewnie jakieś wojskowe obiekty się tutaj znajdowały, dlatego tak to pogruchotane.

– Na Solną to tędy? – Mężczyzna w jesionce z futrzanym kołnierzem zatrzymał się obok Mariana.

– Nie wiem, nie jestem tutejszy.

– No a kto jest tutejszy? – Tamten się uśmiechnął. – Ale myślałem, że może pan wie, bo tak stoi. No i ten mundur. Że z jakichś służb, myślałem. Solna, przy Ogrodowej.

– Ze służb. Ale z Wrocławia. W Warszawie jestem... – Zawahał się. Chciałby się pochwalić, ale głupio tak do obcego człowieka od razu wystrzelić. No i szkoda, że nie wie, gdzie ta Solna czy Ogrodowa. Ale raczej nie tutaj, bo tu tylko gruz. Może to przy tych domkach na Jazdowie? Tam by taka ulica mogła być, bo jakby ogródki. – ...też służbowo.

Zabrzmiało dobrze.

– To idę dalej szukać. A to tutaj... – Tamten się obejrzał. – To ja nie wiem, kiedy uprzątną. Zresztą – ściszył głos – chyba się nie spieszą. Bo cegły to jedno, a pod tymi cegłami... – Machnął ręką.

– Pod cegłami co? – Marian nie lubił tak wprost dopytywać, bo wtedy obnażał brak wiedzy, ale zainteresowało go to.

– No wszystko. Wszyscy. Tu Żydzi byli, getto. Kogo nie wywieźli, to na miejscu dobili, a potem spalili, żeby kamień na kamieniu nie został. Znaczący żeby wszystko zniszczyć, bo kamienie to właśnie są. No, uszanowanie.

Marian odprowadził go wzrokiem, a potem jeszcze raz spojrzął na to pobożowisko przed sobą. Dalej to już nie było sensu iść, tam to tylko ruiny. Zresztą musiał pilnować czasu. Dobrze się tu z nim Wyrostkiewicz obchodził, trochę jak ojciec. Po tej uroczystości z sekretarzem dał mu czas wolny, żeby sobie Marian poszedł miasto obejrzeć. No to Marian poszedł, bo ciekawy był.

I mimo wszystko ciągnęła go ta Warszawa. Czuć było, że tu się wszystko niedługo inaczej będzie toczyć. Że tu siły rzucone, żeby z gruzów podnieść. Nowa Polska nie mogła przecież mieć zrujnowanej stolicy.

Szedł w stronę centrum. Stamtąd już znał drogę na Żwirki i Wigury, gdzie miał się stawić. Nie do końca wiedział, w jakim celu, „na rozmowę”, tyle mu Wyrostkiewicz powiedział, a on nie dopytywał, bo tak lepiej – gdyby dowódca chciał mu coś więcej wyjawić, toby to zrobił.

Nie znaczyło to jednak, że się trochę nie denerwował. Długa podróż, potem lęk, jak się odnajdzie w tej oficjalnej sytuacji, jak to będzie podczas wręczania. No i co go tu czeka – bo że nie tylko ta legitymacja, to przeczuwał. Chyba coś dobrego, bo złe wydarzało się bez pompy. Zresztą dlaczego by miało złe? Starał się, służył państwu.

A mimo to gdzieś tam w środku czaił się niepokój. Taka przyzwyczajka z minionych lat, kiedy ciągle trzeba było być czujnym. Właściwie to ciągle trzeba było zachowywać czujność, o odprężenie trudno. Może teraz zawsze tak będzie?

Przeszedł już kawał drogi. Niby się rozgrzał, bo w ruchu, ale i zmarzł, bo było tu chłodniej niż we Wrocławiu.

Znowu znalazł się niedaleko Złotej. Dobre sobie, Złota. Ale bar tutaj mieli. Taki w sam raz dla niego – niezbyt elegancki, żeby nie odstraszyć, ale i nie spelunka. Spojrzał na zegarek – prawie trzy godziny mu zostały, spokojnie zdąży wejść, zjeść coś na szybko i chwilę się ogrzać.

W środku było głośno i ciepło. I zachęcająco. Ludzi dużo, takich jak on, nie trzeba się było napinać. Spojrzał na jadłospis – jedzenie też dobre i na jego kieszeń.

– Flaki po warszawsku – powiedział do mężczyzny za ladą.

– A jakie by tu miały być? Krakowskie? – Tamten się roześmiał, niby w porządku, ale może to było nie tylko do Mariana, lecz także z Mariana. No ale tak stało w menu, jeszcze raz spojrzął. Nie lubił się czuć tak jak teraz, niepewny.

– I pięćdziesiątkę – rzucił lekko, tym razem prawie nie patrząc na tego faceta.

– Się wie.

Kieliszek pojawił się błyskawicznie. Wódka była ciepła, i dobrze, w taką pogodę może być. Zrobiło mu się przyjemnie. Bardzo przyjemnie. Gorąc przeleciał od gardła do żołądka.

– Jeszcze raz – rzucił, bardziej od niechcenia.

Szkło znowu pojawiło się na barze, a Marian znowu jednym haustem wlał w siebie piekący płyn.

– Uch – sapnął.

Dobre to było.

– Jak po męsku. – Usłyszał.

Obrócił się. Obok niego siedziała dziewczyna. Czy wcześniej jej nie zauważył, czy dopiero teraz się dosiadła? Ładna była. Taka... kobieca. W sumie to bardziej kobieta niż dziewczyna. Pewnie starsza od niego. W spódnicy i koszuli, już bez okrycia. On też je zdjął, bo zrobiło mu się ciepło. Od wódki, towarzystwa innych. Od tej dziewczyny również biło ciepło. Aż by zapięcie munduru poluzował. Nie tylko górne zresztą.

– Na raz, tak się załatwia sprawy. – Sam nie wiedział, skąd mu się tak powiedziało.

– Wszystkie?

Nachyliła się do niego. Nie tak bardzo, trochę, akurat tak, że teraz była do niego obrócona przodem, centralnie. Centralnie też miała rozpięty górny guzik bluzki. Nie musiał się bardzo wpatrywać, żeby zobaczyć rowek między jej piersiami.

Znowu by się napił, ale nie powinien. Nie powinien się także gapić w ten rowek, bo przecież ona to widzi. Widziała i podobało się jej to.

– Tak samemu pić to chyba smutno, co?

Kiwnął głową. Ona wciąż się uśmiechała, a on dopiero po chwili pojął, że to było po coś.

– Dla pani raz. – Odchrząknął.

Uśmiechnęła się. A potem zamoczyła usta w alkoholu. Usta również miała ładne. Cała była taka... Przypomniała mu się Natasza, ta kasjerka z Akmolińska. Podobne były, taki sam typ urody i taki sam rodzaj braku nieśmiałości. To było bardzo pociągające. Obiecujące. Właściwie to nie lubił takiego zachowania, bo przecież wiedział, że to nic przyszłościowego, ale czuł – bardzo wyraźnie to w tym momencie czuł, że życie składa się z tego, co teraz. Przyszła mu do głowy Ela, tyle że powoli tracił nadzieję, że jeszcze ją kiedyś spotka. Żadne jego starania nie dały efektu, więc chyba nici z tego. Może już czas, żeby sobie zrobić w głowie miejsce dla innej. A zanim w głowie, to...

– Rozgrzewa. – Przysunęła się do niego.

Rzeczywiście, rozgrzewała.

Była teraz tak blisko, że spokojnie mógłby jej dotknąć. Na przykład przesunąć rękę po blacie i niby to... Albo nawet położyć dłoń na kolanie. To nawet lepiej, bo jak się odsunie, to jasne. A jak nie, to też jasne. Palce miał znowu wilgotne, ale nie tak, jak przed Gomułką. Przejechał dłonią po udzie i po kłopocie – materiał przyjął sperlony pot. Półobrót się, żeby nie było widać, co zamierzał, i...

– Czernik?

Marian aż podskoczył. Automatycznie się wyprostował, zeskokczył z siedziska i zasalutował.

– Tak jest, obywatelu dowódco.

– No, to tak wygląda ten wasz rekonesans.

Nie mógł go rozszyfrować – Wyrostkiewicz go nie ochrzaniał, ale podobać to też mu się chyba nie mogło.

– Dobrze jeść dają. Tak akurat, żeby usiąść, spożyć i wyjść.

Teraz Wyrostkiewicz spojrzał na jego towarzyszkę. Odwzajemniła spojrzenie, przez chwilę tak się trzymali wzrokiem, a potem kobieta wstała i odeszła. Pupa również miała ponętą.

– Już po jedzeniu?

Marian pokręcił głową. Tu też był przed, ale akurat to zaraz się spełni. Wciąż mu było gorąco, ale już z innego powodu. Czuł się jakiś poplątany.

– No, to razem zjemy. Dla mnie serdelki – zwrócił się do faceta za barem, w którego spojrzeniu Marian dostrzegł złośliwą satysfakcję. – Dobrze, że was spotkałem.

Tak, to spojrzenie było znaczące. Marian się spiął. Czy było od niego czuć tę wódkę? Bo co do dziewczyny, to sprawa była jasna. A on gadał Wyrostkiewiczowi o Elżbiecie. Co on sobie pomyśli? Z drugiej strony, tyle już czasu...

– Dobrze, nawet bardzo. – Wyrostkiewicz sam sobie przytaknął. – Razem zjemy, pogadamy. To jest właściwe towarzystwo.

Mariana zapiekły policzki.

– A, i jeszcze jedno. Mam dla was wiadomość. Bardzo dobrą wiadomość. Pewnie pamiętacie, jak prosiliście o pomoc w poszukiwaniu obywatelki Elżbiety Polakowskiej?

Kiwnął głową. Gardło miał ściśnięte. Wstyd i oczekiwanie.

– No to się znalazła.

# Rozdział 7

*Londyn, lato 1947 roku*

*Droga Elu!*

*Zastanawiałem się jak zacząć ten list i nie byłem pewien. Właściwie nigdy do nikogo nie pisałem listu i zupełnie nie mam w takich kwestiach wprawy. Te wcześniejsze co Tobie posłałem to były tylko takie powiedzmy zapoznawcze a właściwie organizacyjne, bo my się już przecież poznaliśmy dawno temu.*

*Zatem takich spraw nie wiem, ale bardzo się cieszę że się odnaleźliśmy. Nie sami, tylko pomogli w tym życzliwi ludzie. O Józefie Wyrostkiewiczu już pisałem, to dobry dowódca i nie tylko. Także jako człowiek wykazuje zainteresowanie innymi. Najpierw w sprawie poszukiwań Ciebie – nie rozpowiadał co i ile robi, a robił. Taki właśnie jest – mało gadania, dużo czynów. Po tamtej styczniowej informacji wiele spraw się wydarzyło. Wogóle mam takie poczucie, że to był początek różnych dobrych zmian. Jeszcze wróciłem do Wrocławia, ale to już na krótko, po rzeczy i formalności. Wtedy nie wiedziałem, że jest tam Alina Biały, która przeczytała moje ogłoszenie i dała Tobie znać że jesteś szukana. Że wolała się odezwać do swojego syna, który się ożenił z Twoją siostrą to zupełnie zrozumiałe – Wy przecież jesteście teraz rodziną. Ty napisałaś, że list od mnie wyprzedził wiadomość od Twojego szwagra o dwa dni. I mnie to cieszy – nie w sensie że to jakieś zawody, tylko że mogłem szczerze podziękować Wyrostkiewiczowi za odnalezienie Ciebie, bo on był pierwszy. Nie wspominałem o tym drugim liście, od Aliny Biały bo to by mogło jakoś umniejszyć jego starania, a tego bym nie chciał z różnych powodów.*

Zaraz potem bowiem znowu pojechałem do Warszawy a właściwie to pod Warszawę do miejscowości Wesoła. Najpierw jeszcze byliśmy w stolicy, w dzielnicy nazwanej Bielany, a potem do tej Wesołej. Nazwa śmieszna, sprawy poważne. Wiele pisać nie mogę, tyle tylko, że jest nas solidna grupa kursantów. Moim dowódcą jest teraz komendant Matiuszyn. Też życzliwy człowiek, z którym znajdujemy wspólny język – w znaczeniu przenośnym, bo wykłady odbywają się po rosyjsku. Jestem już w drugim cyklu szkolenia – z trzech dostępnych. Idzie mi dobrze. To że nie piszę dużo wręcz przeciwnie, tak opłótkami to wynika z charakteru miejsca i działań. Ogólnie – umacnianie władzy w naszym kraju żeby możliwy był szybki i dobry rozwój.

Cały kurs zakończy się wczesną jesienią. Po tym nastąpi przydział do pracy. Narazie jesteśmy skoszarowani co normlane w czas szkolenia. Potem też tak będzie chyba że któryś z oficerów się ożeni i założy rodzinę. Wtedy przydziały lokali. Różne lokalizacje. W Mińsku Mazowieckim, to wiem. To miasto na wschód od Warszawy, jakieś trzydzieści kilometrów. Byliśmy tam. Jeszcze sporo starego ale szosa strategiczna przez nie przechodzi więc rozwój będzie. To jedna z lokalizacji. Inna to Warszawa, ale to narazie tylko tak ogólnie. Chociaż... Teraz tylko tyle mogę napisać.

Z powodu spraw formalnych Twój pobyt w Warszawie byłby teraz bardzo trudny, wręcz niemożliwy – lokal, praca, warunki. Natomiast we wspomnianym Mińsku można znaleźć kwaterę akuratną dla Ciebie i Twojego brata. Nie mam nic naprzeciw jego obecności. To dobrze że chłopak wraca do kraju skąd pochodzi. Bez rodziców już a teraz jeszcze byłby pozbawiony ojczyzny. Tu się duża praca odbywa na rzecz przyszłości, będzie mu dobrze.

Nam też.

To jest fragment który pisze mi się najtrudniej. Nie będę kłamał że potrafię to robić bo nie potrafię. Wiem jednak że to co się zdarzyło wtedy kiedy się spotkaliśmy w Taszkencie to było coś takiego że raz się w życiu

*zdarza. Kilka lat się przetoczyło, trudnych lat ale one tylko to umocniły. Ty też tak czujesz a to mówi wszystko.*

*Powinno się to odbyć inaczej, przede wszystkim osobiście i tak będzie ale teraz listownie Cię proszę żebyś została moją żoną. Jak się zobaczymy będzie jak należy – pierścionek, kwiaty, obiad ale teraz proszę o słowo TAK w liście zwrotnym.*

*Uściski*

*Marian*

Zosia trzymała w ręku tę kartkę i czuła się... Sama nie wiedziała właściwie, jak się czuje.

Nie chciała czytać tego listu, przecież wiedziała, że takich rzeczy się nie robi, to nieuczciwe i nieeleganckie. A mimo to – przeczytała. Krzątała się po tych ich mikroskopijnych pokoikach, przecierając kurze i przekładając przedmioty. Niewiele tego było, praca niemęcząca, służyła raczej temu, by nadać codzienności konkretny, zorganizowany kształt. Nie mogła tak leżeć i wstawać, leżeć i wstawać – bez żadnych ram czasowych i zadaniowych. Poza tym potrzebowała czymś zająć głowę i ręce – żeby nie myśleć, nie przejmować się, po prostu musiała sobie jakoś zorganizować dzień. Z jej zdrowiem było trochę lepiej; nudności i wymioty męczyły ją do południa, ale nie w takim natężeniu jak na początku, potem udawało się jej zjeść kawałek chleba i wypić lekko osłodzoną herbatę. Od tego momentu mogła chodzić, spacerować, krzątać się – słowem – coś robić. Postanowiła nadać temu konkretną, niepróżniaczą formę. Wydawało się jej, że tak trzeba. Tak robiła przez ostatnie lata. Mama również tak robiła. No, dawniej, tak dawno, że to nie do uwierzenia, bywało inaczej, bo do pracy przychodziły umówione osoby, a mama nimi kierowała, nadzorowała. Sama zaś miała czas na zajęcia dowolnie wybrane – sprzątanie czy gotowanie do nich nie należało. Bez względu na wszystko jednak nie mitrężyła godzin. Zosia nie mogłaby teraz wyszywać monogramów czy grać na pianinie, więc robiła to, co dostępne. Poza tym czuła też, że... Ależ to było głupie! Nie pasowało do niej, nie wiedziała, skąd się jej wzięło, ale nie potrafiła się pozbyć



tego odczucia – musiała być użyteczna, żeby... żeby wszystko było dobrze. Zupełnie tak, jakby Bóg karał tych, co pozwalają sobie na próżnowanie. I tak, jakby to On zdecydował, że wtedy, w Persji, to życie, które się w niej zaczęło, szybko się zakończyło. Tymczasem to przecież ona chciała, czy raczej nie chciała.... Więc to ona sama wyznaczała sobie teraz swoistą pokutę i drętwiała, wyobrażając sobie, co by było, gdyby jednak Bóg chciał ją ukarać za tamten czas. Nie zgrzeszyła uczynkiem ani mową, ale myślami – tak.

„Niczego nie można być na razie pewnym”, powiedziała jej położna. Miło i niezaangażowanie. Może gdyby Zosia była Angielką, rozmawiałyby inaczej? Chociaż chyba jednak nie. W szpitalu przepełnienie, jakby ludzie odrabiali teraz wojenne ubytki w liczebności narodu. Kobiety z krągłymi brzuchami, które im ciążyły, osłabiały żyły w nogach, nienaturalnie wyginały sylwetki, ale jednocześnie były powodem do dumy i radości. Bety, ciasno wiązane, ułożone jeden obok drugiego, trochę jak na taśmie produkcyjnej albo na złączonych blatach w fabryce, w której pracowała.

Teraz nie mogła, nie dawała rady. Dostała zwolnienie z pracy, bo te wszystkie nakładające się na siebie zapachy dodatkowo prowokowały do torsji. English Lavender, English Rose, Lily of the Valley... Kiedy pierwszy raz oglądała fabrykę, była zdumiona – tak tu pachniało i takimi obrazkami była udekorowana recepcja i hall. *Put your best face forward* – plakaty z pięknymi kobietami, elegancko, choć była to niewymuszona elegancja, ubranymi i rozkosznie uśmiechniętymi. Niby pracującymi, nawet w ogrodzie, ale to wszystko był jakby pozór. Zosia poczuła wtedy, tak dobitnie, że nigdy nie wejdzie w ten świat. Nigdy. Zawsze będzie obca. Gdyby Angielka przyjechała do Polski, byłaby pewnie atrakcją, kimś, kto się wyróżnia, kimś docenianym. Polka w Wielkiej Brytanii... Może to kwestia czasów, może masy – za dużo ich tu było, stanowili raczej obciążenie niż urozmaicenie. Co prawda Janek robił lepszą minę do tej gry, ale też jego perspektywa była inna. Kończyło się jego zatrudnienie w Korpusie, ale już zaczął kurs inżynierski. Na razie korespondencyjny, miał jednak w planie od razu studia zaoczne. I choć to był początek jego nowej drogi zawodowej, miał przyobiecana posadę w biurze

kreślarskim. Przypadkiem to wyszło, przez kolegę, który latał w Dywizjonie 303. Słynni piloci błyszczeli na tle wojennych dokonań. Tacy jak Jan gubili się w tłumie innych żołnierzy, z mniej spektakularnymi dokonaniem. Stefan został w Anglii, mimo że jego jednostkę rozwiązano ponad rok temu. Z umiejętnościami, jakie posiadał, nie było problemu, by znaleźć zatrudnienie. Poznali się z Jankiem na jakiejś polsko-kombatanczej imprezie i zaiskrzyło porozumienie. Podobna iskra błysnęła też, gdy zaczęła się rozmowa o sprawach technicznych. Janek miał doświadczenie i zapał, zaczęło się jeszcze w Persji, podczas szkoleń wojskowych. Ciągnęło go w tym kierunku, teraz mógł tę pasję przekuć w zawód. Kurs, znajomości Stefana i sprawy przyjęły dobry obrót. Zosi jakoś nie trafiały się podobne spotkania i możliwości. Prawda była jednak i taka, że nie miała dających się przekuć na użyteczne zajęcia talentów. Wszystko, co umiała, budowało ją jako osobę, ale nie budowało angielskiej gospodarki. Trafiła zatem do Yardleya, fabryki kosmetyków. Sama fabryka zaś nie była jaka, bo przecież z tradycjami i długą historią. To wszystko prawda, ale... Zosia czuła niedosyt, to było niezależne od niej. No i teraz jeszcze te historie. Raz nawet, niestety i wstyd, zdarzyło się to na hali, tuż obok gotowych już do pakowania pudrow z pudrem. Niby niczego nie zabrudziła, wszystko uprzątnęła, ale ten zapach... Tak inny od firmowych, nęcących nut. Wstydziała się tego, w ogóle było jej wstyd tak upubliczniać fizjologię. Gdyby nie złe samopoczucie, tylko ona i Jan wiedzieliby, że jest w ciąży. To byłoby wyłącznie ich, póki nie byłoby widać zaokrąglonego brzucha. Mało mieli takiej intymności; ich pokój od pokoju Eli i Krzysia dzieliła cienka ściana. Przepierzenie, które pozwalało się ukryć przed wzrokiem; rozmowy i odgłosy wciąż były słyszalne – a ich łóżko tak skrzypiało...

Zosia wolałaby być tu sama. To były takie myśli, których się wstydziała. Kiedy była młodsza, myślała o sobie, że jest dobra – uczciwa, porządna, wrażliwa. Jak przystało na katoliczkę, córkę, siostrę. Tyle że wtedy warunki dokoła były sprzyjające – gdy wszystko gładko płynie, samej też łatwo o gładkość. Może więc w rzeczywistości nie była aż tak dobra? Pozory utrzymywała, za nic nie pozwoliłaby sobie, żeby zrujnować tę fasadę. Nawet teraz tak się jej pomyślało –

fasada. A co, jeśli to naprawdę fasada? Boże, przecież nawet teraz potwierdzała tę straszną prawdę – stała, trzymając w ręku list napisany do jej siostry. I to do tego list zaręczynowy!

Złożyła kartkę i wsunęła ją z powrotem pod modlitewnik. Ela tam położyła swoją korespondencję. Widać nie używała często tej książeczki, skoro uznała, że to dobra skrytka. Modlitewnik był co prawda Krzysia, tak mama zarządziła, obdarowując ich pamiątkami, ale jasne było, że w takim wieku chłopiec potrzebuje przewodnictwa duchowego, kogoś, kto poprowadzi go za rękę. Ela zaś... Prowadziła, ale innymi ścieżkami. Owszem, chodziła razem z nimi na msze odprawiane przez księdza Stanisława, ale nie było w niej tej niezmaconej pewności, co kiedyś. Świat Eli jakby się wymykał regułom, które kiedyś nim kierowały. I jeszcze ten Marian...

Zosia chciała ponownie spojrzeć na list, ale obejrzała się na drzwi i zrezygnowała z tego pomysłu. Ela może w każdej chwili wrócić, zresztą przecież Zosi się nie przywidziało – błędy tam były, nadawca nie tylko z ortografią na bakier, lecz także interpunkcja szwankowała. Widać było, że ręka niezaprawiona w pisaniu, głowa nienawykła do lektur. To był prosty mężczyzna. Skąd Ela go знаła? Powiedziała, że z czasów zsyłki, z Taszkientu. Że to właśnie był ten chłopiec, dzięki któremu udało się Zosi do zdrowia przywrócić. I to bezkosztowo, bo nie chciał od niej żadnej zapłaty, czyli pierścionka. Tego, który Zosia miała teraz na palcu. Przeszła do kuchni i rozpała pod czajnikiem. Herbata dobra na wszystko – w tym już była Angielką. Usiadła przy stole. Wyciągnęła przed siebie dłoń i spojrzała na szafiry i szmaragdy. Kosztowny drobiazg, ale życie każdego byłoby warte, żeby go poświęcić. Nie było jednak takiej potrzeby, to znaczy ten Marian nie wykorzystał wtedy sytuacji. Zresztą czy to byłoby wykorzystanie? Raczej wymiana – solidna porcja jedzenia za zapłatę w złocie. Kurs zawyżony, ale wtedy to było na porządku dziennym. A on z tego zrezygnował. „Szlachetnie”, zawyrokował Janek. Dalsze losy też takie – jedno spotkanie, absolutnie platoniczne, i takie zauroczenie. Z obu stron! A Ela nawet pary z ust nie puściła, wszystko trzymała dla siebie. Jej młodsza siostra, trzpiotka, nieopierzeniec, który kiedyś ze wszystkim do niej

przychodził. To również Zosię bolało. No i był element zazdrości, o takie uczucie, które jak kropla drażyło skałę – nic prawie o sobie nie wiedzieli, a tęsknili, marzyli i planowali. Zupełnie jakby im ktoś napój miłosny podał, jak Tristanowi i Izoldzie. Woda zaczęła się gotować, para wypływała z dzióbka. Zosia się podniosła i sięgnęła po puszkę z herbatą. Earl grey. Bardzo ładny zapach, ale jakby perfumowany. Przez chwilę czekała na sygnał z żołądka, ale udało się uspokoić organizm. Herbaciane listki sfrunęły na dno dzbanka. Zalała je wrzątkiem, nakryła dzbanek przykrywką. Znowu usiadła. Ależ mała była ta kuchenka, jak schowek na szczotki. I taka mroczna, północna wystawa. Jeśli się dołożyło do tego pochmurność i dżdżystość tutejszego klimatu...

Więc ani oni nic o sobie nawzajem nie wiedzieli, ani Zosia czy mama o tej relacji. Pełna tajemnica. Teraz Ela więcej wyjawiała – o tamtym spotkaniu, szlachetności. O współczesności – mniej. Że Warszawa, że chwilowo na szkoleniu, że w wojsku – w takiej kolejności. Stolica imponowała, reszta... Rozmawiali o tym z Jankiem. Nie trzeba było żyć teraz w kraju, żeby rozumieć realia. Ten Marian był wojskowym, ale Jan twierdził, że na początku na pewno wszyscy chcieli walczyć, bić się za wolność. A potem... Tylko pytanie, kiedy to potem się zaczęło? Kiedykolwiek by ustawić tę cezurę, Marian twardo trzymał się obranej drogi. Mama Janka napisała do nich – w jednej kopercie były dwa listy. Jeden, lakoniczny dość, adresowany do Eli – że jest szukana. W słowach kierowanych do syna Alina Biały bardziej się rozpisała – że informuje jego szwagierkę, bo skoro ktoś tak szuka, to musi mieć powód. Uznała, że nieuczciwie byłoby coś zatajać, nawet jeśli... Tak, postawiła tu trzy kropki. Dodała, że Marian Czernik jest skoszarowany w siedzibie Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego we Wrocławiu. I że różnie się o tej formacji mówi. Bardzo różnie. To oczywiście nie pozwala wszystkiego wywieść o człowieku, ale trochę... „Niewiele o nim wiem, tyle tylko, że żołnierz w służbie KBW i nowego państwa polskiego”. Tak ta informacja brzmiała, nie tak, jak teraz Zosia sobie to w głowie układała. Można by niczego więcej z tego zdania nie wyczytać, ale przecież oni wiedzieli, jak jest. Mama Janka też, w końcu żyła tam, każdego dnia patrzyła na tę nową Polskę.

I co z takim trafem zrobić? Jest waga i dwie szale. Na jednej uczynek z Taszkientu, bezsprzecznie szlachetny, na drugiej – kariera w warunkach, które wykluczają przyzwoitość.

Nie mogła się przyznać Eli, że wie jeszcze więcej, bo przeczytała list. Nigdy w życiu. Zresztą już delikatna rozmowa, że teraz w Polsce inne czasy nastały, nie skończyła się dobrze. „Ludzie tam żyją, na przykład mama Janka”. Prawda, na takie dictum nie było odpowiedzi. I jeszcze Ela dodała, że jeśli chce się mieć wpływ na kształt ojczyzny, to trzeba w niej żyć. To też była prawda. I też teoretyczna. Praktyka daleko odjechała od teorii.

Zosia dotknęła dłońmi dzbanka. Miło ogrzewał palce. Było lato, ale w tej kuchni panowała wieczna jesień. Nalała sobie trochę naparu. Wyszedł nieco za mocny – miał ciemnobursztynowy kolor i mimo słodkiego zapachu goryczkowy aromat.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi, a potem stukot obcasów na deskach w przedpokoju. W drzwiach kuchennych pojawiła się Ela.

– Tu jesteś – przywitała Zosię. – Jak się czujesz?

– Dobrze. Całkiem dobrze.

Zosia zastanawiała się, czy przypadkiem nie widać po niej, że czytała ten list. „Na złodzieju czapka gore”, powtarzała mama. Nigdy nie było to skierowane do jej córek, oczywiście. Ich się kłamstwa nie imały.

– Na pewno? Taka jesteś jakby zaróżowiona...

Ela podeszła do niej i przejechała dłonią po jej policzku, z czułością. Zosi ścisnął się żołądek.

– Na pewno. To chyba od herbaty. Za ciepła i za mocna. A gdzie Krzyś? – Szybko zmieniła temat.

– Został jeszcze z kolegami. Grają w piłkę. Aż miło patrzeć – tacy są w tym radośni. No, może inaczej będzie na koniec, bo przecież jedna drużyna przegra.

– Zawsze jedna drużyna przegrywa, takie są reguły. – Zosia wciąż jeszcze czuła się nieswojo. Zastanawiała się, czy dobrze odłożyła list, czy na pewno nie widać,

że go ruszała.

– Pewnie, ale nikt nie chce być w tej przegranej. – Ela usiadła obok niej. – Należę sobie trochę, dobrze? – Znowu się podniosła i sięgnęła po filiżankę. – Rzeczywiście mocna – stwierdziła, wzięwszy łyk. – Nie dla mnie, wolę z mlekiem, ono tak przyjemnie zabiela i łagodzi. Kto by pomyślał, że tak mi się spodoba ten smak? – Po raz kolejny się podniosła. Otworzyła drzwiczki do spiżarni i wyjęła stamtąd garnuszek z mlekiem. – Chyba jeszcze dobre? – Włożyła do niego palec i oblizwała go. – Dobre, tylko trzeba podgrzać. – Zapaliła gaz, ustawiła garnuszek. Przez chwilę obie milczały. Ela mieszała biały płyn, starając się nie stukać łyżeczką. Zosia znów poczuła się gorzej – z powodu ciąży i dylematów, których nie umiała roztrząsnąć.

Z korytarza dobiegł lekki trzask.

– Chyba nie domknęłam drzwi. – Ela westchnęła, a potem odłożyła łyżkę na spodek i poszła w kierunku hallu. Drzwi mocniej trzasnęły. – Teraz dobrze. Zamek szwankuje, trzeba zgłosić do naprawy. O, no i prawie wykopiało. – Sięgnęła po ściereczkę i ściągnęła garnuszek. Przeląła trochę mleka do swojej filiżanki. Usiadła naprzeciwko siostry. – Ulga, że masz się lepiej. No i że z Jankiem tak wam się układa. Komu jak komu, ale tobie to się należy.

Zosia poczuła nieprzyjemne szarpnięcie żołądka.

Ela podniosła filiżankę do ust, ale szybko ją odstawiła.

– Faj, tego to nie znoszę. – Zanurzyła łyżeczkę i nabrała na nią tłusty kożuch. – Naprawdę, bardzo mnie cieszy wasze szczęście.

Zosia poderwała się i rzuciła w głąb korytarza. W ostatniej chwili udało się jej dobiec do toalety.

Mdłości czy wyrzuty sumienia?, pomyślała, gdy na drżących jeszcze nogach przecierała twarz wilgotnym ręcznikiem.

\* \* \*

*Mińsk Mazowiecki, lato 1947 roku*

– Co to jest lichwa? – Krzyś spojrzał na Elę.

– Tak?... – Ela na chwilę odwróciła wzrok od drogi, gdzie powinien się pojawić Marian. Ulica Warszawska, numer sto czterdzieści na sto czterdzieści dwa. Dobrze przyszli, adres się zgadzał, godzina też – dochodziła czwarta. Niby miał jeszcze trzy minuty, ale po pierwsze, nigdzie w zasięgu wzroku go nie było, a po drugie – oczekiwała, że on zjawi się tu przed nią. Zdenerwowała się. A co, jeśli to wszystko jakaś mistyfikacja, nieprawda? Tylko po co by miał tak robić? A może ktoś się po niego podszywa? No ale tu to samo pytanie – po co? Kim ona jest, żeby ktoś miał coś takiego wobec niej przeprowadzać. Przypomniały się jej rozmowy z Zosią. Nienaciskające, ale zniechęcające. „Wiesz, co się tam dzieje...” – to było zawieszono między pytaniem a stwierdzeniem. Trochę wiedziała, to znaczy znała trochę przekazów, ale przecież to wszystko z drugiej ręki. No i ogólna atmosfera się zagęszczała, bo po śmierci prezydenta Raczkiewicza uchodźstwo podzieliło się na dwa obozy, więc i w Wielkiej Brytanii sytuacja polonii się psuła. Poczula, że pachy jej wilgotnieją, a w głąb dekoltu spływa strużka potu. I jak ona się zaprezentuje, kiedy w końcu go spotka? Spojrzała na zegarek. Czwarta. Tak, powinien być punktualny, tak byłoby elegancko, zwłaszcza że prawie się nie znają, to będzie drugi raz na żywo. „Dobre wychowanie...”, przyszły do niej słowa matki. Absurdalne w tej sytuacji.

– Co to jest lichwa?

Podobnie jak ta lichwa.

Zatrzymała się. Odeszli już spory kawałek od umówionego adresu. Tak ją nerwy niosły, że nawet tego nie zauważyła.

– No co to jest?

Ani pytającego Krzysia, bo jego ton pozwalał przypuszczać, że zwracał się do niej po raz kolejny.

– Plecy mnie bolą – dodał.

Zgarbił się, jakby brezentowy plecak przygniatał go ponad miarę. Wyglądał na zmęczonego i zniechęconego.

– No to zdejmij. Poczekaj, tu sobie staniemy, tu jest cień. – Wskazała głową na klon o ładnie rozrośniętej koronie. Sama dopiero teraz zauważyła, że i ją boli ręka. Skórzana walizka nie była bardzo ciężka – włożyła do niej same najpotrzebniejsze rzeczy, zresztą nie mieli wiele więcej. No i Marian napisał, żeby o nic się nie martwiła, bo tu się wszystko załatwi. Dłoń też miała spoconą. Sięgnęła do torebki po chusteczkę. Te akurat zabrała – angielski komplet trzech sztuk w pastelowych kolorach z koronkową lamówką. Elegancja, na którą było ją stać.

– No tam, zobacz. – Krzyś wyciągnął dłoń w kierunku, z którego przyszli. – Tamte wyroby tekstylne.

Schowała chustkę i przeszła kawałek chodnikiem we wskazanym przez brata kierunku. Na drzwiach do zakładu była przyczepiona kartka. „Właściciel ukarany za uprawianie lichwy”. Spojrzała w bok, na witrynę. Galanteria: obrusy, bieźniki, chustki i chusteczki – takie, jak miała. To znaczy tego rodzaju, bo tutejsze były dużo brzydsze – zwyczajne, zwyczajnie siermiężne: obszyta flanel albo płótno, w każdym razie jakiś erzac delikatnego materiału, nic podobnego do wyrobu, który miała w torebce. Jak coś takiego wykorzystać do lichwy? Przecież to była domena tych, którzy pieniędzmi obracali – wykorzystywali bliźnich w potrzebie i dawali im pożyczki na duży procent, a nie sprzedawali liche płótna w lokaliku w Mińsku Mazowieckim.

Chwilę jeszcze stała przed tym sklepem i powoli wróciła do Krzysia.

– To co to jest ta lichwa? – Krzyś nie zamierzał odpuścić.

Od kilku dni, to znaczy od kiedy byli w podróży, ciągle zadawał pytania. Na statku, w pociągu, w autobusie. Fascynowało go to, że wszędzie dokoła słyszy polski język i widzi polskie napisy. Dla niego to była zupełna nowość, przecież wcale nie pamiętał Polski. To znaczy miejsca, w którym się urodził i które kiedyś było Polską. Może to i lepiej, pomyślała, kiedy szli przez zrujnowaną Warszawę. Dworzec wyglądał całkiem dobrze, ale okazało się, że to wcale nie jest główna stacja, bo ta została wysadzona przez Niemców, a jej resztki wyburzono kilka tygodni przed przyjazdem Eli i Krzysia. Rzeczywiście, coś jej nie pasowało – ojciec przebywał w Warszawie wczesnym latem trzydziestego dziewiątego roku.



Po powrocie opowiadał o mieście – że imponujący rozmach, rozwój, no i nowoczesny, wspaniały dworzec w budowie, ale prawie na ukończeniu – kilkanaście podziemnych torów, nad nimi okazały gmach z kilkoma salami. Jak już to wykończą, to będzie ho, ho! Zapowiedział, że wtedy zabierze Elę i Zosię na wycieczkę do stolicy. A teraz mijali hałdy cegieł, betonu i żelastwa, za którymi rozciągał się równie zrujnowany teren dzielnicy mieszkaniowej. Po drugiej stronie Alej stały budynki – uszkodzone, ale wciąż okazałe, z widocznymi śladami dawnej świetności. Na jednym z nich widniał szyld „Splendid”. Dotyczył firmy bieliźniarskiej, ale na pewno konweniował z przedwojenną fasadą. Wtedy wszystko dookoła było „splendid”. Było też inne oznaczenie – „Fotoplastykon”. Krzyś zauważył grupę roześmianych dzieciaków, które wychodziły z tej bramy i rozmawiały o zdjęciach i obrazkach. I jakby go coś napadło – tak zapragnął tam iść, że nie było mowy, żeby mu to wyperswadować. Zresztą Ela tylko na początku zaprotestowała – czasu mieli dość, a Krzysiowi należała się jakaś rozrywka, łagodząca trudy podróży i nerwy, bo te, mimo pozorów, były. Dla Eli zabawa w fotoplastykonie była przeciętna – wyrosła już z takich atrakcji, no i sam pomysł właściwie był archaiczny: zdjęcia oglądane przez odpowiednie szkła, co dawało efekt trzech wymiarów. Trzeba było przytknąć oko do metalowego, niedużego okienka, jednego z wielu umieszczonych w okrągłej drewnianej obudowie, by zobaczyć tak przetworzoną optycznie fotografię. Krzyś jednak wsiąkł w tę rozrywkę – przesuwał się od szkiełka do szkiełka, przy każdym tkwił w zachwycie i choć zrobił całą rundę, zaczął oglądanie od początku. W końcu Ela musiała go stanowczo poprosić o wyjście, bo zbliżał się czas odjazdu ich pociągu do Mińska. W przedziale Krzyś siedział trochę naburmuszony, a potem zasnął. W takiej nie najlepszej komitywie szli od peronu do Warszawskiej. Krzyś zaspany i małowówny, Ela – podenerwowana. Teraz sytuacja nie była wcale lepsza. I jeszcze ta niedorzeczna kartka.

– Nie wiem. To znaczy wiem, co to jest lichwa: jak pożyczasz komuś pieniądze i chcesz za to oszukańczej opłaty. Ale dlaczego to na tym sklepie wisi, to nie mam pojęcia. Chyba jakaś pomyłka.

– Aha. – Krzyś pokiwał głową, ale bez przekonania. – Napiłbym się czegoś. I głodny jestem. – Spojrzał na nią. Widać było, że głupio mu z powodu tamtych warszawskich niesnasek. Eli przyszło do głowy jeszcze jedno – do tej pory byli zawsze we trójkę. Teraz Krzyś był zdany tylko na Elę, nie było innej osoby, do której mógłby się odwołać. Ela poczuła ukłucie w okolicy serca. Co ten dzieciak jest winny, że ona tak przeżywa swoje dorosłe sprawy?

– Tak, pewnie. – Przygarnęła go do siebie. Jeszcze trochę pachniał dzieciństwem, ale zaraz zacznie dorastać i wszystko się zmieni. – Pójdziemy coś zjeść, tylko... – Spojrzała na zegarek. Kwadrans po czwartej. Widziała z tej odległości bramę wejściową pod umówionym adresem i nikogo czekającego. Dopiero teraz dotarło do niej z całą mocą, że podjęła tak ważną decyzję na podstawie bardzo nikłych przesłanek. Mrzonek. Zbudowała sobie wyobrażenie o przyszłości, mając do dyspozycji wspomnienia kilku chwil i parę listów. I to właśnie ona, „twarda realistka”, jak ją czasem Zosia nazywała, tak zrobiła. Poczowała w ustach nieprzyjemną słodkość, ale szybko ją przełknęła. Nie, nie myli się, po prostu coś się stało, tak w życiu bywa. Marian jest na szkoleniu, zresztą to wojskowy – wojsko zawsze na pierwszym miejscu. Tak było i wtedy na tym dworcu. Nie mogli dłużej porozmawiać, bo przyszedł tamten mężczyzna w mundurze. „Zebranie jest, zapraszamy”, powiedział. „Teraz?”, zapytał Marian. „Dla żołnierza zawsze jest teraz”, tamten się uśmiechnął.

Postanowiła, że mimo wszystko wróci pod ten podany adres, a ona zapyta o przygotowaną dla Elżbiety Polakowskiej kwaterę. Nie знаła nazwiska gospodyni, ale tam było zaledwie kilka mieszkań. A potem się zobaczy, ale na pewno...

Na ulicy obok gwałtownie zahamowało auto. I cofnęło. Samochód wojskowy, tak jej się wydało. Drzwi się otworzyły i...

– Chyba mogę pani pomóc.

*Déjà vu.* Wtedy było tak samo, tyle że trzymał w ręku pakunek z wałówką, a tu – bukiet kwiatów. Dalie, ciemnobordowe, trochę już oklapnięte, ale jakie to miało znaczenie.

– Powodzenia! – Z samochodu dobiegł czyjś głos, później śmiech i auto znowu ruszyło, teraz już do przodu, z podobną werwą.

Niewiele się zmienił. Zmężniał, nabrał tężyzny, rysy trochę mu się wyostrzyły – nie był już chłopcem, był mężczyzną. Spojrzenie jednak miał takie samo; choć i tu zaszła pewna zmiana – wtedy więcej było w nim niepewności, teraz patrzył na nią... bardziej zdecydowanie.

Poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić. I że znowu się poci. Bluzka przykleiła się jej do karku.

– Przepraszam za spóźnienie, sprawy zawodowe. – Głos też mu wydoroślał. Był dźwięczny i pewny siebie. – Dobrze, że cię zauważyłem, bo przecież stacja u Kowalczykowej kawałek dalej.

– Tak, wiem, po prostu sobie spacerowaliśmy, a tu był cień... – Ona, dla odmiany, jakby straciła rezon.

– E, tam! – Machnął ręką. – To wszystko nieważne – dodał spokojniej. Podszedł do niej; teraz dzieliła ich odległość wyciągniętej ręki. – To dla ciebie. Na przywitanie. I żeby było ci miło.

Podał jej kwiaty. Miały ciepłe i lekko wilgotne łodyżki. Nie od wody, więc on też się denerwował, choć nie pokazywał tego po sobie. Ta myśl jakoś ją uspokoiła.

– Dzień dobry. – Usłyszała blisko ucha. Poczuła jego ramię na plecach. Przygarnął ją do siebie.

Tak, zdecydowanie zmężniał. Wtedy miał chłopięco gładkie policzki, teraz poczuła drapanie od odrastającego zarostu. Nie pocałował jej, ale i nie puścił. Tkwili przez dłuższą chwilę w tym mocnym, ale i jakoś czułym uścisku.

Dobrze jest wrócić do domu, pomyślała Ela.

A potem to ona pocałowała jego.

\* \* \*

– Żony zdradzają mężów.

Marian poprawił się na krześle. Do końca wykładów zostało jeszcze półtorej godziny. Do tej pory całkiem niezłe mu na nich szło, umiał się skupić, ponotować różne sprawy. Nie bał się, że nie zda egzaminów – po pierwsze dlatego, że się przykładał, jak do wszystkiego, za co już się wziął, a po drugie, nie przyjęli ich do tej szkoły po to, żeby ich oblewać. Kraj potrzebował nowych kadr. Oficerowie radzieccy byli stopniowo odsyłani do siebie, na ich miejsce mieli przyjść Polacy, tacy jak Marian i jego koledzy. Na razie jednak zajęcia wciąż prowadzili ci, którzy zostali wyszkoleni przez NKWD. Oraz twardą szkołę wojny. To drugie, zdaniem Mariana, bardziej się odcisnęło na tych mężczyznach. Przekonanie, że zrealizowanie misji do końca, w imię wyższych wartości, jest najważniejsze, musieli wynieść z doświadczeń wojennych. W większości byli twardzi i zdecydowani, co z jednej strony imponowało Marianowi, bo taki, według niego, powinien być wojskowy, ale z drugiej – kiedy sprawy wymknęły się spod kontroli – co się dwa razy zdarzyło – budziło zdziwienie. No, taki rozdźwięk między jedną a drugą postawą. Pierwsza to była ta z zajęć, z korytarza, z oficjalnych spotkań, druga – kiedy pojawiał się alkohol. A pojawiał się. Piwo czy wódka to zwykła, męska rzecz, ale w odpowiedniej sytuacji i ilości. A tutaj... Zajasznikow i Curanow. To im się to przytrafiło, choć Marian uważał, że to raczej była norma, a nie wypadek przy pracy, tyle tylko, że na co dzień potrafili to maskować – akurat wtedy nie. Może mieli słabszy dzień, może coś się wydarzyło, bo u nich też przecież były napięcia, w każdym razie nie dało się ukryć, że się urznęli, a później pobili. Broni też chcieli użyć, jakimś cudem nikomu nic się nie stało. Zniknęli na trzy tygodnie, oficjalny komunikat mówił o oddelegowaniu w sprawach służbowych, no ale wszyscy wiedzieli, jak było. Marianowi trochę to zgrzytnęło, ale tylko trochę. Wiadomo, przykład musi iść z góry, jeśli akurat nie idzie, to trzeba nagiąć praktykę do teorii. Nic w tym złego, w imię większego dobra to robione.

– Jeśli wam się wydaje, że to tylko w jedną stronę, to *oszybka*.

Major już naprawdę dobrze mówił po polsku, z silnym akcentem, ale tego to się trudno było wyzbyć, a mimo to zdarzało mu się brać wyrazy ze swojego rodzimego języka, zwłaszcza kiedy się denerwował. A teraz chyba tak było, bo początek zajęć

wywołał wśród nich uśmieški. Nie takie otwarte, przecież nie byli dzieciakami, żeby się śmiać z takich spraw, ale połączenie tematu zdrady i niewierności z nazwiskiem prowadzącego było niezłe. W ogóle major nie miał wśród nich lekko z takim nazwiskiem, a dziś to już całkiem.

– To się dzieje i wśród tak zwanej klasy wyższej. Kiedyś wyższej, dziś równej innym, ale z takimi *przywczkami*. Może nawet zwłaszcza wśród nich. Jeśli on zdradza, no, sprawa zwyczajna, jeżeli ona – da się to wykorzystać do naszych celów. Słusznych celów. – Major Ruchajło chodził od drzwi do okna. Ręce miał zaplecione z tyłu. Czasem tylko przystawał przy biurku, żeby się napić wody. Oczy miał dziś podpuchnięte, Marian wiedział, co to znaczy. Tyle że major zawsze akuratanie, po pracy. – Taka żona, żeby ochronić siebie, swoje małżeństwo, jest gotowa współpracować. Metody tu trochę inne od zwyczajnych.

„Zwyczajne” metody to było coś, co Marianowi najmniej odpowiadało. Kolegom zresztą też. „W czasie śledztwa w odpowiednim momencie można uderzyć”, tak było na wykładach. W konspekcie zresztą również. Prawda, więcej było o konwejerach, to była podstawowa metoda. Też nie taka, która by się Marianowi podobała, ale przecież było jasne, że nie wszyscy winni się od razu przyznają. Właściwie to mało który się przyznawał, taka jest natura ludzka, żeby się bronić. Więc żeby tę naturę złamać, trzeba było specjalnych metod. Konwejerzy nie były jakoś specjalnie wyszukane, chodziło tu przede wszystkim o wytrwałość, z czym Marian zdecydowanie się zgadzał. Przesłuchiwało się podejrzanego (i winnego, co trzeba było okazać) w sposób ciągły – bez odpoczynku, snu, z minimalnymi porcjami jedzenia – wszystko po to, żeby w końcu się złamał i przyznał. Śledczy się zmieniali, po pierwsze dlatego, że nikt by takiego maratonu nie wytrzymał, a po drugie – co człowiek, to jednak inne podejście. To było w porządku, tu praca zespołowa Marianowi jak najbardziej odpowiadała. Każdy na swoim odcinku, kawałku frontu. Tyle tylko, że zdecydowanie by wolał, żeby to nie jemu przypadło bicie. Osobiście nie lubił takich metod; tak w ogóle i dlatego, że jednak kojarzyły mu się z ciężką czasem ręką ojca. Wtedy myślał, choć przez krótką chwilę, że tak trzeba, tak to się załatwia, ale potem przyszło mu do głowy,

że to z powodu bezradności, bo ojciec inaczej nie umiał. Trudno było znaleźć drogę do młodego chłopaka, to fakt, ale można było próbować. Marian by próbował. Teraz, w takim przesłuchaniu, jak już do niego dojdzie. I w życiu, kiedy sam będzie miał syna.

Bo będzie miał, to pewne.

– Ona pójdzie na ustępstwa, żeby tylko się nie wydało. Żeby on nie wiedział, będzie ważniejsze niż to, żeby nic o mężu nie zdradzić. Można powiedzieć, że dla niej w takiej sytuacji małżeństwo ważniejsze niż mąż. Instytucja ważniejsza niż członkowie.

Marian przestał notować. No, pod tym akurat to by się nie podpisał. Obie sprawy ważne. Małżeństwo tak, ślub będzie. Pierścionka jeszcze nie kupił, ale był już dogadany z kolegą, który, akurat tak się złożyło, miał w Mińsku wujka. I ten wujek zajmował się handlem. To znaczy przed wojną, bo teraz to wiadomo, sprawy wyglądały inaczej. Co do zasady – żeby uniemożliwić zbytnie bogacenie się jednych obywateli kosztem innych, to był na tak. Spekulantów trzeba było wytepić. Ludzie po wojnie biedni, państwo musi pomóc, a ustalanie nie za wysokich cen na pewno jest taką pomocą. Tyle tylko, co na pewno przejściowe, w handlu były braki, no bo jak by miało nie być? Prywaciarze zapełniali te różne luki. Na przykład z pierścionkami zaręczynowymi. I z obrączkami. Krystian powiedział, że „się załatwi”. Marian był przygotowany finansowo na to „załatwianie”. Światopoglądowo – też. W końcu śluby teraz potrzebne, bo potrzebni nowi obywatele. Na kocią łapę to sobie mogą żyć tacy, co różne ważne sprawy mają za nic, Marian na pewno do nich nie należał. Ela także nie.

Coś go załaskotało w przetyku. Może być, że wzruszenie, bo wczoraj się naprawdę wzruszył. Czekala na niego, widać, że trochę zdenerwowana, co się dziwić – sama w obcym mieście, zmęczona po podróży, jeszcze z bratem pod opieką. Ten chłopaczek to fajny, tylko taki trochę niewyrośnięty. Chudziak, trzeba będzie podtuczyć. Delikatny też, ale i tu się coś zaradzi. Generalnie jednak – naprawdę w porządku, Marian go polubił. Ten Krystian to się go zapytał, czy Marianowi nie przeszkadza, że dzieciak tak na przyczepkę. Przeszkadzałoby mu,

gdyby to był dzieciak Eli. To znaczy gdyby na przykład sierota, a ona wdowa – no, ujdzie, choć wolałby nieprzechodzony towar. Tak tu chłopaki mówili na te, co jeszcze nie kosztowały tego owocu. Ela taka była. Niby odważna i silna, no musiała taka być, ale i niewinna. Wczoraj, jak go pocałowała na przywitanie, to jak panienka. Te, z którymi miał do czynienia, odmiennie się brały do rzeczy. Było miło, nie ma co zaprzeczać, ale w małżeństwie jest inaczej. Zresztą ona na pewno się zmieni, czuć było, że dziewczyna ma potencjał. Marian natomiast poczuł, że mu fiut wypycha nogawkę kalesonów. Żeby mu się tylko kiedyś nie wyrwało przy Eli takie słowo, pomyślał. Nie z jej świata. No nic, on się trochę podciągnie, ona zejdzie do niego i będzie bardzo dobrze. Najważniejsze, żeby ze sobą mówić. Rozmowy są ważne.

– Informacja najważniejsza. – Wreszcie doleciał do niego głos Ruchajły. – Informacja to zbrojne ramię partii, nikomu innemu nie może podlegać. Dzięki informacjom można walczyć z wrogiem ludowym, a to najważniejsza *zadacza*. No. – Major chyba skończył, bo zatrzymał się i zamilkł.

Rozległy się odgłosy zamykanych kajetów.

– *Jeszczio*. Żeby wam do głów lepiej weszło. *Posłowica*. – Major Ruchajło lubił przysłowia. Po każdym wykładzie dawał im jakieś powiedzenia, zupełnie jakby wykładał język czy historię, jakby był profesorem. To trochę nie pasowało, ale w sumie w porządku. Marian zaczynał lubić przysłowia. Nawet je zapisywał, nie wiadomo, kiedy taka mądrzejsza myśl się przyda. Otworzył zeszyt, sięgnął po ołówek. – *Żiena dierzit na gorść bolsze czziem muż priniesiot w mieszkie. No, tiepier uże wsio*.

Ławki zaszurały, Marian przez chwilę się zastanawiał, a potem zapisał: „Więcej żona w garści niż mąż w worku przyniesie”.

Bardzo mu się spodobało. Niby że mężczyzna gorszy, ale to trzeba było czytać tak, że razem, mąż i żona, to dopiero jest siła.

## Rozdział 8

*Londyn, jesień 1947 roku*

Ależ było pięknie! Ciepło, sucho, słonecznie. Może powinien kupić sobie okulary z ciemnymi szklami? W Anglii taka inwestycja może się wydawać chybiona, bo wyspowy klimat zwykle nie jest łaskawy – to znaczy nie jest łaskawy dla ludzi, bo dla przyrody – tak. Hyde Park czy Kensington Gardens – naprawdę ładne miejsca – rozległe, z urozmaiconą zielenią, wodą. Można spacerować, można odpoczywać. I to wszystko w centrum miasta. Zresztą nie tylko tam, takich miejsc – wytchnieniowych, jak je nazywał – było więcej, rozrzuconych po Londynie. Niektóre z tych parków jeszcze nie tak dawno temu były dostępne tylko dla rodziny królewskiej. Sprawy związane z monarchią wymagały przyzwyczajenia się – fakt, że jest podwładnym króla, na początku wydawał mu się trochę nierzeczywisty. No i ten system społeczny, który był mocno usztywniony – tu się klasy nie mieszały, mezaliansów pochodzeniowych raczej nie uznawano. Tradycja, wieki tradycji. Jednak do innych realiów był przyzwyczajony w Polsce. Po wojnie, tamtej pierwszej, życie się demokratyzowało, prawo powoli, powoli zaczynało próby równania obywateli. Do ideału było daleko, ale kto wie, może by się udało? Nie zostało im dane, żeby to sprawdzić. A teraz... Spochmurniał. Polska była dla niego jak otwarta rana. Co już się trochę zasklepiła, to znowu ją rozjątrzał. Nie celowo, to się po prostu działo. Trudno wyrzucić z siebie kilkanaście lat życia – i życia wcześniejszych pokoleń, z których się wywodził. Był Polakiem, byli Polakami. A teraz?...

Dobrze mu się żyło w Londynie. Na początku wydawało mu się, że się nie przyzwyczai. Zresztą wtedy wcale nie myślał o tym, żeby się przyzwyczajać, chciał jechać do Polski. To wypływało z niego naturalnie, bo naturalna jest potrzeba



człowieka, żeby gdzieś, do kogoś, czegoś przynależeć. Wtedy jednak się okazało, że to, co było jego, już jego nie jest. Domu nie miał; mówi się, że dom to ludzie. Z tych ludzi została mu połowa – matka tylko. To już bardzo skurczone zasoby. A co do reszty – Polska też siebie traciła, traciła swoją tożsamość, niezależność. Wieści, które płynęły tutaj z kraju, napawały smutkiem. Jeszcze chwila i jego ojczyzna zostanie kolejną republiką Związku Sowieckiego. Z oddali wydawało mu się to nieprawdopodobne – w jaki sposób zniewolić, ucapić, zastraszyć tyle milionów ludzi? I to ludzi, którzy tak niedawno gotowi byli wszystko poświęcić dla swojego kraju. Rozmawiali o tym ze Stefanem, który twierdził, że to wszystko dlatego, że Sowietom wreszcie dali tym, co byli zawsze na samym dole, na dnie drabiny społecznej – niedoceniani, wykorzystywani – lepsze warunki. Ta masa, od wieków uciemniona, deptana, teraz mogła wychynąć na powierzchnię. I to w teorii było dobre. Przecież Stefan widział, jak funkcjonuje monarchia brytyjska, i dostrzegał system nierówności. Trudno, żeby taki układ mógł się podobać – chyba że było się w którejś z uprzywilejowanych grup. Jan oczywiście nie był. I nie będzie. W Polsce też dawniej nie był i teraz tym bardziej taki awans nie stałby się jego udziałem. Pochodzenie miał co prawda odpowiednie – sowiecki system chciałby go podnieść, ale przeszłość – absolutnie niewłaściwą.

Wychodziło na to, że ani tu, ani tam nie jest mu pisane dobre życie. Mimo że się starał, że przez ostatnie lata dawał z siebie tak wiele – łącznie z gotowością, by oddać życie, to machina historii go użyła, przeżuła i wypluła.

Bez względu na to wszystko postanowił jednak być optymistą. Na początku ogarnęły go zwątpienie, złość, było w nim tyle niezgody!, ale potem zrozumiał, że to destrukcyjne, że sam siebie zniszczy, jeśli pójdzie za tym głosem. I nie tylko siebie, bo jest przecież także Zosia.

Zrobiło mu się ciepło na sercu. Zosia, jego żona.

– *Watch out!* – Usłyszał ostry, męski głos.

Rozejrzał się; tak się zamyślił, że nie zauważył, że jest już na Piccadilly Circus. I omal nie wpadł pod koła samochodu. Ruch tu był taki, jakby wszyscy londyńscy kierowcy upodobali sobie to miejsce.auta wjeżdżały i wyjeżdżały z dookolnych

ulic, łącząc się tutaj w zbitą masę. Między nimi poruszali się piesi, często zagadani albo wpatrzeni w reklamy czy witryny sklepowe. Aż dziwne, że wypadki nie zdarzały się tu co chwilę.

Przeszedł na drugą stronę i przysiadł na schodach pod pomnikiem, stanowiącym centralną wysepkę tego placu. Właściwie to był pomnik-fontanna. Wydawało mu się, że przedstawia Erosa, a to podobno był Anteros, jego brat. Nie znał takiej postaci z mitologii, ale faktycznie, różnice były – na przykład ten tu miał skrzydła, motyle. Choć łuk też miał. Stefan, który gorliwie się doskonalił w byciu Anglikiem, doczytał, że ten pomnik to symbol miłości jakiegoś hrabiego do biednych. Janowi nieszczególnie pasowała ta teoria, wydała się jakaś wydumana, no i po co stawiać biednym pomniki, skoro oni potrzebują zgoła innej pomocy, ale Stefan pewnie miał rację.

Słońce miło ogrzewało mu twarz. Nad nim szumiała woda, a delikatna mgiełka lekko ochładzała tych, co usadzili się pod figurą młodego, skąpo odzianego młodzieńca, ni to frunącego, ni to stojącego.

Jan zwrócił uwagę na muskulaturę Anterosa; ten, kto był modelem, miał naprawdę ładnie wyrzeźbione ciało. Pomyślał, że jest do niego podobny. W tym roku skończył dwadzieścia cztery lata; kiedy rano się golił, w lustrze widział interesującą, ładną twarz. Już nie chłopięcą, a męską. Sylwetka też mu się trochę zmieniła – jakby okrzepła w formie, zyskała ostateczny sznyt. Był wysoki, szczupły i przystojny. Widział to, to znaczy patrzył na siebie i był zadowolony ze swojej powierzchowności, ale nic ponad to. W końcu nie był jakimś żigolakiem, żeby się tak swoim wyglądem zajmować. To Stefan mu o tym wspomniał. Że koleżanka dziewczyny, z którą się spotykał i z którą miał się nadzieję ożenić (wytrwale kruszył mur tradycji, no i był tym sławnym lotnikiem, co trochę przełamywało opór skostniałych zwyczajów), bardzo się w Janka zapatrzyła. „Handsome”, powtórzył mu ze śmiechem. Dodał, że dziewczyna wprost poprosiła go o to, by ich ze sobą poznał. „Fakt, że masz żonę, tylko trochę ostudził jej zapał”, Stefan był wyraźnie ubawiony. Dodał również, że Angielki są mniej skrępowane

obyczajowo niż Polki. Mrugnięcie okiem miało znaczyć, że sam tego doświadczył. Może miał rację, a może nie.

Janek poczuł jakiś ruch. Obok niego usiadła kobieta. To znaczy obok złądowało pudło z kapeluszem, a dziewczyna usadowiła się po jego drugiej stronie. Bardzo ładna – z fikuśną opaską na włosach, w ciemnych okularach i w sukience, która efektownie podkreślała jej figurę. Obróciła się w jego stronę, być może dlatego, że poczuła, iż on się jej przygląda. Lekko zsunęła okulary i uśmiechnęła się do niego. Speszył się, ale jednocześnie zrobiło mu się jakoś miło. Chwila rozmowy – kurtuazyjnej – nie byłaby niczym niewłaściwym. Już miał się odezwać, kiedy wiatr przywiał w jego stronę zapach perfum – konwaliowych, takich samych jak te, które podarował Zosi.

Poderwał się, jakby go coś ukąsiło. Czy to długi spacer, czy rozleniwiające słońce, a może te różne rozmowy ze Stefanem – w każdym razie się zapomniał. I zapomniał o tym, że przecież w szpitalu czeka na niego Zosia.

Zrobiło mu się głupio. On tu daje się uwieść chwili, jakiejś nucie natury, a jego żona poddaje się rygorystycznym zaleceniom lekarzy, żeby za kilka miesięcy wydać na świat ich dziecko.

\* \* \*

– *I am so sorry. Truly sorry.*

Zosia jeszcze niezbyt dobrze widziała twarz mówiącej do niej osoby, bo wszystko było jakby za mgłą, rozmazane. Czowała, że ten ktoś, kobieta, bo to była kobieta, gładzi ją po dłoni.

Chciała się podnieść, ale tamta ją powstrzymała.

– *You should lie.*

Opadła więc na poduszkę, właściwie z ulgą. Naprawdę kręciło się jej w głowie, w taki nieprzyjemny sposób, na granicy torsji. Straciła też rachubę czasu. Okno było przysłonięte, ale przez biały materiał przebijało ciepło słońca. Czyli był dzień, ale jakiś taki letni, a przecież już zaczęła się jesień. Zielen trzymała się całkiem

mocno, pewnie dzięki częstym deszczom, ale przecież gdzieś gdzie przebijały żółcienie. Zaraz przyjdzie czas na pomarańcze, brązy, czerwienie...

Czerwień. Oprzytomniała. To właśnie widziała ostatnim razem. Tu, w tym szpitalu. Czerwień. Nagły ból, jakiś skurcz, który zgiął ją wpół, szarpnięcie w dole ciała, ciepło na udach, a potem czerwona strużka na podłodze. Później jeszcze krzyk, chyba jej, a potem już nic – aż do teraz.

Nagły strach przeszył ją boleśnie – od gardła, przez serce aż do brzucha. Do tej pory ręce miała ułożone na cienkim, obleczone w poszewkę kocu, którym ją przykryto. Jedną dłoń wciąż przykrywała dłoń pielęgniarki. Wyszarpnęła ją i wsunęła pod koc. Dotknęła brzucha. Był krągły, lekko wypukły, niby nic się nie zmieniło, ale on już wiedziała. Już czuła tę różnicę – w środku była pusta, jak wydmuszka. Nie miała w sobie dziecka.

Kiedy Jan szedł korytarzem szpitala świętego Tomasza, usłyszał krzyk. Przerażliwy, półludzki, półzwierzęcy. Krzyk rozpaczy i niezgody na nieodwracalne.

Krzyk Zosi.

\* \* \*

*Warszawa, jesień 1947 roku*

– Tylko na Zakaczwie dawało się żyć. Gdzie indziej to... – Krystyna Czernik machnęła ręką. – Mnie to się wszystko w głowie mieszało. No bo niech pani... znaczy Ela, Elżunia, w końcu my teraz rodzina, ty dla mnie jak córka jesteś, co to jej nie miałam. – Czernikowa sięgnęła po chusteczkę, żeby obetrzeć łzy. – Więc niewiele z tego mogłam pojąć. Jechaliśmy do Polski, to ja już z tego powodu byłam jak do nieba wzięta. Wreszcie, wreszcie! Człowiek wśród swoich się znajdzie, mowę ojczystą na ulicy będzie słyszał, no czyż może być większe szczęście? To tylko, że syna odszukam. Bo że odszukam, to ja święcie wierzyłam. Jak by Pan Bóg mógł mi jego zabrać, jak tylko on mnie został? – Znowu sięgnęła po chusteczkę.

Ela siedziała obok niej i próbowała opanować emocje. Tyle się od rana wydarzyło! Starczyłoby na kilka dni, a może i tygodni. Oglądała to z wypiekami na twarzy, w emocjach, zupełnie jakby nie było jej. A przecież było – to ona wzięła dziś ślub, to ona siedziała w mieszkaniu, które było ich – w ładnym bloku utrzymanym w modernistycznym stylu, jasnym, ciepłym, z wszystkimi wygodami, dokoła dużo różnych osób, których nie знаła, ale które – z ubioru i zachowania – „mogły wiele”, jak Marian mówił. Jak wiele, nie wiedziała. Tyczyło się to spraw wojskowych, zawodowych, do których Marian wprowadzał ją bardzo oszczędnie. „Tajemnica służbowa, tajemnica zawodowa”, tak na przemian, miło, ale nieustępliwie się tłumaczył. Nie chciała naciskać i dopytywać – skoro nie mówił, znaczyło, że nie mógł. Może kiedyś, gdy będą ze sobą dłużej, kiedy się do siebie zbliżą... Poczowała skurcz w brzuchu. Oni jeszcze ze sobą nie żyli. Nieszczególnie było jak, bo on na czas tego kursu był skoszarowany, a ona z Krzysiem w tym najmowanym pokoju w Mińsku, ale przecież to nie był taki problem, żeby coś znaleźć. Marian jednak nie dążył ku temu. Raz tylko, w szerszej rozmowie, powiedział, „poczekam, bo cię szanuję”. Zdziwiło ją to, może nawet trochę rozczarowało, bo po prostu go pragnęła. Ilekroć się widywali, czuła... podniecenie, bo co innego? Napatrzyła się na zesłaniu, w Persji, w Anglii na różne zachowania. Silniejsze, bardziej impulsywne, mniej hamowane – wojenne warunki poluźniały zwyczaje. Owszem, były ekstrema, te ją mierziły, ale środek... Co złego było w miłości? Nawet Zosia, porządna do bólu, zachowawcza Zosia – uległa. Ela była pewna swoich uczuć, była pewna Mariana. Czasem nawet zdarzało się jej myśleć, że gdyby jednak w jakiś przedziwny sposób im nie wyszło, to przecież to, co przeżyje, będzie jej. Życie potrafi zrewidować plany, potrafi rozczarować. Znowu pomyślała o siostrze.

– No. U ciebie też tak. Brat jest, siostra jest, ale rodziców nie ma. Dobrze, że wyście się ostali, zawsze to różnie. Ten mały to fajny chłopaczek, tylko drobny, podtuczyć trzeba. Zaraz go tu zawołam... Krzysiek, Krzyś! – Krystyna Czernik powiodła wzrokiem po pokoju, ale nigdzie nie dostrzegła chłopca.

– Wyszedł razem z Marianem. Jakiś samochód na dole chciał obejrzeć. Któryś z gości przyjechał taką maszyną i jak Krzyś przez okno ją dojrzał, to...

– No pewnie. Chłopak jest, to go interesują takie sprawy. – Czernikowa znowu przejęła rozmowę. – Choć powiem ci, że jak Marian był mały... – Pokręciła głową. – To różne bóle mnie przez niego brały. Bo on był taki w sobie, krnąbrny, huncwot. Ile się go ojciec naganiał, ech! A on mówił, że on nie do pola i nie do ziemi, jemu inny los przeznaczony. Ile mnie to zdrowia zjadło! Ale wyszło na jego. Tak się tu znalazł. – Powiodła wzrokiem po pokoju. – Praca, mieszkanie, żona taka śliczna. U nas by takiej nie znalazł, to na pewno. I dzieci pewnie zaraz będą, co?

Ela kiwnęła głową. Nie bardzo miała szansę, żeby się włączyć w rozmowę, bo Czernikowa ewidentnie miała silną potrzebę monologu.

– No, to dobrze, to bardzo dobrze. Bez dzieci to nie jest prawdziwe życie. Chłop, znaczy mężczyzna, to jeszcze jako tako, oni są do czego innego stworzeni, nie do niańczenia, ich zadanie to tylko na początku, ale potem – potem to matka. Kobieta jest kobietą w pełni, jeśli jest matką, no. – Sięgnęła przez stół do półmiska ze śledziami. – Oj! – Nagle odwróciła się do Eli. – Ja tak głupio palnęłam, bo przecież twoja siostra... No – przeżegnała się – tak to jest, że czasem się nie udaje. Pan Bóg jednak na pewno ją pocieszy następnym dzieciątkiem. Młoda jest, wszystko przed nią. U mnie to po Marianie już nic, zabrakło czegoś, lata mijały i tak, o. Dlatego tym bardziej sobie myślałam, że on dla mnie wyjątkowy, jedyny. Ojciec, świeć, Panie, nad jego duszą, mniej cierpliwości miał. Ja – dużo więcej. I nadal mam. I jak będzie potrzeba, jak już przyjdzie czas, to ja tu mogę przyjechać. Pomogę, zakrzątnę się. Jeden dzieciak już u was jest, zająć się trzeba, drugie małe dołoży starań. Więc nic się nie bój, napisz tylko i już. A w ogóle to trzeba na pomyślność tego przyszłego zdarzenia wypić. Malutko, tylko jako symbol. – Krystyna Czernik podniosła się i obeszła stół. Z drugiego końca blatu przyniosła butelkę wódki. – Na dnie zostało, akurat. – Przelala zawartość do dwóch małych kieliszków z grubym dnem. – Żeby się wam dobrze żyło. – Oczy się jej zaszklily. – I żeby Pan Bóg dziećmi obdarzył. Za twoją siostrę też wypijmy, przecież rodzina.

Jednym ruchem opróżniła swój kieliszek. Eli poszło trudniej. Wino, nalewki, nawet piwo – to mogła, choć nie za dużo. Wódka to zdecydowanie nie był trunek dla niej.

– Szkoda, że nie przyjechali, poznalibyśmy. No ale po takich przejściach. – Pokręciła głową. – No nic to, może się wykuruje i na ślub da radę.

Ela się poruszyła. Mama Mariana była wciąż całkiem młoda, sprawna fizycznie i zupełnie przytomna na umyśle, więc skąd u niej taka pomyłka? Jej spojrzenie, które teraz wbijała w Elę, zaprzeczało sklerotycznemu podłożu. Wyglądała rozważnie i czujnie – trochę była zaróżowiona, ale to pewnie od bigosu, który też „przepiła” wódką.

– Na ślub to nie, przecież my się właśnie... – Ela zaczęła delikatnie.

– E, żeby to od razu ślubem nazywać. – Czernikowa machnęła ręką. – To papierek, przed urzędnikiem. Jaką to ma moc? Potrzebne, żeby to mieszkanie dać, nie powiem, ładne, no i z warszawskim adresem. Jak takie reguły, no to tak trzeba. Zresztą Marian we wojskowe progi wszedł, to musi przestrzegać różnych prawideł. Mnie z tym w porządku, ja się na takich sprawach nie znam. Ale na prawdziwym ślubie się znam. Ksiądz musi być, bo bez tego nie ma sakramentu. I wtedy jest grzech i złe ma dostęp. A może ta twoja siostra to też taki nieprawdziwy ślub, co? I dlatego teraz problemy różne?

– Nie. Oni mieli ślub z księdzem, w kościele. Bardzo ładna uroczystość.

Czernikowa się odprężyła.

– No, widzisz. To i tu tak trzeba. Ja pytałam o to Mariana, ale powiedział tylko „potem, potem”. I żeby ciszej, bo on akurat przy takim, co najwięcej na mundurze miał nawieszane, stał. Nie chcę mu kłopotów narobić, to już nie pytałam, ale ciebie chyba mogę, co?

Ela powoli pokiwała głową. Nie miała intencji, by tej kobiecie robić przykrość. Były z całkiem odrębnymi światami, ba, może nawet galaktykami, ale to nie miało teraz aż tak dużego znaczenia, przecież rzeczywistość się zmieniła, inne teraz były konstelacje i układy. Tyle że te zmiany oznaczały też to, że Marian nie bardzo mógł

się obnosić ze swoją religijnością. Choć niespecjalnie z tego powodu cierpiał i niespecjalnie co do obnoszenia było. „Jakoś tak naturalnie mi odeszło”, powiedział, gdy spacerowali po mińskim parku i jedną z alejek doszli do okazałego kościoła. Ela to rozumiała – to był jeden z procesów, który i w niej się wydarzał, wbrew temu, czym wcześniej żyła. Mogłaby wziąć ślub w kościele, ale jeśli to nie nastąpi, nie będzie z tego powodu cierpiała. A raczej się nie wydarzy, bo na tym polu nastąpiła poważna zmiana. Jedna trzecia dzisiejszych gości Mariana była rosyjskojęzyczna, a przecież w ich kraju religia jest tępiona. Akurat ten kawałek życia, naznaczony sowietyzmem, stanowił dla niej dyskomfort, przecież to tam przeżyła piekło. W Marianie, może po wspólnej walce przeciw Niemcom, te uczucia jakoś się przefiltrowały.

– Cóż, myślę, że potrzeba czasu. Trochę czasu – próbowała załatwić to dyplomatycznie. Nie dać od razu odmownej odpowiedzi, po prostu odsunąć w czasie tę kwestię.

– Ja wiem, o co się rozchodzi. – Krystyna Czernik przysunęła się do niej, mimo że w tej chwili siedziały przy stole samotnie. – U nas było podobnie. Na samym początku to podobno najgorzej, bo oni – odwróciła się w stronę drzwi – wyzwolili miasto, a potem je rozwalali. Bomby czy tam co rzucali na starówce, niby to jako symbol zwycięstwa nad Niemcami. Tyle że to polskie miało być, to właściwie wychodzi, że nasze niszczyli. Potem zajęli centrum i Polaków tam być nie mogło, rządzą się jak u siebie. Jak coś się między Polakami a Niemcami wydarzało, bo Niemcy wciąż tam się jeszcze znajdowali, to stronę Niemców brali. Trudno to rozumem ogarnąć. Teraz lepiej, ich mniej, może jak Bóg da, to całkiem do siebie pójda. – Znowu się przeżegnała. – I kościoły mamy nasze, polskie. Świętej Trójcy i Świętego Jana. Ja tam zachodzę, nawet każdego dnia, mogłabym poprosić. Może jakby dalej stąd, to byłoby lepiej? Tak skromnie, prosta msza. Wiem, że to kawał drogi, no ale...

– Widzę, że mama i moja żona już ze sobą blisko. – Marian wyrósł za ich plecami. – Radość, że w rodzinie dobrze się układa, co, chłopaku? – Teraz odwrócił się do Krzysia, który bawił się kluczykami do auta.



– No! Siedziałem z przodu i mogłem kierownicą ruszać! I nawet w stacyjce przekręcić kluczyk! Było super! – Krzyś był ożywiony i uśmiechnięty. – A wiesz, jak ci panowie mówią na wujka? Maniek! – I zaśmiał się łobuzersko.

Ela też się uśmiechnęła. Poczwała, że choćby przez świat przewalały się różne historie, to ona ma swój pewny ład i swoich ludzi na tym łądzie.

Była szczęśliwa, bez względu na wszystko.

# Rozdział 9

*Londyn, wiosna 1948 roku*

*Drogi Synu!*

*Najpierw napiszę, że u mnie wszystko w porządku. Co do tego porządku, to on jest taki, jaki może być w tych czasach. Nie lepszy czy gorszy niż dawniej, a po prostu inny.*

*Bo tak: przed wojną to miałam pracę w szpitalu, na kuchni i to było tyle, co mogłam dostać. Nie żebym narzekała, wiesz, że staram się tego unikać. Plan Boży ma się rozpisany i nie bardzo jest od tego ucieczka. Zresztą – po co uciekać, skoro czuwa nad tym Ktoś potężny?*

*Teraz wszystko jest inaczej. Z planem trochę też. Na samym początku byłam okrutnie zagubiona – sama, w tak odmiennych warunkach. Dokąd iść, gdzie zamieszkać, jaką pracę brać? Trzeba było wybierać. Słyszałam tu niejedną raz, że dobrze mieć wybór. Może i dobrze; to taka zmiana, że trzeba przywyknąć. A najpierw – nauczyć się z niej korzystać.*

*Zaczęło się od początku, od mieszkania. Trudno mi było uwierzyć, że to ma tak być, że wchodzisz i sobie zostajesz, gdzie ci się spodoba. No ale trzeba było gdzieś głowę do poduszki przykładać. Zdecydowałam się na małe mieszkanko, daleko od centrum. Wiesz, ten pierwszy adres. Dopiero po kilku tygodniach zrozumiałam, że to nie tak. Inni robili inaczej – ci, co szabrowali czy tylko o zysku myśleli, to ja nie o nich. To jest złe, bez wątpliwości. Ale inni, zwykli, jak ja, mówili – jest okazja, żeby sobie poprawić byt, to trzeba. Tyleśmy wycierpieli podczas wojny, a i w sumie przed nią było trudno.*

*I to jest ten moment, o którym chciałam Ci napisać. Przed wojną nie narzekałam na los, wiesz przecież. Choć łatwo nie było. Ale jak miało być? Jak u naszych ojców, to i u nas tak. A teraz...*

*Są sprawy, co do których nie użyję żadnych słów. Wiesz... Ty tam, ja tu... Nie trzeba pisać, pisać nie można. Ale inne – uczciwość każe przyznać, że tu poprawa. Ma swoją cenę, ale wszystko w życiu ją ma.*

*Ostatecznie mam bardzo miłe mieszkanie niedaleko rzeki. Wcześniej było tu jedno lokum, przeogromne – całe piętro kamienicy! Dla jednej rodziny. Imponujące, ale mną to jakoś wstrząsnęło. Więc to tak ludzie żyli. Nie zazdrość, tylko zdumienie. Teraz tu trzy lokale. Mnie się trafił taki, co ma dwa pokoje i kuchnię. Jest środkowy, tak jakby. Obok drugi, dwa razy większy i jeszcze jeden, co ma schody kuchenne. Tam Władzia, zupełnie starsza kobieta. Codziennie jestem u niej, bo ona już nieporadna trochę. „Starych drzew się nie przesadza”, mówi. I jeszcze drugi smutek – ona jest sama, jak palec, bo nie ma dzieci.*

*Synku, jesteś duży. No tak – duży, choć ja Tobie „Synku” piszę. Nie bardzo wiem, jak to...*

*Widzisz, i tak się rozpisałam jak nigdy. Ja nigdy nie pisałam, bo komu i skąd ja w ogóle. Czytałam trochę, takie kobiece sprawy... A teraz i tu odmiana. Chodzę na wykłady, na uniwersytet. Dokładnie to Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych. Z literatury współczesnej. Ty byś się pewnie rozeznał trochę, dla mnie to wszystko nowe. Takich książek nie znałam. Wstydziałam się na początku, ale to dla szaraków, jak ja. Zresztą to wykłady, nic mówić nie trzeba, tylko się słucha. Nie wszystko jeszcze rozumiem, ale sporo czytam. To jest dobre uczucie.*

*Widzisz, że dużo piszę. To też pokłósie tych wykładów. Pokłósie, jaki to ładny wyraz, teraz poznałam. Nie na raz, siadam do listu, coś dopiszę, odłożę i wracam. Dlatego może być, że trochę poplątany ten list. I jeszcze – te wykłady taka pani Kowalska prowadzi. Anna Kowalska. Od literatury. Dobry z niej człowiek, jest zwyczajna, mimo że profesorka. I pomocna*

*również jest. Kiedyś mnie zobaczyła i poznała – to było w tej stołówce, co ja pracuję. Poznała, bo ja na wykładach siadam blisko pulpitu. Żeby lepiej słyszeć i w ogóle to dla mnie znak kultury – że nie uciekasz na tylne ławki. I tak się zgadało, że mogłabym i u niej gotować. Nie codziennie, tylko donosić. Donoszę. To dom profesorski, jej mąż też z uniwersytetu, prawdziwego. I mają dziecko, dziewczynkę. Malutką. A oni oboje... On to szósta dekada chyba, choć to bez znaczenia, przecież mężczyzna, ale ona – z wyglądu na pewno po czterdziestej wiosnie życia.*

*Przeczytałam, co już napisane w moim liście. I teraz dopisuję resztę. Myśl mi uciekła, choć właściwie nie wiedziałam, jak ją podać.*

*Myślę o Tobie, o Was. Nie znam Zosi, ale na pewno jest dobra dla Ciebie. I z jakiego domu. Tylko żal, że z dzieckiem nie wychodzi.*

*Trzeba się modlić, ja się modlę w tej intencji. Władzia też się modli, ona to rozumie, sama bezdzietna. Dawniej to było dla niej przykre, teraz – mówi, że jakby kamień na piersiach. Nikogo obok, nikt świeczki nie zapali.*

*Ale wszystko może się zdarzyć, jak patrzę na panią Kowalską, to tak myślę.*

*Na sam koniec – jak u Ciebie z posadą? Czy już po naukach jesteś?*

*Całuję Ciebie, Twojej Żonie ślę pozdrowienia*

*Mateńka*

Jan odłożył list. Czytał go kilka razy. Rzeczywiście, mama się rozpisала. Widać było, że zaczynała kilka razy, ale i tak – prowadzić wywód tak długo, to do niej niepodobne.

Dawniej myślał o niej... Nie, raczej nie myślał, po prostu czuł. Kochał ją, bez zastanowienia, doceniał jej dobro, to, że dba o niego i o ojca. Nie, też nie tak – to mu się wydawało oczywiste – bo jak inaczej? Co innego robią kobiety, niż są żonami i matkami? Zosię również tak widział. To znaczy wyżej, na piedestale ją stawiał, ale nawet tam, taka śliczna, mądra i z dobrego domu – też po prostu żona i mama. Jan wyobrażał sobie, jak wraca po pracy, w mundurze, bo przecież miał

być wojskowym, a Zosia go wita z uśmiechem, za róg spódnicy trzyma ją brzdąc, potem kolejny, z kuchni dolatuje zapach rosółu. Siadają do stołu, rozmawiają, potem on czyta coś w fotelu, obok bawią się dzieci, wieczorem całuje ich główki na dobranoc, a oni z Zosią idą razem spać, on się do niej przytula, tak bardzo lubi jej ciało, które jest mu chętnie...

Otrząsnął się. Podparł głowę dłońmi, uważając, żeby nie pogiąć papierów. Przygotowywał wyrisy techniczne. Na zlecenie firmy Perkins Engines. Na razie proste, najprostsze, ale przecież jeszcze mu zostało kilka tygodni do ukończenia studiów, wciąż stażował. Ale już miał pracę! Papiery jeszcze niepodpisane, ale to kwestia czasu – byli po słowie. Brytyjczycy są dżentelmenami – słowo jak pieczęć.

Cieszył się z tego, to był sukces. On, Polak, na dobrej posadzie, wreszcie jakiś konkret i praca jak najbardziej intelektem, nie siłą mięśni.

Pewnym utrudnieniem, choć to może złe słowo – po prostu zmianą, zatem zmianą było to, że siedziba firmy mieściła się w Peterborough, jakieś sto dwadzieścia kilometrów na północ od Londynu. Bardzo ładne miejsce – zdecydowanie spokojniejsze niż Londyn, idealne dla rodziny z dziećmi.

Tak powiedział, kiedy przedstawiał Zosi tę propozycję. Ona wtedy była w ciąży, nie mógł przecież wiedzieć, jak się to potoczy. Zosia też nie, ale nawet w dobrym czasie zareagowała jakoś lękowo. „Nie zapeszaj”, szepnęła. Zosia, jego racjonalna Zosia. Złożył to na karb stanu, jakiejś specjalnej wrażliwości. Nie było powodu. Potem – już był.

Janowi było przykro, zwłaszcza że zdążył już powiedzieć kilku osobom, na przykład mamie i Stefanowi. Stefan orzekł, że to powszechniejsze, niż Zosia sądzi. Stefan miał wiedzę na każdy temat – kobiet również. Rozwijał ją mimo zaręczyn z Theresą. Może stąd?... Jan go nie ganił ani mu nie zazdrościł. Trochę się może dziwił, ale też coraz mniej. Wojna ludzi przenicowała. Jedni się w sobie zapadli, inni wręcz przeciwnie – teraz odbierali to, co im w tamte lata nie było dane. Tak czy owak, Jan się pozbierał, Zosia – miała z tym trudność. Lekarz kazał odczekać – odczekał. Teraz jednak był czas na działanie. Raz, że przecież chcieli dziecka, dzieci, a bez tego trudno, a dwa – Jan tęsknił za bliskością. To znaczy – za nią

także. Ale, może nawet bardziej, za stosunkami, po prostu. Za tym momentem, kiedy zaczynał się z nią kochać, kiedy było mu jednocześnie dobrze, „słodko”, jak to Zosia dawniej mówiła, ale i tak napędzająco, zagarniająco, szybciej, szybciej, mocniej, jakby chciał się w niej zapaść. Wyrzucić z siebie napięcie, oczekiwania, oczyścić się. Wzlecieć, opaść i mieć siły na kolejny dzień.

Podniósł się, żeby poprawić nogawkę w bieliźnie. Teraz, kiedy o tym myślał, kiedy sobie to przypominał, był podniecony. Choć ten stan napięcia, kumulujący się w jego członku, zdarzał mu się i bez takich świadomych myśli. Nawet gdy nie przywoływał obrazów, to one przenikały do jego podświadomości i w jakiś sposób na Janka wpływały. „W jakiś”, Stefan się zaśmiał, kiedy w końcu Jan mu się zwierzył. „Janek, przecież ty mężczyzną jesteś, to o czym masz myśleć? O szydełkowaniu?” To było kilka tygodni temu. Potem Stefan go zagadnął, „czy już okej?”. „Okej”. Po angielsku łatwiej było kłamać. Nie chciał jednak powiedzieć prawdy. Jakoś mu głupio było – za siebie, za Zosię, mimo że Stefan już zyskał rangę przyjaciela. Czym innym jednak sprośne nawet rozmowy w pubie, czym innym taka odkryta szczerłość. Zosia chyba nikomu się nie zwierzała, zresztą trudniej jej było o bliższe relacje. W Yardleyu nie było warunków, teraz, gdy zostawiła tamtą pracę i poszła na kurs stenografii, niby łatwiej, ale Zosia i tu z nikim nie nawiązała bliższej relacji. Zasłaniała się tym, że musi się skupić, uczyć. Prawda była jednak taka, że po prostu wolała być sama. Jan widział jej spojrzenie, gdy mijali kobiety z dziećmi – pełne smutku.

– To minie – powiedział do siebie.

Kiedy słyszał własny głos, był bardziej przekonany o słuszności tego, co mówi.

Chciał znowu usiąść do stołu, ale dźwięk otwieranych drzwi sprawił, że zmienił zdanie.

Zosia. Postanowił, że wyjdą dziś na kolację. Żadnego gotowania w tej ciemnej, ciasnej kuchni. Jak w takich warunkach odżywać, skoro tu raczej chciałoby się wędznąć?

– Zosiu... – zaczął mówić, idąc w stronę korytarza, ale na chwilę jeszcze zawrócił. Podniósł list i złożył kartki, wsunął je do kieszeni spodni. Gdyby Zosia spojrzała na treść, znowu by się zasmuciła. Kiedyś to będzie tylko wspomnienie przejściowych smutków, a teraz – w miasto. Wieczorem zaś...

Znów poprawił bieliznę i wyszedł z pokoju.

\* \* \*

*Warszawa, jesień 1948 roku*

– Wstałaś?

Poczuła na ramieniu jego dłoń. To powitanie nie było zwykłym „dzień dobry”. Gdyby miało tyle znaczyć, dłoń Mariana po chwili by się cofnęła, a on sam by się przeciągnął i ziewnął.

Teraz jego palce zaczęły wędrówkę w dół, wzdłuż jej ramienia, Marian zaś cicho oddychał za jej plecami.

– Nie śpię – odpowiedziała, nie odwracając się.

Palce nagle się zatrzymały i zmieniły trasę – teraz w przód, przed siebie.

– Wspaniałe – zamruczał Marian, kciukiem kreśląc kółka na jej piersi. – Jakby było dawniej, a ty w takiej rozchełstanej koszuli, co ma dekolt niezwiązany na troczki i na przykład byś prała w strumieniu, pochylając się, to który by nie przechodził, toby w ten strumień – plum! – I jego ręka zanurkowała pod jej koszulę nocną. – I tu też lubię. Gdzie indziej jesteś taka gładka, jak aksamit czy tam jedwab, a tu...

– Tu to nie – zaproponowała, choć po chwili.

– Czemu nie? – Docisnął się do niej.

Czuła, że jest podniecony. Wystarczyłoby, żeby tylko lekko się pochyliła do przodu, wygięła plecy, a on by zaraz w nią wszedł.

– To już ten czas, że nie. – Odchrząknęła. – Lekarz mówi, że teraz to trzeba przestać, bo przez to można całą sprawę przyspieszyć, a jeszcze nie pora.

Tak powiedział i tego postanowiła się trzymać, choć nie miałyby nic przeciwko temu, by się z Marianem kochać.

Bardzo to polubiła. Nie przeczuwała nawet, jak przyjemne to może być. Wcześniej, chyba na podstawie tego, co usłyszała, podsłuchała, podejrziała, pokątnie przeczytała, sądziła, że przyjemność podczas spółkowania nie rozkłada się po równo – mężczyźni są zdecydowanie większymi beneficjentami. Czy się myliła, czy też Marian miał jakieś specjalne umiejętności – nie miała jak ocenić, przecież on był pierwszy i jedyny.

– No, skoro tak. – Westchnął i zabrał dłoń. – Niech szybko zleci, to sobie na święta odbijemy.

– Wiesz... – obróciła się twarzą do niego. Nie mogła być zupełnie blisko, bo brzuch już miała duży – ...to nie tak szybko będzie. Po porodzie jest okres połogu, wtedy też nie można. Wszystko musi się zagoić, wrócić do dawnego stanu.

– Teraz sześć tygodni, potem sześć tygodni, to trzy miesiące. Jak ja to mam wytrzymać? – Trochę zażartował, ale czuła, że jest napięty. – Co wieczór się koło ciebie kładę, ty taka ciepła i zachęcająca, a tu nie wolno. To... boli. Jak byłem chłopakiem, to robiłem jak chłopak, ale teraz... – Zawiesił głos i spojrzał na nią.

– Jak chłopak? – Ela powtórzyła po nim. Nie zrozumiała.

– No, ręką. Sam sobie.

Teraz pojęła. I chyba się zarumieniła.

– Ale żeby mąż tak musiał? – Wszystko było pół na pół. Żart i skarga. – A gdyby tak?...

Ujął jej dłoń i powoli pociągnął ku sobie. A potem ich złączone dłonie sforsowały gumkę od jego piżamowych spodni.

Ela przymknęła oczy. Poddała się temu prowadzeniu.

Kiedy kilka minut później myła dłonie w łazience, zastanawiała się, czym jeszcze Marian ją zaskoczy.

I ona sama siebie, ponieważ cokolwiek myślała o tym, co właśnie się wydarzyło, podobało się jej to.



Człowiek naprawdę się nie zna, póki się nie sprawdzi.

\* \* \*

*Peterborough, jesień 1948*

Aldermans Drive. Dobrze, że spojrzała na nazwę ulicy, bo miała wrażenie, że się zgubiła. Teraz tylko jeszcze odnaleźć ich numer – siedemdziesiąt osiem.

Te szeregowki to było coś, do czego nie potrafiła się przyzwyczaić. Budynki, sklejone ze sobą, ciągnęły się po horyzont. Niby każdy lokator miał swój dom, oddzielne wejście, kawałek ogródka z tyłu, ale brak prywatności doskwierał tu bardziej, niż gdy mieszkali w kamienicy.

Brytyjczycy z jednej strony byli bardzo formalni – te wszystkie „Jak się miewasz?”, na które była tylko jedna odpowiedź: „Dziękuję, dobrze”, a z drugiej – jednak chyba wścibscy, tyle że się maskowali. Oczywiście różnie to wyglądało w różnych miejscach i sferach.

Tu, w Peterborough, do którego pojechali, formalności nie stawały na przeszkodzie, by „zacieśniać więzy”, jak Jan to nazywał, z sąsiadami. „Są mili, dobrze nas przyjęli. My zresztą potrzebujemy tego, zwłaszcza ty. A tutejsze gospodynie są ze sobą blisko”.

No tak. Zwłaszcza ona. Zosia była na razie *housekeeper*. Sprowadzili się tu trzy tygodnie temu. Jan miał pracę, ustaloną od lata, Zosia miała sobie tu czegoś poszukać. Skończyła kurs stenografii, pewnie się czuła w odsłuchu języka, mogłaby zacząć nowe życie zawodowe.

Tyle tylko, że uznała, a właściwie Jan uznał, że wertowanie ogłoszeń – zdalnie – nie ma sensu. „To trzeba na miejscu obejrzeć – i jaki pracodawca, i jaka lokalizacja. Na odległość to trudne. Poza tym na pewno zaraz znowu będziesz w ciąży, a ponieważ źle ją znosisz, to pracować nie dasz rady. Dla pracodawcy to kłopot, dla ciebie – nerwy. Zostaw na razie. Poza tym ja mam solidną pensję”.

Wszystko było prawdą. Lekarz powiedział to samo. *Still young, healthy. No obstacles.*

Nie miała żadnych powodów, by podważać to zdanie. W końcu się przemogła i przyznała, że jeszcze raz zdarzyło się jej poronienie. Wcześniejsze, gdy nie byli małżeństwem.

Uśmiechnął się. „Dla ciąży ślub nie ma znaczenia. Natura jest siłą ewolucyjną. Będzie dążyć do sukcesu. Przed świętami znowu pani do mnie przyjdzie”.

Nie przyjdzie, bo już nie mieszka w Londynie. To raz. A dwa... Tysiąc razy powiedziała sobie w myślach: to nie twoja wina. Lekarz tłumaczył, że organizm sam wie, kiedy płód jest wadliwy, i wtedy go usuwa. I że to mechanizm selekcji. „Ale kiedy dziecko go przejdzie, to będzie duże, zdrowe i śliczne”.

Właśnie teraz takie ją mijało. Mama jedną ręką prowadziła niski wózek na sporych kołach, a drugą – córkę. Mała miała na sobie płaszczyk, jakby wzorowany na matczynym, spódniczkę, do tego podkolanówki (Anglicy uważali chyba, że dzieci nie odczuwają chłodu albo miało to służyć hartowaniu – tak czy owak, gołe nogi u dzieci nie były tu niczym dziwnym). I oprócz tego uprząż czy raczej szelki, których koniec znajdował się w dłoniach mamy.

Dziewczynka była puciołowata – od buzi przez sylwetkę, miała wręcz pokracznie krzywe nóżki, a i tak Zosia pomyślała, że jest cudowna.

– *Wait. Oh, wait!* – Kobieta zareagowała, gdy dziewczynka wyrwała w stronę ulicy. – *She is so stubborn. Sometimes it is quite funny, but...* – Uśmiechnęła się do Zosi, a potem spojrzała na swój brzuch. Była w ciąży. Takiej już widocznej. I nic sobie z tego nie robiła – bez lęku kucnęła obok małej i wzięła ją na rękę.

Zosia pomyślała, że to takie niesprawiedliwe. Tamta jest szczęściarą i nawet tego nie docenia, nawet o tym nie wie.

Z ulgą otworzyła drzwi pod numerem siedemdziesiątym ósmym. Na pomalowanym na czarno drewnie zamontowana była kołatka. To stukanie – z okolicznych drzwi – towarzyszyło jej w ciągu dnia. Sąsiadki się odwiedzały, dzieci biegały między domami, przyjeżdżał listonosz, pan z gazowni. Po prostu toczyło się zwyczajne życie. Tylko ich drzwi omijano – byli tu jeszcze zbyt nowi. Przywitali się i właściwie tyle. Odpowiadało jej to; nie miała ochoty na bliższe

relacje. Nie potrafiłaby teraz dawać komuś swojej uwagi, zainteresowania, skoro była skupiona na sobie. To znaczy na tym, co działo się w jej brzuchu.

Jan próbował ją rozerwać, kilka razy wyszli do kawiarni i kina, ale chyba poczuł, że Zosia błądzi gdzieś myślami. Dlatego dwa ostatnie wieczory spędził z kolegami. „Poznajemy się. Tak się lepiej pracuje. Poza tym – to przyjemne”.

Miał rację, na pewno. Tyle że Zosia nie potrafiła się zmusić do żadnych przyjemności. Póki nie utrzyma ciąży przez pierwszy trymestr, nie odnajdzie spokoju. Może są tacy, którzy potrafią odgonić złe myśli i żyć tak, jakby ich nie było, ale to nie ona.

Beształa się: mama dała radę z wami na zsyłce; co by było, gdyby się załamała? To działało tylko przez moment, bo tuż potem przychodziła do niej myśl, że śmierć mamy wzięła się stąd, że mama już nie miała woli życia. Dała się zassać smutkowi.

A co, jeśli Zosia też taka jest? Przecież z charakterów są bardzo do siebie podobne.

Rozpaliła w kominku – nie bez trudu. Płomień gasł, drewno nie było najlepiej wysuszone, więc mleczno-gryzący dym rozwiął się po pokoju.

Usiadła na kanapie. Ciepło powoli wypełniało ceglane, chętne wilgoci ściany. Sięgnęła po pled, żeby się okryć. Naprzeciwko miała lustro; spojrzała w nie – wyglądała teraz jak tam, w tej osadzie pośród niczego, w zimnicy i strachu. Wtedy też siedziała na pryczy nakryta derką jak peleryną. Przesunęła się kawałek w bok, by nie odbijać się w szklanej tafli.

Oparła się o podłokietnik. Pokój ciut się nagrzał, drapiąca wełna koca odcinała ją od chłodu. Przymknęła oczy. Delikatnie dotknęła brzucha.

Ósmy tydzień. Jeszcze miesiąc, cały miesiąc. Jak tu nie zwariować, czekając? Zrobiło się jej sennie. Położyła się, podłożywszy aksamitną poduszkę pod głowę. Miękki jasiek, jakież to luksus. Ile by dała w tym baraku, żeby bez obrzydzenia przytulić policzek do poduszki. Nikomu tam nie było dobrze ani wygodnie. Przypomniała się jej mama, która poszła prosić tego staruszka o zabicie trumienki

dla małej Helenki. Żeby choć to miała z pobytu na tym świecie – siano i drewniane pudełko.

– Co się z tobą dzieje? – Znowu się przesunęła na środek kanapy. Patrzyła teraz w lustro. – Co się z tobą dzieje, Zosiu? – Mimowolnie powiedziała to takim tonem, jakim zwracała się do niej mama.

Poczuła, że po jej policzkach zaczynają płynąć łzy. Objęła się ramionami i zakołysała. Kiwała się tak, jak bączek wprawiony w ruch, aż w końcu zasnęła.

\* \* \*

Znowu była wiosna czterdziestego pierwszego roku, leśna osada Ozierenowski. W powietrzu czuć było zmianę warty, jaka się dokonywała w naturze. Mróz puścił, ziemia zaczynała się uginać pod stopami. Właściwie to było coś innego niż typowe wiosenne roztopy. Szły z mamą w kierunku cmentarza i z każdym krokiem ich buty coraz bardziej grzęzły w mokrej brei.

– Jeszcze trochę. – Anna Polakowska podała jej rękę. – Wiem, że ci ciężko, ale nie godzi się tak zostawić niepochowane ciała. Oni tyle wycierpieli na tej ziemi, niech chociaż po śmierci zaznają spokoju.

– Ale tak pod płotem? – Zosia spojrzała na wzgórze. Tam był właściwy cmentarz. Im wyznaczono miejsce na dole, po drugiej stronie ogrodzenia.

– No i co zrobisz? – Anna się zezłościła. – Co im zrobisz? Nic. Teraz nic, może kiedyś przyjdzie czas na wyrównanie rachunku krzywd. No, chodź, Zosiu, bo ciemno się robi.

Pociągnęła ją. Zosia miała wrażenie, że z każdym krokiem coraz trudniej jej podnosić nogi. Wysilek się wzmagał. Czuła napięte mięśnie, zaczęły ją ciągnąć plecy. Może z głodu, może z wysiłku czy ze stresu, ale rozboleł ją nawet brzuch.

– To tutaj. – Mama zatrzymała się przy krzyżu, który obstałowały w tym miejscu poprzednim razem.

– A gdzie trumny? – Zosia się zdumiała.

Tu, na pewno tu, zostawiły dwa drewniane pudła – z ciałami Marii i Helenki. Wtedy, w wigilijną noc, nie było szans, by je pogrzebać, dlatego ustawiły je na zlodowaciałej ziemi, w której już czekał na nie Czesław. Teraz nie było po nich śladu.

– Niemożliwe... – Anna Polakowska się rozejrzała. – Na pewno tutaj. Przecież nie zabrali, po co by... – Znow się rozejrzała. – Zwierzęta też nie, drzazgi by były... Może zsunęły się w zarośla? Sprawdzę. – Anna Polakowska zaczęła iść w kierunku brązowych traw. – Boże, jak tu mokro! – Westchnęła.

Zosia obserwowała, jak nogi matki zapadają się w burej brei. Przecież tam jest bagno, pomyślała, wciągnie ją, jak te trumny.

– Mamo! – krzyknęła do niej, ale Anna ani się nie obejrzała, ani nie przystanęła. – Mamo! – zawołała więc głośniej.

I znow bez efektu. Zosia ruszyła jej śladem. Ziemia stawiała opór, ale udawało się jej go pokonywać. Podnieść nogę, włożyć w lepką breję, wyciągnąć i znowu. Krok za krokiem, by dopaść do mamy, która zachowywała się, jakby była w transie. Serce Zosi waliło, w uszach jej szumiało.

– Mamo!

Jeśli matka tu zginie, zostaną sami. Zosia nie da rady ich przeprowadzić przez to piekło. Nie jest tak silna jak Anna Polakowska, której charakter wykuł się w stal, nie ma takich umiejętności przystosowania się jak Ela, nie ma w niej dziecięcej wiary w dobroć świata jak u Krzysia. Zginie, bez mamy zginie.

– Mamooo!

Anna Polakowska wciąż szła przed siebie, teraz już po ramiona przykryta torfem. Szła, jakby ziemia nie pętała jej ciała, jakby była między nimi jakaś symbioza. Zosia z trudem brnęła przez grząskość. Nogi miała ciężkie, w brzuchu jej pulsowało.

– Mamo?

Przed nią i wszędzie dokoła było tylko bagno – brązowobrunatna maź, suche trawy i bezlistne drzewa. Ani śladu matki. Anna Polakowska zniknęła, jakby nigdy

jej tu nie było.

Zosia w panice rzuciła się do miejsca, gdzie widziała ją po raz ostatni. To było na pewno tu. Z trudem sforsowała ten kawałek. A teraz stała przy suchym pniu i rozglądała się na boki. Nic, ani śladu. Zanurzyła dłonie w torfie, przeszukiwała go w panice, ale pod placami miała tylko pozlepiane grudki.

Zaczęła się trząść i płakać. To już koniec, myślała. Po prostu koniec. I ona tu umrze, już się stąd nie wydostanie, padnie z wycieńczenia i chłodu. Zresztą po co ma dalej żyć? Ela i Krzyś poradzą sobie bez niej, a ona już nie ma siły. Po prostu nie ma.

I wtedy ze zdziwieniem zauważyła, że wcale nie jest jej zimno. Torf miał letnią temperaturę. Był pulsująco-mokro-ciepły. Choć to doznanie, które teraz się jej przytrafiało, pochodziło raczej z jakiegoś źródła, które musiało tu wybijać. Oblewało teraz jej uda ciepłym strumieniem.

Poczuła się bardzo senna. Tak senna, że musiała natychmiast zamknąć oczy i się położyć.

Lekko się osunęła i ułożyła na powierzchni bagna, które w przedziwny sposób utrzymywało jej ciało. Wciąż czuła ciepłość źródła.

– Do zobaczenia, mamó – wyszeptała.

– ...mamó...

– Zosiu, Zosieńko!

Zosia leżała na kanapie, na wpół przykryta pledem. Nie odpowiedziała na jego powitanie, rzucone w głąb domu przy drzwiach wejściowych. Nie było jej w kuchni ani w sypialni, a przecież zastał dom niezamknięty. Dopiero tu ją znalazł, cicho powtarzającą „mamó, mamó”.

– Zosiu! – Dopadł do niej.

Była blada i chyba nieprzytomna.

– Zosiu! – Dotknął jej szyi. Oddychała. Postanowił, że przeniesie ją do sypialni i pobiegnie po lekarza – przecznicę dalej był szyld gabinetu.

Kiedy ją podnosił, poczuł ciepłą lepkość na dłoniach. Spojrzał na kanapę i zobaczył na niej rozlaną plamę świeżej krwi.

# Rozdział 10

*Warszawa, zima 1948 roku*

– Przyj, przyj ze złością!

Położna wciąż trzymała dłonie na jej brzuchu. Ela miała wrażenie, że to metalowa obręcz, która miażdży jej wnętrzności.

– Jezu... – wyjęczała, łapiąc się boków obłożonego derką fotela, na którym kazali się jej położyć.

– Cierp ciało, kiedyś chciało. No, już, już, bo tak się tu męczymy od nocy.

„Męczymy”. To Ela się męczyła, nie ta postawna kobieta w białym, trochę już poplamionym fartuchu, której mocne dłonie zadawały Eli ból. Wpychała w nią tłuste place, gmerała, naciskała, sapała. Ela początkowo znosiła to wszystko z zaciśniętymi ustami, bez słowa skargi. Trafiała do szpitala, kiedy odeszły jej wody. Stała w kuchni, kroїła kartofle do zupy, gdy wtem! – jakby kto słoik po kiszonych ogórkach upuścił, zresztą właśnie ogórkową przygotowywała. Było rano, Krzyś w szkole, Marian w pracy. Nie miała pewności, co robić, bo nic jej tak naprawdę nie bolało – nieregularne skurcze, podobne do tych podczas periodu, nawet mniej bolesne. A poród przecież boli. Nasłuchiwała się takich rozmów w poradni, kiedy chodziła do położnej albo lekarza na kontrole. „Jakby to żywcem mnie rozrywał”, powiedziała kiedyś jedna z pacjentek. Powtórzyła to potem Marianowi. „E, nie może być tak źle. Zwierzęta rodzą, kobiety rodzą, i tak od zawsze. To jak oddychanie i śmierć”.

Teraz myślała, że tylko jak śmierć.

Zatem napisała Krzysiowi i Marianowi kartkę, że idzie do szpitala, zabrała przygotowaną niedużą torbę i ruszyła w kierunku Starynkiewicza. Szła wzdłuż ogrodzenia, za którym mieściły się filtry i cała ta maszyna dająca Warszawie



czystą wodę, i zastanawiała się, jakie teraz procesy toczą się w jej ciele. Skurcze jakby trochę się nasiliły, ale nadal nie było to coś, czego by nie dało się znieść. Zmieniło się w poczekalni. Coraz trudniej było jej wysiedzieć na niewygodnym krześle, jakoś tak wyprofilowanym, że krzyż bolał. Chodziła od ściany do ściany, skupiając się na liczeniu płytek podłogowych. Wychodziło, że czarnych jest więcej niż białych, a przecież to była szachownica, powinno być po równo.

– Weźże powietrza w siebie i przyj, no przyj!

Położna znowu na nią napała. Ela próbowała robić to, co tamta jej kazała, ale nie miała już sił. Mokre plecy ślizgały się po derce, nogi umieszczone w metalowych oparciach dygotały. Było jej już wszystko jedno – niech ją tu oglądają taką spoconą, nagą, niech z nią zrobią, co chcą, ona się już poddaje.

– Nogi rozłożyć to każda umi, a urodzić to kto ma? Po doktora idę, niech kleszcze bierze.

I o tym Ela słyszała, siedząc w poczekalni, ale teraz nie robiło to już na niej wrażenia. Byle tylko ten ból się skończył.

Poczuła na czole przyjemny chłód. Obróciła się. Obok stała młoda kobieta w lekarskim fartuchu. Wcześniej przekładała coś w białej przeszklonej szafie, teraz podeszła do Eli.

– Pani doktor? – wyszeptała w jej stronę z nadzieją Ela.

Kobieta miała jasne włosy i jasne spojrzenie. Wyglądała trochę jak Madonna z obrazów Rafaela. Mieli taki album w domu, ciekawe, co się z nim...

– Och! – jęknęła, przesyta bólem.

Kobieta znowu przetała jej czoło zwilżoną gazą.

– Ja... umieram... Pani doktor, niech pani mnie ratuje!... – Ela wbiła w nią błagalne spojrzenie.

– Jestem na stażu, dopiero się szkolę na prawdziwą lekarkę. – Kobieta wzięła ją za rękę.

Ela zacisnęła palce. Tego też potrzebowała – namacalnego dowodu, że nie jest samotna, że kogoś tutaj, w tych wysokich, starych murach, naprawdę obchodzi. Że

ktoś widzi w niej człowieka, nie tylko mięso z macicą.

– Dobrze. Niech mnie pani ściska. – Tamta uśmiechnęła się do niej. Drugą dłoń położyła jej na brzuchu. – Zaraz znowu będzie skurcz. Musi pani nabrać powietrza, docisnąć brodę do klatki piersiowej i z całych sił przec. A ja muszę teraz stanąć po drugiej stronie, dobrze?

Tak ładnie i tak spokojnie do niej mówiła, jakby miała to przećwiczone.

Ela kiwnęła głową. Rzeczywiście, pierwszy raz odczuła nadchodzący skurcz. Właściwie nie bolał, to już nie było tamto rozwieranie, tylko napór. Trud, ale nie ból. Nabrała powietrza i wbiła czubek brody klatkę piersiową.

– Uhm! – Zebrała wszystkie siły.

– Świetnie, jeszcze raz!

Tamta patrzyła na nią tym swoim błękitem, pięknym jak niebo nad Niemowiczami spojrzeniem.

– Och!

Cała się napięła, jej ciało wygięło się w łuk. Była teraz tylko mięśniami, które pracowały na pełnych obrotach – nieustępliwie, do końca, do finału, do...

Nagle – jakby zwiotczała. Jak sernik, który wyjmuje się z piecyka pękaty, napompowany, a on po kilku chwilach opada i się marszczy. Dygotała, jej nogi drżały, ręce drżały, cała się trzęsła.

– Syn. To chłopiec. Ma pani synka!

Ela nieprzytomnym wzrokiem spojrzała przed siebie. Usłyszała ni to płacz, ni to krzyk.

A potem zobaczyła białe zawiniątko, z którego wystawała czerwona twarzyczka.

– ...ta, co rodzić nie chce.

Do sali weszła położna, za nią – zaspany lekarz.

– A co wy mnie tu? – Doktor spojrzał na stażystkę, a potem na położną. Eli jakby nie zauważył. – Jak tu po wszystkim. Pani to jeszcze nie doktórka, a już się pcha?

Kobieta lekko się zarumieniła.

– Nie da się zatrzymać akcji, sam pan doktor wie. Po prostu stanęłam i asekurowałam.

Lekarz przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, po czym zapytał:

– Dobrze poszło?

– Dobrze, wszystko w porządku, panie doktorze.

– No, to łóżysko jeszcze urodzić, obejrzyć, czy całe, żeby później zakażenia nie było, pocerować położnicę, dzieciaka oporządzić i już.

Odwrócił się i wyszedł z sali.

Ela odprowadziła go wzrokiem. Patrzyła, jak przesuwa buty po podłodze w biało-czarną kratę. Jasny kafelek, ciemny kafelek, jasny kafelek, ciemny kafelek, jasny kafelek...

Ten był ostatni przed drewnianym progiem.

Biały, to dobry znak, pomyślała Ela.

\* \* \*

Stał przy szybie. Po jej drugiej stronie, pod ścianą, ustawiono łóżeczka, metalowe miniatury dorosłych łóżek. Było coś poruszającego w tym obrazku – pręty, malowane na biało, ale miejscami odrapane, kojarzyły się bardziej z więzieniem niż miejscem, gdzie się zaczyna nowe życie. W ogóle to miejsce było trochę mroczne. Czerwona cegła, jakieś nibywieżyczki, takie to wysokie, żadnej przytulności. I w tym wszystkim bety, wielkości solidnego bochna chleba. A w nich – nowi obywatele. Dzieci. Jego syn.

Odchrząknął. No co się z nim stało? Drapanie w gardle i jakiś szmer w sercu. Poluzował krawat. Wcześniej był w domu, żeby się przebrać, nie będzie roboty do szpitala zabierał.

Zabrał za to kwiatka. Takiego niewyględnego, bo tylko to w kwiaciarni znalazł. A i tak drogi był! Ze szklarni, to jasne, ale mimo wszystko. Widać za mało jeszcze przyszpilili tę prywatną inicjatywę.

Eli nie widział w pokoju, podobno była na jakimś badaniu. Pomyślał, że nie szkodzi, pójdzie zobaczyć małego. „Mały”, tak o nim myślał, bo jeszcze nie wybrali imienia. Ela powiedziała, że najpierw musi dzieciaka zobaczyć, zajrzeć mu w oczy, i wtedy imię do niej przyjdzie. Zgodził się, niech wybiera, w końcu matka. U niego także matka wybrała, nic w tym złego.

Też by zajrzał w oczy syna, ale nawet nie wiedział, który to. Wszystkie zawiniątka wyglądały tak samo – jakaś poszewka czy tam coś, ściśnięte, zawiązane troczkami i tylko główka wystawała. Jak tu się rozeznać? Teraz jeszcze wszystkie te bąble spały. Gdyby który płakał, to mogłaby być odpowiedź. Ojciec opowiadał, że on się darł, jakby go ze skóry obdzierali. „Matka nie mogła cię odkleić od siebie. Lulany, odkładany na pierzynę, pod jabłonką w cieniu – nic i nigdzie ci się nie podobało. No, może jak cukier ze spirytusem possać”. Opowiadał o tym Eli. Zdziwiła się, że ze spirytusem. Nie знаła tego, ale sama przyznała, że u niej mama zajmowała się tylko nimi, do czego innego w domu była pomoc. Tak to każdy by mógł. Ela zajmowała się domem, Krzysiem, teraz będzie ten mały. Krzysiek to w sumie powinien już być samodzielny, przecież skończył dziesięć lat, ale Ela go rozpieszczała. Kanapeczki, kakao, kalesony i skarpetki z kaloryfera. Marian się podśmiewał, ale bez złośliwości. Chłopaczk sierota, los się z nim źle obszedł, na to trzeba brać poprawkę. No i był taki mizerota. Podtuczyć się go nie dawało, niewyrośnięty, to się zdarzało, że w szkole miał pod górkę. Chłopaki byli wyżsi od niego o głowę, a to już taki czas, że się walczy o przewodnictwo. Kto wygra? Silniejszy. W tym wieku to siła fizyczna się liczy, nie to, co w głowie. Jak w głowie lepiej, to w ogólnym rozrachunku gorzej, bo kujon. A Krzyś się dobrze uczył, czytać lubił. Wieczory z nosem w książce, zaraz sobie oczy popsuje, ale Ela się tylko uśmiechała i mierzwiła Krzyśkowi włosy. Kochała go i może go trochę nawet psuła. Ale Marian kochał Elę, więc mu to jakoś bardzo nie przeszkadzało. A Krzyś to mu przypominał Jurka. Tak sobie niedawno pomyślał. Zresztą o Jurku to myślał już wcześniej. Chłopak był z Warszawy, pojechał tutaj, miał się tu urządzić. Że Marian pójdzie tą drogą, to na pewno nie przypuszczał – no bo skąd by taki zupełny nikt z Różanki do stolicy. Tym bardziej dobrze byłoby się spotkać. Zresztą

lubił Jurka, naprawdę. Jak tylko się z małym przetoczy najintensywniejszy czas, to go poszuka. Możliwości już ma, można skorzystać. Właściwie to już od jakiegoś czasu by mógł, ale ciągle coś go powstrzymywało. Jurek był taki... niebezpieczny sam dla siebie. Chodziły mu po głowie idee, żył wspomnieniami, a tu trzeba do przodu. Z żywymi, jak mówił poeta, którego nazwiska Marian nie pamiętał.

– A pan to wie, które jego?

Obejrzał się. Obok niego stała kobieta w fartuchu. Pielęgniarka, bo czepek miała na głowie.

– Nie wiem, ale może pani mi powie. – Uśmiechnął się.

– Powiem. Jak żona? – Odwzajemniła uśmiech. Taki międzyludzki, bo mogłaby być jego matką. Z postury też.

– Czernik.

– A, Czernik. To ta, co rodziła i urodzić nie mogła. Skarżyła się już?

Zaprzeczył ruchem głowy. Przecież jeszcze się nie widzieli. Dzwonił tylko z roboty, pytając, czy już. I rano było już.

– No, pan się nie przejmuj. Pierwiastki tak mają.

Popatrzył na nią pytająco. Pierwiastki to w gimnazjum były. I średnio się z nimi zapoznał, zresztą tu chyba nie o to chodziło.

– Pierwiastki. Te, co pierwszy raz rodzą. Potem to lepiej idzie. Od czwartego to jak palcami pstryknąć.

Tyle to na wsi, pomyślał. On chciał mieć dwoje. Parę. Pierwszy chłopak, druga może być dziewczyna. I tyle. W mieście inaczej się żyło, zresztą jakby więcej dzieci było, toby się Ela roztyła. A ona mu się podobała taka jak teraz. Och, jak mu się podobała!...

– Drugi od prawej wasz. Zaraz będzie karmienie, to może pan chwilę popatrzeć. Ale nie dotykać, bo ręce niemyte i w ogóle nie wolno, nie powinnam nawet pana wpuszczać.

Uśmiechnął się. Trzeba będzie jej podziękować. I lekarzowi. Z lekarzami zawsze trzeba dobrze żyć. Kiedyś jeszcze z księdzem, ale to się skończyło.

Wszedł przez uchylone drzwi. Powoli zbliżył się do łóżeczka. Jego syn spał. Oddychał równo i spokojnie, tłuściutkie policzki były lekko zaróżowione.

– Duży ten wasz chłopak, to i rzeczywiście mogła się męczyć. – Pielęgniarka wprawnym ruchem uniosła pierwszy bet.

No, był duży. Marian zlustrował inne pakunki i jego wydał mu się największy. Poczł dumę. Znaczy chłopak pójdzie w ojca. I dobrze, córka niech będzie w Elę.

– No, to już, bo jak ordynator zauważy... – Kobieta spojrzała czujnie przez szybę.

Kiwnął głową. Za kilka dni Ela będzie w domu, to się napatrzy.

Ruszył korytarzem w kierunku sali, gdzie leżała jego żona. Powinna już wrócić, całkiem dużo czasu tu spędził. Kiedy przechodził obok pokoju lekarskiego, zauważył młodą kobietę. Zwolnił. Stała tyłem do niego i rozmawiała przez telefon. Ładna była, blondynka, zgrabna, spod fartucha widać było szczupłe nogi. W ogóle była szczupła. Tak, brakowało mu ciepłego kobiecego ciała. Otrząsnął się i już miał ruszyć dalej, gdy ona się odwróciła. Zauważyła go.

Ruszył przed siebie, speszony, bo mogła go wziąć za jakiegoś podglądacza.

Nie tylko to go wytrąciło z błogostanu. Widział tę kobietę przez ułamek sekundy, ale poczuł, że skądś ją zna. Już kiedyś gdzieś ją widział. Tylko gdzie?

\* \* \*

*Warszawa, wiosna 1949 roku*

Ależ było ładnie! Ciepło się zrobiło i po kilku dniach nieprzyjemnej pluchy, kiedy to człowiek wchodził do domu, niosąc na butach brudną, śnieżno-ziemistą breję, wreszcie można było suchą stopą przemierzać chodniki.

Lubił to. Taka prosta sprawa – chodnik. Trochę betonu, płyt, kamienia – bez różnicy, czym utwardzone, grunt, że było równo. To samo z jezdniami – żadnych dołów, nierówności, podskakiwania na muldach. Sunęło się jak po lodowisku.

W Różance zawsze był zdany na łaskę, a częściej – niełaskę natury. Piach, co pylił i wsypywał się do butów, to znaczy wtedy, kiedy je miał na stopach, bo

przecież bywało i tak, że szedł na bosaka, bo inaczej by uwałął buty. Wkładał je przed samym kościołem, żeby przed Panem Bogiem, księdzem i sąsiadami wstydu nie było.

Teraz też nie było wstydu, wyglądał bardzo dobrze. Ubranie konkretne, skrojone, jak należy. Zresztą mundur zawsze robi z człowieka kogoś lepszego – i z wyglądu, i w ogóle.

Rozpiął guzik koszuli. Ciepło mu się zrobiło.

Mijał niedawno posadzone drzewka. Takie to było chude na jesieni, jakby badyle, a teraz listki już się pojawiały. Wszystko szło do przodu – w naturze, w Warszawie, w jego życiu. Andrzej – tak Ela wybrała, mogło być, choć on by chyba wolał Jędrka, miał już prawie pięć miesięcy. I rósł jak na drożdżach. Każdy dzień to zmiana. Zdarzyło się przez jakiś czas, że późno z pracy wracał, a kiedy rano wstawał, to mały po porannym cyckaniu dalej spał. Prawie go wtedy nie oglądał. I jak już zrobiło się trochę spokojniej i mógł go sobie ponosić, to aż się zdumiał, że taka zmiana. Znowu się wtedy rozczulił, jak w szpitalu.

Może bycie ojcem tak zmienia człowieka, choć jego ojca niezbyt zmieniło. A może miał po prostu trochę trudniejszy czas i nerwy bardziej na wierzchu.

Otrząsnął się. Trudniejszy. Złe słowo. Był tym, kim był, tam, gdzie był. Nie on ustalał wyroki, wydawał polecenia. Kiedy zostajesz wojskowym, masz nad sobą zwierzchników, wykonujesz rozkazy. Taka musi być hierarchia. Wojsko zakłada podporządkowanie, trochę jak w kościele. No, szef był sroższy od Pana Boga.

Uśmiechnął się ze swojego żartu. A chwilę potem przypomniała mu się ta sprawa „bandy dywersyjnej”, czyli akowców z „Zośki” i „Parasola”. Jurek mu o nich opowiadał, kiedy na koniec lata czterdziestego czwartego wracali z lewej strony Wisły. Widział tam tych chłopaków – głodnych, smutnych, ale zdeterminowanych. Walczyli za Warszawę, za Polskę, za nie umierali.

Później jednak sprawy poszły nie tak. Już w Lublinie były tego znaki, a teraz... „Jedno jest państwo”, słyszał w robocie, „Polska Ludowa. Kto tego nie uznaje, ten wróg”.

Oni tego nie uznawali. Nie był w to zamieszany, to inne organy, ale mówiło się u nich o tym, to był przykład „zainfekowania obywateli”. Nie tylko ci, co mieli za sobą taką przeszłość, stawali w poprzek nowym czasom. Dotyczyło to także tych, u których wcześniej była czysta karta – teraz zaczynali schodzić na złą drogę. „Partia nasza słusznie postawiła przed nami zagadnienie czujności. Wróg chwytą się każdej szczeliny w naszym życiu państwowym, chwytą się za każde nieuważne posunięcie jego obywateli”.

Doszedł pod klatkę. Odchrząknął. Teraz, przez dwa dni, tylko dom, rodzina.

\* \* \*

Wieczorem, kiedy z leżeli z Elą w łóżku, po takim dobrym razie, który przyniósł mu odprężenie i ulgę, i jeszcze coś, co było takie, jakby się znowu w niej zapadał – nie fizycznie, jak przed chwilą, ale jak wtedy, kiedy ją poznał i kiedy ona do niego wracała w pamięci – takie odnawianie zakochania. Nie sądził, że tak to może być, a jednak. W takich chwilach czuł, że mógłby zrobić dla niej wszystko.

Delikatnie przejechał dłonią po jej ramieniu.

Odwróciła się w jego stronę. Leżała teraz na boku. Niezwiązane troczki od koszuli odsłaniały mleczone piersi. Przez chwilę patrzyła na niego, a potem się odezwała:

– Wiesz, martwię się o Krzysia...

– Znowu? – Uniósł się na ramieniu. – Teraz to ja do szkoły pójdę na zebranie. Dość już męczenia chłopaka. Są różne sprawy między dziećmi, ale w pewnych granicach.

– Tak, to też. – Pokiwała głową. – Ale mnie się wydaje, że on się zrobił smutny, od kiedy Andrzejek się pojawił. Dawniej był pojedynczy, teraz już ma konkurencję. Może. Marian był zawsze sam i żałował, że nie ma brata.

– Ale przecież krzywda mu się nie dzieje.

– Nie dzieje – zgodziła się z nim. – Nie o to chodzi. To samo mówiła mi Zosia – że kiedy ja się urodziłam, ona poczuła się zdetronizowana. Zrozumiałam, o co jej



chodzi, kiedy pojawił się Krzyś. Byłam wtedy starsza, niż on teraz. No i jeszcze jedna istotna różnica – my wszyscy, cała trójka, mieliśmy rodziców. Tych samych. I mimo tego, że wtedy Krzyś zabierał najwięcej czasu, wiedzieliśmy, że jesteśmy dla nich tak samo ważni. A Krzyś...

– Wezmę go może na piłkę jutro? Pokopiemy, dobrze mu to zrobi. Mnie też. – Marian dotknął brzucha. – Za dobrze gotujesz. – Pocałował ją w policzek.

– Tak, idźcie. A mnie chodzi o to, jakie Krzyś ma spojrzenie, kiedy ty mówisz do Andrzejka „synku”. Albo o sobie – „tatuś przyszedł”. Krzyś jakby dopiero teraz zrozumiał, że jest sierotą. W momencie, kiedy my założyliśmy rodzinę, pojął, ile los mu zabrał. I mocno to przeżywa.

Posmutniała. Marianowi również zrobiło się przykro. Faktycznie, chyba coś w tym było. Jakoś nie myślał w tę stronę, bo i robota, i Andrzejek. I w ogóle nie był przyzwyczajony, żeby tak się nad dziećmi, to znaczy nad tym, co czują, namyślać.

– Słuchaj. – Popatrzył na nią. – A może ja bym go usynowił? Opieka to jedno, a ojciec – drugie. Jesteśmy razem, rodzina, tak mi się samo pomyślało. Zresztą on teraz do mnie „wujku” mówi, a ty wiesz, co to są „wujkowie”. No, tacy panowie, co to o matkach źle świadczą. A tak to by „tato” mówił do mnie.

I znowu, cholera, się rozczulił.

Ale Ela jeszcze bardziej – objęła go ramionami za szyję i przycisnęła swoje usta do jego ust.

Naprawdę miał dobre życie – niczego więcej już nie chciał.

\* \* \*

*Bournemouth, jesień 1949 roku*

Siadła na trawie. Słońce mocno przypiekało jej plecy. Naprawdę piękna końcówka września. Mówili, że wtedy morze najpiękniejsze i najcieplejsze, i mieli rację. Zgadzało się także to, że mniej było teraz turystów. To znaczy tak sobie wyobrażała, bo przecież nigdy nie była tu w sezonie.

Ich pierwsze wspólne wakacje. Wcześniej z finansami było krucho, potem Janek zaczął pracę – już na etacie, i nie chciał od razu narazić firmy na konieczność szukania zastępstwa, a później... Później Zosia nie mogła.

Teraz nie było przeciwwskazań. Więcej, były wskazania, żeby wyjechała, zmieniła klimat, odpoczęła.

„Odpoczniesz”, tak mówił i Janek. Pytanie tylko, po czym by miała odpoczywać. Przecież robiła tak mało – dwuosobowe gospodarstwo, nawet kota czy psa nie mieli. Ile czasu można wycierać blat kuchenny czy pucować lustro w łazience? I to wszystko w samotności.

Czasem myślała, że samotność jest jej sprzymierzeńcem, a czasem – że przekleństwem.

Bywały dni, że nie miała siły wstać z łóżka. To było coś okropnego i przerażającego – ona, która była gospodynią domową z małą ilością obowiązków, po długim nocnym wypoczynku czuła, że jest tak okropnie zmęczona, jakby wciąż jeszcze siedziała u Sowietów i pracowała ponad ludzkie możliwości.

Co zrobić z głową, żeby jej tak nie oszukiwała? Jak ją nauczyć radzić sobie z Zosinymi smutkami?

„Będzie dobrze”, twierdził Jan, całując ją rano w policzek, nim wyszedł do pracy. A potem znikał na długie godziny, zapewne ani przez moment nie poświęcając myśli temu, co ją dręczyło. Bo też nie do końca wiedział, co się dzieje w głowie jego żony. Znał już fakty – w końcu powiedziała mu o perskiej historii. „Byłaś z tym sama”, przejął się. A ona chciała mu od razu odparować, że teraz również jest z tym sama. Kobieta w ogóle jest z „tym” sama. Czasem ujmuje jej trochę tego bolesnego bagażu inna kobieta, jeśli są w dobrej i bliskiej relacji, ale Zosia takiej nie miała. Może gdyby Ela była na miejscu... Ale wyjechała do Polski. I tam szczęśliwie, bez komplikacji, urodziła dziecko.

Zosia sięgnęła do torebki i wyjęła z niej mały notes. Otworzyła go i zza tylnej okładki wysunęła zdjęcie. Na tapczanie siedział kilkumiesięczny chłopiec. Wiedziałyby, że to chłopiec, i bez dodatkowych informacji. Dziecko było duże,

z okrągłą buzią i chyba nadwagą. A może to było normalne, bo przecież Andrzej jeszcze nie chodził, więc nadwyżki ciała nie miały jak zniknąć. Kiedy ruszy, pewnie wysmukleje. Był podobny do ojca, na ile Zosia mogła to ocenić, bo szwagra znała tylko z kilku fotek. Z pewnością mały Czernik nie miał w sobie cech Polakowskich – był, jakkolwiek brzydko by to brzmiało – grubo ciosany. Poszedł w Mariana, przeleciało jej przez myśl. To był fakt, a jednocześnie było to podłe. To znaczy ona zachowywała się podle. Nie, nie tak – w końcu nie skomentowała tego w taki sposób, ani przed Jankiem, ani – tym bardziej – przed Elą. Podle były jej myśli, które brały się wprost z jej duszy. Wychodziło na to, że duszę też miała podłą.

Zaszklify się jej oczy. To nie była prawda. Przecież była dobra i wrażliwa, troskliwa i uczciwa. I do tego ładna. Czy za coś takiego nie należało się człowiekowi dobre życie? I za to, że tyle przeszła?

– Błóżnisz... – szepnęła do siebie, wycierając wierzchem dłoni łzy.

Widać Pan Bóg miał wobec niej taki plan. Na razie. Może to była próba, jak u Hioba? Może teraz miała mieć inne zadanie – tylko jakie?

Nogi jej zdrętwiały. Wyprostowała je i spróbowała zostać w takiej pozycji, ale nie było to komfortowe dla pleców. Najlepiej by jej było na ławce, z podparciem, ale na odludnym odcinku klifu nie było żadnego siedziska. Wstała więc i podeszła ku krawędzi ściany brzegu morskiego. Zakreśliło się jej w głowie – było tu naprawdę wysoko. Jeden nierozważny ruch...

Usiadła. Wyciągnęła nogi przed siebie; niewygodnie. Podciągnęła stopy i, suwając się na pupie, powoli zbliżyła się do krawędzi klifu. Mimo że dzień był pogodny, poczuła na twarzy lekką bryzę. Nie otwierając oczu, mocno oparła dłonie na trawiastym podłożu i powoli, macając stopami grunt, spuściła nogi.

Trwała tak chwilę. W końcu podniosła powieki. Oglądała obraz od dołu – zielono-kamienna płaszczyzna klifu, niżej beż plaży. Gdyby się teraz przesunęła jeszcze kawałek...

Zadrżała. Znowu zamknęła oczy i podniosła głowę. Kiedy ponownie spojrzała na świat, widziała tylko niebieskość morza. Zlewała się z niebem; gdyby było mniej błękitne niż dziś, trudno by było wytyczyć granicę. Ale było; cudowny dzień, idealna pogoda.

To dlatego Jan poszedł popływać. Zosia nie miała ochoty się moczyć, wolała spacer. Powiedziała, że będzie go obserwować z klifu. Pocałował ją i się rozstali.

Niby zgodnie, niby nic się nie stało, ale to nie była prawda.

Te wakacje miały być piękne – bardzo ładny hotel, bardzo ładna miejscowość i oni też bardzo ładni. W takim układzie nie było miejsca na smutek – smutek tu nie pasował.

Zosia walczyła z tą czarną chmurą w głowie. Czasem, nawet jeśli przegrywała, potrafiła to zamaskować. Nie zawsze jednak. Wczoraj na przykład nie. Była romantyczna kolacja powitalna, po niej wieczorny spacer urokliwie oświetloną promenadą, a finałem miało być ich spotkanie w sypialni.

Jan był szarmancki, miły, starający się. Wiedziała to i doceniała. Nic nie mogła jednak poradzić na to, że cały czas się zastanawiała, czy ich przytulanie nie zakończy się ciążą. A potem nastanie kilka nerwowych tygodni, podczas których będzie drżała nieustannie, kiedy to znowu zobaczy krew na bieliźnie.

Nie zniosłaby tego teraz. Bardzo pragnęła dziecka, ale musiała chwilę odpocząć. Okrzepnąć. Odciąć się. Jan wykazał się czułym zrozumieniem, za co była mu wdzięczna.

Kiedy obudziła się rano, nie było go w łóżku. Mniej więcej po kwadransie zjawiał się w pokoju. W dobrym humorze, ucałował ją. Zeszli na śniadanie, a kiedy wrócili do pokoju, pokazał jej małą paczuszkę. „Żebyś się nie bała”. Widziała takie automaty w Londynie – z napisem „Durex”.

Zdrętwiała. Nigdy do tej pory niczego nie używali, bo przecież pragnęli dziecka. To naturalne w małżeństwie. Teraz to ona chciała, musiała na jakiś czas odłożyć to marzenie, więc niby wszystko się zgadzało, ale Zosia i tak poczuła nieprzyjemny dreszcz. Ze zdumieniem odkryła, że seks z Jankiem już jej tak nie

pociąga. Kojarzył się jej z tymi smutnymi razami, płaczem, lękiem. Nie zauważyła tej przemiany u siebie, to się działo powoli, cicho, nieświadomie. Zosia traciła apetyt na codzienność; intymna bliskość była jak wisienka na torcie życia, a Zosi wystarczały teraz najprostsze dania. Kiedyś marzyła o tych chwilach, dawały przecież im obojgu takie spełnienie. Teraz – nie. Jednostronnie nie. Jan wciąż do nich dążył.

Dostrzegła go; ten punkcik na falach to był jej mąż. Wyszedł z wody i wycierał się ręcznikiem. Dwie mijające go kobiety obejrzały się, gdy już przeszły obok niego. Zauważył je, coś do nich powiedział, one odpowiedziały. Pogodna, wesoła rozmowa, to było widać po mowie ciała.

Jej ciało było odrętwiałe.

# Rozdział 11

*Warszawa, lato 1950 roku*

– A ostatnio trzy listy...

Marian poprawił się na krześle.

– Dwa listy, obywatelu pułkownika. I jedna kartka. Kartka na imieniny, bo piętnastego było Zofii.

– Tak... – Pułkownik Jan Rutkowski pokiwał głową i zapisał coś w notesie. – A co tam żona pisze?

– Zwykle sprawy. Jak do siostry. – Marian prawie że wzruszył ramionami, że to niby takie nieważne.

– Do siostry można różnie pisać. – Rutkowski się uśmiechnął. Też niby pogodnie.

Gorąco było. Mury grube, od posadzki ciągnęło chłodem, a Marian poczuł, że ma mokre pachy.

– One tam o takich babskich sprawach piszą. Żona ma... to znaczy my mamy synka, a ona, siostra, nie ma dzieci. Choruje, jakieś problemy.

– Tak... – Rutkowski znowu się pochylił nad kartką. – I tyle? Żadnych wieści, co się dzieje w kraju, nie jest ciekawa? Sama nic nie pisze o swoim położeniu w Anglii? A żona nie dopytuje o te kwestie?

Marian wiedział, że musi coś odpowiedzieć. Najlepiej szybko, składanie, gładko, choć nie za gładko. Znał przecież reguły zza drugiej strony biurka.

– Nie. Wiecie, obywatelu pułkownika, jak się dziecko pojawia na świecie, to kobieta traci dla niego głowę. Nic się wtedy nie liczy, nawet mąż.

On zaznał takiego stanu tylko przez krótką chwilę, ale słyszał od chłopaków historie, że to może się przeciągnąć. Po raz kolejny pomyślał wtedy, że tak dobrze

mu się zdarzyło, że na Elę trafił. Nic dziwnego, że pod koniec roku będą rodzicami dwójki. Potem to już Ela będzie musiała się wokół tego zakreślić, bo mieszkanie nie jest z gumy, no i w ogóle.

– A jak się nie trafi, to mąż się chyba wciąż liczy. – Pułkownik postukał ołówkiem w biurko i wyczekująco spojrzął na Mariana.

– Liczy, na pewno. Choć... – Zawahał się. Właściwie nie rozmawiał z Elą o siostrze. Wiedział, co słyhać u Białych, ale tak bardzo oględnie. On, znaczy Jan, pracował jako kreślarz czy architekt, podobno szło mu nieźle, mieszkali w jakimś średniej wielkości mieście, już nie w Londynie, pojechali na wczasy nad morze. Zwyczajne, a nawet dobre życie, tyle że w Anglii. Jan miał inną przeszłość, ale, z tego, co Marian rozumiał, zostawił ją za sobą. Jego jedynym grzechem było to, że nie wrócił do kraju. Jedynym, ale i sporym. Opuścić kraj to jak rodziców porzucić. Jeszcze gorzej, kiedy kraj w potrzebie, a Polska była teraz w dużej potrzebie. Tyle się budowało, zajęcia dla tych, co potrafią projektować, było aż nadto.

O tym też właściwie z Elą nie rozmawiali. Usłyszał tylko, ale tak naokoło, że Jan Biały uważał, że ojczyzna może nie docenić tego, co on dla niej zrobił podczas wojny. Marian doceniał walczących z obu stron, ale później sprawy się pokomplikowały, sam najlepiej o tym wiedział.

Nie były to jednak sprawy proste. Ci, co jawnie krytykowali – tu żadnych wątpliwości. Ci, co wrócili – teoretycznie dobrze. Nie można było jednak wykluczyć, że wśród nich byli i tacy, co mieli być jak krety – podkopywać struktury władzy. Teraz na przykład na proces czekało w areszcie trzech wysokich oficerów. Każdy z nich był przed wojną w wojsku polskim, potem w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. W czterdziestym piątym przyjechali do kraju, z dolarami, które zabrali tamtemu drugiemu, zagranicznemu rządowi. Wyglądało dobrze. Ale nie było dobrze, bo w zeszłym roku ich aresztowali. Nie tylko ich, bo jeszcze sześciu innych oficerów – wszystkich pod zarzutem współpracy z rządami Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. A dosłownie kilka dni temu powstały struktury mające się zajmować szukaniem wrogów wewnętrznych w służbach.

Skoro nowa jednostka, to znaczy, że potrzeby w tej materii duże i działania szeroko zakrojone.

A teraz pułkownik Rutkowski go zawezwał i wypytywał o rodzinę w Anglii. A jaka to rodzina, jak on ich nigdy nawet nie widział?

– Ja ich, obywatelu pułkowniku, całkiem nie znam. Nigdy się nie spotkaliśmy. Żona, znaczy wtedy jeszcze nie żona...

– Poznaliście się z żoną w Związku Radzieckim, prawda?

– Tak. Tuż przed wstąpieniem do wojska.

– No, to ładnie wam tam miłość zakwitła. Stąd pewnie ciepłe uczucia do naszych braci na Wschodzie.

Marian kiwnął głową, niech będzie to ujęte i w taki sposób.

– Przyjechała do Polski, razem z bratem. Młodszym, małym.

Rutkowski wziął notes do ręki, przekartkował.

– Usynowiliście go w zeszłym roku.

– Tak, i zgłosiłem raport. – Marian się wyprostował.

Wszystko zrobił, jak należy. W papierach miał absolutny porządek.

– Zgłosiliście – potaknął Rutkowski.

Zamknął notes, spojrzał przez okno. Nic nie mówił.

Marian go znał. Znał też różne metody pracy – rozmów, przesłuchań, postępowań. A mimo to nie był pewien, w jakim celu ta rozmowa się odbyła ani co z niej wyniknie. Przed kilkoma dosłownie dniami doleciały do jego uszu informacje o tym, że coś się zaczyna. „Spisek w wojsku”. Czuć było coś w powietrzu, ale początek tego był wcześniej, już w zeszłym roku, kiedy usunięto Gomułkę. Teraz sytuacja gęstniała, jak poranna mgła nad jeziorem.

Powoli szedł długim korytarzem. Tu było chłodniej, a może mu się tylko tak wydawało? W pewnym momencie po jego wilgotnych jeszcze plecach przebiegł dreszcz.

Otrząsnął się z niego, nim nacisnął klamkę u drzwi, które prowadziły do jego pokoju.



Na biurku zauważył równo ułożone teczki. Nowe, nie było ich tu, kiedy wychodził na spotkanie z Rutkowskim.

Usiadł, uspokoił oddech. Niepotrzebnie się zdenerwował, w sumie nie wiedział dlaczego. Już dawno mu się to nie zdarzyło. Życie biegło spokojnym rytmem, w dobrym kierunku. W pracy bywało różnie, ale to przecież było wpisane w tę służbę. On był bez zarzutu, nie miał się czego obawiać.

Sięgnął po pierwsze tekturowe okładki. Rozwiązał zapięcie. Wyjął papiery, zaczął czytać.

Sprawy wróciły na swoje miejsce.

\* \* \*

### *Peterborough, zima 1950 roku*

Wszystko wyglądało bardzo świątecznie. Na kominku stały świece, już zapalone. Zosia wahała się, czy to nie za wcześnie, bo gdyby Jan się spóźnił, to zdążą się trochę wypalić. Może jednak nie usłyszeć, że wszedł do domu, bo deszcz tak walił o dach. Na biały krajobraz nie było co liczyć. Przyzwyczajająca się do myśli, że już nie zobaczy takich obrazków jak za oknem w Niemowiczach. Tam to były zimy!...

Już dawno nie przywoływała wspomnień, bo zamiast pocieszać, rozbijały. Były rajem utraconym, a na inny, nowy, nie było widać szans. Wszystko przez te okropne doświadczenia.

Otrząsnęła się, jakby chciała je z siebie zrzucić. To już przeszłość. Smutna, jedna z wielu smutnych przeszłości, z których było zbudowane jej życie. Teraz jednak rozpoczął się nowy rozdział – dobry.

Podeszła do stołu. Poprawiła serwetkę przy talerzu Jana, delikatnie przejechała dłonią po obrusie, wygładzając go.

Trzy nakrycia, jedno – wedle tradycji, dla zbłąkanego wędrowca. Nie pamiętała sytuacji, żeby kiedykolwiek zostało wykorzystane. W Niemowiczach też czekało, mama dbała o ten symbol, ale zawsze po wieczery odnosiła czysty talerz i nieużywane sztućce do kredensu.

Dziś też zjedzą kolację we dwoje, choć właściwie...

Uśmiechnęła się do siebie.

Przesunęła wazon. Tak, teraz był idealnie na środku. Jedna świerkowa gałązka, delikatnie opleciona anielskim włosiem. Pasowała do małej choinki ustawionej w rogu pokoju, zresztą z niej ją urwała. Wszystkie ozdoby zrobiła sama – z kolorowego papieru i celofanu. Miała na to czas i ochotę. Przystroiła drzewko i uznała, że wygląda bardzo ładnie. Nie tak, jak na wystawach sklepowych czy w katalogach, gdzie wszystko było bardzo eleganckie i jak spod igły, ale jednocześnie pozbawione indywidualnego charakteru.

Miała tylko jeden problem – gdzie umieścić bombki, które Jan przed kilkoma dniami przyniósł do domu. W pięknym pudełku, z Harrodsa. Cztery sztuki, ręcznie malowane, bordowo-granatowo-złote. Bardzo eleganckie, za eleganckie jak na wystrój ich szeregówki. Prezent od Stefana, z którym Jan się widział kilka dni temu. Stefan wciąż mieszkał w Londynie, na wiosnę miał się odbyć jego ślub. Strasznie długo się ta sprawa ciągnęła, ale widać tyle czasu potrzebowała rodzina zamożnej panny młodej, by do swojego szlachetnego drzewa genealogicznego doszczepić taką gałązkę, jaką był Stefan. Formalności formalnościami, młodzi i tak mieszkali razem. Jan coś napomknął, że to było życzenie – czy raczej nacisk, przyszłej panny młodej, która chciała mieć oko na Stefana – uroczego i niepoprawnego kobieciarza. Tak go Jan określał; Zosia widziała w nim po prostu bawidamka. Pomocnego innym Polakom, których życie nie toczyło się tak samo złotym torem, miłego, ale nie do końca dojrzałego i odpowiedzialnego. Jan go delikatnie tłumaczył: „Wiesz, co przeszedł, jakie to były nerwy i napięcie”. „A ty nie?”, odpowiadała mu. No ale tamten to był pilot, roztaczał wokół siebie tę aurę niezwykłości. Jeden z niewielu. Jan i ona – jedni z wielu. Nie to, że nie lubiła tego człowieka; po prostu nie czuła z nim pokrewieństwa. Jan natomiast – tak. Dzielił ich teraz nie tak mały dystans, ale widywali się regularnie, raz na cztery–sześć tygodni. Dobrze, myślała, mężczyźni potrzebują swojego męskiego towarzystwa. Jan miał kolegów z biura, z nimi chodził do pubu, na mecze, tak wrastał

w angielski klimat i krajobraz. Stefan był taki pośrodku – Polak, ale niedługo wżeniony w Królestwo.

W maju zaprosił Jana na wyścigi Grand Prix na torze Silverstone – pierwszy oficjalny wyścig Mistrzostw Świata Formuły 1. Wcześniej w tym miejscu było lotnisko brytyjskich bombowców królewskich. Jan jej o tym opowiadał. Wrócił w dużych emocjach, jakby znowu był chłopcem. Rozczuliło ją to. Wciągnął się w nowe sportowe hobby. Śledził wyniki zawodów, raz pojechał do Stefana po to, by obejrzeć transmisję w telewizorze – Stefan już miał odbiornik, a jakże. To jej podsunęło myśl na świąteczny prezent dla męża. Nie, nie telewizor, to było poza ich zasięgiem finansowym. A właściwie – poza jej zasięgiem finansowym, bo przecież nie miała własnych pieniędzy. Pewnego listopadowego poranka wsiadła w pociąg i wyruszyła do Londynu. W gazecie znalazła reklamę sklepu modelarskiego z egzemplarzami aut wyścigowych do samodzielnego składania. Żadne zabawki dla dzieci, pięknie, z dbałością o detal przygotowane modele. Drogie, dobrze, że wpadła na ten pomysł w lato i zdążyła odłożyć odpowiednią sumę – z bieżących pieniędzy, przekazywanych jej przez Janka na prowadzenie domu, pewnie by się nie udało. Miała sobie kupić nową apaszkę, bo poprzednia już lekko wyblakła, ale to nie był najważniejszy zakup. Zresztą – przecież ona też znajdzie paczuszkę pod choinką. Jan delikatnie, niby mimochodem, podpytywał o tę sprawę. Jeśli sądził, że ona się nie domyśli, to się mylił. Głuptas, mężczyźni w ogóle nie mają doświadczenia w tej materii. Dobrze jednak, że taki temat się przewinął, ponieważ dowiedziała się wtedy, że Jan chciałby jej zrobić niespodziankę w postaci dziecięcego ubranka. Dopytywał, jaki kolor uznałaby za uniwersalny, bo nie wiadomo, kogo powitają na świecie. Zdrętwiała. Żaden kolor, żadne ubranka! Nie chciała zapeszać. Ona, racjonalna Zofia! Tak się jednak zrobiło i już – były kwestie, w których jej rozum ustępował przed jej lękami. Odpowiedziała więc, że zajmie się tym już po, teraz tylko absolutnie niezbędne minimum. Później sama, z przyjemnością, będzie przeglądała dziecięce ubranka.

Usłyszała pukanie. Zdziwiła się – to nie Jan, on by nie pukał, więc kto?

Przeszła do przedpokoju, otworzyła drzwi. W progu stał listonosz. Nie sądziła, że o tej porze jeszcze będzie roznosił pocztę. A jednak.

– *Good afternoon, Mrs. Biały.*

Uśmiechnęła się. Tak śmiesznie wypowiadał jej nazwisko. Chciała nawet kiedyś zażartować, że może mówić „Mrs. White”, ale i bez tego ją lubił. A ona lubiła, gdy zwracano się do niej nazwiskiem męża.

– *Package for you. From Poland.*

Zdziwiła się. Kilka razy wysłała Eli jakieś prezentowe drobiazgi – pończochy, rękawiczki. Ładne, nie do dostania w kraju. Siostra nie mogła się jej zrewanżować podobnymi upominkami. Nie pisała tego wprost, bo byłoby to trochę jak przyznanie, że wybrała nie ten świat, który warto, poza tym, czego Zosia tylko się domyślała, bo nie znała żadnych szczegółów, praca Mariana nie pozwalała na krytyczny ogląd rzeczywistości, ale warunki w Polsce były siermiężne, na sowiecką modłę. Nic nie zostało z przedwojennego, eleganckiego stylu. Ela się nie skarżyła na braki materialne, w ogóle na nic się nie skarżyła. Wydawała się szczerze zadowolona z życia. Była pochłonięta synkiem i drugim dzieckiem, które niebawem miało się zjawić na świecie. Ależ się tu zsynchronizowały! W pozostałych sprawach – raczej nie. Do Eli przyjeżdżała teściowa, „prosta i dobrodusznna” matka Mariana. Na wakacje pojechali do niej, na Ziemię Odzyskane, Ela została tam na długie dwa miesiące. Z Marianem byli wspólnie gdzieś pod Warszawą, nad Bugiem. W jakimś drewnianym domku. Zosia pomyślała kiedyś, że Ela dziadzieje. Babieje. Powszednieje. Widziała jej zdjęcie w tej drugiej ciąży: okrągła, chyba mocno opalona, włosy – rozjaśnione i związane w warkocz. Jak Jagna z Reymontowskich *Chłopów*. Bluzka albo źle uszyta, albo może brzuch już nie pozwalał materiałowi, by lepiej się układał. Bose stopy. Ale jedno trzeba było przyznać – oczy Eli promieniały. Zosi jeszcze się na to nie odważyły. Jeszcze chwila.

– *Merry Christmas!* – odpowiedziała listonoszowi.

Zamknęła drzwi i obróciła paczkę. Niezbyt duża, dość lekka. Nadawczynią nie była Ela, tylko Krystyna Biały. Przesyłka była jednak zaadresowana na Zofię, nie na Jana. Do tej pory korespondencja z mamą Jana była raczej kurtuazyjna, bo jaka miała być? Rozmawiali o spotkaniu, ale w żadną ze stron to na razie nie mogło się wydarzyć.

Wróciła z paczką do salonu. Sięgnęła do kredensu po nożyczki. Przecięła sznurek i gruby, bury papier pakowy. W środku był jeszcze jeden, cieńszy. Na nim leżała kartka.

*Droga Zosiu!*

*Przyjmijcie te świąteczne prezenty ode mnie. Mam nadzieję, że Wam się spodobają i dzięki nim będziecie wspominać czasem Waszą matkę i ojczyznę.*

*Adresuję na Ciebie, bo Ty się opiekujesz ogniskiem domowym, poza tym większa część prezentów dla Ciebie.*

*Skreśl kilka słów, czy odpowiednie, czy pasują.*

*No i czekam (w modlitwie) na rozwiązanie.*

*Całuję Was,  
Wasza mama*

Zosia się wzruszyła. Już dobre dwa tygodnie temu posłał paczkę do Wrocławia, widać minęły się po drodze, skoro teściowa nic o niej nie wspominała.

Odłożyła kartkę, wzięła do rąk paczuszkę. Rozerwała papier – był dużo cieńszy, nożyczki nie były tu potrzebne.

Na wierzchu zobaczyła szeroki wełniany pas – rozłożyła go – to był szalik dla Janka. Brązowy, gładki. Pod nim chusta, na szydełku – czerwona, chyba za czerwona, jak na Zosi upodobania. Ale w sumie – czemu nie? Póki jest młoda, trzeba korzystać z przywilejów tego wieku. W papierze było jeszcze jedno zawiniątko w kremowym kolorze. Nie mogła się zorientować co to. W końcu zrozumiała, że...

– Już jestem, kochanie!

W progu salonu stanął Jan. Podniosła na niego spojrzenie.

– Stało się coś? – zapytał zaniepokojony.

Zosia odchrząknęła.

– Nie, nic, po prostu się wzruszyłam. Prezent od twojej mamy. Wydziergała szalik dla ciebie, dla mnie chustę. Bardzo ładne, tyle pracy i pamięć, i w ogóle...

– I to cię doprowadziło prawie do łez? Rzeczywiście masz nerwy na wierzchu.

– Podeszedł do niej i ją przytulił. – A tu co jeszcze? – Spojrzał na kremowe zawiniątko.

– To... dla... dziecka.

Kiwnął głową. Uśmiechał się, ale spojrzenie miał niepewne. Pamiętał rozmowę z Zosią orzeczach dla dziecka. Taka zwykła sprawa, a wprawiała ją w niedobry stan. Jakieś lęki, zabobony, zupełnie do niej niepasujące. Nie pierwszy już raz, do takich epizodów dochodziło wcześniej. Rozumiał, że to związane z tym, że roniła kolejne ciężce. Jemu też było z tego powodu przykro, to oczywiste. Ale jednak wstawał, jadł śniadania, chodził do pracy. Spotykał się ze znajomymi, śmiał się, żył. Zosia zaś kuliła się w sobie, zamykała w domu. Nie znał się na kobiecej psychice, ale znał Zosię. Przetrwiała zsyłkę, tułaczkę, śmierć rodziców. Tyle spraw przetrwała! A to ją dogięło.

Rozmawiał o tym ze Stefanem. Ten wiedział tyle, co Jan, ale podczas kolejnego spotkania oznajmił, że rozmawiał o Zosi ze znajomym lekarzem. „Incognito”, zapewnił. Jan się ucieszył, bo ten lekarz okazał się psychiatrą. I bez tego miał poczucie, że sąsiedzi snują jakieś domysły co do zachowań jego żony. Zatem ten lekarz powiedział mu, że to może być *trauma*. *Emotional response to a terrible event*. „W jej życiu było dużo *terrible events*”, stwierdził Stefan. Było, prawda. I jeszcze dodał, że to może być tak, że człowiek żyje na pozór normalnie, a załamanie przyjdzie potem, po wielu tygodniach, miesiącach, a może nawet latach. I może je wywołać inne wydarzenie ze współczesności, które dopełni zgromadzony już smutek. „Każdy bierze życie inaczej”, dodał, już od siebie. On, to

znaczy Stefan, z pewnością brał je inaczej. Garściami odbierał. Jan chyba nie zbacał ze zwyczajnego kursu – przetrawił, co się zdarzyło, po prostu żył. Zosia... Ale to już przeszłość, dziecko ją z tego uleczy. Za rok będzie inaczej. Zupełnie inaczej.

\* \* \*

### *Peterborough, zima 1951*

W środku niej szarpanie, klucie, pęknięcie i palący ból, do mdłości, do utraty świadomości, a na zewnątrz – nic. Nie do wiary, jak te dwie rzeczywistości do siebie nie przystawały. Czy to w ogóle możliwe, żeby to tak było? Jedno przy drugim? I żeby świat nie zdawał sobie sprawy, co się w niej wydarza? Bo gdyby wiedział, jakoś by zareagował, coś zrobił. Nie byłby obojętny. Choć przecież już tak było, tam. W tej dziczy – zesłańcy umierali, świat wiedział. I ci ludzie w obozach nazistowskich – świat też wiedział. I w gettach – świat wiedział. Czym jest cierpienie jednostki wobec świata, skoro miliony giną w ciszy?

Było jej gorąco. I zimno też. Pociła się i trzęsała. Co się z nią działo? Co tu się działo?

Chciałaby kogoś o to zapytać, ale nie napotkała niczyjego wzroku. Znad kopyły swojego brzucha widziała tylko zgięte plecy w białym fartuchu. Na swoim ciele czuła czyjeś palce. Zadawały jej ból, jakby mało go doznawała. Chciała coś powiedzieć, ale w tym samym momencie inne dłonie, od tyłu, przytknęły jej do twarzy jakąś maskę. W pierwszym momencie miała wrażenie, że się dusi, ale to pewnie z przestachu, bo chwilę później do jej płuc wpłynął haust powietrza. Zrobiło się jej lepiej, poczuła, że zaczyna się jej kręcić w głowie, że spada. To było całkiem dobre, bo uwalniające. Jeszcze usłyszała krzyk, potem drugi, coś metalicznie szczęknięto, ale to zdaje się gdzieś daleko, bo tu, u niej, opadanie, całkiem przyjemne, odcinające od tego wszystkiego...

\* \* \*

*Warszawa, zima 1951*

– Napędziła nam pani strachu.

Jeszcze dobrze nie widziała otoczenia, wszystko było jak za mgłą. Próbowwała sobie przypomnieć, co się wydarzyło, ale jej pamięć szwankowała. Zapach dziwny, nieprzyjemny, ciągnęło ją na wymioty. I ręka ją bolała. Drugą dłonią próbowała zlokalizować źródło bólu; natknęła się na opatrunek. Co się jej stało? Dostrzegła zbliżający się cień – wbrew nazwie postać była świetlista, jasna. Jakaś wręcz anielska. Zamrugła. Obraz się przejaśnił, jak lustro w łazience, gdy po zbyt gorącej kąpieli przejedzie się po nim suchą ściereczką. Chciała się podnieść, ale przeszył ją ból – jak sztylet.

Wtedy sobie przypomniała. Obiema dłońmi chwyciła się za brzuch. Był inny, mniejszy, nienapięty. Pusty! Gdzie jest jej dziecko? Co się z nim stało? Wróciły do niej obrazy. Szła od pokoju badań, już zarejestrowana do szpitala, przebrana w tę sztywną, kusą piżamę, którą przykryła swoim szlafrokiem. Czuła się całkiem dobrze. Była trochę przestraszona, bo przecież pamiętała poprzedni ból, ale teraz podobno miało być łatwiej, przetarte szlaki... Doszła do pokoju pielęgniarek, poszła za jedną z nich do wskazanej sali. Nie zdążyła się nawet dobrze rozejrzeć po współtowarzyszkach, gdy złapał ją potężny skurcz. Tuż po nim kolejny. Bez ostrzeżenia, raz za razem. Zbladła, schwyciła się ramy łóżka. Szybko przybiegła ta pielęgniarzka, posadziła na wózek i na salę. „Rodzimy!”, krzyknęła. Bóle się nasilały, ale akcja nie postępowała. I wtedy zaczął się rwetes, do pokoju wpadły dwa kolejne fartuchy, jakaś ręka nałożyła jej maskę na twarz, inna szykowała igłę, jeszcze ktoś naciskał jej brzuch, penetrował wnętrze.

Zemdlała czy zasnęła – tego nie pamiętała. Nie pamiętała też, jak urodziła.

– Moje dziecko... – Próbowwała się podnieść.

– Niech pani leży. – Podeszła do niej lekarka. Blondynka, szczupła. Chyba ją znała. Tak, poprzednim razem to też była ona. Wtedy jeszcze się uczyła, teraz już chyba pełnoprawna medyczka.

– Gdzie ono jest? Co się stało? – Nerwowo rozglądała się po sali.



Lekarka pogładziła ją po dłoni.

– Proszę leżeć – powiedziała do niej uspokajająco. – Pani dziecko...

\* \* \*

*Peterborough, zima 1951*

Tamtej nocy też słyszała wilki. I krzyk. Najpierw to były jęki, zawodzenie, oznaki wielkiego wysiłku. Jeszcze ludzkie dźwięki, nie było wątpliwości. Krzyki kobiety, która wydala z siebie nowe życie. Ostatni akord trudu, gdy jeszcze nosi je w sobie, jest z nim organicznie związana. Potem przyjdzie inny wysiłek – codzienny, powtarzalny. Ale później...

Później ciotka zmieniła się w ból, którego ludzka miara już nie mogła wyrazić.

Zosia podała jej zawiniątko, nie patrząc na nią, nie myśląc, nie czując.

Rzuciła się w stronę drzwi; w progu dopadło ją wycie ciotki. Na mroźnym powietrzu wigilijnej nocy dołączył drugi dźwięk – wilczy. Wszystko się zmieszało, złączyło.

Przez długie miesiące próbowała zapomnieć, wyrzucić z pamięci – ten obraz i ten dźwięk. A teraz oba wróciły.

Nie chcieli jej nic powiedzieć, nic wytłumaczyć. Uspokajali ją, przytrzymywali, perswadowali. Aż w końcu ustąpili. Jeden z białych fartuchów przyniósł zawiniątko. Jej córka była taka śliczna, tak do niej podobna! Drobna, alabastrowa, krucha, z ciemnymi włoskami. Jak lalka, którą dostała w dzieciństwie. Jak Helenka cioci Marii.

I tak samo martwa.

Zosia poczuła, że też umiera. Nawet jeśli jakimś cudem – przekleństwem – zachowa życie, to i tak będzie martwa.

\* \* \*

*Warszawa, zima 1951*

– Już dobrze. To były chwile grozy, ale zdążyliśmy. Mała ułożyła się pośladkami, zaklinowała. Ale udało się ją wydostać. Nie jest niedotleniona, pierwsze badania pokazują, że wszystko jest w porządku.

– Pani jest moim aniołem. – Ela dotknęła ramienia lekarki. – Wtedy też.

– Wtedy? – zdziwiła się lekarka.

– Dwa lata temu. Rodziłam tu po raz pierwszy. Okropna położna, krzyczała, straszyla. W końcu poszła po doktora, a w tym czasie pani się zjawiała. I przyjęła Andrzejka. Wtedy jeszcze nie miała pani dyplomu.

– Dyplom miałam, nie miałam specjalizacji. Pamiętam panią, oczywiście. Coś się chyba zmieniło... – Spojrzała na nią. – Włosy, prawda? Miała pani ciemne.

– Rozjaśniłam. Mężowi się takie podobają. – Ela się uśmiechnęła.

– No tak. Mąż w ogóle ma szczęście – taka ładna żona i dwoje wspaniałych dzieci. Gratuluję.

– Dziękuję. W imieniu męża i swoim. – Ela raz jeszcze dotknęła jej ramienia. Czowała ogromną sympatię do tej kobiety.

– Niech pani teraz leży. Musi pani odpoczywać. Za godzinę jest przerwa obiadowa, wszyscy pójdą do stołówki. Przyniosę wtedy małą. Tylko niech pani mnie nie wyda, bo nie wolno.

Ela pokiwała głową. I już zaczęła się zastanawiać, jak się odwdzięczyć tej wspaniałej kobiecie. Dobro trzeba nagradzać.

\* \* \*

Odłożył słuchawkę telefonu.

Córka. Miał córkę. Podobno poród był ciężki, ale wszystko skończyło się dobrze. Odetchnął. Chcieli z Elą córki, tak by było najlepiej – parka. „Trójeczka”, poprawiła go Ela, bo Krzysiek siedział w kuchni, jadł obiad i przysłuchiwał się ich rozmowie. Cztery mielone, wreszcie zaczął futrować jak należy. Trzeba było więcej gotować, czasem nawet Marian oddawał mu swój kawałek mięsa i dojadał pajdą chleba, żeby chłopak napełnił brzuch. Nie było po nim specjalnie widać tych

posiłków, ale trochę na pewno zmęźniał. Marian go szczerze lubił, może nawet kochał. Nie tak jak Andrzejka, no bo syn był z jego lędźwi, ale naprawdę się do Krzyśka przywiązał. I rozumiał, że musi się przy nim pilnować, bo jak się ma naście lat, to w głowie inaczej niż u dorosłego. Mogłoby się Krzyśkowi zrobić przykro, coś opacznie by mógł zrozumieć i jakąś głupotę zrobić, Ela miała rację. Więc Marian starał się pilnować, choć i tak już miał dużo na głowie.

Więc trójeczka. Chciał zaraz pojechać do szpitala, ale musiał skończyć pisać raport – z kolejnej teczki. Jeszcze nie zdążył przerobić poprzedniego nadania, a już czekała nowa sprawa.

Przerobić. Przejechał dłońmi po włosach. Nie, nie ma co, przyszłość należy do tych, co działają, a nie do tych, co mają wątpliwości. Nowe wykuwa się w bólu, tak musi być.

Spojrzał na zegarek – zejdzie mu się jeszcze ze dwie godziny. Odwiedzin w szpitalu już nie będzie, ale z jego legitymacją to nie problem. W domu matka, dogląda Andrzejka, Krzyśka też nakarmi.

Całkiem dobrze zorganizował sobie życie, mimo wszystko.

\* \* \*

*Peterborough, zima 1951*

Człowiek zniesie wiele, jeśli ma nadzieję. Każdą terażniejszą okropność da się przeżyć, jeżeli wciąż jest szansa, że w przyszłości będzie lepiej.

Tu tej szansy nie było. *She won't be able to have children.*

Doktor był empatyczny i delikatny. Poklepał Jana po dłoni, współczująco się uśmiechnął. Dołożył kilka słów medycznego wyjaśnienia – dziecko, dziewczynka, zmarło w brzuchu, niedługo przed porodem. Dlaczego – to będą badać, ale tak się czasem zdarza. Nie da się tego przewidzieć, nie da się nic z tym zrobić. U Zosi doszły powikłania podczas porodu, w efekcie czego trzeba było usunąć macicę. „Walczyliśmy o życie pańskiej żony”. Rozumiał to; wszystko by oddał, byle mieć Zosię przy sobie.

Tyle tylko, że to nie on był tu głównym oddającym. Ofiarę poniosła Zosia – i to taką ostateczną. Wiedziała już o śmierci córki, ale nikt nie przekazał jej tej drugiej, druzgoczącej informacji. Była na to teraz za słaba. Jan miał wątpliwości, czy kiedykolwiek będzie wystarczająco silna, żeby to znieść.

Wyszedł przed budynek szpitala. Był taki ładny dzień! Zimny, ale słoneczny. Bez mgły, dymu z kominów. Widać było niebo i słońce. Zaczynał się nowy rok, kolejny, oddalający wspomnienia i wojenną rzeczywistość. Wszystko szło ku lepszemu, ale nie u nich.

Nie wiedział, co robić. Czuł, że nie da sobie sam z tym wszystkim rady. Był mężczyzną, byłym wojskowym, człowiekiem zaprawionym przez życie, ale w tym momencie potrzebował kogoś, kto go wysłucha i wesprze.

Zosia zupełnie się do tego nie nadawała, przecież sama rozsypała się na tysiące kawałków. Spała teraz, po solidnej dawce środków znieczulających i nasennych. Jej siostra albo szykowała się do porodu, albo już miała go za sobą. Teraz była matką dwójki dzieci. Dwa do zera. Jego matka... Tylko by ją zmartwił. To znaczy zmartwi i tak, a ona nie da rady go pocieszyć. Nie zawsze można znaleźć wsparcie u najbliższych. I często nie ma w tym niczyjej winy.

Postawił kołnierz i ruszył w kierunku centrum. W tłum, w towarzystwo innych, nawet bez rozmowy. To dawało mu poczucie, że świat, mimo wszystko, nadal istniał.

\* \* \*

*Warszawa, zima 1951 roku*

– A pani doktor ma dzieci?

Zapytała z pewnym wahaniem, bo przecież żadne z nich prywatnie znajome, a takie pytania potrafią być bolesne. Wiedziała o tym z własnego doświadczenia – za każdym razem, gdy pisała list do siostry, ważyła każde słowo, żeby jej przypadkiem nie urazić. Tyle się biedaczka wycierpiała! Dobrze, że wreszcie wszystko się ułożyło. Zosia powiadomiła ją o tym jesienią, cztery miesiące przed

rozwiązaniem. „Żeby nie zapeszać”. Ela to rozumiała. Nie z własnego przykładu, bo ona była wprost stworzona do macierzyństwa, choć ostatnie dni mogły to twierdzenie odmienić. Niewiele brakowało, by doszło do tragedii. A jednak – udało się. Opatrzność nad nią czuwała. I ta pani doktor także. Ewa Solska.

– Nie mam. Jeszcze nie mam. – Uśmiechnęła się do niej. Też ją chyba polubiła. I też czasami zachowywała się tak, jakby nie było między nimi zależności lekarka–pacjentka. W innych okolicznościach mogłyby się zaprzyjaźnić. Zresztą – w tych również mogły.

– Mąż pewnie by chciał. – Ela się uśmiechnęła. Przepęłniała ją radość własna – niechby i innym ten stan się udzielił.

Doktorka dotknęła palcami prawej dłoni lewej ręki, na której nosiła obrączkę i pierścionek.

– Jeszcze nie mąż. Niedługo się pobierzemy, ale oficjalnie jeszcze nie. Biżuterię noszę... Jest po jego mamie, to cenna dla niego pamiątka. Tylko tyle mu po niej zostało. – Odchrząknęła.

No i tak, zasmuciła się Ela. To było właśnie to, czego się obawiała. Dokoła było wiele pokaleczonych osób, każdy niósł jakiś krzyżyk. Ale jak iść do przodu, jak się zbliżać do ludzi, jeśli nie będzie się rozmawiać?

– Przepraszam, nie chciałam. Ja też mam za sobą trudne dni. Sybir, śmierć rodziców... – Ściszyła głos. Nikomu o tym nie opowiadała, przecież znajomi Mariana zupełnie się do tego nie nadawali. Teściowa – tak, ale u niej to się zawsze kończyło okropnym płaczem. Zatem – była z tym sama i powoli to od niej odpływało. Teraz przyplłynęło.

Lekarka pokiwała głową.

– Rodzice narzeczonego zginęli w powstaniu. On sam... – Nie dokończyła. Widać uznała, że Ela zrozumie. I że łączy je wspólnota doświadczeń – przeszłych i obecnych.

Pierwsze było prawdą, drugie – cóż...

– No, ale teraz pora na radość, nie na smutek.

Lekarka spojrzała na zegarek.

– Kończę zmianę, jutro będę też na rano. I wypiszę panią.

Ela się uśmiechnęła. Poprosi Mariana, żeby przyniósł bombonierkę i coś jeszcze dla tej kobiety. Naprawdę się jej należy. Była bezsprzecznie dobrą lekarką, ale, co Ela czuła całą sobą, była także dobrym człowiekiem. Oby jej się ułożyły te wszystkie sprawy, o których teraz mówiła, mając w oczach taki smutek.

\* \* \*

Kierowca wziął jej torbę. Ona sama – pakunek z Aliną. Myślała, że może by nazwać malutką Anną, po mamie, ale uznała, że Zosi bardziej się to należy. Siostra marzyła o córeczce, a dwie Anny w rodzinie to za dużo. Alina też ładnie. Andrzej i Alina, bardzo miły zestaw.

Powoli zeszła ze schodów. Szwy ją ciągnęły – tym razem poród mocniej ją doświadczył, ale doktor Solska sprawnie się z tym uporała. Złote ręce, naprawdę. Za niecałe dwa tygodnie miały się zobaczyć na kontroli. Może wtedy jeszcze jakoś się jej odwdzięczy? A może się umówią? Naprawdę czuła w niej pokrewną duszę. Teraz dopiero odkryła, że w gruncie rzeczy jest dość samotna. Były w bloku i inne rodziny, ale jakoś nie udało się jej nawiązać z żadną z żon bliższej relacji. Pożyczyć sobie cukru czy soli, wpaść na herbatę – to tak, ale bez głębszego zanurzenia się we wspólny świat.

Chciała, żeby Marian przyjechał po nią do szpitala, ale nie mógł. Przysłał za to kierowcę; nie sądziła, że tak może, wcześniej to się nigdy nie zdarzyło. Widać cenili go w pracy, skoro zezwolili na taką dyspozycję. Zresztą jak by mieli nie cenić, skoro teraz regularnie siedział po godzinach. Kierowca przywiózł ze sobą pakunek, prezent dla Solskiej. Z liściku od męża dowiedziała się, że to czekoladki i wino. Luksusowo, na pewno z któregoś z ich sklepów. Ela doceniała możliwość tych zakupów, choć sama nie lubiła tam chodzić. Było w tym coś krępującego – te grube żółte firanki, uniemożliwiające ciekawskim przechodniom lustrowanie zawartości półek, odmiennej od tego, co w handlu. Sprawunki załatwiał więc Marian, jemu przychodziło to bez namysłu czy przykrości. „Jakby się role

odwróciły”, zaśmiał się kiedyś, „przed wojną wyście żyli za takimi firankami, ja byłem na podwórku. A teraz...”

– Kwiaty położę z tyłu – oznajmił kierowca.

Bo były i kwiaty – dla niej. Niezwykle miło.

Obejrzała się. W oknie na pierwszym piętrze dostrzegła kobiecą postać – doktorkę. Ona też ją rozpoznała i pomachała do niej. Ela skinęła głową, ręce przecież miała zajęte córeczką.

Może to był przypadek, chwila przerwy w pracy, a może pani doktor świadomie patrzyła ku wyjściu, wdzięczna za prezent.

Na wizycie się wyjaśni.

Ela usadowiła się w fotelu obok kierowcy.

Ruszyli.

\* \* \*

Domknął szufladę, a potem wstał od biurka. Dopiero teraz poczuł, że bolą go plecy. Właściwie to ramiona i wyżej, szyja. Jakby był zdrętwiały. Może poprosi o zmianę krzesła? Sposób, w jaki się siedzi, przez kilka godzin, wpływa na sylwetkę. Mięśnie tężeją, zastygają i utrwalają się w danym położeniu. Trzeba by to rozćwiczyć, ale ostatnio na nic nie miał czasu, tyle roboty. W domu też jakoś nerwowo, choć w pozytywnym sensie – czekali, aż się zacznie. Matka się rozchorowała, musiała o kilka dni przełożyć przyjazd do nich. Dobrze, że wszystko się dopięło, że Ela nie zaczęła rodzić wcześniej, bo byłby kłopot, co z Andrzejkiem. No, jakoś poszło, choć podobno było nerwowo. Ta lekarka mu powiedziała, jak dzwonił. A później Ela wyjaśniła, że to głównie dzięki niej sprawy się dobrze zakończyły. Odwdzieczył się, tak trzeba było. No i nigdy nie wiadomo, czy jeszcze nie będzie potrzebna pomoc. Z ciążą to już oby nie, ale zdarzają się inne sprawy. Lepiej mieć dokoła przyjaciół, a nie wrogów. Albo choćby tych, co czują się zobowiązani.

Wygiął ręce do tyłu, splótł dłonie, a potem je rozprostował, aż coś trzasnęło. Kilka razy wykonał ruchy głową – raz w prawo, raz w lewo. Kilka razy przykucnął. Od razu zrobiło mu się lepiej. Uśmiechnął się do siebie – „kultura fizyczna potrzebna jak sen i modlitwa”, mówił ich nauczyciel w gimnazjum. Miał rację, może trochę modlitwa straciła na ważności.

Jutro sobota, zabierze Andrzejka na spacer, Krzysiek też dołączy. Wygląda, że będzie ładnie, może sobie zafundują dłuższą trasę? Krzyś chciałby zobaczyć to, co się budowało na rogu Kruczej i Alej. Centralny Dom Towarowy, duży, sześciopiętrowy, ma być cały przeszklony, z restauracją i kawiarnią. Taka to była u nich nowoczesność! A później może wejdą gdzieś na ciastko i herbatę? Ela się skrzywi, że przed obiadem, ale co tam.

Humor mu się poprawił.

Zdjął z wieszaka płaszcz, wyciągnął z rękawa szalik i odłożył go na biurko. Potem, gdy po niego sięgał, niechcący zahaczył o nową, dzisiaj dostarczoną teczkę. Spadła na podłogę. Musiała być niezawiązana, bo tektura okładki się odgięła, odsłaniając zawartość.

Marian się schylił, podniósł teczkę i położył ją na biurku. Żeby ją zawiązać, musiał na nowo ułożyć znajdujące się w niej papiery, bo się poprzesuwały. Wyciągnął je, wstrząsnął, kilka razy uderzył dolną częścią o blat biurka, żeby uformować równy plik. Ułożył go na tekturze i już miał założyć skrzydełka, kiedy zobaczył nazwisko osoby, którą miał się zająć.

Poczuł, że robi mu się gorąco, a w gardle coś go ściska. Nie, to niemożliwe. Wyciągnął plik, kartki rozsypały się po biurku.

– Gdzieś tu musi być zdjęcie – wyszeptał do siebie.

Było. I pasowało do imienia i nazwiska z pierwszej strony.

– Kurwa – wycedził przez ściśnięte zęby. – Jerzy Orłowski – rzucił głucho w pustą przestrzeń pokoju.

Usiadł na krześle. A potem ukrył twarz w dłoniach i zastygł.



# Rozdział 12

*Peterborough, zima 1952 roku*

Wciąż nie mogła się do tego przyzwyczaić – na trawniku stała tylko pionowo ustawiona kamienna płyta. Nie było wyznaczonego, obwiedzonego żadnymi ogranicznikami miejsca, które jasno by wskazywało, że to właśnie tam, ciut głębiej, znajduje się trumna z ciałem jej córki. Prawie cały cmentarz tak wyglądał, tylko w najstarszej części kamiennymi krawężnikami zaznaczono poletka z przodu płyt.

Zosia zazdrościła tamtym rodzinom. Zawsze się zastanawiała, gdzie ułożyć bukietki, które ze sobą przynosiła. Z prawej, z lewej, pośrodku? Świeczki też trudno było ustawić. To wszystko było takie smutne...

Sięgnęła do kieszeni płaszcza po chusteczkę. Miała ich zawsze kilka przy sobie. Nie, to nie były już te spazmatyczne, długie, wycieńczające szlochy. Teraz Zosia płakała zwyczajnie, czasem nawet nie zauważając, że jej policzki zrobiły się wilgotne. Ot, jakaś kobieta pchająca przed sobą wózek, maluch w parku, dzieci bawiące się na przedszkolnym podwórku – to wystarczało, żeby uruchomić łzy.

Żal wypływał z niej tak, jakby był niekończącym się pokładem. Czasem wydawało się, że już jest całkiem dobrze, że wstaje, je, prasuje koszule, idzie do rzeźnika – po prostu żyje, jak każdy, pchany do przodu wolą życia, z którą się człowiek rodzi, ale później następowało tąpnięcie, które znowu ściągało ją w otchłań czerni.

Nie zwierzała się z tego Jankowi. Na początku był z nią, milcząco, współczująco, wspierająco. Wziął wolne, by przez pierwsze dwa tygodnie po wyjściu ze szpitala opiekować się nią w domu. „Słaba jesteś”, mówił, „musisz leżeć”. Mógłby iść do pracy, wystarczyłoby, żeby zostawił na stoliku przy łóżku kanapki, których i tak by nie zjadła, i herbatę w termosie, której i tak by nie wypila.

Teraz sądziła, że Jan ją pilnował – żeby sobie czegoś nie zrobiła. Mówiąc wprost, choć oni tak nie mówili, czy z chęci ochrony siebie nawzajem, czy z innego powodu, żeby się nie targnęła na swoje życie. Nie chciała wtedy żyć, chciała dołączyć do córki. Była tam, w tym innym świecie, sama. Nie zaznawszy matczynego dotyku, ciepła, pocałunku. Jej chore serce nigdy nie zabiło szybciej na widok Zosi. Jej śliczne oczy nigdy Zosi nie zobaczyły. Jak więc mogłaby nie chcieć jej towarzyszyć, żeby choć po śmierci wynagrodzić jej te braki?

Nigdy by się jednak nie zabiła, nie mogłaby. To byłby grzech, wystąpienie przeciw woli Pana Boga. Musiał mieć jakiś zamiar, skoro taki los jej przygotował. Gdyby w to nie wierzyła, nic już by nie miało sensu.

Może Jan uważał, że jej wiara nie jest dość silna? Może jego taka była?

Pierwsze miesiące od pogrzebu, który pamiętała, jakby był jej tylko opowiedziany, upłynęły jak w malignie. Pamiętała za to list od Eli. Radosny, ciepły list matki Andrzeja i Aliny. Czy coś wtedy poczuła? Mrozący chłód. Może dlatego, żeby się rozgrzać, spaliła ten list w kominku. Jakby nigdy się nie wydarzył – ani on sam, ani to, co w nim napisane.

„Kocham Elę, jak możesz pytać?”, zdumiała się, gdy nadszedł drugi list, tym razem zaadresowany do Jana. Siostra dopytywała, czy wszystko z nią w porządku.

Nie było w porządku, i Jan o tym napisał. Może też odesłał Eli to kremowe ubranko, wydziergane przez jego mamę? W każdym razie zniknęło z komody i nigdy o nim nie rozmawiali.

Przeszła wiosna, lato, jesień i nastąpiła zima. Minął rok.

„Musisz, musisz, musisz...” Codzienna modlitwa, potem jakby bardziej żądanie Jana. Uległa, czymkolwiek były.

Trzeba było żyć, skoro inaczej nie można było.

Schyliła się i ucałowała brzeg kamiennej płyty.

– Niedługo przyjdę, Aneczko – szepnęła.

\* \* \*

Do domu wróciła na piechotę. Wybrała, jak zawsze zresztą, mniej uczęszczaną trasę. Szło się jej samotnie i spokojnie. W pewien dziwny sposób – dobrze.

Jan już był, co ją trochę zdziwiło. Podczas cmentarnych wypraw traciła poczucie czasu, ale żeby aż tak?...

– Dzień dobry – przywitała go. Stał tyłem do niej, próbował ustawić program w radiu.

Odwrócił się. Zauważyła, że jest przejęty. Nim zapytała, sam powiedział:

– Król umarł. Dowiedziałem się w pracy, dlatego wcześniej wróciłem. Nie mogli... nie mogliśmy przecież już pracować. Niby było wiadomo, że chorował, ale mimo wszystko... Trudno uwierzyć, prawda? A świat jakby nagle się zatrzymał.

Zosia kiwnęła głową, ale pomyślała, że jej świat zatrzymał się w zupełnie innym momencie.

\* \* \*

*Warszawa, lato 1952 roku*

Ależ było gorąco! Chciałoby się zanurzyć w zimnej wodzie albo przynajmniej posiedzieć na skraju fontanny, pozwalając delikatnej mgiełce osiadać na rozgrzanych ramionach.

Tymczasem trzeba było iść rozpalonym chodnikiem, pchając przed sobą wózek.

Ale Ela i tak się cieszyła. Czekał ją dziś przyjemny dzień. Odprowadziła Andrzejka do przedszkola, zostawiła Krzyśkowi supę z truskawek i porzeczek, idealną na upał, no i nie musiała się bać, że przypali garnek, jak już mu się zdarzyło. Wyrósł, wyprzystojniał, niedługo wąż mu się sypnie, a w niektórych sprawach wciąż był jak dziecko. Po wakacjach szedł do liceum, zupełnie nowy etap w jego życiu. Dla niej to też była nowość. Kiedy ona była w jego wieku, chodziła do gimnazjum. Nie ukończyła go zresztą, bo jak. Potem się uczyła, mama pilnowała, żeby córki miały kontakt z językiem, poznawały historię i kulturę, ale po jej śmierci ta rutyna jakoś się wykoślawiła. Zresztą codzienność była na tyle

zagarniająca, że na naukę nie zawsze znajdowało się czas. Albo chęci. Teraz zaczęło ją to nieco uwierać. Patrzyła na brata i trochę mu zazdrościła. Chłopak chłonął wiedzę całym sobą. Kiedyś robił to w ukryciu, wytykany przez kolegów palcami, jak kujon, teraz się z tym nie krył, zresztą w ostatniej klasie ich podejście się zmieniło – nauka była ważna, stopnie na cenzurce też. Ela zauważyła, że powoli przestaje być dla Krzyśka autorytetem. Bardzo ją kochał, co do tego nie miała wątpliwości, ale jeśli idzie o wiedzę, zaczynał ją zakasowywać. Mariana zresztą też, nawet bardziej. Marian niby z maturą i kursami, ale tam, jak i w jego pracy, obowiązywał tryb „specjalny”. Zresztą co do Mariana, to nastąpił i inny zgrzyt, raczej nieprzyjemny. Krzysiek przyszedł do niej niedawno i powiedział, że już nie chce mówić do nich „mamo” i „tato”. Tak się utarło, kiedy na świat przyszedł Andrzejek. Krzyś sam wtedy chciał zmiany, a ona nawet się ucieszyła, zwłaszcza że Marian tak ładnie się zachował, że go sobie przypisał. W końcu naprawdę stali się rodziną. Ale teraz Krzysiek uznał, że to nieprawda. No, nie powiedział tak, tylko coś w stylu, że inne więzy ich łączą, on ich bardzo kocha, ale wolałby, żeby Ela znowu była jego siostrą, a Marian... mężem jego siostry.

Marian się obraził. Zareagował impulsywnie, „a to szczeniak”, choć Krzysiek już mu dorównał wzrostem. Później ochłonął. Powiedział, że go poniosło, bo ma dużo roboty, trudny czas i jest zmęczony. Taki – niedobry – stan utrzymywał się od kilku tygodni. Może nawet dłużej. Marian bywał milczący, gradowy, niechętny do rozmów. Czasem wyczuwała od niego alkohol, i to wtedy, gdy wracał z pracy. Nie, nie był pijany, ale na pewno coś pił. Najpierw ją to mroziło, ale zauważyła, że wtedy jest spokojniejszy. Kiedy zapach był niewyczuwalny, Marian był napięty jak struna – byle co go wytrącało z równowagi, na przykład hałas drewnianych klocków, które spadały na podłogę, albo płacz Alinki. Kiedyś nawet pomyślała, że w sumie to go woli takiego trochę podpitego, ale szybko się skarciła ze tę myśli. Chciała mu pomóc, nie wiedziała jednak jak. Wielu rzeczy nie wiedziała, jak się okazywało. Tu trochę pomagał niezawodny kobiecy sposób, czyli wieczorne pieścizoty, ale nie zawsze można było. Nie chciała już dzieci, ta dwójka mocno dała jej w kość. Była po prostu zmęczona. „Zmęczona? A czym ty jesteś

zmęczona?”, zdziwił się nieprzyjemnie Marian, ale to było wtedy, gdy był suchy. Potem przeprosił. Więc była zmęczona, ale była też jakoś niepełna. Czuła, że stoi w miejscu, podczas gdy wszyscy parli do przodu. Postęp, rozwój, nauka – a ona nic. Zaczęła sobie przemyśliwać na temat tej nauki, ale przecież nawet matury nie zrobiła – nie było jak i kiedy. Kiedy Alinka pójdzie do przedszkola, nadrobiłaby braki w wykształceniu. Może nawet szłaby wtedy do egzaminów razem z bratem?

Znów się uśmiechnęła. Bardzo kochała Krzyśka. Właściwie dobrze, że znów mówił do niej po imieniu, choć matkowała mu, od kiedy był malutki. I dlatego teraz czuła lekki niepokój, że on się od niej oddala. Niby normalny proces, u chłopców chyba silniejszy, bo nagle rówieśnicy wychodzą na pierwszy plan, ale tu dochodziło coś jeszcze.

Od kilku miesięcy Krzysiek dostawał listy od Zosi. Wcześniej, gdy pisywała, to tylko do Eli, dołączając pozdrowienia dla innych członków rodziny. Później zresztą był czas, że całkiem zamilkła. Biedaczka... Ela poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Tak bardzo było jej żal siostry. I tak bardzo nie umiała jej pomóc. Dwa razy zapełniła maczkiem kilka stron i dwa razy dostała lakoniczne odpowiedzi. No ale to był Zosiny ból, miała prawo tak robić. Cierpiącego trzeba próbować zrozumieć, nie wolno oceniać. Ela żyła więc w cieniu smutku siostry, a potem przyszedł pierwszy list do Krzysia. Bardzo się ucieszył, poczuł ważny i dorosły. Odpisał. „Co tam?”, zapytał Marian. Zawsze pytał, musiał. Tym razem jednak Ela nie знаła konkretów, no bo jak? List nie był do niej. „Przeczytaj”, stwierdził Marian. Nie przeczytała, nie mogłaby. Takich rzeczy się nie robiło. Powiedziała to Marianowi, ale nie zrozumiał. Wieczorem zastosowała swoją kobiecą sztuczkę i sprawa się rozmyła. Krzyśka poprosiła, żeby pisał rozważnie. Kiwnął głową.

A niedługo później powiedział właśnie, że chce mówić do nich po imieniu. Ona się zgodziła, Marian – obraził. „Jak dorośniesz. Teraz – wujku”. No to wrócili do wujka. A Ela się zastanawiała, jaki udział w tej przemianie mają listy z Anglii.

Szła teraz Koszykową, przed sobą już widziała MDM. Plac jaśniał w sierpniowym słońcu. Granit, którym obłożono fronty budynków, pochodził z Niemiec. Podobno miał być przeznaczony na budowę pomników zwycięstwa

Trzeciej Rzeszy. „Słusznie, za nasze krzywdy”, stwierdził Marian. Zgadzała się z tym, choć jasne fasady przypomniały jej Niemowicze. A tam krzywdy nie doznała od Niemców...

Warszawa odradzała się w niezwykłym tempie, aż trudno było uwierzyć, że tak można. „Cały naród buduje swoją stolicę”. Budował. Ze stawianiem tej dzielnicy też się uwijali. Robota paliła im się w rękach. W zeszłym miesiącu było oficjalne otwarcie, tłumy się tu wtedy zjawily. Oni również, wiadomo, święto, świętować trzeba, mimo że dwudziesty drugi dzień lipca był wyjątkowo upalny. To wtedy zobaczyła, że jest tu kilka lokali gastronomicznych, w tym miło wyglądająca kawiarnia Niespodzianka. I to w dodatku w podcieniach, gdzie można było znaleźć dający ochłodę cień. Poza tym było to nie tak daleko od Starynkiewicza, gdzie pracowała Ewa. Ela uśmiechnęła się do siebie. Były już po imieniu. Sprawę może ułatwił fakt, że Ewa musiała się przenieść na Koszykową, gdzie otwarto poradnię dla kobiet i gdzie był jej, branżowy, rejon. Doktor Solska została więc po prostu znajomą. Spotkała ją kiedyś na Marszałkowskiej i tak od słowa do słowa... Raz były w Ogrodzie Saskim, raz w kawiarni Cedetu. Ten drugi raz Ewa była mocno smutna. Chodziło o narzeczonego, ale nie za bardzo chciała mówić, w czym rzecz. Wciąż nie byli małżeństwem, czego Ela nie mogła pojąć – taka cudowna dziewczyna, na co ten bubek czeka? Może dziś się dowie. A może sytuacja przyjęła inny obrót, bo przecież nie widziały się od wiosny.

– Pomogę. – Miło wyglądający mężczyzna złapał za stelaż wózka i razem wnieśli go w podcienia.

Przejechała do Niespodzianki i z zadowoleniem zauważyła, że Alinka wciąż śpi. Dobrze, że nakarmiła ją przed wyjściem. Może ciut za wcześnie na zupę, ale głodna nie dałaby jej spokojnie porozmawiać. A tak to cicho i równo oddychała, z rozkosznie zaróżowioną buzią i rączkami rozrzuconymi na boki.

Ewa już siedziała przy stoliku. Mimo że przecież promienie słoneczne tu nie wpadały, nie zdjęła ciemnych okularów. W rękę trzymała papierosa. Ela na odległość wyczuła jej zdenerwowanie.

– Cześć – przywitała się.

– Cześć. – Ewa się podniosła i cmoknęła ją w policzek.

Schudła od ostatniego razu, choć już wtedy była szczupła. Ela sama z trudem wróciła do formy sprzed ciąży, a ile wyrzeczeń ją to kosztowało. Nie chudnie się ot tak, to albo głód, albo okropne nerwy. Zrobiło się jej żal tej dziewczyny. I poczuła okropną złość na tego jej narzeczonego, bo to na pewno jego sprawka, zwłaszcza że z palca zniknęły obrączka i pierścionek.

– To przez niego, prawda? – Nachyliła się przez stół w jej kierunku.

– Co podać? – Nagle wyrosła obok nich dziewczyna w białym fartuszk.

– Dla mnie kawę. A dla ciebie? – Ela spojrzała na Ewę.

– To samo.

– Zatem dwie kawy.

Kelnerka odeszła, ściągając na siebie spojrzenia mężczyzn siedzących obok. Może ten narzeczony to taki sam numer?...

– Przez niego taka jesteś smutna? – Nie powinna tak wprost, były przecież świeżymi koleżankami, ale jak mogła udawać, że nie widzi, co się z tamtą dzieje?

– Przez niego? – Ewa zsunęła okulary z nosa. Widać było, że ostatnio płakała.

– No przez tego twojego chłopca. – Ela wyciągnęła nogi pod stolikiem. Pantofelki były ładne, ale niezbyt wygodne.

– Przez niego. – Ewa kiwnęła głową.

Więc intuicja Eli nie myliła.

– Słuchaj, my się niezbyt znamy, ale ja przecież widzę, co on z tobą robi, to...

– On jest w więzieniu.

Ela zamarła. Już była gotowa do tyrady, ale to wyznanie zmieniało wszystko.

– W więzieniu? – szepnęła. – Ale jak to?...

– Za przeszłość. Niesłuszną. I teraźniejszość. Też niesłuszną.

Ela poczuła, że puls jej przyspiesza. Tego się nie spodziewała.

– Przecież... – Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Właśnie. – Ewa słabo się uśmiechnęła. – Nie mam już pomysłu, co bym mogła. Od dwóch miesięcy się z nim nie kontaktuję, nie wolno. Zresztą nie jestem

żoną. On nie chciał. „To by cię obciążało, nie mogę się na to zgodzić”.

Więc to był prawdziwy powód, pomyślała Ela. Prawdziwa miłość, a nie jej brak.

Kelnerka wróciła z tacą i dwiema szklankami smolisto czarnej kawy.

– Przepraszam, że tak z tym wypaliłam, mam dziś zły dzień. Ty jesteś daleko od takich spraw, jak większość. W pracy nie mogę, wśród sąsiadów nie mogę, nikomu nie mogę. – Ewa ukryła twarz w dłoniach.

Ela delikatnie pogładziła jej ramię. Przyszło jej do głowy, że może Marian by się wywiedział. Na pewno by mógł, tak to działało, że te wszystkie służby były razem. Zastanawiała się tylko, jak to powiedzieć, żeby czegoś za dużo nie podać, tego nie wolno jej było, zresztą sama nie do końca wiedziała, jaką on ma funkcję i jak nazywa się to jego biuro. „Tajemnica służbowa” mocno weszła jej w krew.

Ewa upiła łyk kawy. Wyciągnęła kolejnego papierosa.

– Ela, przepraszam. Nie tak miało być. Jest lato, piękny dzień, ty pogodna z tym twoim szczęściem w wózku, a ja... – Pokręciła głową.

– Nie, to nic takiego, przecież to ważne. – Ela też wzięła łyk kawy. Nagle poczuła się słabo. Zbyt forsowna trasa w taki upał. Kawa, zamiast orzeźwić, wywołała jakiś ucisk w żołądku. Zamówi jeszcze wodę z sokiem. I może ciastko dotego. Trudno, od jutra znowu dieta. – Gdybym mogła...

– Dobra dziewczyna jesteś, ale to niemożliwe. Choć dałabym wszystko, żeby wiedzieć, kto to i jak znaleźć do niego dojdzie. Wtedy bym... – Ewa zacisnęła pięści.

– Kogo? – Ela spojrzała w kierunku drzwi wejściowych, nad którymi wisiał szyld „Niespodzianka”. Gdzie ta kelnerka się podziewała?

– Tego... tej gnidy, która do tego doprowadziła. Udało mi się dowiedzieć, że mówią na niego Maniek. Czarny Maniek.

Ela znów spojrzała na szyld. Niespodzianka, przeliterowała w myślach.

Wtedy, na ich ślubie, Krzys powiedział, że panowie mówią na wujka...



\* \* \*

*Andrzejku!*

*Wymodlony, wymarzony i kochany mój synku. Piszę do Ciebie po raz pierwszy i ostatni. W tych dniach bowiem mam być zamordowany. Chciałem być Tobie ojcem i przyjacielem, bawić się z Tobą i służyć radą i doświadczeniem w kształtowaniu Twojego umysłu i charakteru. Niestety okrutny los zabiera mnie przedwcześnie...*

Nie mógł dalej czytać. Pewnie dlatego, że i u niego był Andrzejek. Gdy słyszał to imię, w sercu robiło mu się cieplej. Kiedy dołączała do tego twarz jego synka, to już całkiem się topił jak wosk. A gdy spróbował sobie wyobrazić siebie, jak siedzi w celi śmierci i pisze ten greps do Eli, żeby ta go przekazała, kiedy Andrzej dorośnie, to już zupełnie nie mógł powstrzymać telepania, które wzięło go w obroty.

– Kurwa.

Odsunął od siebie teczkę. To nie była jego sprawa, materiały miał do wglądu, wypożyczone, ale przecież mogło się zdarzyć, że i ktoś, kogo on rozpracowywał, pisałby tak do swojego dziecka po wyroku.

Ciepliński, ten, który złożył te słowa, zginął od strzału w tył głowy. Wyrok wykonała ręka sprawiedliwości. A sprawiedliwość była ludowa.

Przypomniał sobie modlitewnik, który Ela mu pokazywała. Była w nim kartka, którą jej ojciec wypisał z myślą o swoim synu. I tyle Krzyśkowi po nim zostało – Polakowski też dostał kulkę w głowę. No, ale jego zabili przecież obcy. Niemcy.

Ela twierdziła, że Sowieci. Sowieci nie byli obcy.

– Kurwa.

Rozboliła go głowa. Nie mógł tak brać tego wszystkiego do siebie, bo się wykończy. Trzeba rozdzielać to, co w pracy, od tego, co w domu. W jednym i w drugim stara się wywiązywać z ról.

Wstał zza biurka. Za siedem minut koniec dniówki. Wyjdzie wcześniej; ostatnio tyle pracował, że te siedem minut odrobił z nawiązką.

Gdy szedł na Wawelską, wyobrażał sobie, jak Ela nalewa mu zupy, trochę rozmawiają, ale tak, jak lubił, że ona go nie wypytuje, bo przecież wie, że nie można, potem kąpie dzieci, kładzie do łóżeczek, sama wraca do łazienki i taka ciepło-pachnąco-miękka idzie do pokoju rozłożyć tapczan. A później czeka na niego, chętna i spokojna. I to jest ten moment, kiedy Marian czuje, że świat jest jednak dobrze ułożony.

Skręcił w stronę ich kamienicy. Humor mu się poprawił. Gdy wszedł po schodach, był już prawie spokojny. Postanowił, że od razu, jeszcze w przedpokoju, przytuli Elę. Tak znacząco, żeby nie miała wątpliwości, czego on potrzebuje.

W korytarzu zobaczył jednak Krzyśka.

– Cicho! – wyszeptał chłopak, oglądając się w głąb mieszkania. – Ela śpi.

– Śpi? – Marian się zdumiał. – O tej porze? A dzieci?

– U pani Kowalczykowej. Elę podobno strasznie głowa bolała, tak że od razu dwie tabletki wzięła. Błada była i nieswoja. Kowalczykowa kazała się jej położyć i odespać, powiedziała, że to może od słońca, bo Ela daleko się dziś wybrała na spacer. Na MDM-ie ją spotkała i razem wrócili.

– Na MDM-ie? – Marian się zdumiał. – A co ona tam robiła?

– Nie wiem. – Krzysiek wzruszył ramionami. – Z jakąś koleżanką się widziała.

Żal było Marianowi Eli, ale to przecież nierozważne w taką pogodę iść do miasta. Kiedy się obudzi i wydobrzeje, powie jej to. Niby taka rozsądna, a o podstawowych sprawach zapomina.

\* \* \*

*Peterborough, jesień 1952 roku*

*Kochany Krzysiu!*

*Dużo o Tobie myślę ostatnio. Pewnie dlatego, że zaczęłam pracę jako sekretarka w firmie pasmanteryjnej, która ma swoją siedzibę naprzeciwko szkoły. Jestem chyba jedyną osobą, której to nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie – lubię patrzeć na dzieci, lubię ich śmiech, zabawy, hałas, jaki*

robią. Początkowo myślałam, że nie przywyknę, że będzie to dla mnie przykrością. Rozumiesz to, prawda?

Zastanawiałam się, jak Ci to podać, ale – po kilku wyrzuconych do kosza kartkach – uznałam, że wprost. Skończyłeś szesnaście lat, jesteś mądrym chłopcem. A szczerść jest jedynym sprawdzonym sposobem na życie. Zatem – wiesz, że moja córeczka umarła i już nie będę matką. To mnie straszliwie zabolalo, przywiodło do granicy chęci życia. Jakbyś wpadł do studni i nie widział światelka i możliwości wydostania się.

A jednak – wydostałam się. Modlitwy, wiara, obecność Boga – to mi pomogło. To zawsze pomaga. Pamiętaj o tym.

Marzę sobie, że się spotkamy. Tyle lat już Cię nie widziałam... Ela przysłała Twoje zdjęcie – z tych, co do legitymacji licealnej robiłeś. Aleś Ty wyrósł. I jak jesteś podobny do Taty! Ty tego nie widzisz, nie wiesz, ale mnie to się od razu w oczy rzuciło!

Ucz się pilnie, wiedza to coś, co zawsze będziesz miał, czego nikt Ci nigdy nie zabierze.

Może chciałbyś zacząć naukę angielskiego? Mogłabym się tu wystarać o materiały dla Ciebie i oprócz tego taki korespondencyjny kurs z Tobą zacząć. Kto wie, kiedy taka umiejętność Ci się przyda? Trzeba być cierpliwym. Podam Ci przykład – król Jerzy VI zmarł pół roku temu, a koronacja jego córki Elżbiety odbędzie się na wiosnę. Tyle to trwa i tyle ma trwać. Everything comes to those who wait, co można przełożyć, że cierpliwość popłaca.

Całuję Cię

Twoja siostra Zosia

Odłożyła pióro. Napisała mniej, niż już miała w głowie. Na razie Krzyś nie przyjedzie, trudno by to było przeprowadzić, ale jeszcze chwila, jeszcze dwa lata, a będzie dorosły. Nawet jeśli Ela będzie niechętna czy Marian, to już nic nie będzie znaczyło. Swoją drogą, jak jemu mógł powstać w głowie taki pomysł, żeby usynowić

Krzysia! Zosią aż dreszcz wstrząsnął. On ojcem jej brata! Nedorzeczne, okropne! Krzyś ma ojca jednego, i już. To, że on nie żyje, nie znaczy, że można go wygumkować. I ma też siostrę, która mogłaby o niego zadbać. Opowiedzieć mu o Polsce – tej prawdziwej, której już nie ma. Ela go kocha, jest z nim związana, ale... Dużo by tych „ale” przy siostrze postawiła.

Wzięła kilka głębokich oddechów. Spojrzała na zegarek – do kościoła. Dobrze się tam czuła – w tych kamiennych murach miała poczucie, że Bóg jest obok i słucha.

Obiad czekał na Janka w nagrzanym piecyku, poradzi sobie bez niej, zresztą ostatnio często chodził do pubu z kolegami, więc nie zawsze jadał w domu. Dziś zaś wziął wolne i pojechał do Londynu, na spotkanie ze Stefanem. Próbowala go od tego odwieść, bo wieczorem podawali w radiu, że w stolicy okrutna mgła. Więcej niż mgła – powietrze ciężkie od gryzących w gardło, kwaskowatych oparów. „Zwyczajna tu sprawa”, skwitował Jan, dodając, że ten rytuał spotkań go odpręża. I pojechał.

Widać każdy inną ścieżką do spokoju podąża.

\* \* \*

*Warszawa, wiosna 1953 roku*

„Niczyje słowo nie wypowie do dna tego bólu, niczyje pióro nie ogarnie tej żałoby serca. Miliony prostych ludzi na całym świecie, każdy z oddzielną, straciły ojca”.

Krzysiek odłożył „Trybunę Ludu”. Wczoraj nie mieli normalnych lekcji. Wcześniej rano w radiu podali, że Józef Stalin zmarł. Daleko, w Związku Radzieckim, a wydawało się, jakby to było tu, bo Warszawa też zamarła. Ludzie byli smutni, niektórzy płakali. Wszyscy sprawiali wrażenie zagubionych, rzeczywiście jak po śmierci ojca.

Krzysiek – nie.

Wujek, gdy wysłuchał rano komunikatu w radiu, wyszedł do pracy wcześniej, tylko po kawie. Śniadanie, zawsze obfite, zostawił nietknięte. Ela westchnęła,

przytuliła go, a później poszła do Andrzejka, który kłócił się z Alinką. Właściwie to było odwrotnie – Alina była ostatnio humorzasta i zwykle wyżywała się na bracie, no bo na kim? Taty częściej nie było w domu, niż bywał, a mama zachowywała się jak anioł; to nawet ten brzdąc musiał czuć – mamie nie robiło się przykrości. Dlatego zostawał jej brat – Krzyśka traktowała z pewnym szacunkiem, widać czuła specyfikę ich więzi rodzinnych. Andrzejek znosiłby to lepiej, gdyby nie ciągłe napomnienia Eli, że jest starszy, mądrzejszy, żeby ustępował siostrze. Złościło go to, i chyba słusznie.

Krzysiek dopytywał, czy on też był nieznośny, gdy był mały. „A skąd!”, śmiała się Ela. „Byłeś uroczy. Ciekawski, ale i jakby trochę ostrożny. Wycofany z życia”, dodawała już ciut smutniej.

Nic chyba nie pamiętał z tamtego czasu. Czasem mu się wydawało, że ma jakieś obrazy pod powiekami, ale nie potrafił stwierdzić, czy to jego własne wspomnienia, czy to, o czym opowiadały mu Zosia albo Ela. Jakąś własną pamięć powinien mieć, cztery czy pięć lat to nie tak mało, ale może wtedy zostaje w człowieku tylko to, co jest dobre, co oświeśla świat. A przecież tam było ciemno.

Mamę pamiętał, choć, co go napełniało smutkiem, a czasem i wstydem, zlewała mu się z Elą. Jakby były jednością. Ojca zaś nie pamiętał wcale – no bo skąd? Owszem, zapis na pocztówce go wzruszał, próbował sobie dopasować do charakteru pisma sylwetkę, minę, po prostu zbudować ojca z tego kawałka papieru, ale to było jak snucie bajki. Tęsknił za ojcem jako takim, a nie za tym, którego naprawdę miał, bo Jan Polakowski jako postać z krwi i kości po prostu dla niego nie istniał.

Może dlatego „żałoba serca po ojcu”, czyli po Stalinie nie schwyciła go zbyt mocno. Skoro nie wiedział, jak to jest mieć ojca, nie bardzo odczuwał ból po stracie.

A może powód był inny? Z tego by się jednak nikomu nie zwierzył, nawet Eli.

Jedyna osoba, z którą, jak czuł, mógłby o tym porozmawiać, była daleko stąd. I pewnie dlatego widziała sprawy wyraźniej.

Tak, w życiu czasem zdarzały się takie paradoksy.

Sięgnął po papeterię i zapalił lampkę na biurku. Był teraz sam w domu i bardzo sobie cenił czas takiego spokoju. Mógł się wtedy skupić i nikt mu przez ramię nie zaglądał. Pisał jednak tak, jakby czyjeś, nieprzychylnie spojrzenie, cały czas lustrowało jego słowa.

Uśmiechnął się do siebie. Z jednej strony towarzyszyła temu obawa, zwłaszcza że, jak powtarzała Ela, „byli trochę jakby na świeczniku”, a z drugiej – to było jak wyzwanie. Zabawa. Mimo wszystko – oderwanie się od rzeczywistości.

À propos odrywania się – angielskiego też się uczył. „Po co ci”, zachnął się Marian. „Trzeba znać język przyjaciela, rosyjskiego się ucz”.

Ciotka napisała, że trzeba znać język przyjaciela i wroga. Nic więcej nie dodała, ale Krzysiek wiedział, jak uszeregowała rosyjski i angielski w tym zestawieniu.

Nachylił się nad kartką.

*My dearest Zosia!*

\* \* \*

– Nie pracuje tu. Przeniesiona. – Młoda dziewczyna w rejestracji była miła, ale chyba już ją trochę zirytowało powtórzone po raz trzeci przez Elę to samo pytanie.

– A czy wiadomo dokąd? Gdzie teraz jest doktor Solska? – Ela nie chciała urazić tej dziewczyny, po prostu nie mogła zrozumieć.

Po tamtym spotkaniu nie potrafiła się przemóc i zadzwonić do Ewy. Nie zapytała też Mariana o tę sprawę. Nie chciała, nie mogła. Pewność – potwierdzająca słowa Solskiej – byłaby zabójcza.

Dlatego wolała myśleć, że to pomyłka, przypadek, nieprawda. Zresztą Marian opowiadał o jakimś Jurku, z którym walczył. I to były ciepłe słowa – na tyle, na ile ciepłe mogą być męskie opowieści. W każdym razie – na pewno by nie skrzywdził tego chłopaka, z którym wspólnie wiele przeszli. Zresztą – on zniknął, może

wyjechał, może jego powojenna historia była poplątana, jak wiele innych. Marian przecież miał go kiedyś nadzieję odnaleźć – i nic z tego nie wyszło.

– Nie mam takich informacji. – Dziewczyna pokręciła głową.

Ela musiała mieć mocno nieszczęśliwą minę, bo tamta nachyliła się do niej i ciszej dodała:

– To się stało niespodziewanie, jakieś trzy miesiące temu. Doktor była i nagle – nie ma jej.

Po czym wyprostowała się i zajęła przeglądaniem papierowych kopert z kartami pacjentek.

Ela wyszła przed budynek. Musiała się przejść, potrzebowała ruchu. Pchnęła wózek i pojechała w kierunku MDM-u, gdzie ostatni raz widziała Ewę Solską.

Na placu zobaczyła ogromny portret Stalina, zasłaniający sporą część elewacji kamienicy. Zastanawiała się, jak go przyczepili – nigdzie nie widziała sznurów czy innych uchwytów, a przecież malowidło było na pewno ciężkie.

Postała chwilę, niezdecydowana, co robić. Minęła pustawą Niespodziankę i poszła w kierunku Wawelskiej.

Pod nogami chlupała pośniegowa breja, na drzewach dojrzała kilka pierwszych nieśmiałych pąków. W powietrzu, mimo chłodnej wilgoci, poczuła cieplejszy strumień.

Może się spociła od tych emocji, od wysiłku wprawiania niedużych kółek wózka w ruch, a może szło już na odwilż.

# Rozdział 13

*Peterborough, wiosna 1955 roku*

– Nie, Janku, jakoś tak...

Zosia odsunęła się od męża. Wciąż go kochała, ale inną niż kiedyś miłością. Nie było w niej niczego z dawnych porywów. Została stateczność, a ta przecież wykluczała szaleństwa. „Jakie szaleństwa?“, zezłościł się kiedyś Jan. „Pożycie z żoną to szaleństwo? Kilka szybkich ruchów pod kołdrą, najlepiej przy zgaszonej lampce, to szaleństwo?”

Popłakała się wtedy. Zaskoczył ją ten wybuch i zabołał. Jej dobry i czuły Jan, rozumiejący i wyrozumiały, nagle objawił swoją nieprzychylną naturę, zwłaszcza że nie poprzestał na tym. Powiedział jeszcze wiele innych, przykrych słów. Że żyją jak w mauzoleum lub grobowcu, że w salonie ołtarzyk na cześć zmarłej Ani, a Zosia i tak każdą wolną chwilę spędza na cmentarzu, a jeśli już jest w domu, to tak, jakby jej nie było.

A jako żony sypialnianej, bieliźnianej, chętnej i czulej – nie ma jej wcale.

W pierwszym odruchu był tylko ból. W drugim – chęć zepchnięcia tych słów w niebyt, w najdalsze rejony pamięci. Dopiero po jakimś czasie wyciągnęła je stamtąd i zaczęła się im przyglądać.

Możliwe, że Jan miał trochę racji. Trochę. Wiedziała przecież, że konstrukcja mężczyzn jest odmienna. Że dla nich fizyczna strona miłości ma duże znaczenie, dużo większe niż dla kobiet. Ale żeby to ich zmieniało w jakichś troglodytów?

Było jednak coś, o czym z nikim nie rozmawiała, nawet z Jankiem, bo to było zbyt osobiste, zbyt intymne. Zosia czuła się po prostu pusta, wydrążona, wypatroszona. Nie miała już tego, co czyni kobietę kobietą, mimo zewnętrznych pozorów. Wobec tego seks stawał się jakimś nieuprawnionym wygibasem.



Akrobatyką bez sensu. Zosia nie mogła się pozbyć tego czucia, tego myślenia. One tak szczelnie wypełniały jej głowę, że nie zostawiły miejsca na inne pragnienia. Wiedziała, że powinna je czuć, a nie czuła.

Odsunął się i spojrzał na nią smutno.

– Może jutro. Albo w weekend.

To była jej mantra. Sama już w to nie wierzyła.

Jan pokiwał głową. Sięgnął do wyłącznika lampki.

– Dobrej nocy – powiedział już w nagłą ciemność pokoju.

\* \* \*

*Warszawa, jesień 1955 roku*

– A talerze niepomyte. – Marian stanął nad Krzyskiem.

– Zaraz się zabiorę, tylko skończę ten artykuł. – Krzysiek znowu nachylił się nad kolorową gazetą. – Bardzo ciekawie piszą o Włoszech. Co za kultura, co za krajobrazy! Tak by się chciało pojechać, zobaczyć, poznać. „Dookoła świata”, jak na okładce. – Na moment obrócił wydanie i pstryknął palcami w tytuł miesięcznika.

– Mnie wystarcza nasz świat, tutaj. – Marian usiadł na taborecie. – Zresztą już się nabywałem za granicą.

– Raz to nawet zagranica sama do ciebie przyszła – zażartował Krzysiek, ale od razu zobaczył, że przesadził. Marian się wcale nie uśmiechnął. Nie był też zły. Był... trudno powiedzieć.

Krzysiek jeszcze chwilę na niego popatrzył i wstał. Dokończy potem, zresztą lubił czytać w samotności, nie niepokojony. Sięgnął po gumowy korek, zatkał odpływ i nalał wody do zlewu. Powoli opłukiwał talerze i kubki, a potem przecierał je zmywką nasączoną płynem. Udroźnił odpływ i zaczął opłukiwać zastawę. Mokre naczynia odkładał na suszarkę. W przedziwny sposób go to odprężało, jakby wyczyścił także głowę.

Kiedy zakręcił kran i wytarł dłonie w ściereczkę, ze zdumieniem zauważył, że Marian wciąż siedzi przy stole. Brodę wsparł na podpartych rękach, zapatrzył się w okno.

Krzysiek, górujący teraz nad nim, zauważył, że mąż Eli posiwiiał. Dziwne, że wcześniej tego nie dostrzegł. Mogło mu umknąć, bo tyle się teraz działo – w tym roku szkolnym osiemnaste urodziny, matura, egzaminy na studia. Wchodzenie w dorosłość, także tę damsko-męską.

Poczuł miłe łaskotanie w podbrzuszu. Kasia, Kaśka. Koleżanka z Reytana. To był dopiero początek, ale bardzo obiecujący.

I jeszcze coraz wyraźniej klarujący się przyjazd Zosi. Wydawało się, że sytuacja szła ku temu, by wreszcie stało się to możliwe. Optymizm był ostrożny, ale emocje spore. Bo raz, że zobaczą się po raz pierwszy od dekady, a dwa – że potem przyjdzie zaproszenie na rewizytę, co było tak ekscytującą wizją, jak sobotnie kino z Kasią.

Świat zaczynał się przed nim otwierać, a on postanowił, że wsunie nogę między drzwi i nie pozwoli im się zamknąć.

\* \* \*

*Warszawa, lato 1956 roku*

– Nie możesz zasnąć? – Ela dotknęła ramienia Mariana.

– Jakoś tak – odparł, nie odwracając się w jej stronę.

– Okno otworzę. – Podniosła się.

Upał dawał się we znaki nawet w nocy.

Przysiadła na brzegu wersalki i przejechała dłonią po ramieniu męża.

– Coś cię gryzie?

Wiedziała, że nie odpowie. Największe zgryzoty chował.

– Nic konkretnego. Tak sobie myślę, że czas płynie. Patrz, Krzysiek osiemnaście lat skończył. Dorosły jest.

– Jaki tam dorosły. – Zaśmiała się. – Skarpetek nie umie pocerować, jajecznicę przypala.

– To mu ta Kaśka czy inna zrobią. Mnie chodzi o to, że jest pełnoletni. Na studia idzie, zaraz z domu wyjdzie. Był i go nie będzie. A w dodatku...

Więc chodziło o ten dodatek. O to, że Krzysiek coraz bardziej się od Mariana oddalał. Tematy w szkole, nauka przed maturą, do studiów – a wybrał historię – to wszystko pokazywało, że Marian już nie jest dla niego autorytetem. Już nie wyjaśnia świata. Nie jest przewodnikiem. To się tyczyło nie tylko wiedzy, lecz także poglądów. Kierunku, w którym patrzyli – one się rozjeżdżały. Gdy do tego dołożyć fakt, że nad jednostką Mariana zebrały się czarne chmury i miało w niej nastąpić „przeorganizowanie”, nic dziwnego, że Marian chodził struty.

Dlatego Ela nie nalegała, żeby jakoś bardzo z nią świętował jej maturę. I o rok odłożyła pomysł studiów. Nie zamierzała odpuścić, już postanowiła, że będzie się kształciła na nauczycielkę, ale jeśli jej mąż jej teraz potrzebuje, to przejdzie z nim ten czas. A potem zrobi, co zamierzyła.

– Chodź... – szepnęła mu do ucha i położyła się naprzeciwko niego. – No chodź. – Wzięła jego dłoń i wsunęła ją pod swoją koszulkę nocną.

Marian przymknął oczy i dał się prowadzić. Po chwili był już całkiem daleko od tych wszystkich męczących myśli. Z nią – jego jedynym pewnikiem na tym świecie.

\* \* \*

*Peterborough, jesień 1956 roku*

Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Ostatnie tygodnie upłynęły jej w takim podekscytowaniu, że właściwie niewiele rejestrowała z codzienności. Najpierw załatwianie wszelkich formalności i pozwoleń, później gorączkowe zakupy – w czym ona pojedzie, co przywiezie jako prezenty. Ciągłe nerwy przemieszane z ekscytacją: jak to będzie – z Elą, z Marianem, z ich dziećmi? No i z samym Krzysiem, którego niby dobrze poznała jako dorosłego już człowieka, ale przecież

to tylko korespondencja. Słowa. Mogą zmylić. Dużo ich było, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

Z Jankiem, dla odmiany, nie rozmawiali ostatnio zbyt wylewnie. Ona w emocjach, on – w pracy. Dużo nowych projektów, posypały się zlecenia. Nic dziwnego, że wracał późno i zmęczony. Miała jednak wrażenie, że jest spełniony – dobrze, że miał taką pracę i w niej odnajdywał sens i cel.

Było jej to na rękę, szczerze powiedziawszy. Zaplanowała, że gdy wróci, zajmie się odnawianiem ich relacji. Zrzuci z siebie napięcie, odbuduje stosunki z siostrą, może – może – przekona się do szwagra, da radę już unieść radość Eli z faktu bycia matką, polubi siostrzeńca i siostrzenicę. Wszystko to już przerobiła w głowie na sucho.

No i jeszcze Krzyś. Nie zapesząc, miała wobec niego pewien plan. Taki, który na pewno mu się spodoba. I taki, o którym mógłby zdecydować sam – w końcu to już pełnoletni człowiek. Gdyby tak się stało, to tu, w tym cichym mieszkaniu, rozpoczęłoby się inne życie. Może Krzysiek okazałby się spóźnionym spoiwem dla niej i Jana?

Uśmiechnęła się do siebie. Wszystko się poukłada.

Poprawiła walizkę na półce i odwróciła się w stronę okna. Opuściła szybę i wychyliła się lekko.

– Wyślę kartkę. – Uśmiechnęła się do stojącego na peronie męża.

Odpowiedział jej uśmiechem.

Lokomotywa zasyczała i pociąg powoli ruszył. Jeszcze przez chwilę patrzyła, jak sylwetka Jana maleje, kurczy się, aż stała się czarną kropką. Usiadła i przymknęła oczy. A więc to się działo naprawdę.

Odpływała. A może to on odpływał?

\* \* \*

– Na Aldermans Drive, numer dwudziesty.

Odłożył słuchawkę telefonu i wyrównał serwetkę, która się przesunęła. Zosia lubiła, kiedy wszystko było pod linijkę.

Spojrzał na stół. Koperta też trzymała linie równoległe wobec krawędzi stołu.

Przeszedł do korytarza. Jedna walizka, tyle wynosił po kilkunastu wspólnych latach.

Przedmioty nie miały jednak znaczenia. W nowym miejscu sporo ich już zgromadził, ale to też było bez większego znaczenia.

Liczyła się ona i ono, które za kilka miesięcy pojawi się na świecie.

Na razie mała kuleczka, ale niebawem – człowiek. Jego dziecko.

Dostrzegł światła taksówki za oknem.

Zgasił lampę i zamknął za sobą drzwi.

To się działo naprawdę. To, co było tu, rozmywało się, nikło, odpływało. Tamto było nową, nadpływającą falą.

\* \* \*

*Warszawa, jesień 1956 roku*

W domu było już cicho. Równe oddechy unosiły się nad łózkami Andrzeja i Aliny. U Krzyśka też było zgaszone światło. Marian jeszcze nie wrócił – zapowiedział jakieś służbowe świętowanie, spotkanie niby to nieobowiązkowe, a jednak takie, na którym nie można nie być. Nie pierwszy raz. Wracał potem podchmielony i smutny. Jak ze stypy.

Ela nie mogła zasnąć; nie myślała jednak o mężu. Czuła podekscytowanie, ale i zdenerwowanie – jutro, po tylu latach rozłąki, miała się zobaczyć z Zosią. Radość, choć i lęk. Niegdyś z podobnej gliny, teraz – inaczej ulepione, czuła to. Może zawsze mocno się różniły, a dopiero warunki zewnętrzne wydobyły ten fakt na światło dzienne? Gdyby zostały w Niemowiczach, byłyby na pewno inne. Jak bardzo inne? I które Polakowskie są prawdziwsze – tamte czy te?

Obróciła się i poprawiła poduszkę. Jak Zosia się tu odnajdzie? U nich w domu, w Polsce?

Krzysiek – nieobarczony żadnymi niepewnościami – chyba najbardziej się cieszył z tej wizyty. Ela domyślała się, że wiąże z nią konkretne plany – będzie chciał złożyć rewizytę. A może i...

Poczuła ucisk w żołądku. Nie chciała tracić brata, ale przecież nie mogła go zatrzymać. Zresztą może tam będzie mu lepiej? Może on jest bardziej podobny do Zosi?

Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Chwilę potem – tych do łazienki. Rury cicho pisnęły i popłynęła woda. Ela przymknęła oczy. Zrobiło się jej sennie. Woda nadal szumiała, a jej się przypomniało, jak jedenaście lat temu odpływała ku nowemu życiu. Wszystko było wtedy takie niewiadome...

Marian chyba się kąpał, bo nadal słyszała pluski. Ciepła pościel usypiała ją coraz bardziej. Zasnęła, ale teraz znowu się przecknęła. Leżał obok niej, przytulony do jej pleców. Był ciepły i miał wilgotną skórę. Poczuła, że obejmuje ją w pasie, a potem przesunął rękę na jej udo i delikatnie przepchnął je do przodu. Znajomy gest.

– Marian... – Wybijał ją z senności, zresztą to nie był dobry czas.

– Ela – powiedział prosząco. Cicho, ulegle, ale bez gotowości na odmowę.

Kiwnęła głową.

Wsunął się w nią i po chwili oboje zaczęli się kołysać.

Znowu przypomniał się jej ten statek. Fale były coraz mocniejsze. Odpływała, on razem z nią.

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Część pierwsza

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Część druga

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13